





WSPOMNIENIA Z ROKU 1863.



**MOTTO:**

„Szczęśliwą jestem, choć w późnej siwiźnie,  
Żem pięciu synów oddała Ojczyźnie.  
Adam pod Jeną, Jakób w Berezynie,  
Feliks w Domingo, Franciszek w Raszynie;  
Michał, czując się do kajdan niezdolny,  
Pada od kuli, lecz umiera wolny...  
Ten święty zapal szanujcie rodacy,  
Niech was naucza, jak giną Polacy!...  
Pokój waszym popiołom, drogie moje dziatki,  
Przyjmijcie tę ostatnią pamiątkę od matki!“

*(Ze starego Pamiętnika.)*



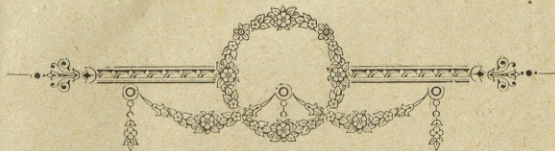
WSPOMNIENIA Z ROKU 1863.

PRZEZ

TEODORA ŻYCHLIŃSKIEGO.

3627

585



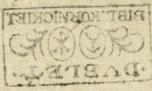
POZNAŃ.

NAKŁADEM AUTORA.

UŻYCIONKAMI Drukarni Dziennika Poznańskiego.

1888.

93(438)9



32327/2



# CIE NI OM R O D A K Ó W

POLEGŁYCH, STRACONYCH, ZAMORDOWANYCH, LUB ZMARŁYCH Z RAN

ODNIESIONYCH W LATACH 1863 i 1864

poświęca tę pracę

✠AUTOR.

## PRZEDMOWA.



Praca moja nie rości prawa do wartości historycznej; ma ona być tylko przyczynek dla przyszłych dziejopisarzy.

Z rozlicznych swoich zapisków i korespondency, porozrzucanych po rozmaitych ówczesnych dziennikach, pragnąłem zestawie kilka obrazków, malujących ciekawą epokę pamiętnego roku 1863.

Do własnych wspomnień dołączyłem szereg życiorysów wybitniejszych osobistości, które albo legły na polu bitew, albo w walce za Ojczyznę zjednały sobie chlubną pamięć.

W końcu zebrałem, o ile tylko było mi możebnym, imiona ofiar, jakie na ołtarzu powstania z r. 1863 i 1864 dzielnica nasza złożyła.

Staralem się być zupełnie bezstronnym, niczego nie upiększałem; jeśli się znajdują w pracy mojej niedokładności, przypisać je trzeba nie złej woli, ale trudności pozyskania wiadomości pewnych przy niejawności ówczesnej władzy narodowej i zupełnym braku urzędowych archiwów.

Zamiarem moim było odświeżyć w pamięci późniejszych pokoleń wzniosłe postacie tego kwiatu naszej młodzieży, która

uważała sobie za obowiązek ginąć w obronie braci, walczących przeciw przemocy moskiewskiej, bez nadziei zwycięstwa, ale jedynie w tém przekonaniu, że jój krew szlachetna wyda urodzajny dla Ojczyzny posiew.

I w istocie, posiew ten przyniósł plon bogaty.

Wielkie przełomy dziejowe nie mogą się obyć bez wielkich ofiar. Ofiary zaś z lat 1863 i 1864 przyniosły nam dwie nieocenionéj wartości zdobycze: ogromne podniesienie się ducha w warstwach średnich i w ludzie, oraz zbratanie się ich z warstwami wyższemi; powtóre to głęboko dziś w całym narodzie zakorzenione przeświadczenie, że nie żadnym orężnym porywem, ale jedynie *wytrwałą pracą, w obrębie prawem zakreślonych nam granic*, zdobyć sobie możemy przy pomocy Bożej —

*lepszą przyszłość!*

Poznań, dnia 22 marca 1888 roku,  
w 25-letnią rocznicę zwyciężkiej potyczki pod Olszakiem.

AUTOR.



LICZBA PRZEDPŁACICIELI:

1450.

## I. Podróż do Warszawy w początku stycznia 1863 r.

„Przyjeżdżaj niebawem“ — pisał do mnie do Wrocławia w ostatnich dniach 1862 roku z Warszawy Mieczysław Waligórski, będący także podówczas współredaktorem „Gazety Codziennej“ — „mówiłem o tobie z Kraszewskim, który pragnie cię zatrudnić w naszym piśmie, potrzebujemy bowiem współpracownika do spraw wielkopolskich.“ — Nie należało tedy się ościagać. Przedstawiała się możność zdobycia sobie stanowiska na polu dziennikarskiem pod kierunkiem najpierwszego w kraju pisarza; możność poznania Warszawy, otoczonej aureolą męczeństwa... A chociaż nie było rzeczą zbyt bezpieczną gorącemu i nie liczącemu się z słowami młodzieńcowi udawać się w tej właśnie chwili przedburznej do rozgorączkowanej stolicy Królestwa, stojącej niby na wulkanie, przecież w młodości któż kiedy na takie rzeczy zważał? Widziałem wszystko w różowych kolorach; zdawało mi się, że przyszłość świetna uśmiecha się do mnie; zabrałem nieco rzeczy, pożegnałem żonę i syna i dnia 3 stycznia pamiętnego roku 1863 ruszyłem rychłego poranku w drogę.

Szybko pędził pospieszny pociąg kolei wrocławsko-warszawskiej przez żyzne okolice Górnego Szląska, zostawiając po za sobą rozliczne miasteczka, wioski, piece kamiennego węgla, wznoszące się po obu stronach żelaznej drogi, i smukłe kominy fabryczne, coraz gęściej strzelające ku niebu czarnymi słupami dymu.

Otulony futrem, przerzucałem najnowsze dzienniki niemieckie, a że i umysł, czem innem zajęty, nie bardzo do czytania był skorym, i gazety czerzyć były treści, więc odłożyłem je niebawem, by podunać o Warszawie, którą po raz pierwszy, i to w przeddzień zapowiadanej branki, pokrótce miałem zobaczyć. Minęliśmy Brzeg i Opole, dawne Piastów siedziby, Gogolin, słynny z kopalni węgla i twierdzą Koźle (Cosel), od której wzięła nazwę znakomita z piękności i z intryg kochanka Augusta II-go.

W Katowicach, zkad pociąg wrocławski na Mysłowice ku Krakowu się zwraca, zmieniliśmy wagony; zaśzedł pociąg warszawski z służbą polską i po raz pierwszy ojczysta owionęła mnie mowa. Tysiącem różnorodnych myśli miotan, z niecierpliwością wyglądałem chwili wyjazdu. Nareszcie zadzwoniono, siedliśmy do wagonów. Naokół butne, wąsate

postacie, kilka kobiet w czerni, konduktor grzecznie „o bilecik“ uprasza. Wnet dobiegamy słupów granicznych; zdala, jak lekkich chmurkach stado, błękitnym rąbkim cieniem się Karpaty, przed nami wśród jasnych promieni południowego słońca szeroka otwiera się płaszczyna.

To Polska! O ziemię ukochaną, jakże przepehnięciem witałem cię sercem, z jaką lubością chwytałem piersią to świeże, woniejące, bo ojczyste powietrze, z jaką rozkoszą patrzyłem na twe błonia, iskrzące śniegiem i tonąłem wzrokiem w jasnych przestworach nieba, chcąc dojrzeć wieżyc Krakowa, od którego mała tylko dzieliła nas przestrzeń...

W kilka chwil później wtoczył się z wolna pociąg w dworzec w Sosnowcu i marzenia moje przerwała smutna rzeczywistość. Na peronie ujrzałem mnóstwo żandarmów, urzędnik graniczny odebrał nam w wagonach paszporty, liczna, ale biednie ubrana służba porwała nasze kuferki i ręczne nawet tobołki i po zwrocie paszportów udaliśmy się wszyscy do sali rewizyi. Przedtém już wszakże odegrał się mały epizod, świadczący o grozie położenia. Jednemu z podróżnych oddano paszport z nadmienieniem, że wstęp do Królestwa jako podejrzanemu jest wzbroniony. Napróżno zaklinał się, że tu musiała zajść jakaś pomyłka; nic nie pomogło i dwóch żandarmów wzięło go natychmiast pod nadzór, by najbliższym pociągiem znów go odwieść w granice pruskie. Nareszcie minęła szczęśliwie i rewizya, przyczém jak najstaranniej powyjmowano z kufrów wszelkie kawałki drukowanego papieru, użyte do zawinięcia różnych przyborów podróżnych; dziwnym trafem kilka tomów Mickiewicza i Krasińskiego, które w swoim niedoświadczeniu włożyłem pomiędzy bieliznę, uszły bacznego wzroku rewizora. Mniej szczęśliwym był jeden z hrabiów Ronikierów — nazwisko to utkwiło mi wówczas w pamięci — któremu mimo wszelkich przedstawień zabrano parę książek zagranicznych i w dodatku zapisano go do kary.

Odetchnąłem, gdy nam po półgodzinnym przestanku pozwolono udać się do sali gościnnej. Jakaż odmienna jej zewnątrzność od dworców pruskich! Samowar kipi na bufecie; wonieją zrazy zawijane z kaszą i bigos; na stołach, nakrytych bardzo wątpliwą czystości obrusami, zamiast musztardy bieleje chrzan w kryształowych kufkach i rumieni się pokrajana w ćwiarteczki boćwina; talerze poszczerbione; wszyscy od razu wrzeszczą i dokazują, a przez drzwi się cisną i oknami zaglądają całe zgraje odartych żebraków. „Zaraz pociąg odchodzi!“ rozlega się okrzyk, każdy opuszcza miejsce za stołem i biegnie do wagonu. Niepotrzebny pospiech: pan nadkonduktor nie skończył jeszcze obiadu, urzędnicy gwarzą w najlepsze; mija kwadrans niemal; nareszcie ustają rozmowy, odzywa się świst piszczałki, wydaje ryk lokomotywa, pociąg wyrusza, warczą rozpędzone koła i pędzimy jak strzała, by dogonić stracone chwile.

Kolój przebiegała po rozległej, ale podówczas dość pustej równinie, która dopiero po roku 1864 poczęła przybierać charakter fabryczny i dziś z Górnym Szląskiem idzie o lepsze w zawody; z rzadka dojrzałem wioskę wśród wieńca topoli, tu i owdzie kościółek skromną wieżę wznosił ku niebu, czasem i zamek opustoszały osiadł na wzgórzu, jakby dumając o ubiegłej wielkości, czerniła się gromadka drzew ogołoczonych z liścia, a z ponad strumienia spłoszona sarna uciekała do pobliskiego lasu.

W Ząbkowicach nowi przybyli podróżni pociągiem z Krakowa, zapełniły się wagony mężczyznami w niedźwiedzich oponczach i futrzanych czapkach, kobietami w żałobie. Tu po raz wtóry przykrego doznałem wrażenia. Spragniony nowin z Warszawy, począłem się zwracać do sąsiadów, by zawiązać rozmowę i ze zdumieniem spostrzegłem, że każdy, mruknawszy słów kilka, odsuwał się odemnie jakby z niedowierzaniem, szczerzej otulał się futrem i tonął myślą w głąb własnego serca. Myślałbyś, że staropolska zaginęła serdeczność, a to tylko zdwojony ucisk i smutne nieraz doświadczenia na tak ostrożne milczenie skazały podówczas naszych zakordonowych braci.

Więc i ja siadłem zadumany po lewej stronie wagonu, by wyglądać Jasnej Góry, i mimowoli było mi jakoś żałośnie i rzewnie. I w myśli zaludniałem szerokie pola widziadłami wyobraźni, i zdawało mi się, że widzę zdalą zastęp konnych rycerzy, stępem wracających z podjazdu ku Częstochowie. Dziarskie runaki, karabele przy boku, narodowe proporce kąpią się w powietrzu, a echo przynosi melodyjne pienia nabożnej pieśni... To konfederaci! I gdy zapałem porwany chciałbym pobiec ku nim, bliżej im się przypatrzeć, nacieszyć, wodza ich poznać i głos swój z ich głosem złączyć, już hufiec w mgłach się ciemnych rozplywa, mdleje i tonie. Lecz z mgły nowy powoli wyrasta obraz: widzę obóz, licznymi bielejącymi namioty, działa obłężnicze i moździerz groźne otwały paszcze, pałą się ognie, przy nich rozsiedli się żołnierze kołem i gwarzą. Ale ich twarze rozdżiczałe, ubiór nie polski, język obcy... Poznaje, to obóz Drewicza! — Smutne to wspomnienie, więc dłonią przesłoniłem oczy: ognie gasną, obóz i żołnierze zapadają się i giną, znów tylko piaszczysta, pokryta całunem śniegu płaszczyna, a wśród niej krzyż cichy ukłękł i ramiona ku Jasnej Górze wyciąga.

Wtém na bladém tle horyzontu zaczerniała najprzód iglica, dalej wyniosła wieża strzeliła ku niebu, białe kształty świątyni coraz wyraźniej, coraz bliżej wysuwały się z przestrzeni, wreszcie cały ogromny Jasnogórski klasztor, wspaniale wsparty na wzgórzu i otoczony wałami, z lampką wiecznie płonąca na zewnętrznej ścianie kaplicy Matki Boskiej, zdumionemu ukazał się oku. I gdy zdjąwszy czapkę cichą modlitwą witałem Królową Korony Polskiej, polecając Jój łasce macierzyńskiej wszystko, co kocham na ziemi, i prosząc o błogosławieństwo dla siebie na samym wstępie do ojczystego kraju; gdy później na próżno wyteżalem oko, czy nie dojrzę na wałach jaśniejącej Kordeckiego postaci, z turkotem wtoczył się pociąg w dworzec częstochowski.

Wszczął się nagle wrzask nie do opisania: żydzi faktorzy aż w środek wagonów się tłoczą, ofiarując swe usługi, polecając oberze, przedkładając na sprzedaż obrazki i medaliki święcone; ubóstwo w łachmanach zewsząd o jałmużnę prosi; podróżni jedni wysiadają, drudzy spieszą rozgrzać się herbatą; kilku kozaków nędznie ubranych, w ogromnych baranich kołpakach przechadza się, rozmawiając po rosyjsku; żandarmi śledzą wzrokiem po wagonach — i wśród tego chaosu zgasł urok tego najświętszego w Polsce miejsca.

Po kilku minutach przestanku zęgałem, nieco rozczarowany Częstochowę, pędząc dalej ku Warszawie. Długo jeszcze świeciła mi z oddali klasztorna lampka. Tymczasem zmrok zapadał powoli, coraz więcej powlekało się niebo cieniami, na błękitném sklepieniu zapalały gwiazdki coraz gęściej swe skromne światła, wypłynął smętnie z po za czarnęj

chmury srebrny półksiężyc, z paszczy lokomotywy para jednostajnie buchała kłębami, siejąc na okół tysiącami drobnych iskierek, a w wagonie taka była cisza, jakby anioł śmierci przezeń przeleciał...

Po kilku godzinach rzadko na chwilkę przerywanej jazdy, zatrzymaliśmy się nieco dłużej w historycznym trybunalskim Piotrkowie, następnie w rezydencji ongi prymasowskiej, w Skierniewicach. Tutaj poblizze stolicy dało się już uczuć w całej pełni: sale dworca obszerne, ruch ogromny, mowa dźwięczniejsza i śpiewna, nawet u służby i włóścian. Ta poprawność języka u niższych warstw ludności w okolicach Warszawy i w mieście samem mile mnie nader uderzyła i zachwyciła, a wrażenie to ogarnia każdego Wielkopolanina, nieprzywykłego do tego zjawiska.

W Skierniewicach odebrano nam bilety i popędził pociąg wśród ciemnej nocy przez pamiętne później bolimowskie lasy, obok słynnej z fabryk Rudy Guzowskiej, coraz dalej, coraz szybciej ku upragnionemu celowi mej podróży. Serce biło mi gwałtownie ze wzruszenia i rwało się naprzód; w myśli powtarzałem ten cudny wierszyk nieśmiertelnego Juliusza:

..... o żalosna wdowa  
Polskiego ludu! o matko w żalobie!  
Tych, co śpią w krwawym pochowaniu grobie  
I tych — co wierzą, że wstaniem na nowo!

O! ty gotowa twą krew Chrystusową  
Rzucić na twarze wąpiące i blade,  
Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę  
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlekła  
Carskiego czoła i carskich rycerzy:  
A gdy mówiono, żeś przed nim ukłękła,  
Tom był, jak człowiek, gdy grom weń uderzy.

Potém — schyliwszy czoło zamyślonę,  
Rzekłem: żeś kłękła ty po koronę,  
Co spadła z głowy i u nóg ci leży. . .“

Już zdala ujrzałem czerwieniącą się po nad miastem lunę, świecąca lokomotywa przeciągle raz i drugi, światełka coraz gęściej poczęły się migać i przesuwać obok nas szeregi wagonów i kamienie, nareszcie wjechaliśmy w dziedzińce dworca. . . Stanęliśmy w Warszawie! . . .

Tak jak Piotr apostoł po trzykroć zaparł się Chrystusa, tak i ja, otwarcie przyznaję się do winy, po raz trzeci w dniu tym doznałem rozczarowania.

Ćwierć wieku minęło od dnia tego; kilkakrotnie później śród daleko trudniejszych okoliczności, o czém na inném miejscu, odbywałem podróże do Warszawy w czasach, gdy huczała zewsząd krwawa burza, gdy dziki ucisk szalał na około; późniejsze wrażenia zatarły pierwotne i nie zdołałbym już dzisiaj ich odtworzyć. Powtarzam tu zatem ustęp z ówczesnej swojej korespondencji do „Dziennika Poznańskiego“:

„Wybiegam z przygotowanym paszportem i cisnę się do drzwi wraz z innymi. Dwóch żandarmów broni wejścia, urzędnik odbiera papiery i wchodzimy do biura. Wywołują me nazwisko, zapytując, jak długo zamierzam w Warszawie zabawić, w którym hotelu zamieszkać

i z kim mam do czynienia; wreszcie, zatrzymawszy paszport, dają mi kartę pobytu i dzięki cedułce, przyklepionej na kuferek w Sosnowcu, zwolniony jestem od powtórnej rewizyi. Dotąd szło wszystko trybem zwyczajnym; teraz dopiero zaczynają się odmiany właściwe Warszawie, a różniące ją od innych miast europejskich. Najprzód kilku podpiłych ludzi ofiaruje się odnieść rzeczy moje do dorożki; wybieram najtrzeźwiejszego i oddaję kwitek; konduktor omnibusu, czyli wielowozu z hotelu Paryskiego, pragnie mnie zabrać. Odpowiadam, że w tym hotelu nie mam zamiaru zamieszkać. „A ja pana i do Angielskiego hotelu zawiozę.“ — Dziękuję, i tam nie myślę stanać. — „To może do Europejskiego?“ — Jakto, więc do wszystkich hoteli twój omnibus zajężdża? — „A do wszystkich, panie!“ — Tem bardziej dziękuję za twą usługę, bo nie mam ochoty jeździć godzinę po mieście, zaczęm do méj oberży zajadę. — Wybiegam zatem na plac, gdzie stoją dorożki. Wszyscy od razu na mnie wołają. Pytam pierwszego, ile wynosi taksa z dworca do hotelu Polskiego? Zmierzył mnie okiem: „Pan z zagranicy. U nas taksy nie ma.“ — Więc ile żądasz? „Co łaska pańska, dwa rubelki.“ — Ależ to zdzierstwo! „Taniej nie pojedę,“ odpowiada spokojnie. Idę do drugiego. — Co kosztuje kurs do miasta. „A ileż kuferek?“ — Jeden. „To rubelka.“ — Za drogo, przyjacielu. — Wtém woła trzeci, że pojedzie za 4 złp. Wsiadam więc do powozu i ruszamy nareszcie wyciągniętym klusem, bo warszawskie dorożki jeżdżą, jak szalone, koni nie oszczędzając. Jedziemy ulicami szerokimi, mijając to domki małe, czasami nawet bez piętra, to znów gmachy wspanialsze. Miasto słabo oświetlone, bruk bardzo nierówny, naokół pusto i głucho, kramy pozamykane, z rzadka migną latarnie szybko pędzącego pojazdu, lub spiesznym krokiem powraca do domu zapóźniony mieszkaniec; po rogach ulic stoją milicyanci, owinięci w czarne płaszcze; tam zwolna po nad kamienicami przesuwają się patrol w milczeniu; na przodzie idzie policyant, za nim gromadka piechoty, z tyłu dwóch kozaków na koniach z spisami w ręku. Widzę park wielki i ciemny, otoczony żelaznym parkanem — to Saski ogród; dwa ogromne pałace, wspaniałą połączoną bramą, plac obszerny, po bokach drewniane baraki, a przed niemi widety; coraz głębiej zapuszczamy się w miasto, zajeżdżamy do hotelu. Nikt nie wybiega na przeciwko, wchodzę do bramy, dwóch ludzi w kozłach śpi na ławie. Budzę ich i proszę o pokój. Wołają szwajcara, który po kilku minutach zjawia się zaspany. — Proszę znieść rzeczy i pokój dla mnie otworzyć. — „Jaki pan rozkaże? Są dwa jeszcze nie zajęte, jeden za 20 złp. na pierwszym, drugi za 4 złp. dziennie, bardzo porządny, na trzecim piętrze w oficynie.“ Proszę o ten ostatni. Znoszą kuferek, szwajcar dzwoni na numerowego. Znowu mija chwila, nareszcie przychodzi numerowy i prowadzi dalej po krętych schodach, długich sklepionych krużgankach, otwiera drzwi, zapala światło. Przerazony aż się cofnąłem. Owóz ten zachwalany pokój było to poddasze, ledwo w najmiedozowniejsze i nędzne zaopatrzone sprzęty, co chwila trącałeś głową o posowę, a maleńkie okienko czyniło tę celę podobną do więzienia. Ale cóż począć, byłem znużony ogromnie, 11-tą godzinę bił zegar na mieście, z westchnieniem nad barbarzyńskim prawdziwie urządzeniem hotelu, zaczęłem się rozbierać, że zaś zimno było przenikliwie, prosiłem o szklankę herbaty. Nowy zawód: herbaty można tylko w cukierni na dole dostać, cukiernie zaś wszystkie o 10-ój zamykają. Tru-

dną zatem rada. kazałem zapalić ogień w piecu i dość zwarzony tém pierwszym wrażeniem istniejącego w Warszawie porządku i ładu, udałem się na spoczynek, ciesząc się w duchu na dzień następny.“

## II. Warszawa przed branką i w czasie branki.

Początek roku 1863 zastał Warszawę wzburzoną i podminowaną. Coraz bardziej wzmagający się ucisk rządu, którego obecność w. księcia Konstantego, budząca początkowo pewne nadzieje, nie zmniejszyła bynajmniej; coraz szersza i głębsza przepaść, dzieląca margrabiego Wielopolskiego z przeważną większością narodu; najwięcej jednakże złowrogie widmo zapowiadanej otwarcie przez „Dziennik Powszechny“ barbarzyńskiej branki, jako środka ku oczyszczeniu kraju z żywiołów gorętszych, „stromników bezrządu i wywrotu“ — wszystko to rozjątrzało umysły i podsycalo nagromadzone w stołecznym grodzie materiały palne, które co chwila groziły wybuchem.

Spółceństwo całe dzieliło się na dwa obozy: pierwszy, starszy wiekiem i doświadczeniem, spokojnie i z rozważą patrzący w przyszłość, choć nie podzielał środków, jakich używał ówczesny naczelnik rządu cywilnego ku dopięciu swego celu, przecież w gruncie nie wąpił o jego dobrych chęciach, wraz z nim dążył do reorganizacji kraju na podstawie narodowej i li w cichój, a wytrwałej pracy organicznej upatrywał możność uratowania Ojczyzny od strasznej katastrofy. To byli tak zwani biali, których widomym naczelnikiem był Andrzej Zamoyski, zanadto, niestety, dający się porywać osobistej niechęci do margrabiego, tak jak ów zanadto zaufał swemu rozumowi i sile i nie był skłonnym do żadnego porozumiewania się z stronnictwem, na którym właśnie powinien się być oprzeć i ustalić swą władzę.

Drugi obóz, przeważnie z młodych złożony żywiołów, a czerpiący swe natchnienia z rewolucyjnego Zachodu, szarpał się i miotał w niecierpliwości, coraz większą nienawiścią pałał przeciw Wielopolskiemu, gorzał chęcią zemsty i odwetu za doznane krzywdy i parł naprzód słowami i czynem, by przyspieszyć chwilę orężnej walki narodu bez broni, ale potężnego duchem wielkim, przeciw kolosowi północy o milionowej armii. O dalsze następstwa nie pytano, nie zastanawiano się nawet nad niemi. Poczieszano się nadzieją, że Bóg i Europa śmiazków wspomogą i że dobra sprawa koniec końcem zwyciężyć musi. To byli czerwoni.

Kto był na ich czele, kto tym ogromnym ruchem podziemnym kierował — nikt prawie nie wiedział, żadnego nie wymieniano nazwiska, a nawet nie dopytywano się o nie. Nie chodziło tu o osoby, ale tylko o rzecz samą.

Śród takich okoliczności atmosfera w Warszawie była ciężką, nie do zniesienia; zdało się, że co chwila uderzą pioruny, a nie można było znaleźć ni ratunku, ni schronienia. Zamieszanie z każdym dniem wzrastało. Co począć, pytano się zewsząd. Nikt przecież nie odpowiadał. Starożytnie fatum ołowianym obłokiem zawisło nad Syrenim grodem...

W takiej to chwili uroczystej i brzemienniej w wypadki ujrzałem po raz pierwszy Warszawę....

Blady promień zimowego słońca zajrzał przez okienko do mego poddasza i zbudził mnie ze snu. Wejrzałem na zegarek: była już godzina blisko dziesiąta. Zerwałem się z łóżka równemi nogami i szybko się ubrawszy, zbiegłem na dół do cukierni na kawę. Cukiernia ta istnieje dotąd, a składała się wówczas z dwóch pokoików. W niej od-tąd zwykle spędzałem wieczory na czytaniu gazet, w niej po raz pierwszy uczulem się autorem i zobaczyłem pierwszą mą próbę literacką drukowaną czarno na białem!... Wkrótce wyszedłem na miasto, by powitać Waligórskiego, który mieszkał w pałacu Uruskich przy Krakowskiem Przedmieściu. Wpierw jednakże, wpojonym mi od dziecka zwyczajem, wstąpiłem do pierwszego kościoła, jaki napotkałem po drodze. Był nim kościół Przemienienia Pańskiego O. O. Kapucynów przy ulicy Miodowej. Jakkolwiek to był dzień powszedni, zastałem w nim pełno rozkłączonych osób, mianowicie kobiet w czerni. Przy wyjściu uderzył mnie obraz dotąd nieznany. Oberpolicmajster przemknął jak widmo ulicą ku placowi Krasińskich maleńką i niską karyolką o jednym siedzeniu, zaprzęzoną w hołoblu przez dzielnego rysaka, kłusującego tak ręczo, iż sześciu kozaków, tworzących eskortę i pochylonych z spisami w rękę na swych konikach, zaledwie wyciągniętym galopem mogło za nim podążyć. Stójkowych i mnóstwo żołdatów w szarych szynelach napotykałem co kilka kroków niemal. Skrećiwszy Senatorską ulicą w lewo, ujrzałem niebawem poważną kolumnę Zygmunta Starego, a po za nią długie fronty królewskiego zamku z wieżą w środku. Przed zamkiem stało kilka karet dygnitarskich, uwijali się wojskowi najrozmaitszej broni i Czerkiesi w swych malowniczych strojach. Na Krakowskiem Przedmieściu wrzał ruch prawdziwie wielkomiejski, ale każdemu obcemu musiał podpadać w oczy dziwny jakiś smutek i powaga, rozlane na twarzach przechodniów. Śmiechu wesołego, rozmów głośnych nie słyszałem wcale. Spotykających się kilku znajomych rozmawiało półszepem, z niedowierzaniem spoglądając na mijający właśnie patrol, złożony z piechoty i kozaków. Jakby zmora ciążyła widocznie na wszystkich. Uważałem także, że ten i ów za mną się obraca i raz po raz usłyszałem przedrwiwające głosy: „To Felinszczyk“, albo „Wielopolszczyk“. Zagadkę tę dopiero Waligórski mi wytłómaczył: miałem przypadkowo na szyi szal fioletowy, a na głowie kapelusz cylindrowy. Pierwszy oznaczał kolorem zwolennika nielubionego podówczas Arcybiskupa Fe-lińskiego, drugi niewątpliwego stronnika margrabiego, bo tylko najwybitniejsi członkowie zbliżonego doń kółka, zbierającego się w hotelu Europejskim, nosili podówczas tego rodzaju okrycia głowy, rozpowszechnione w całej reszcie ucywilizowanego świata. Idąc za radą doświadczonego Waligórskiego, kupiłem sobie tegoż samego dnia baranią czapkę i popielaty szal na szyję, by nie zwracać na siebie uwagi i nie jętrzyć niczyjój drażliwości.

Krakowskie Przedmieście było już wówczas jedną z najpiękniejszych ulic tak ze względu na swą szerokość, jak na wspaniałe pałace i kościoły, wznoszące się po obu stronach, a niejednokrotnie obszernym dziedzińcem i kratą oddzielone od chodników. Pałac Uruskich graniczy z pałacem niegdyś przez hetmana Ludwika Tyszkiewicza zbudowanym, dziś do hr. Augusta Potockiego, a podówczas do ojca jego, hr. Maurycego, należącym. Waligórski zajmował w skrzydle na parterze dwie obszerne komnaty, wzięte w spadku po Napoleonie Mańkowskim, z oknami

wychodzącemi na przestworny dziedziniec pałacu Kaźmierowskiego, niegdyś koszar kadeckich za Stanisława Augusta, a od r. 1861 stworzonej przez Wielopolskiego Szkoły Głównej, czyli dzisiejszego cesarskiego uniwersytetu. Ucieszył mi się szczerze; ale zaledwie zdołałem w krótkości mu opowiedzieć najnowsze wiadomości z Księstwa i szczegóły o najbliższych mu przyjaciółach i znajomych, on zaś w głównych zarysach odmalować mi położenie chwilowe Królestwa i jego stolicy; poczęli przychodzić z odwiedzinami rozmaici koryfeusze partyi białej; poznałem wtedy między innymi nieżyjącego już warszawskiego bankiera, Leopolda Kronenberga. Przedstawiony wtedy temu ze wszech miar znakomitemu obywatelowi i genialnemu finansście, doznawałem w ciągu kilkakrotnych swoich do Warszawy podróży nie raz jego życzliwości, której dowody dał mi po raz ostatni w dwadzieścia kilka lat później, gdy przybył w roku 1875 do stolicy celem zbierania akcyi na teatr narodowy poznański.

Gdy nareszcie pozostaliśmy sami, kazał Waligórski bez zwłoki przyprowadzić dorożkę i udaliśmy się na ulicę Daniłowiczowską, gdzie w pałacu, jeśli się nie mylę, także Potockich, mieściła się redakcyja „Gazety Codzienniej“ czyli „Polskiej“. Kraszewskiego jeszcze nie było; przyjął nas Karol Ruprecht, ów męczennik sprawy narodowej, który zesłany dawniejszemi laty na Sybir, zniósł bez jęku kaźnię 2000 pałek i amnestyonowany przez cesarza Aleksandra II, zajmował podówczas posadę drugiego redaktora wspomnianego dziennika. Wysocki, pochylony, blady, z czarną brodą, z uśmiechem dobroci i cierpienia na twarzy — była to postać, która się głęboko w mój pamięci wyrzyła. Po raz ostatni widziałem go kilka miesięcy później za mój drugiej bytności w Warszawie (o czem niżej). Skazany na szubienicę, jako członek rządu narodowego, zdołał ujsć szczęśliwie za granicę. Śmierć zaskoczyła go 1 kwietnia 1875 r. w Monachium w chwili, gdy się starał o prawa obywatelstwa bawarskiego, by módz jako bibliotekarz osieść w gościnnym domu hr. Jana Działyńskiego w Kurniku.

Cześć jego pamięci!

Niebawem przybył i Kraszewski.

Nie będę się kusił na kreślenie jego portretu, boć go znali niemal wszyscy i zbyt dobrze jeszcze mają go w pamięci. Tyle powiem, że karmiony od lat chłopięcych natchmionemi słowy autora „Świata i poety“ i „Witoloraudy“, na widok ich opromienionego sławą autora całkiem oniemiałem... Podobnego wrażenia doznałem w 20 lat później, gdy miałem sposobność uścisnąć dłoń sędziwego Odyńca...

Kraszewski, spostrzegłszy moje wzruszenie, powitał mię po ojcowski i zachęcił do pracy, którą miał mi wskazać Waligórski.

Pracą tą był list otwarty Wielkopolanina treści polemicznej do redakcyi „Gazety Warszawskiej“, zbijający punkt po punkcie artykuł téjże, wymierzony przeciw zawierującemu się podówczas w Poznaniu „Tellusowi“, werbującemu akcyonaryuszy w Królestwie i na Litwie. Przepisawszy swój elaborat na czyste, wręczyłem go Waligórskiemu, który z zwykłym sobie uśmiechem ucieszył mnie kilku pochlebnemi słowy. Byłem wielce zadowolony i wzrostem znacznie w własnej opinii. Pierwiosnek mych literackich płodów wydawał mi się arcydziełem. List miał się ukazać nazajutrz wieczorem. Nie miałem chwili spokoju i już na dwie godziny przed wydaniem gazet zasiadłem w wspomnioną wyżej

cukierni, zamawiając z wczasu „Gazetę Warszawską“. Któż zdoła opisać tortury, jakie przeszedłem, oczekując gazety. Nareszcie nadeszła. Chwytałem ją oburącz gorączkowo i — o radości — znajduję swoją korespondencją na naczelnój stronie pisma. W tej samej chwili zdaje mi się, że wszyscy goście zwracają wzrok na mnie i że słyszę poszept: to on, to autor!.. Wrażenia tego nie zdoła nikt pojąć, kto nigdy nie zapoznał się z drukiem; pojmie je natomiast z łatwością każdy, kto skosztował rozkoszy literackiego zawodu.

\* \* \*

Odtąd pracowałem codziennie po kilka godzin pod kierunkiem Waligórskiego, a następnie zwiedzałem miasto i jego historyczne zabytki.

Tymczasem wypadki coraz groźniejszy przybierały obrot. Z przerażeniem patrzano na przemoc moskiewską, na gromady wojsk, zalewające cały kraj, a mianowicie stolicę, widocznie w celu odcięcia wszelkiej możliwości oporu tej młodzieży, którą lada dzień miano pochwytać i wskazać w żołdacy. Zamieszanie z każdym dniem wzrastało: jedni radzili zagrożonym branką uciekać za granicę; inni byli za stawianiem oporu chociażby z gołemi rękoma, by światu okazać całe okrucieństwo postępowania Moskali. Partya biała wskazywała na szlachetne posłannictwo służenia Ojczyźnie w szeregach moskiewskich, wzywając do męczeńskiej odwagi i wytrwania, gdy losy nie pozwalały jeszcze skutecznie rzucić się do walki z bronią w rękę. Gdy jednakże młodzież zaczęła się odgrażać, a zwłaszcza gdy między rzemieślnikami i drobnym mieszczaństwem duch rozbudzony, nakazywał się spodziewać, że przy brance bez starcia z wojskiem się nie obędzie, naczelnicy obu stronnictw porozumieli się wspólnie, by wysłać burzliwszych za miasto, a tém samym od pokusy tłumnej walki rozpierchłych po kraju zasłonić. Stało się przeciw inaczéj. Młodzież gromadami poczęła uchodzić z Warszawy, w czém jéj wreszcie rząd żadnej nie stawiał przeszkody, lecz zamiast się rozbiegać, łączyła się w zastępy po pobliskich lasach, sposobiąc się do oporu i żądając głośno broni od komitetu centralnego, by mogła stawić czoło Moskalom i jeśli losy każą jéj zginąć, to przynajmniej drogo okupując życie. Komitet wyznał, że broni nie posiada, że go za granicą zdradzono, nie przysyłając zamówionych zapasów, że wreszcie kraj zupełnie nie przysposobiony do walki. Mnóstwo obywateli z całego Królestwa zjechało się do Warszawy, by wraz z dyrekcją białych porozumieć się nad dalszemi krokami, któreby zdołały uchylić zagrażające krajowi niebezpieczeństwo. Po jednéj z takich narad Waligórski wyjechał nagle do Galicji, pozostawiając mi swe mieszkanie do dowolnego użytku. W mieście przebąkiwano, że w łonie komitetu centralnego zapanował zupełny rozstrój i że zaszły w nim zmiany co do osób.

Wśród takiego położenia rzeczy nadszedł pamiętny wieczór 14 stycznia. Dotąd stoi mi on przed oczyma jak na jawie.

Po 9-téj gruchła wieść po całym mieście, że Muchanow wydał rozkazy do rozpoczęcia branki. Ozwał się płacz kobiet po kołach rodzinnych, kto mógł z młodszych, ten co prędzej uciekał za rogatki. Wybiegłem z pałacu Uruskich na Krakowskie Przedmieście, wśród natłoku rozpacznych myśli zdążając ku Saskiemu Placu. Niebo było zachmurzone i posępne. Wiatr mroźny szumiał po opustoszałych ulicach, jęczały konary Saskiego ogrodu, przed barakami na placu gromadziło

się w milczeniu wojsko, kozacy i ordynansi galopem krzyżowali się, spiesząc z rozkazami do cyrkulów. Pamiętam, jak jeden z jeźdźców osadził nagle przedemną spienionego konia i po rosyjsku o coś zapytał. W pierwszej chwili byłem przekonany, że mnie aresztuje. Tymczasem on widząc moje zdumienie, wspiał konia i pocałował. Zdaje mi się, że pytał o adres cyrkulu.

Zbliżała się godzina 10; trzeba było wracać do domu, z ściśnioném sercem, obawą i niepokojem. Lecz sen nie kleił zmęczonych powiek. Otwarłem okienko mego poddasza i patrzyłem w milczeniu na tę piękną i wspaniałą Warszawę, stolicę, wybraną i chlubę ziem polskich, co przed mojami oczyma smętnie wśród nocnych cieni zdawała się być uśpioną. A przecież, ileżto wśród téj ciszy serce rozdartych czuwało, w iluż ogniskach domowych odgrywały się dramaty pożegnań, ileż łez płynęło, ile gorących modłów wznosiło się ku najmiłosierniejszemu Ojcu o zmiłowanie i ratunek!...

Nagle ujrzałem podłużne szeregi wojska z policyantami na czele przesuujące się, jak złowrogie widma, wzdłuż ulic; za nimi jechało stępem kozactwo z spisami gotowemi do pchnięcia. Na czele szedł w milczeniu dowodzący oficer; dał znak wydobytą szpadą: szeregi zaczęły się rozwijać po nad kamienicami, obok każdej do 15 gromadką stanęło, dońcy pozostali na rogach i w środku ulic. I znów błysło w powietrzu żelazo wodza nocnej wyprawy, rozległ się stuk pięści moskiewskich o zamknięte bramy domostw, zaskrzypiały zawiasy, część żołdactwa wpadła do kamienic, część pozostała z odwiedzionemi kurkami na straży. Był to początek krwawego dramatu.

Niezadługo zewsząd ozwały się krzyki i wrzaski, słyhać było klątwy żołdatów, szlochanie kobiet, płacz małych dzieci. Wnet wyprowadzono jeńców, krnąbrniejszych z powiązanemi rękoma, wielu w nocnym jeszcze odzieniu, otoczono ich kozakami i popędzono do cyrkulów. Północ wybiła na ratuszu...

Wtém znów słyszę szcęk broni; ciężkie kroki zbliżają się widocznie; już są na długim korytarzu hotelowym: otwierają jedne drzwi po drugich... Na tym samym ganku na trzecim piętrze, gdzie była moja mansarda, mieszkało kilkunastu uczni Szkoły Głównej i młodych pomocników handlowych... Obława była przeciw nim skierowaną... Upadłem na kolana przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, który zawsze z sobą w podróż zabieram, i począłem się modlić gorąco... Przycichło, odeszli już oprawcy z swemi ofiarami...

Ranek był późny, gdym się obudził z snu gorączkowego. Naokół, w miejsce dawnych śpiewów wesołych i żartów, głuche panowało milczenie. Już nie miałem sąsiadów!... Wybiegłem na ulicę, by zobaczyć, co się stało i co się dzieje.

Słońce zajaśniało na pogodnym niebie, ale wszystkie twarze były zasepione, na wielu było znać lzy jeszcze nie zaschnięte. Zaledwom parę kroków uszedł, okropny przedstawił mi się widok: prowadzono właśnie Długą ulicą zastęp proskrybowanych. Oblicza ich były po większej części spokojne, u wielu oczy wzniesione w błagalnej modlitwie ku niebu, u innych wesoło i z pewną junakeryą spoglądające na okół. Szli opasani łańcuchem straży pieszej i konnej, poprzedzani kilkunastu Czerkiesami z pistoletami w rękę, za nimi zdążała gromada kobiet z załamanemi rękoma, starców i dzieci. Widziałeś tam osoby

rozmaitych stanów i wyznań, wspólnym złączone bólem; ich jęki łączyły się w akord z pobożną pieśnią, którą jeńcy prowadzeni z cyrkułu do cytadeli żegnali drogą Warszawę...

Idąc dalej ku ratuszowi, napotkałem inny zastęp więźniów, co w niebogłosey śpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ mimo klątw i szturchańców, jakimi ich raczyli ze wszech stron eskortujący żołnierze. Robiło to głębokie wrażenie...

Przed ratuszem cały plac zaległy kobiety płaczące, których mężowie, bracia i krewni tymczasowo tam byli zamknięci. Gdziekolwiek spojrzalesz, wszędzie łzy, rozpacz i przerażenie. Był to dzień tak okropny, jakich Warszawa mało widziała, choć dużo przeżyła chwil strasznych. Spokój przecież nigdzie zakłócony nie został; prócz kilku wypadków, nigdzie proskrybowani nie stawili oporu, poddając się z godnością, Warszawianom właściwą, losom, jakie Bóg na nich zesłał.

Miasto utonęło w łzach i smutku. Przy spotkaniu na ulicy jeden drugiego zapytywał w przelocie, bo zabroniono stawać na chodnikach, czy i kogo utracił z swych bliskich. Niepewność położenia, mianowicie dla mężczyzn, była okropną. Bo i dni następnych porywano jeszcze tu i owdzie zdalnych pod broń, w miejsce zbyt starych i kaleków, których pierwszej nocy bez względu na ich niezdolność zabrano. Obiegały też najrozmaitsze szczegóły o gwałtach dokonanych przy brance, o batożeniu rozpaczających kobiet i dzieci, zabieraniu ojców w miejsce synów uszłych, lub braci starszych za młodszych, którzy się od poboru ratowali ucieczką. Tysiące osób odbywało wędrowkę do cytadeli, by odwiedzić drogich skazańców, do których przystęp nie był zbyt utrudnionym; krążyła także odezwa z napisem: „do dotkniętych proskrypcją słowo pożegnania“, w której przestrzegano przed zakusami oporu, gdy kraj bezbronny i nieprzygotowany do walki.

Jednakże zdania już się zaczęły dzielić i coraz więcej przebąkivano o niepodobieństwie opuszczenia tej młodzieży, co ufna w pomoc ziomeków, zgromadziła się w lasach Kampinoskich, w Błoniu, w Serocku, w lasach Mszczonowskich i innych miejscowościach, sposobiąc się do walki na śmierć chociażby z kijami w ręku i kilku lichemi strzelbami przeciw poważnym siłom wojska regularnego.

W komitecie centralnym gwałtowne zaszło przesilenie; w dyrekcyi białych narady odbywały się ustawiczne, ostatecznie postanowiono stanowczo działać przeciw zamierzonemu powstaniu, któreby przyszłość całego kraju na jedną stawiło kartę.

Tymczasem komitet wyszedł z wewnętrznej walki świeżemi wzbogacony żywiołami i ogłosił się rządem tymczasowym, wzywając zarazem naród do broni, do boju o niepodległość Ojczyzny, o wolność!...

Trudna opisać chwilę, gdy dokument ten, brzemenny w nieobliczone skutki i wypadki, z rąk do rąk po mieście obiegał, wywołując w jednych gotowość i zapał, w innych przerażenie i obawę, a nawet oburzenie, wszelako u wszystkich zarówno uderzając o najświętsze w sercach struny. Widziałem takich, którym gorący entuzjizm łzy radości z oczu wyciskał, że wybiła nareszcie godzina odwetu; widziałem innych, miętoszących w gniewie odezwę, jako owoc nierozwagi i lekkomyślności bez granic, która kraj krwią zaleje i pokryje gruzami... Niestety, ich wróżby miały się ziścić aż nadto...

### III. Wybuch powstania.

Waligórski, wyjeżdżając z Warszawy, zawiadomił mnie, że odtąd wskazówek do dalszej pracy udzielać mi będzie p. \*, jeden z pierwszorzędnych mężów i gwiazd przewodnich ówczesnych. Codziennie po kilka razy chodziłem doń po instrukcje, poczem wracałem do palacu Uruskich, by w mieszkaniu Waligórskiego z spokojem mózż pisać. Miałem sobie oddany wydział korespondencyi do dzienników polskich po za kordonowych, zwłaszcza, jak się później przekonałem, do „Dziennika Poznańskiego“. Wszelkie materyały otrzymywałem od mego przewodnika, u którego, ilekroć doń przyszedłem, roilo się od tajemniczych osobistości, przybiegających bądź to z raportami z miasta, bądź z piśmiennemi sprawozdaniami z całego kraju. Nikogo nie przedstawiano wzajemnie, rozmowy prowadziły się półgłosem lub szeptem. Jaki urząd mój szef zajmował w organizacyi, nie wiedziałem i nie byłem nawet ciekawym; wystarczyło mi, że był otoczony powszechnym szacunkiem i słynął z gorącego, a wypróbowanego już patriotyzmu. Należał widocznie do przeciwników powstania, ale uniał się liczyć z wypadkami, które coraz silniejszym prądem zaczęły wszystkich porywać za sobą.

W chwilach wolnych przechadzałem się po mieście, w którym mimo ogłoszonego stanu oblężenia ruch zawrzał zdwojony. Na Krakowskiem zwłaszcza Przedmieściu i w pobliżu Zanku zaledwo można było przecisnąć się na chodnikach. A jakaż tu różnobarwność obrazów uderzała widza w oczy! Obok licznych pojazdów i karet, zdobnych w herby i korony, z lokajami i stangretami w bogatych liberyach i futrach na kozłach, setki dorożek z woźnicami w szarych oponczach z numerami na grzbiecie; tu jedzie w książkę Konstany ku Łazienkom co koń wyskoczy, a przed nim, za nim i po bokach pędzą w burkach Czerkiesi, z błyszczącemi pistoletami w ręku i kindzałami przy boku; tam powolnym klusem wlecze się staroświecka telega, zaprzężona w cztery wzdłuż rumaki o ogonach do ziemi, z forysiem na przodzie, z brodatym woźnicą na wysokim koźle, w rosyjskim stroju o niskim, szerokim kapeluszu i czerwonym pasie, z tyłu lokaj stoi ciemno ubrany, a z za kryształowej szyby widzieć można zieloną, futrem podbitą kerezyą i fioletowy kołpak warszawskiego archiepiskopa prawosławnego; czasami zagrzmi w galopie szczerlnie zamknięta kareta margrabiego, otoczona ze wszech stron konnymi żandarmami; tuż obok turkocą małe wiejskie wóziki, lub furgon z sianem, powożony przez kozaka, w uprzęży z hołoblem; tu oddział kawaleryi liniowej lub gromadka kozaków stepem kroczy; tam przechodzi orszak mnichów, spieszący na pogrzeb lub z ementarza, w szarych, czarnych i białych habitach, z kapturami na głowach, krzyż niosąc na czele, przed którym wszyscy kornie uchylają czapki. Pełno kobiet w czerni, z krepowemi welonami, a wszystkie niemal powabne; mężczyźni pełni fantazyi, jakby od dni kilku nowe w nich wstąpiło życie. Wszystko się spieszy i tłoczy po wązkich chodnikach, co kilka kroków stoi milczący milicyant; warczą po bruku rozpedzone koła, wykrzykują chłopcy z pieczywem: „Świe-że obwarzane-e-czki, świe-że!“ to młode żydzie woła: „Latarki, latarki, panowie, kupcie latarki!“ Przed cukiernią Conti'ego (dziś Lours'a) w hotelu Europejskim formalny natłok: jedni wchodzą, drudzy wychodzą, rozlegają się uściski

i słychać głośnie zapytania: „Kiedy wyjeżdżasz, czy masz już konia, a jakże z bronią?... Bywaj zdrów, do zobaczenia w obozie!...” Wszelka ostrożność jakby nagle znikła, a policyjanci jakby pogłuchli!...

Ze zmierzchem ustawał ruch w ulicach, obrzuconych gęstą siecią tajnych agentów, milicyantów i żołnierzy; Saski plac zamykano dla przechodniów, liczne patrole piesze i konne przeciągały zwolna; w stajniach wojskowych konie były posiadlane, działa w koszarach i na wałach cytadeli gotowe do strzału. O godzinie 7 wieczorem wychodził „Dziennik Powszechny“ i wtedy wszystkie cukiernie były przepelnione. Wyrzynano sobie z rąk do rąk organ urzędowy, ważono każde słówko, z raportów wyciągano najrozmaitsze wnioski. Jedni byli pełni zapału, drudzy milczeli z westchnieniem niedowiarstwa; aż po godzinie 9 każdy uciekał do domu z zapaloną latarką w rękę, zamykano miejsca publiczne, Warszawa pokrywała się ciszą nocną i głęboką, by tём gorętszém życiem zawrzeć w kółkach prywatnych i rodzinnych.

W hotelu Europejskim był zjazd ogromny i wciąż się naradzano, co począć. Byłem na kilku naradach obecnym wraz z kilku przybyłymi właśnie do Warszawy obywatelami z Wielkopolski. Przykro mnie dotkło, że w tak uroczystej chwili niektórzy mówcy przemawiali po francusku. Wytłómaczono mi, że to wynik paszkiewiczowskich czasów, w których zamożniejsza młodzież Królestwa, nie mając możności kształcenia się w kraju, przeważnie we Francyi i Belgii się chowała i ztąd łatwiej w języku francuskim, niż w ojczystym się wysławiała. W każdym razie smutny to był objaw...

Tymczasem z pola walki najsprzeczniejsze wieści nawałem runęły na Warszawę. Gorętsi widzieli wszędzie zwycięstwo po stronie powstańców; rozważniejsi nie dowierzali możności powodzenia; słabi duchem wszędzie tylko klęski dopatrzeć usiłowali. Opowiadano o pomysłnych bojach stoczonych w Płocku, Pułtusk, Surażu, Lubartowie i innych miejscowościach; twierdzono, że Mierosławski w Kaliskim, Czajkowski w Krakowskim objęli dowództwo, że na Litwie wre walka, że Wilno i Grodno zdobyte, że Kijów w rękę naszych, a w Petersburgu wybuchło powstanie. W łó za temi wiadomościami zdążyły zwykle zaprzeczenia, poprawki i dopełnienia, ale i te bez żadnej rękojmi prawdy; słowem zapanował chaos i zupełna niepewność położenia. Tyle wszakże było oczywistém z doniesień nawet „Dziennika Powszechnego“, że nie tylko nie udało się Moskwie zgnieść powstania w zarodzie, ale że przeciwnie ruch zbrojny wzrasta i szerzy się po całym kraju i na pograniczu Litwy.

Wśród takiego stanu rzeczy stawało się życie w Warszawie coraz nieznośniejszém, środki ucisku coraz gwałtowniejszemi. Józef Ignacy Kraszewski otrzymał nakaz wyjazdu i dnia 1 lutego opuścił Warszawę, by już do niej nigdy nie powrócić. Nadzieja naprzemian i rozpacz targały serca. Gdy zaś znikąd pewnego nie można było dostać języka, gdy przy chwilowém zepsuciu kolei i zerwaniu telegrafów z rzadka tylko dochodziły doniesienia z pola bitew, przekrzywiane rozmyślnie przez jednych, ubarwiane przez drugich, gubiono się w mętnej toni domysłów i pogłosek, umysły zaś tak były naprężone i rozdrażnione, siły moralne natężone tak mocno, iż się zdawało, że nie ma tak potężnej natury, któraby ten stan dłużej przetrzymać zdołała.

To też wszystkie kościoły stolicy były przepełnione pobożnymi, szukającymi w modlitwie spokoju i pociechy, a w słowie Bożem nowego hartu dla upadającego ducha. W niedziele i święta tłumy zalegały katedrę św. Jana, gdzie kazał ks. G o l i a n, znienawidzony przez partię ruchu, ubóstwiany przez stronnictwo rządowe, porywający zaś wszystkich swą potężną wymową....

Była to w rzeczy samej wymowa zdumiewająca: przenikająca na wskroś i jasna, język czarujący, obrazy świetne, deklamacya do dramatycznej podniesiona potęgi. Dziś, po upływie ćwierć wieku, nie wątpię, że wymowa ta była podniecaną najszlachetniejszymi pobudkami; mimo to, wyznać muszę, że wymowa ks. Goliana w ówczesnej chwili zgnębiała, zamiast podnosić; drażniła i raniła boleśnie, zamiast koić i leczyć...

Dwa takie pamiętam kazania, czyli konferencye, jak je nazywał sam kaznodzieja.

W pierwszym, oddając po mistrzowsku okropność klęski, która na kraj runęła, a którą napróżno usiłował zażegnać i powstrzymać słowem, „prosząc i krzycząc, jak ojciec, widzący syna swego zawisłego nad krańcem przepaści“, rzucił straszną klątwę na obywateli i duchowieństwo, im przypisując całą winę nieszczęścia, na nich zwalając odpowiedzialność za krew lejącą się po kraju. Uniesion dalej krasomówczym zapałem, nazwał duchownych świeckich i zakonników, którzy nie szli za jego przykładem, inną, według zdania jego, nie boską, ale „szatańską“ głosili naukę, „zgrają rozpasanych mniczów“, podobnych nie kapłanom, ale raczej „p s o m n i e m y!“... W katedrze wielu było obecnych księży, i niech każdy z czytelników osądzi, czy się godziło kaznodziei z swych współbraci, z sług bożych, dlatego, że uniesieni patryotyzmem, dali się porwać wirem wypadków, w ten sposób zdzierać publicznie szacunek i poważanie im winne, zwłaszcza gdy lud cały otaczał ich czcią i uwielbieniem?!

Na drugiej konferencji, było to zaraz po wybuchu powstania, zaledwo ks. Golian począł mówić, dama w czerni, stojąca w prawej nawie kościoła naprzeciw kazalnicy, przypadkiem obok mnie, i należąca, o ile ze stroju wnosić było można, do stanów wyższych, nagle krzykła wielkim głosem: „Ludu zgromadzony, rodacy, nie dajcie się uwodzić fałszywym prorokom! To nie kapłan boży, to zdrajca narodu do was przemawia!“ — i padła zemdlona... Śmiertelna cisza zaległa świątynię... szmer przelatującej muszki można było posłyszeć... wszyscy jak skamienieli... ks. Golian zbladł, jakby krew do ostatniej kropli w nim była zastygła... i zamilkł... Tak upłynęła chwila, której grozy nie zapomnę nigdy... Wtém kaznodzieja wznosi obie ręce do góry, promień natchnienia rozjaśnia jego oblicze: „Na kolana, ludu nieszczęsny, na kolana!“ — woła ogromnym głosem — „bo już tak daleko upadłeś, że świętości przybytków Pańskich uszanować nie umiesz!“ I wszyscy, jakby gromem rażeni, padają na kolana, a ks. Golian, biorąc assumpt z okoliczności, improwizuje jedno z najwspanialszych, porywających jak potok wezbrany, kazań, jakiegokolwiek słyzałem w życiu.

Wszakże należy mi tutaj wspomnieć i o drugim kaznodziei, który właśnie za mojej bytności rozpoczął w Warszawie swój zawód świetny. Był nim ks. L u d w i k J a ż d z e w s k i, dzisiejszy proboszcz w Zdunach, zasłużony i świetny obrońca praw naszych w sejmach pruskich i par-

lamentach niemieckich, a podówczas profesor akademii duchownej warszawskiej, powołany z Poznańskiego na ten urząd. Nieraz go odwiedzałem i byłem świadkiem wzruszenia, z jakim się sposobił na ten pierwszy publiczny występ. Nie łatwe też to było zadanie zabrać głos po ks. Goliań, a zabrać go w chwili takiego powszechnego rozgoryczowania umysłów.

Nadszedł dzień święta Matki Boskiej Gromnicznej, 2 lutego 1863 r. Tłumy niezliczone zajęły obszerną świątynię O. O. Bernardynów przy Krakowskim Przedmieściu. Ciekawość tak była rozbudzona w ludzie, że nawet przed kościołem stali jeszcze pobożni, którzy się do wnętrza nie mogli docisnąć. Młody kaznodzieja zaczął przemawiać głosem drżącym, ale głos jego stawał się coraz silniejszym, aż w końcu płynęły z ust jego natchnione słowa, unosząc za sobą słuchaczy. Biorąc pochop z cześci, jaką w dzień Oczyszczenia N. Maryi Panny oddajemy jej cnotom, wykazał nasamprzód szlachetność podobnego wielbienia wielkich zasług pojedynczych jednostek w narodach, w ludzkości, w Kościele i całą piękność owego wieńczenia kwiatami pośmiertnej nagrody tych, co za życia wybrańcami byli Pana na ziemi. Kościół w dzień Matki Boskiej Gromnicznej dlatego głównie oddaje cześć Niepokalanęj Dziewicy, że choć prawem nie ujęta i wyższa nad prawo, poddawała się chętnie pod przepisy Zakonu, niosąc Boże Dzieciątko do świątyni i składając w ofierze dwoje sinogarlic na ołtarzu. Ztąd nie tylko dla tych nauka, którzy stoją nad prawem, by umieli prawo podlegać, ale tém większa dla **p r a w o d a w c ó w** samych, by pierwszymi byli prawa strażnikami. Rozwijając rzecz dalej, stwierdził mówca, że właśnie naród polski zawsze szanował i bronił pierściami swych rycerzy praw św. Kościoła; wskazał, jak ojcowie nasi umiłowali sobie w wystawianiu N. Maryi, ogłaszając Ją swą Panią i Królową polskiej ziemi, w każdej potrzebie do niej się uciekając i pod Jej skrzydła się chroniąc. Bo Kościół wszystkich strapionych do swego macierzyńskiego przygarnia łona, wszystkie kości cierpienia. Jeśli się zdarzają przykłady, że kapłani nadużywają władzy nadanej im przez Kościół, by fałszywie rozsiewać nauki, ciskać obelgi z kazalnicy, to Kościół potępia owe dotkliwie słowa, co zamiast sączyć balsam pociechy, odpychają i roznamietniają tém bardziej... Zakończając gorącemi słowy, wskazał mówca na tysiące w świątyni rozgorzałych gromnic i porównywał ich światło rozlane nad rozkłączonym ludem, do serc rozbolałych tego ludu nieszczęśliwego, do serc, które się rozplynęły w świetle promiennych modlitw do Matki Boga, do Królowej naszych ojców, by nie przestała być i naszą Królową!...

Kazanie to zrobiło nie małe wrażenie i zwróciło tak swą głęboką, a do położenia zastosowaną treścią, jak piękną formą od razu uwagę sfer rządzących i całej publiczności na młodego mówcę, który, jak się tego można było z góry spodziewać, wkrótce potem zmuszony był opuścić Warszawę.

Tymczasem z każdym dniem wzrastał entuzjazm i powiększała się liczba porzucających domowe ogniska i spieszących do obozu. Młodzież rzemieślnicza i szkolna uchodziła gromadkami z Warszawy, przedzierając się pod rozmaitemi pozorami przez kordony wojsk na rogatkach. Kobiety pierwsze rozwinęły sztandar powstańczy. We wszystkich domach przysposabiano szarpie, szyto odzież i gromadzono zasoby



dla walczących. Rozkaz naczelnika miasta, zamianowanego przez niewidzialny rząd narodowy, nakazał obywatelom wiejskim opuścić stolicę i udać się do włości, by tém czynniejszą nieść pomoc powstaniu. Warszawa zaczęła się wyludniać, już zabrzmiały pierwszym rozgłosem nazwiska Sokoła, Muchy, a zwłaszcza Langiewicza. Węgrów i Wąchock były na ustach wszystkich — umysły zaczęły chłonać z pierwszego przerażenia i spokojniej na przyszłość spoglądać. Kość była rzucona — powstanie stało się faktem!...

Na trzecim piętrze hotelu Europejskiego, dokąd i ja od 1 lutego się przeprowadziłem, zamieszkało wówczas pełno młodzieży z pierwszych rodzin w kraju, czekających na dalszy rozwój wypadków i na rozkazy dyrekcyi stronnictwa białych. Wielką była moja radość, gdy jednego poranku otwarły się drzwi mego pokoju i weszło doń dwóch dobrych znajomych od lat chłopięcych, Józef Mycielski z Poznańskiego, (brat najmłodszy księżny Ordynatowej Augustowej Sułkowskiej), i Kazimierz Czapski z Bukowca w Prusach Zachodnich. Obaj przybyli, by się rozpatrzyć w położeniu rzeczy, zasięgnąć rady poważniejszych obywateli, do których mieli polecające listy, i stósownie do ich orzeczenia, albo wziąć udział w walce, albo powrócić do rodzinnych zagród. Dzielni to byli młodzieńcy, pełni zapału i wesołości, tryskający życiem i dowcipem. Dziś niestety, obaj już nie żyją... Przez dni kilka bawili w Warszawie, odwiedzając z kolei licznych krewnych i znajomych, oraz pierwszorzędne powagi. Wieczory przepędzaliśmy w szerszém gronie młodzieży w hotelu Europejskim. Trzeciego dnia zaprosił nas Czapski na wieczерze do hotelu Angielskiego, oświadczając, że wraz z Mycielskim pragnie się z nami pożegnać. Tylko mnie było przedtém wiadomém, jaką obaj powzięli decyzją, reszta sądziła, że wracają w Poznańskie. Wieczorem zeszliśmy się w osobnym salonie hotelu Angielskiego, gdzie nas czekała prawdziwie lukullusowa biesiada. Przy stole były reprezentowane rodziny historyczne, synowie najznakomitszych w kraju obywateli; wesołość panowała niezemnie nie zakłócona, mnie wszakże nieco żałośnie było na sercu. Wtém podnosi się Kazimierz z kielichem w rękę: „Panowie i koledzy,“ powiada poważnie, „ostatni puchar pragnę wychylić na wasze zdrowie, a zarazem pożegnać was Józefa Mycielskiego i mojem imieniem. Przyjechaliśmy tutaj po radę; gdziekolwiek się udaliśmy, wszędzie nam przedstawiono powstanie jako walkę beznadziejną i radzono nam zachować się na późniejsze czasy. My przecież wręcz przeciwnie wysnuliśmy ztąd zdanie. Naród porwał się do broni, krew się leje, więc i nam nie godzi się dłużej wyczekiwać. *Noblesse oblige!* I dlatego, bracia, za chwilę udajemy się do obozu, by albo zwyciężyć, albo wraz z innymi za Ojczyznę zginąć! Bywajcie zdrowi, a raczej: do zobaczenia!“

Biesiadnicy w pierwszej chwili zdumieni, mnie łyzy zakręciły się w oczach; ale po kilku sekundach zapał ogarnął wszystkich, poczęto z uniesieniem ścisnąć obu Poznańczan i wołać: „do zobaczenia, pojdziemy w wasze ślady.“...

Wybiła godzina 2 z północy; dano znać, że ekstrapocztka czeka już przed hotelem. Krótkie było, ale tém szersze pożegnanie. Za chwilę już zniknęli na zakręcie ulicy Wierzbowej; pogasły światła w ho-

telu Angielskim, a my z wezbranemi sercami i latarkami w rękach ruszyliśmy z powrotem do swoich mieszkań...

Odtąd coraz już duszniej było mi w Warszawie, nieprzewidziany zaś wypadek przyspieszył mój wyjazd.

W „Dzienniku Powszechnym“ z pierwszych dni lutego pojawiła się wiadomość o trzechkrotnych usiłowaniach otrucia całej rodziny Wielopolskich atropiną. Mówiono o tém w całej Warszawie, choć później miało się wykazać, że owego domniemanego zamachu przyczyną istotną były nie dobrze pobielane miedziane łyżki, w których kucharze w pałacu Brühlowskim gotowali. Przyszedłszy na obiad do małej, a wielce podówczas uczęszczanej, właszcza przez młodzież akademicką, gospody, zastałem właśnie na rozmowę o tym wypadku. Kilku niedowarzonych zapaleńców wyrażało w dość przejrzysty sposób swe niezadowolenie z tego, że rodziny margrabiego nie udało się zatruć w czambuł, jak szczyrów. Tego mi było zanadto. Powstałem z oburzeniem i oświadczyłem, że nie pojmuję, jak tego rodzaju zdania można publicznie objawiać. Do wzniósłych celów nie można ohydne mi dążyć środkami! Gdybyśmy mieli zbrodnią, sztyletem lub trucizną odzyskać wolność i niepodległość Ojczyzny — w takim razie tej Ojczyzny widzieć nie chcę!... Rzekłem i wyszedłem...

Tegoż samego dnia wieczorem otrzymałem pocztą list z miasta. Naczelnik Warszawy ostrzegał mnie przed „nierozważnemi“ słowami w miejscach publicznych, zwracając mi uwagę, że w razie przeciwnym mógłbym być narażonym na bardzo przykre następstwa...

*Sapienti sat!*... A że właśnie potrzeba było kurjera do obozu w Wąchocku i że nadarzała mi się sposobność zobaczenia po raz drugi w życiu — bo po raz pierwszy widziałem narodowe oddziały w roku 1848 jako chłopczyk — polskiego wojska i przyjaciół, Józefa Mycielskiego i Kazimierza Czapskiego, przeto już nazajutrz opuściłem Warszawę — wyznając bez żalu...

#### **IV. Maryan Langiewicz. — Obóz w Wąchocku. — Dyktatura i jej upadek.**

Podróż miałem stosunkowo pomyślną. Dzień był pogodny, mały przymrozek oczyścił powietrze. Dzięki pruskiemu paszportowi i tytułowi oficerskiemu nie robiono mi żadnych przy wyjeździe trudności; wszakże Prusacy byli jeszcze najszczerzszymi przyjaciółmi Moskali, uważano mnie więc niejako za sprzymierzeńca. Nie obyło się przecież zaraz na wstępie bez małego epizodu, charakteryzującego owe czasy. W lasach pomiędzy Warszawą a Skierniewicami nagle pociąg powstrzymano. Urzędnicy zaczęli biegać po torze, z pozamykanych wagonów wszyscy podróżni tłoczyli się do okien, by się dowiedzieć przyczyny tego zajścia. Powiedziano nam, że powstańcy zerwali mostek i że tylko nadzwyczajnej uwadze maszynisty udało się zawczasu uniknąć nieobliczonego w skutki nieszczęścia. Wojsko, zajmujące w końcu pociągu dwa otwarte wagony, by na każdy przypadek być w pogotowiu, wnet naprawiło szkodę i wkrótce znów pędziliśmy dalej, choć przyznać muszę, że mimo młodości i zapалу, jaki mnie ogarniał, nie mogłem się w myśli pogodzić z tego rodzaju taktyką powstańczą, która dla zaniepokojenia oddziału piechoty moskiewskiej, towarzyszącej pociągowi, mogła być setki podróżnych na-

razić na kalectwo, lub utratę życia. Tak inną razą, gdy później jechałem z Poznania do Warszawy, pomiędzy Włocławkiem a Kutnem, nagle wśród lasu powitano nasz pociąg rzesistą salwą karabinową; rzuciliśmy się wszyscy w wagonie na podłogę i to było naszym szczęściem, bo przy drugiej salwie kula rozbiła szybę w naszym właśnie oknie i utkwiała w ścianie przeciwległej. Cóż to za wrzask powstał i hałas! Pociąg stanął, wojsko na oślep wystrzeliło w zagajnik i rzuciło się z wściekłości okrzykami szukać powstańców — ale na próżno. Po kwadransie ruszyliśmy w dalszą podróż....

W małej stacji za Piotrkowem wysiadłem, a porówno ze mną i dwóch innych towarzyszków podróży. Okazało się, że w jedną dążymy stronę, choć dla ostrożności twierdziłem z początku, że spieszę w okolice Kielc w odwiedzinach do znajomych. Ale wnet ustały między nami tajemnice: byli to młodzi Warszawiacy z rzemieślniczego stanu, o twarzach tak jasnych, otwartych i swobodnych, że od razu do nich przylgnąłem. Opuścili rodzinę i pracę, by się zaciągnąć do szeregów Langiewicza. Żałuję, że zapomniałem ich nazwisk. Czy żyją jeszcze, czy też krew swą zaczęli zmieszać z potokami krwi, tak obficie rozlanej w ciągu kilku tygodni pomiędzy Wąchockiem a Grochowiskami?...

Turkotały koła po żwirówce, Warszawiacy śpiewali wesoło, słońce świeciło pięknie, ziemia pokryta lekką, białą powłoką śniegu, oddychała jakąś swobodą i pokojem. Wzgórza skaliste wznosiły się naokół, wśród nich zbliżaliśmy się do starożytnego Wąchocka, rozpostartego nad rzeczką Kamienną, o 6 mil w kierunku północno-zachodnim od Wierzbnika. Nad miasteczkiem, bogatym w kopalnie rudy żelaznej, piec do jej palenia i fabryki żelaza, wznosił się obszerny klasztor Cystersów, założony w r. 1179 przez Gedeona, Biskupa krakowskiego, wzbogacony w r. 1270 przez Bolesława Vgo, złupiony przez Szwedów w r. 1658, a odbudowany na nowo w roku 1695.

O milkę od Wąchocka, na wjeździe do małego, krętego wąwozu, spotkaliśmy pierwszą polską placówkę. Dwóch młodzieńców, w siwych czamarkach, z krakuskami na głowie i pałaszami w ręku, powitało nas okrzykiem: Niech żyje Polska! Wskoczyliśmy z wózika, krew zawrzała w żyłach, ze łzami rzuciłem się w objęcia dziarskiej braci.... Wrażenia tego nie zapomnę nigdy; w jednej chwili pierzchnęły wszelkie obawy i niepokoje, widziałem tylko wojsko narodowe, przyszłość pełną zwycięztw, Ojczyznę wolną i wielką, płakałem i śmiałem się z radości i upojenia....

Odtąd natrafiiliśmy kilka jeszcze placówek i patroli, wysyłanych w okolice dla bezpieczeństwa obozu; przejechaliśmy przez wioskę, której karczma zamienioną była na koszary, widzieliśmy wieśniaków w serdecznych uściskach z wiarusami przy kieliszku wódki i porcji wędliny, których to zapasów okoliczni obywatele przysyłali podostatkiem, palili się ogniska, w kociołkach warzono krupy, z kominów fabryk strzelały słupy dymu, złościły się krzyże na wieżycach opactwa, oblane promieniami słońca.

Wjechaliśmy do miasteczka, które zwykle ciche, dzisiaj, jakby czarodziejską dotkniętą różeczką, nowym odżyło gwarem. O posępne mury klasztorne odbijały się wesołe narodowe pieśni, po uliczkach uwijała się wiara: ten w kozuchu, ów w wyszarzałej katanie, ten w mundurze ułańskim, tamten w myśliwskiej kapocie. To mnich milczkiem się przesuwał w białym habicie z paciorkami w ręku, to kosynier z kosą na ra-

mieniu szedł ku kwaterze, to szablą brząkał młody niedorostek, to grzmiały kopyta galopującego ordynansa. Z rozlicznych kuźni rozlegał się stukot młotów, kujących piki i kosy, sypały się iskry, buchała para, skrzypiały warsztaty stolarskie, szewcy na gwałt szyli buty, krawcy mundury, zdala dochodziły dźwięki mazura Dąbrowskiego, którego wygrywała świeżo co utworzona kapela.

Langiewicza nie było w kwaterze; za miastem na obszernej równinie ćwiczył w mustrze ochotników, sposobiąc ich do bliskiej walki. Obejrzawszy w przelocie zakłady dla obozu niezbędne, a potworzone przez wodza z wzorowym porządkiem i szybkością, jakoto kancelaryą przyboczną sztabową, gdzie kilku mężczyźni przepisywało rozkazy i raporty; biuro wojewódzkie i powiatowe, z kąd szły odezwy do okolicznych mieszkańców, powołujące ich do broni; magazyn polowy, gdzie składano zapasy żywności; małeńki arsenał, który zaopatrywał w broń włościan i ochotników, przybywających do obozu; wreszcie lazaret pod zarządkiem doktora Bukowieckiego, Poznańczyka, który na pierwszy odgłos powstania pospieszył do Wąchocka — obejrzawszy wszystko, udaliśmy się na plac ćwiczeń wojskowych.

Wśród kilkunastu pomniejszych gromadek kosynierów i strzelców przebiegał galopem na spienionym rumaku wódz obozu, wykazując jedynym błędym bystrym okiem doświadczonego żołnierza, zachęcając drugich gorącym słowem do wytrwałości, innym dodając podniety i zachęty energicznymi rozkazami. Langiewicz zrobił na mnie tém większe wrażenie, że poprzedzał go już rozgłos niepospolitego dowódcy i organizatora, zwycięzcy z pod Jedlni, Szydłowa, Bodzentyna i Suchedniowa; że zaś był w dodatku Wielkopolaninem, z tego byłem niemało dumny.

Maryan Langiewicz urodził się dnia 5 sierpnia 1827 roku w Krotoszynie, na pograniczu Wielkopolski i Szlaska, z ojca Wojciecha, miejscowego lekarza, z matki Eleonory z Kluczewskich, niewiasty zacnej i pobożnej, która, pałając czcią do Najśw. Panny Częstochowskiej, imieniem Maryana go nazwała. W czwartym roku życia utracił ojca, znanego patryotę. Do szkół uczęszczał najprzód w Krotoszynie, następnie w Trzemesznie, odznaczając się niezwykłą zdolnością, zwłaszcza do matematyki. Dalsze nauki pobierał w uniwersytetach wrocławskim i berlińskim, oddając się w szczególności studjom wojskowym. W Berlinie także odsłużył rok obowiązkowy przy artylerji. Umysł gorący i żądny wojennych przygód, pchnął go w r. 1859 do Włoch, gdzie pod wodzą Garibaldeggo pierwsze zdobył sobie rycerskie ostrogi. Garibaldi świetną zapowiadał mu przyszłość. Następnie był nauczycielem artylerji przy szkole wojskowej w Cuneo, gdzie się poróżnił z Mierosławskim. Wtajemniczony w zabiegi i zamiary kierowników ruchu w Królestwie, w pierwszych zaraz dniach powstania stanął w kraju i objął dowództwo w Sandomierskiem. Stoczywszy kilka pomyślnych potyczek, „na przestrzeni od Hży do Suchedniowa i Bodzentyna proklamował rząd polski i zorganizował wszędzie powstańczą administracyą miejską i gwardyą bezpieczeństwa, złożoną zarówno z katolików i żydów. Rozkazy dzienne i proklamacye drukowano w jego obozie.“<sup>1)</sup>

Zewnętrzność Langiewicza była sympatyczną. Twarz pociągła, spalona znojem, ale czerstwa i prawdziwie polska; oko duże, głębokie

<sup>1)</sup> „Historja powstania 1863 i 1864 r.“ Lwów 1882, tom II str. 23.

i myślące; nos nieco orli; pod nim para wspaniałych wąsów marsowatęj obliczu dodawała powagi. Przybrany w ciemnego koloru czamare, obramowaną barankami, miał granatową krakuskę z piórem na krótko przystryżonej głowie, długie palone buty z ostrogami, białokarmazynową przepaskę przez piersi i szeroką szablę u boku.

Powitał nas szczerą serdecznością i uściśnięciem dłoni, pytał o Warszawę i o usposobienie ogółu. Pragnął dowiedzieć się nowin z Księstwa odemnie, dowiedziawszy się, że jestem Wielkopolanin, ale tych mu udzielić nie mogłem. Natomiast wręczyłem mu spory list opieczętowany, dodając z góry, że powracając bezzwłocznie do Wrocławia, nie mam polecenia czekania na odpowiedź. Rozmowa była krótką, gdyż wódz miał tysiące zatrudnień na głowie. Moim towarzyszom wskazał kompanię, do której mieli być wcieleni, mnie pożegnał po koleżeńsku, dziękując za przywiezione papiery, wspiął konia ostrogą i ruszył cwałem ku miasteczku w towarzystwie dwóch oficerów, z których jeden był Poznańczykiem i zwał się *J ó z e f Ł a k i ń s k i*. Dziełny ten młodzieniec zginął w dwa miesiące później śmiercią walecznych (zob. niżej). — Głośnej panny Henryki Pustowojtów nie miałem sposobności widzieć. Jakkolwiek otaczała ją ogólne uwielbienie i cześć całego obozu, nie mogłem się zdobyć na podziw dla tej amazonki w męskim stroju i z rewolwerem w niewieścim ręku. Dla mnie ideałem kobiet będą zawsze anielskie postacie sędziwej dziś *Emilii Szczańeckiej* i przedwcześnie zgasłej *Klaudyi z Działyńskich Potockiej*. Ale gdybym był „Panem Wołodjowskim“, nie pozwoliłbym być nigdy uroczy „Basi“ strzelać z guldynki do Tatarów jak do wróbli, ani brać udziału w wyprawie przeciw Azbie bejowi z szabelką w słabej dłoni. Kobieta, mojem zdaniem, nie powinna nigdy wychodzić z zakresu działań, przeznaczonego jej przez mądre rozporządzenia Opatrzności....

Wypytawszy się o kwatery Czapskiego i Mycielskiego, pospieszyłem ich odwiedzić. Prześlicznie wyglądali w mundurach, a tak byli weseli, jakby im żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Spędziliśmy kilka chwil wesołych prawdziwie po obozowemu. Dowiedziałem się od nich, że kilku innych jeszcze znajomych z Księstwa jest w obozie; ale czas naglił i musiałem wracać nocą do kolejowej stacyi.

— Bywajcie zdrowi i Bóg z wami!

— Szcześliwej podróży i do zobaczenia!

Jakoż z obydwojma widziałem się nieraz jeszcze; obaj uniknęli szczęśliwie pogromu.

*J ó z e f hr. M y c i e l s k i*, syn hr. Józefa, dziedzica dóbr Rokosowskich, i Karoliny z hrabiów Wodzickich, a prawnuk Józefa Mycielskiego, wojewody inowrocławskiego, wyjechał po upadku dyktatury za granicę, bawił dłuższy czas we Włoszech, poczem powróciwszy do Warszawy, ożenił się z Hortensyą Mitkiewiczówną; umarł dnia 9 czerwca 1885 r. w Gleichenbergu po długich cierpieniach, pozostawiając córkę jedynaczkę, Hortensyą.

*K a ż m i e r z hr. C z a p s k i*, syn hr. Franciszka, dziedzica dóbr Bukówca, członka pruskiej izby panów, i Michaliny z Czapskich, po kilkakrotnie jeszcze powracał na plac boju na czele oddziałów (zob. niżej), słynny z swęj waleczności i szalonej odwagi. Kule nieprzyjacielskie go oszczędziły, ale zmogła później ciężka choroba, której się nabawił w obozowych trudach i niewczasach. Umarł w 37 roku życia dnia

19 lutego 1879 roku, pozostawiając nieutuloną w żalu wdowę, Maryą z hrabiów Grabowskich, i liczne sieroty.... Cześć jego pamięci!...

Wąchock, który opuszczałem tak ożywionym, w dwa dni później stał się pastwą płomieni, rabunku i bezlitosnych morderstw — obóz Langiewicza, po bohaterskiej walce, w której mianowicie kosynierzy się odznaczyli, po kilkakrotnie rzucając się na działa nieprzyjacielskie, zmuszony był cofnąć się ku Łysiej Górze, gdzie zwycięsko odparł napad pułkownika Czengerego i o znaczne przyprawił go straty. Tak, wśród ustawicznych niemal z Moskalami utarczek, posuwał się młody wódz zwolna ku południowi, odnosząc wciąż na nieprzyjaciela korzyści i skarbiąc sobie ogólne u narodu uznanie. Rząd tymczasowy, wynagradzając zasługi Langiewicza, mianował go generałem. Po pomyślniej utarczce pod Staszowem, wyruszył generał do Małogoszczy, gdzie się połączył z Jeziorańskim, idącym od północy, Waligórskim i Cieszkowskim. „Był to marsz śmiały — powiada *Sulima* — i jeden z najświetniejszych w kampanii Langiewicza. Zrobił go w przeciągu trzech dni, a więc dość spokojnie i wolno, przerznął w dwóch punktach drogi bite, idące od Kielec, oddalonych od tego miasta na dwie mile zaledwie, ocierając się niejako bokiem o drżących ze strachu Moskali i narażając swoje skrzydła i tyły“ („Historia Powstania“, t. II str. 36; Lwów 1882). Dnia 24 lutego stoczył krwawą walkę z przeważnymi siłami pod Małogoszczą i znów posunął się dalej na południe. Dnia 4 marca pobiwszy oddział księcia Szachowskiego pod Pieskową Skałą i po wyparciu załogi rosyjskiej ze Skały, rozłożył się wreszcie obozem pod Goszczą, w odległości pięciu mil od Krakowa, pomiędzy Słomnikami i Proszowicami, gromadząc rozbitków z pod Miechowa i innych powstańców. Rozpoczęła się z wielką energią reorganizacja oddziałów i ćwiczenie ochotników w murze; broń dostarczał Kraków, żołnierzy cała niemal Polska. Z Poznania znaleźli się tu Władysław Bentkowski, późniejszy szef sztabu dyktatora; Józef i Ludwik Mycielscy, pierwszy pełnił służbę adjutanta przy boku Langiewicza przez cały czas kampanii, Kazimierz Czapski, dalej między innymi Rochebruna, przybyli z pod Miechowa: Karol Chłapowski z Czerwonéjwsi, Witold Chodacki z Pleszewskiego (urodzony z Wierzbickiej z Czarnego Sadu), Stan. Jaro..., wiecznie wesół i dowcipny, choć na wpół dopiero wyleczony z rany pod Miechowem odniesionej, wreszcie dzielny major Stanisław Wierzbicki, brat zasłużonego pośła Władysława, który przeszedłszy szczęśliwie najkrwawsze walki w czasie powstania i wielokrotnie odznaczywszy się nieustraszoną odwagą, zimną krwią w boju i niepospolitemi zdolnościami wojskowemi, znalazł w siedm lat później w szeregach pruskich śmierć pod Belfortem w pierwszych dniach grudnia 1870 roku, ugodzony czerepem granatu francuskiego w głowę (zob. niżej). — Było jeszcze w obozie pod Goszczą więcej Wielkopolan, ale tych nazwiska nie doszły do méj wiadomości.

W Goszczy rozpoczęły się jednocześnie narady najpoważniejszych przedstawicieli stromictwa białych z Langiewiczem o przyjęcie przezeń dyktatury, któraby dała nareszcie powstaniu w obec Europy widomą władzę i wyrzekła się wszelkich stosunków z rewolucją europejską. Z drugiej strony ofiarował mu Mierosławski tryumwirat: Mierosławski, Wysocki, Langiewicz (zob. niżej). Generał uległ po długich namowach stronie pierwszej i dnia 10 marca zgodził się wziąć na swe barki ciężkie

brzemie dyktatury, która, jak się, niestety, okazało, przerastała jego siły i najlepsze chęci. Tegoż samego dnia wieczorem ukazał się manifest nowego dyktatora, zatwierdzający zasady proklamacyi komitetu narodowego z dnia 22 stycznia 1863 r., wzywający do ogólnego powstania przeciw rządowi rosyjskiemu i do jedności wszystkich Polaków bez różnicy stanu i wyznania, za którą to jednością nastąpi wolność i niepodległość Ojczyzny. Dnia następnego stanął cały obóz o godzinie 10 rano pod bronią. Dyktator, otoczony świetnym sztabem, wśród którego odznaczali się świeżo co przezeń mianowani generałowie: oszronionym wiekiem Waligórski i późniejszy zwycięzca z pod Kobyłanki, Jeziorański, o smutnej i bladej twarzy; szef sztabu Władysław Bentkowski; dalej brygadyerowie Czachowski i Śmiechowski, pułkownik Teodor Cieszkowski, który później, ciężko ranny pod Borzęcinem w Kaliskim, został zamordowany przez kozaków w pobliskim dworze w Leśniakach 10 kwietnia 1863 r.; dowódca żuawów, Rochebrun, ogorzały i śniady, w bogatym i malowniczym stroju; Zacher, kapitan, który tydzień później legł obok dyktatora śmiercią bohaterską, ugodzony w skroń kulą moskiewską i wielu innych; oraz nieodstępna towarzyszka Langiewiczza, Henryka Pustowojtów. Generał Jeziorański odczytał wśród ciszy ogólnej wspomniany wyżej manifest. Było w nim powiedziane między innymi:

„Jakkolwiek są w narodzie mężowie daleko wyżej odemnie zdolnościami i zasługą, jakkolwiek czuję całą wielkość obowiązków i odpowiedzialności, cięższych na naczelną władzę narodową wśród tak trudnego położenia, jednak zważając na nagłość okoliczności, które potężnym głosem o zarządzenie złemu wołają, zważając na konieczność, aby w chwili tej śmiertelnej walki przeciw licznym wojskom najezdniczym, jedną wolą kierowanym, spotężnić siły i jedność narodu przez skoncentrowanie w jednym ręku wszelkiej władzy wojskowej i cywilnej, porozumiałem się z tymczasowym tajnym rządem narodowym, biorę najwyższą władzę dyktatorską, którą po zrzuceniu jarzma moskiewskiego złożę w ręce narodu w osobie jego reprezentantów.

„Zachowując sobie bezpośredni kierunek wojennych działań, lub też w miarę potrzeby moc przenoszenia naczelną władzę wojskową na osobnych dowódców w pewnych oznaczonych prowincjach, uznaję dziś już za stosowne powierzyć cały zarząd spraw cywilnych powstania, oraz zarząd oswobodzonego kraju osobnemu rządowi cywilnemu, z mego umocowania i pod moją zwierzchnią kontrolą działającemu....“

Po odczytaniu manifestu, przyjętego przez wojsko z wielkim zapalem, dano hasło do wymarszu i obóz cały z dyktatorem na czele zwolna wyruszył w pochód ku Miechowu. Opodal Raclawic, gdzie niedgdy Głowacki i kosynierzy krakowscy wiekopomną okryli się sławą, ofiarowano Langiewiczowi karabelę Kościuszki. Szacowny dar ten niedługo jednakże zostawał w ręku dyktatora, który dziesięć dni później obok świątyni, mieszczącej w sklepieniach groby bohaterów Polski, jako jeniec austriacki zamieszkał za kratą w dawnym monarchów zamczysku na Wawelu.... Nad wieczorem rozłożono się obozem w Sosnowce, o  $\frac{3}{4}$  mili od Miechowa po wschodniej stronie żwirówki. Nazajutrz, tj. 12 marca w południe wojsko liczące około 4000 ludzi uszykowało się na równinie w czworobok, w którego środku wzniesiono ołtarz polowy. Dyktator zbliżył się doń uroczyście i przed kapelanem obozowym wykonał świętą

narodowi przysięgę. Wspaniała była to chwila; grzmiały okrzyki: Niech żyje Polska! Uniesienie było ogólne.... Tegoż samego dnia ukazał się dekret dyktatora, organizujący rząd narodowy cywilny.

Był to szczyt chwały, którą Opatrzność złała na Maryana Langiewicza. Odtąd zaczęła ciemnieć jego gwiazda, aż ją pomroka niewoli i wygnania zakryła przed narodem i Europą, która w oczekiwaniu i z zajęciem patrzyła na jego pierwotne powodzenie i świetne czyny. Wraz z dyktaturą „od razu odstąpiło od niego wierne mu dotąd szczęście. Wysokie stanowisko pozbawiło go trafnego rzutu oka, przenikliwości i dotychczasowej energii wojennej. Zajęty więcej polityką niż oddziałem, okazał się miernym wodzem cokolwiek znaczniejszej siły, miernym politykiem, lecz co gorsza nad wszystko, skłonny do wykonywania rad niedorzecznych“ (Agat. *Gillera*: „Historia powstania z r. 1863 i 1864“, t. I str. 282; Paryż 1867). Czuł on dobrze swoją niezdolność do naczelną władzy i nigdy, jak sam później pisał, nie przyszło mu na myśl sięgnąć po nią. Uległ parciu, a zwłaszcza przeświadczeniu, że należy nadać rządowi narodowemu formę widomą, ale czuł jednocześnie, że przyjęcie dyktatury było z jego strony ofiarą. „Wiedziałem bowiem — pisze dalej — „i publicznie to wypowiedziałem, że Moskwa takie siły zgromadzi, tak często będzie obóz dyktatorski atakować, iż go musi zniszczyć. Wiedziałem, że mój tak zaprawny w boju hufiec, tak mozolnie zebrany i utrzymywany, tak zbratany ze mną biedą i bojami, prowadzę na niezawodną zagładę i że moją wojskową reputacją skompromituję, bo czemże jest dowódzca, który stracił swe wojsko? Ofiarowałem siebie i towarzyszy, ażeby całemu powstaniu przyjść w pomoc....“ („Historia powstania“, Lwów 1882, t. II str. 245).

Jakoż Moskwa w istocie coraz szczelniejszym łańcuchem sił najważniejszych ścieśniała znużone ciągłymi marszami, wycieńczone głodem i niewywczaśmem hufce polskie, wśród których niestety, powstała w ciężkiej chwili hydra ambicji osobistych, intrygi nieczne i zniechęcenie.

Po krótkim wypoczynku w Chrobrzu, od 16 do 19 marca, Langiewicz w ciągłym boju uciekał się z 8000 z trzech stron atakujących go Moskali. Wieczorem 16 przyszło do zaciętej walki pomiędzy Chrobrzem a Złotą, która się zakończyła częściową porażką powstańców i oddzieliła ich od bagażów i zapasów żywności. Było to dotkliwą klęską dla żołnierza, który upadał od znoju; dla jazdy, której konie poodbijane i głodne, ledwo się utrzymać mogły na nogach. Sztab dyktatora nie lepiej był zaopatrzony; herbatą nakształt siana warzoną w kotle się pokrzepiał. Nieprzyjaciel nie dawał ni chwili spoczynku i nowy bój wszczął się nad ranem 17 marca pod Zagościem, Buskiem i Grochowiskami. Szef sztabu *Bentkowski* rozkazał żuawom i saperom, zostającym w tylnej straży, spalić most na rzece Nidzie, aby przeciąć komunikację Moskwie, która za naszymi ciągnęła od Chrobrza i z dwóch stron ich wziąć chciała („Polska w walce“, „Pamiętnik księdza *Szulca*“, Paryż, 1868, str. 117). Walka wrzała tu do wieczora. Następnego dnia, 18 marca, zaledwie rozłożono ogniska pod Grochowiskami i zaczęto gotować, padły strzały na pikiecie. Rozpoczął się bój nadzwyczaj krwawy. Strzelcy i żuawi cudów waleczności dokazywali; Rochebrun wśród gradu kul wydawał rozkazy, wołając po francusku, *Józef Mycielski* ogłaszał je oficerom. Rzucono się na bagnety, drugi batalion koszyńców *Zygmunta Koskowskiego* pobiegł na rozkaz *Bentkowskiego*

z okrzykiem: „hurra!“ do ataku. Moskwa pierzchła, ścigana przez naszych i byłaby znacznieszą poniosła klęskę, gdyby ciemność nocy i brak kawalerji nie były wstrzymały pogoni. Dyktator był ostatnim, który powracał z pola bitwy, zachmurzony i smutny. Wśród padających kul i kartaczy stał on nieruchomy na wzgórzu, otoczony sztabem; tuż przy jego boku padł dzielny kapitan Z a c h e r t.

Po ukończonej walce zebrała się w nocy rada wojenna w obozie pod Welczem. Prócz dyktatora i W ł a d y s ł a w a B e n t k o w s k i e g o, „jedynie mądrego człowieka w tój radzie“ — według *Gillera* — wszyscy się oświadczyli przez wzgląd na przemoc moskiewską, znużenie żołnierza, uszczuplonego zresztą znacznie w ostatnich bojach (stratę pod Grochowiskami oblicza *Wierzbński* do 500 ludzi!) i niedostatek żywności, za rozdzielaniem korpusu na mniejsze oddziały i tajnym opuszczeniem obozu przez dyktatora, którego osoby narażać nie należało, a którego obecność sprowadzała ciągłe ataki nieprzyjaciela, usiłującego go zniszczyć i zabrać do niewoli. Langiewicz długo się opierał, przekładając śmierć kilku z nich, a nawet niesubordynacya, spowodowały go wreszcie do ustąpienia. Wyzaczył zatem dowódców pojedynczych oddziałów, sam zaś z szczupłą eskortą i sztabem udał się ku granicy galicyjskiej, aby, przeprawivszy się przez Wisłę, dostać się przez terytorjum austriackie tajemnie w Lubelskie. Inaczej przecieź zrządziły losy. Langiewicza aresztowano w chwili, gdy wraz z panną Pustowojtów, pod nazwiskiem i za paszportem Waligórskiego zamierzał w dalszą udąć się podróż. Odwieziony do Tarnowa, nazajutrz, 22 marca odstawionym został jako więzień stanu do zamku w Krakowie...

W obozie rozbiegła się w kilka godzin później wiadomość o odjeździe wodza i wywołała straszne zamieszanie. Wybuchły najrozmaitsze namiętności, a okrzyk „zdrada!“ do reszty wszelką karność i spójność szeregów rozwiązał. Zaczęto gromadnie uciekać ku granicy, wołając, że wszystko stracone. Ktokolwiek słabszej był wiary i nie chciał dłużej narażać życia, korzystał z popłochu i rzucając broń, przeprowadzał się przez Wisłę. Dwa tylko oddziały zdołali uratować C z a c h o w s k i i Ś m i e c h o w s k i. Pierwszy, zwyciężywszy Moskali 20 marca pod Potokiem, na drodze z Chmielnika do Rakowa, utorował sobie dalszą drogę w głąb kraju i długo jeszcze imię jego było postrachem dla Moskwy. Drugiego hufiec, party przez kilkotysięczny oddział Moskali, po stoczeniu niepomyślnej potyczki dnia 21 marca pod Czernichowem, w pobliżu Igołomy, zmuszony był schronić się do Galicji i złożyć broń w ręce Austriaków.

Tak zakończyła się dyktatura Langiewicza, mijając szybko dla kraju, jak sen pełen złudnych marzeń i obrazów, który, spłoszony nagle nagą a cierpką rzeczywistością, ucieka, zostawiając zbudzonemu tęskne wspomnienie i rozczarowanie bolesne!...

Dla powstania był to cios moralnie bardzo dotkliwy, ale nie upadło jeszcze, podtrzymywane uludną nadzieją interwencji mocarstw zachodnich. Władza rządowa przeszła napowrót do komitetu centralnego, działającego jako rząd tymczasowy, w którego imieniu komisarz nadzwyczajny, S t e f a n B o b r o w s k i, zaraz po uwięzieniu Langiewicza dnia 21 marca wydał do narodu odezwę. Z powodu twierdzenia tegoż Bobrowskiego, że dyktaturę wywołały jedynie intrygi partyi krakowskiej,

która przez Adama hr. Grabowskiego wręczyła Langiewiczowi w Goszczy „sfalszowany“ akt zrzeczenia się władzy przez komitet centralny na rzecz generała, przyszło pomiędzy Grabowskim a Bobrowskim do pojedynku, który się odbył w Poznańskim, w Łaszczyńce pod Rawicem, a zakończył się śmiercią Bobrowskiego, młodzieńca 23-letniego, „jednego z najdzielniejszych i najenergiczniejszych inicjatorów styczniowego powstania“, jak go zowie autor „Historji powstania“, wydanej we Lwowie 1882 r.

Takim był tragiczny epilog dyktatury.

\* \* \*

Langiewicza wywieziono z Krakowa nasamprzód do Tysznowic. Pisał on ztamtąd dnia 10 kwietnia 1863 r. do brata<sup>1)</sup>:

„Jestem tu otoczony potrójną a gęstą siecią szpiegowską. Policja austriacka, szpiegi moskiewskie i agenci Mierosławskiego czuwają nademną. Zawiadomiłem rząd austriacki, że się zrzekam udzielonego mi ruchu swobodnego („freie Bewegung“) w Tysznowicach i że tém samém przestaję być wiązany słowem honoru, daném w dniu 2 kwietnia. Żywot mój jest bardzo gorzki, aleć wiadomo ci, że nigdy nie był bardzo słodkim, boć cel, ku jakiemu dążyłem, był stromy. Nigdy też z oka nie spuszczać mego obowiązku... O powodach mego wyjazdu z obozu i pojmania mię przez Austriaków dziennik „Czas“ umieszczał dość dużo prawdziwych szczegółów. Nie czas jeszcze wyjawiać całej prawdy o niektórych łotrostwach, choć mój osobisty interes tego wymaga...“

Wkrótce po tém przeniesiono dyktatora z Tysznowic do twierdzy Josephstadt i rozpoczęły się układy ze strony polskiej z władzami szwajcarskimi o nadanie mu obywatelstwa, a tém samém uwolnienie go z więzów austriackich. Posłuchajmy, co o tém pisał pod dniem 27 grudnia 1863 r. do swęj rodziny:

„Wiadomo ci, że gmina Kilchberg w kantonie Zürich udzieliła mi obywatelstwo gminne. Rząd wszelako kantonowy, odwołując się do istniejących ustaw, z których jedna wymaga pięcioletniego pobytu w kantonie, odmówił zatwierdzenia tego obywatelstwa. Przytém wyraził swe sympatye dla sprawy polskiej i dla mnie. Pewnie się z prawdą nie mijam, twierdząc, że na owo odmówienie wpłynęły zabiegi zwolenników Ś. Przymierza...“

„Uzyskawszy pruski dokument expatryacyjny, silnie lecz bez pożądanego skutku nagabywano ministerjum austriackie. Jeden z ministrów odpowiedział, że Langiewicz może być aż nadto przekonany, że będzie wolnym, skoro sprawa jego obywatelstwa szwajcarskiego będzie ukończona i że rząd austriacki jest o nię w układach. Inny minister mnięj dyplomatycznie wypowiedział, że nie może przyobiecać mego uwolnienia, choćbym nawet był już obywatelem (szwajcarskim), że

<sup>1)</sup> Otrzymałem od p. B. Seredyńskiego z Witkowa, którego siostra była za dr. Aleksandrem Langiewiczem, bratem dyktatora, listy tegoż, pisane po aresztowaniu do brata i z tych podaję tutaj niektóre wyjątki w tém przekonaniu, że te poufne doniesienia o własnej doli i zapatrywania się na sprawę polską męża, który przez krótki wprawdzie czas, ale najwyższą dzierżył w Polsce władzę, nie będą bez zajęcia dla czytelników, zwłaszcza że rzucają światło na piękny i czysty charakter Maryana Langiewicza i zdrowy jego sąd o położeniu ówczesném polityczném.

Langiewicz jest sztandarem i że jego uwolnienie zależeć musi od stanu polityki. Powszechna to u wielu rządów zasada, że siła i interes stoją nad prawem... Nareszcie w tych dniach odebrałem trzy telegramy donoszące: 1) że gmina Grenchen w kantonie Solothurn jednomyślnie udzieliła mi obywatelstwo; 2) że wielka rada tegoż kantonu jednomyślnie dała swą aprobacją; 3) że dyplom obywatelski i paszport dla mnie szwajcarski dzisiaj wysłanemi zostały do Wiednia. Zdaje się zatem, że odjętóm jest nawet upozorowanie dalszego mię więzienia. Wszelako zbyt wiele nabyłem doświadczenia, iżbym miał być pewnym wypuszczenia mego. Gdybym był obywatelem angielskim lub francuskim, nie wahałoby się natychmiast mię uwolnić, bo inaczej zawitaliby wnet do Tryestu nieproszeni goście. Inna rzecz z Szwajcaryą i dla tego nie mogę się pozbyć obawy, że będę i nadal zatrzymanym. Jeśli nie zawrze się sojusz austriacko-francuski, trzymać mię pewnie będą, aż się powstanie w ten lub ów sposób nie zakończy. Mimo licznych błędów, jakich tutejsi politycy w bieżącym roku się dopuścili, mniemam jednak, iż w następnych kilku miesiącach przekonają się, że po za przymierzem z Francją prawdopodobna Austryą czeka zguba. W tym naturalnie wypadku będę wolny.“

Obawy dyktatora były słuszne i nie tak prędko jeszcze miał odzyskać wolność.

W liście jego z 4 września 1864 r. z Josephstadtu znajdują się ciekawe szczegóły o Mierosławskim i o pamiętnym procesie berlińskim przeciw „Janowi Działyńskiemu i jego współnikom“:

„Stosunek Guttrego do Mierosławskiego był mi znany. Trudno osądzić, czy ambicya czy brak zdrowego sądu robi ludzi chwiejnymi. Wszakże i R. (czyli téż K. — nieczytelne), mimo własnych doświadczeń i moich bardzo stanowczych ostrzeżeń, łączył się z Mierosławczykami i tém wiele kłęsk spowodował. Mierosławski przed dwoma laty wysłał przez kilka miesięcy morderców (?) przeciwko mnie jako zdrajcy Ojczyzny i szpiegowi moskiewskiemu, a do obozu mego przysłał delegata z propozycją tryumwiratu: Langiewicz, Wysocki, Mierosławski. Przez kilka lat przeszedłem praktykę polityczną taką, że mię już nic nie dziwi i że tém bezpieczniejszą idę drogą, bo już bardzo mało mogę doznać zawodów.

„Dr. Jannecki pisze mi pomiędzy innymi: ... „Powodem méj opóźnionej odpowiedzi był czasowy wyjazd prof. Gneista, znamienitego prawnika i obrońcy w tym procesie, którego powrotu wyczekiwałem, aby się z nim naradzić, jaki zrobić użytek z listu Pańskiego, którego osnowa dla sprawy bronionej tak ważną jest. Nie łudziliśmy się nadzieją, aby sąd stanu zawezwał Pana na świadka i to z rozmaitych przyczyn; chodziło więc o to, aby przynajmniej mózdz od Pana złożyć świadectwo piśmienne w dowód, że podczas powstania polskiego nie zamierzano żadnych nieprzyjaznych kroków przeciw Prusom. Temu celowi odpowiadał najwyborniej list Pański, którym mnie zaszczyciłeś, swą formą i treścią. Pozwoliłem sobie tedy słownie umieścić całą osnowę listu we wniosku, który przedstawiłem celem wysłuchania Pana, a świadectwo to Pańskie, lubo tylko piśmienne, wywarło wpływ znaczny na część zasiadających sędziów. Większy to jednakże wywrze wpływ na opinią publiczną, co przy stanie sprawy jest rzeczą najważniejszą. Jeśli się ogłoszeniem Pańskiego listu dopuścił niedyskrecyi, zechciej mi to Pan wybaczyć. Od-

niesienie się w tym względzie do Pana byłoby za wiele czasu zabrało, a ja nie chciałem, aby list jeszcze dawniejszym był co do daty, nimby doszedł do wiadomości sądu i publiczności. W tych dniach zresztą ponowię na posiedzeniu sądowym wniosek, z którym mnie sąd zapadłą uchwałą oddalił.“

„Przytoczyłem ci te słowa, bo się odnoszą do procesu, który cię niezawodnie mocno obchodzi. Wedle mego zdania rząd pruski wytoczeniem tego procesu popełnił wielki błąd polityczny. Może być, że pojedą do Berlina.“

Podróż ta jednakże nie przysła, z wyższych zapewne wskazówek, do skutku. Langiewiczza uwolniono dopiero 28 lutego 1865 r., gdy powstanie dawno już było pogrzebione, a krew tylko niedoschła i zgliszcza na wół jeszcze dymiące okrywały Królestwo Polskie, Litwę i Ziemie zabrane... O wyjeździe swym z twierdzy i podróży przez Bawaryą do Szwajcaryi pisze w liście z 6 marca 1865 roku z Villi Broëlberg pod Zürichem:

„W wtorek po południu odprowadzono mię z Josephstadtu do Furth pod eskortą komisarza policyi, bez zatrzymania się na terytorium austriackim. Chciałem incognito przejechać przez Bawaryą i Szwajcaryą aż do Zürich, lecz na wszystkich stacyach wiedziano o moim przejeździe i poznawano mię. W Monachium już byłem zakupił bilet na dalszą podróż, lecz tamże zamieszkujący pułkownik R u c k i urządził na dworcu straż, która mię zdybała i spowodowała do pozostania dwóch dni w Monachium. Doznawałem wszędzie najserdeczniejszego w przejeździe przyjęcia. Na wyjeździe z Bawaryi i wstępie na ziemię szwajcarską odebrałem telegramy od urzędników rządu kantonu St. Gallen w imieniu ludu miasta St. Gallen, zapraszających mię do obrania drogi na St. Gallen, gdzie przy tej sposobności chciano na rzecz polską zrobić demonstracyą. Lecz musiałem odmownie podziękować, będąc i zniszczonym i gdzieindziej obiecany. W sobotę stanąłem w willi hr. P l a t e r a (W ł a d y s ł a w a), gdzie kilka dni muszę wypocząć, a następnie oddawać wizyty władzom Rzeszy kilku kantonów, miast i pojedynczym osobom, bardzo życzliwym sprawie polskiej. Dla mego usposobienia jest to bardzo ciężki obowiązek, ale się od niego nie mogę odsunąć...“

W miesiąc później, pisząc dnia 6 kwietnia 1865 r. do brata, już więcej o przyszłości nieszczęśliwego kraju i współtułaczów, niż o sobie myśli:

„Od czasu przyjazdu mego do Szwajcaryi bawię w willi hr. P l a t e r a, w rozkosznej okolicy nad jeziorem zürichskim, wśród najtroskliwszej i najserdeczniejszej gościnności. Wszędzie tak u władz, jak i u osób prywatnych napotykam na uprzejmość, serdeczność i poważanie, co mi bardzo ułatwia niesienie bratniej pomocy nieszczęśliwym towarzyszom tułactwa. W pierwszych tygodniach dla niezbędnie mi potrzebnego wypoczynku prawie wcale nie opuszczałem tutejszego ustronia, co dziennikarstwu rosyjskiemu było powodem do głoszenia, że Szwajcarowie zimno mię przyjmują i teraz żałują udzielenia mi praw obywatelskich. Tém oburzeniu Szwajcarowie przyjmują mię tém ostentacyjniej.“

„W więzieniu ułożyłem sobie plan spokojnego niejakiś czas życia, lecz dotąd tylko czas snu dla siebie używać mogłem. Odbierać i robić wizyty, odbierać i wysyłać korespondencye, oto całodzienne zajęcie

które nie wiem, kiedy się odmieni, bo stosunki ciągle się rozszerzają. To też ani wyobrażenia nie mam o tém, kiedy będę mógł opuścić Broëlberg bez narażenia rozlicznych interesów na szkodliwą zwłokę. Myślę jednak, że w następnych miesiącach będę musiał wyjechać do Włoch i Anglii.

„Ani publicznie ani tajnie nie daję się wciągnąć do żadnych zbiorowości polskich, lecz ograniczam się do działania prywatnego. Widzę bardzo wiele złego, a mianowicie szkodliwe pod każdym względem bawienie się w dygnitarstwa, lecz obawiam się, że publiczną opozycją zwiększyłbym jeszcze obecną anarchią, konieczną po wielkich katastrofach. Ubolewam, że się szarżują ludzie bardzo zacięci, którzy w innym zakresie mogliby stać się bardzo pożytecznymi. Obdarzeni miernymi zdolnościami, bez znajomości spraw politycznych, nie umiejący się oryentować w każdorazowym położeniu, nie przewidujący rozwoju, jakiemu nasze społeczeństwo ulegać musi, przechodzą przez szkołę bardzo szkodliwą i dla siebie i dla kraju. Przed powstaniem i podczas mych czynności powstańczych robiłem rozmaite przedstawienia, których nieuwzględnienie pociągnęło za sobą ciężkie klęski. Teraz jestem szczęśliwy, bo posiadając więcej wpływu, mogę i niejednemu złemu zapobiedz i nieco pożytecznego tworzyć.

„Ziemie polskie zdają się być pogrążonymi prawie w martwość, która w Polsce pruskiej daje się najmniej usprawiedliwić. Trzeba się wziąć do prac przerwanych ostatnimi wypadkami, poprawiać interesy materialne i moralne, zachęcać do pracy i nauki, pomagać tym, którzy chcą się uczyć i których nauka będzie krajowi pożyteczną. Na wychodźtwie dużo jest młodzieży zaciętej i zdolnej, która nie mając środków do kształcenia się, swe siły marnować musi w pracy ręcznej. Nie wymaga się, ażeby pojedyncze osoby dawały tysiące, ale są tysiące osób, które mogą dać po kilka złotych bez uszczerbku. Te drobniuchne ofiary, gromadnie składane, wydadzą krajowi obfite owoce. Czemuż się pojedynczy ludzie nie chcą zająć zbieraniem drobnych składek i przesyłaniem ich n. p. do komitetów szwajcarsko-polskich? Dla naszego wychodźstwa pobyt w Szwajcaryi jest najpożyteczniejszy. Tu się przyzwyczajają do wytrwałej pracy, do nauki, do moralności, do dobrowolnego szanowania praw, do wszystkich cnót obywatelskich. Fundusze składane w komitetach szwajcarsko-polskich, używane są na skromne utrzymanie naszych inwalidów, na pomaganie rzemieślnikom, na wspieranie młodzieży w zakładach naukowych, fabrykach, warsztatach itd. Tu, w małym kraju, przy żarliwej pomocy władz i osób prywatnych, największa jest gwarancja dobrego użytku ofiarowanych funduszy. Pojmuję, że kraj może być rozczłonony na rozliczne głupstwa i bezcelestwa emigrantów. Ale jest dużo dzielnych ludzi, którzy popierani, oddadzą krajowi obfite usługi... Juźcić dosyć jest u nas ludzi, którzy półrocznego ubytku kilku talarów w swój kieszeni wcale nie poczują, bo tylko trochę zbytku potrzebują sobie odjąć. Ale w chwilach zapału rzucają tysiące, które się marnują, a nie mają siły do drobnego ale wytrwałego datku, skoro nim parady nie można robić i skoro natychmiast nie wydaje świetnych skutków. Żyją u nas jeszcze bardzo na tém przekonaniu, że dzieła wielkie są owocem drobnój, licznój i wytrwałej pracy.“

Ostatni list Langiewicza, który posiadam, datowany jest z Londynu dnia 1 maja 1866 r. w przeddzień wybuchu wojny austriacko-pruskiej. Piszę w nim:

„Mimo hałasów i przygotowań wojennych nie wierzę w wybuch wojny, a choćby takowa nastąpiła, nie spodziewam się po niej zmian radykalnych, chyba iżby się znalazła sposobność do samodzielnej akcji ludowej. Kierownikiem teraźniejszej polityki europejskiej jest Napoleon: jego tendencje dynastyczne, jego polityka wewnętrzna, mogą zrodzić wojnę jak sebastopolska, albo włoska, albo meksykańska, ale do wojen, których rezultatem musiałoby być zwycięstwo narodowości i wolności, Napoleon nie jest zdolny, a nawet nie może zezwolić, iżby elementa ludowe wmięszwały się do gry dynastycznej. Jeżeli przyjdzie do wojny, to ona będzie mi dowodem, że Napoleon znów czuje potrzebę oczyszczenia dusznej znowu atmosfery francuskiej. Jój rezultatem, przynajmniej zamierzonym, byłby mały handel szmatami ziemi. Lecz rachuby mogą mylić, więc pilnie obserwuję i nie pomnę żadnej sposobności dogodnej naszym celom.“

Rachuby Langiewicza doznały w istocie nie małych rozczarowań. Udawszy się z Anglii do Turcji, patrzył z dala na pogrom Austrii a następnie Francji, na upadek Napoleona i zastąpienie go w kierownictwie polityki światowej przez księcia Bismarcka, dalej na wojnę rosyjsko-turecką. Odsunawszy się całkiem od spraw publicznych i zerwawszy korespondencją nawet z bratem, który nie chciał przenieść się na stałe pomieszkanie do Carogrodu, oddał się wyłącznie usługom Wysokiej Porty, dla której jako agent zakupywał działa od słynnego Kruppa w Essen. W tym urzędzie zaoszczędził sobie mająteczek i pragnął spocząć na ziemi ojczyściej. Wziął dymisję i wszedł w Galicji w układy o kupno wioski w Sandeckim, gdy wracającego do kraju zaszkodziła śmierć w Wiedniu dnia 12 maja 1887 roku... Na szerszej widowni politycznej od pamiętnego dnia w Goszczy już się nie pokazał ni razu...

Świetny i głośny początek — smutny i cichy koniec!

## **V. Wielkopolska po wybuchu powstania. — Wyprawy w marcu i kwietniu aż do bitwy pod Ignacem.**

Po powrocie szczęśliwym do Wrocławia zastałem tamtejszą kolonią polską, a zwłaszcza młodzież uniwersytecką, pod wpływem ogromnego wzburzenia umysłów. Wiadomości z Królestwa rozrywano pomiędzy sobą gorączkowo; wielu z akademików sposobilo się już do wyjścia w pole. Przebywali także tutaj rozmaici rozbitki z Królestwa. W domu mi pokrewnym zastałem młodego Paulina z Częstochowy, X. Zygmunta Trawińskiego, który przed groźbą więzienia uszedł do Wrocławia, niebawem przecież miał wracać przebrany do Jasnej Góry. Zginął dzielny braciszek pod Lelowem dnia 30 września tegoż roku!... Dotąd posiadam jego fotografią, daną mi przezeń przy wyjeździe na pamiątkę. Miał przecucie śmierci, a liczył lat zaledwie dwadzieścia i kilka...

Drugim gościem, którego w tym samym domu poznałem, był również późniejszy męczennik sprawy narodowej, ś. p. Telesfor Nieszokóć, dwudziesto dwuletni niespełna młodzieniec, Żmudzin. Skoń-

czywszy szkoły w Kownie, udał się na uniwersytet do Petersburga. Pieśń „Boże coś Polskę“ i „Matko Chrystusa“ przełożywszy na język litewski, rozdzielał je w tysiącach egzemplarzy pomiędzy lud żmudzki, z którym się zrosł sercem i obyczajami. Zmuszony uciekać za granicę, był w szkole wojskowej w Cuneo, a po jej zamknięciu uczęszczał do szkoły Montparnasse w Paryżu. Na pierwszą wieść o powstaniu przybył do Wrocławia, zkąd pospieszył do obozu Langiewicza w Goszczy. Po upadku dyktatury więziony w Krakowie, skoro tylko odzyskał wolność, udał się na Litwę do oddziału Suzina. Po bitwie pod Balwierzyskami dnia 23 maja otrzymał rozkaz sformowania osobnego oddziału. Lud napływał do niego gromadnie, ale nie było dość broni. Wzięty do niewoli 5 lipca 1863 r., zbity pałkami i skazany pierwotnie na Sybir, został dnia 15 marca 1864 r. rozstrzelany w twierdzy Dynaburgu. Cześć jego pamięci!...

Bawił także wówczas w Wrocławiu pod imieniem „Stanisława Szenica“ późniejszy pułkownik w obozie generała Taczanowskiego, szef jego sztabu w drugiej kampanii, Pini, mąż wielce wymowny i miły, czy jednakże okazał się równie zdolnym żołnierzem, nie umiem osądzić (zob. niżej rozdział VII). Spotkałem go później we Lwowie.

W połowie lutego wyjechałem do Księstwa.

Niepodobna byłoby opisać wrażenia, jakie nagła wieść o wybuchu powstania w Królestwie, rozgłoszona nadzwyczajnym dodatkiem „Dziennika Poznańskiego“ w niedzielę dnia 26 stycznia, wywołała w mieście i w całej prowincyi. Szeptuła tylko garstka powitała ją z radością, jedni z niedowierzaniem i obawą, przeważna większość z głębokim smutkiem i przerażeniem. Skoro tylko przecież pierwsze szczegółowsze nieco nadeszły z Warszawy doniesienia o starciach powstańców z Moskalami na rozmaitych jednocześnie punktach, zapelniał się Poznań obywatelstwem wiejskiem i młodzieżą, celem wspólnych narad, co w tak krytycznym położeniu uczynić należy. Najgorętsi chcieli siadać na koń i spieszyć na pole walki; starsi wstrzymywali zapaleńców, twierdząc, że w pierw wypada z bliska zbadać stan rzeczy. Dwóch zatem wysłanników pełnięto do Warszawy, celem powzięcia języka. Pierwszy, zniósłszy się tamże z „białymi“, przywiózł radę, by się wstrzymano od wszelkich kroków „do dalszego.“ Drugi, zetknąwszy się z „czerwonymi“, powrócił, wioząc hasło do boju.

W skutek tak odmiennych wskazówek rozpadły się natychmiast zgromadzone w Poznaniu żywioły na dwa przeciwne obozy; jedni wołali: czekać! drudzy: hejże na Moskale! Pierwsi rozsiewali wszędzie zwątpienie i trwogę, malując rzeczy w kolorze jak najczarniejszym; drudzy budowali zamki na lodzie i przedstawiali każdą wiadomość jak najróżowiej — wszyscy prawie bez wyjątku dodawali lub ujmowali znaczenia wypadkom, tak że trudno było rzeczywistę dowiedzieć się prawdy. Tymczasem drogie upływały chwile na burzliwych naradach i przygotowaniach, a zwyczajem staropolskim tak mało baczono na hamowanie gadatliwych języków, że prezes policyi, głośny z interpelacyi dr. Władysław Niegolewski p. Baerensprung, zwykle naprzd o tém wiedział, co czynić zamierzano. Wśród takiego rozprężenia i rozgorączkowania umysłów minęły pierwsze dni lutego i nie było ani sprowadzonej broni w liczbie dostatecznej, ani zwerbowanych ochotników, ani władzy jednolitej, kierującej sprawą.

Rząd pruski na pierwszą wiadomość o powstaniu w Królestwie zajął stanowisko mu wręcz nieprzyjazne i natychmiast przedsięwziął kroki stanowe, by zapobiedz spotęgowaniu ruchu przez Wielkopolan. Wzmocniono w Poznaniu strażę na odwachach, w twierdzy pozaciągano działa na bastyonach i rozdano wojsku ostre ładunki. Dnia 27 stycznia wyszły oddziały piechoty, huzarów i artylerji z Poznania, ułani zaś z Krotoszyna, nad granicę, równie i wzdłuż granicy Prus Zachodnich i Królestwa poczęto wyciągać silny kordon wojskowy. Świeże oddziały przybyły ze Szląska i z Brandenburgii, rezerwistów powołano z ziem polskich pod broń, aby przeszkodzić ich ucieczce na pole walki. Na dworcu w Poznaniu urzędnicy policyjni dozorowali podróżnych. Dnia 31 stycznia odbyła się narada wszystkich landratów z prowincji wraz z prezesem policyi, a dnia 1 lutego ukazała się pamiętna odesza do wódzcy korpusu V, generała hr. Waldersee i naczelnego przeza, pana Horna, w której, biorąc pochop z rzekomych „niesłychanych okropności, których się powstańcy dopuszczają, przejmując grozą“, ostrzegają mieszkańców „prowincji poznańskiej“, że każdy zakus z ich strony niesienia pomocy, a nawet pośredniego sprzyjania powstaniu, uważany będzie „za przedsięwzięcie przeciw prawu krajowemu“, któreby mogło za sobą pociągnąć karę zbrodni stanu. Odesza ta wywołała ze strony posłów Kaźmierza Kantaka i Stanisława Chłapowskiego świetną w dniu 16 lutego interpelacją w sejmie, popartą przez żywoły wolnomyślnie niemieckie.

Dnia 3 lutego został mianowany generał Werder naczelnie dowodzącym nad czterema korpusami: poznańskim, szląskim, pomorskim i królewieckim, z główną kwaterą w Poznaniu, do której wkrótce potem przybył z Warszawy rosyjski pełnomocnik, pułkownik Reuter, na stałą siedzibę. Jednocześnie wydano zakaz wywożenia broni i amunicji do Królestwa i rozpoczęły się na prowincji rewizye i aresztowania, z każdym dniem się wzmagające, które nadały Wielkopolsce charakter rzeczywistego, choć nie ogłoszonego stanu oblężenia. Stan ten, wciąż obstrzany, trwał przez cały ciąg powstania aż do końca niemal roku 1864 nietylko w Poznańskiem, ale i w Prusach Zachodnich na mocy głośnej w całej Europie „konwencji rosyjsko pruskiej“, zawartej przez ministra Bismarcka z rządem rosyjskim dnia 8 lutego, przeciwko której stronnictwo wolnomyślnie wzniosło uroczysty, choć bezskuteczny protest, w izbie berlińskiej przez usta posłów Schultzego z Delitsch, Carlowitza i znanego Waldecka.

W takiej to krytycznej chwili przybyłem do Poznania na walne zebranie Towarzystwa Pomocy Naukowej.

Ujrzałem wtedy po raz drugi w życiu stolicę Wielkopolski tak wrzącą życiem i trawioną gorączką, jak ją widziałem po raz pierwszy jako chłopiec 12-letni w roku 1848...

Hotele były przepelnione obywatelami z prowincji, młodzież biegała w czamarach po ulicach miasta od składu do składu, zakupując potrzebne „na kampanię“ przedmioty; handlarze koni przeprowadzali wierzchowce, które nabywano prawie bez targu; w miejscach publicznych gwar był niesłychany, brząkano ostrogami, próbowano pałaszy, oglądano sztucery i dubeltówki...

Przy naradach ścierały się z sobą dwa zdania: starsi z małemi wyjątkami pragnęli wciąż wyczekiwać, młodszy wydzielali się do czynu.

Ztąd powstał nieład i chaos, który głównym był powodem klęski pierwszej z Księstwa wyprawy. Najgorętsi, nie mogąc się doczekać wymarszu oddziałów organizujących się z wielką ostrożnością pod oczyma czujnych władz pruskich, podążyli w Krakowskie. Pierwszą ofiarę krwi i życia złożył na ołtarzu Ojczyzny z Wielkopolski Stanisław Radziwiłł dnia 17 lutego w niefortunnym napadzie Kurowskiego na Miechów (zob. niżej). Wieść ta głuchym echem przebiegła całe Poznańskie.... W kilka dni później doszła wiadomość o pojawieniu się Ludwika Mierosławskiego na Kujawach z garstką emigrantów, a w ślad za nią smutne szczegóły o niepomysłnych potyczkach pod Krzywosądem dnia 19 lutego i pod Nowąwsią 21 lutego, w których oddział Kaźmierza Mieleckiego brał udział. Przyszło tutaj do żywej zwady pomiędzy dzielnym partyzantem, a pełnym uprzedzenia i ambicji generałem i rzekomym dyktatorem. Mielecki pierwotnie uznał chętnie wyższą powagę, ale widząc wkrótce niefortunne czyny i zamysły Mierosławskiego, potrafił im się oprzeć stanowczo i bezwzględnie, „a najpiękniejszym dla niego świadectwem było to, że obóz cały niewątpliwym i głośnym objawem stanął po stronie młodego dowódcy“ („Dz. Pozn.“ nr. 155 z roku 1863). Mierosławski wprost z pola bitwy uszedł szczęśliwie do Paryża, gdzie, już po upadku Langiewicza, wystąpił z protestem publicznym przeciwko jego dyktaturze, windykując tę godność dla siebie, jako wpiernw mu dekretem rządu tymczasowego z dnia 25 stycznia ofiarowaną.

Tymczasem na pograniczach Księstwa postępowały przygotowania do wyruszenia w pole pierwszego z Wielkopolski oddziału pod wodzą wychodźcy, majora Antoniego Garczyńskiego, dawnego wojskowego, w którym wielkie pokładano nadzieje. Powiedzmy z góry, że nadzieje te najzupełniej zawiodły, a niedołężny dowódzca, zmarnowawszy oddział, wybornie uzbrojony i z kwiatu młodzieży złożony, ulotnił się i już więcej na widowni wypadków się nie pokazał.... Krzątano się z niezmiernym wysileniem, po wszystkich dworach okolicznych przebywali ochotnicy, broń przewożono z największym niebezpieczeństwem zabrania jej i utracenia pośród sieci patrolów i ruchomych kolumn pruskich. Nareszcie wybiła godzina wymarszu...

Pamiętam, było to w nocy z 28 na 29 lutego w jednej z wiosek pobliskich granicy. Ciszę rozlaną w uśpionej przyrodzie przerywało rżenie i parskanie kilku osiodłanych koni, które przed dworem czekały na jeźdźców.... Wyszliśmy na ganek, ściskając w milczeniu dłonie przyjaciół, z którymi za chwilę mieliśmy się rozstać — może na zawsze... W sieni rozlegał się płacz kobiet, matek i sióstr wyruszających do boju młodzieńców, pełnych otuchy i zapału. Wskoczyli na koń — „do zobaczenia!“ krzyknęli wesoło — i cwałem poskoczyli w topolową aleję.... Długo staliśmy w milczeniu, patrząc za nimi, jak znikali w cieniu, ścigani srebrnymi promieniami księżycy i żegnani poklonami topoli. Tentent w oddali zamierał zwolna — coraz słabiej błysły czasami ich szable — aż ich nocna owionęła pomroka.... Uroczysta, pełna nadziei i bólu, była to chwila!... Nastąpiły po niej dni gorączkowego oczekiwania i bezsenne noce obaw o los tyłu dzielnych, z których niektórzy zaledwie z lat chłopięcych wyszli. Kobiety, płacząc i modląc się, skubały na gwałt szarpie; mężczyźni biegali bez celu, nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca....

Aż nadto wcześnie, niestety, poczęły krążyć z cicha najprzód, potem coraz głośniejsze, hiobowe wieści. Już 3 marca wieczorem opowiadano po Poznaniu o rozbiściu Garczyńskiego przy wyjściu z lasów Kaźmierskich przez przeważne siły moskiewskie, o dwudniowych krwawych walkach pod Biniszewem, Dobrosołowem i Mieczownicą; wymieniano nazwiska poległych i pomordowanych na pobojuwiskach przez Moskali; mówiono, że wielu rannych zdołano przewieść do dworów nadgranicznych, że panna Emilia Szczaniecka z kilku innymi paniami i dr. Teofilem Mateckim wyjechała tworzyć lazarety; ukazała się w „Dzienniku“ odezwa tegoż lekarza, wzywająca do spiesznego nadsyłania szarpi, bandaży i bielizny na miejsca wskazane; a wkrótce potem zaczęło wojsko przyprowadzać z Wrześni do cytadeli poznańskiej gromadkami jeńców, pochwytyanych przy przejściu granicy z powrotem.... Smutek ogarnął wszystkich, pojawiły się pierwsze ogłoszenia żałobnych nabożeństw za spokój duszy poległych: Kaźmierza i Władysława braci Trąmpczyńskich, Józefa Ponińskiego, Władysława Ciesielskiego i innych (zob. niżej).

Pierwszy ten cios nie złamał wszakże ducha tej bohaterkiej młodzieży, która postanowiła waleczyć i zginąć za Ojczyznę, bez nadziei zwycięstwa, ale by spełnić swój obowiązek....

Nowe gotowały się wyprawy.

Pierwszy Edmund Callier, nie czekając na dalsze rozkazy, z małym oddziałkiem ochotników przedarł się przez granicę, by się połączyć z Mieleckim, „naczelnikiem siły zbrojnej oddziału mazowieckiego, kaliskiego i wszystkich oddziałów z Księstwa przychodzących“, który narażony na dotkliwą porażkę pod Dobrosołowem i Mieczownicą z powodu niendolności i niesubordynacji Garczyńskiego, znów z niezmordowaną wytrwałością świeżo się organizował. Nieprzyjacieli niedługo przecież pozostawił ich w pokoju. Książę Wittgenstein, na czele przeszło 1000 piechoty, jazdy i kilku dział, uderzył dnia 31 marca na oba połączone oddziały, ogółem niespełna 400 ludzi liczące, pomiędzy Olszowem a Ślesinem. Walka trwała od rana aż do późnego wieczora (porównaj z rozdziałami XIV i XV). W południe otrzymał Mielecki ranę śmiertelną, wkrótce po nim unieśli żołnierze z pola bitwy i Calliera, sączącego krew z trzech ran (zob. niżej); Miśkiewicz, po Mieleckim okrzyknięty dowódcą, począł się cofać ku lasom Ślesińskim i nad ich krańcem uległ przemocy, a oddział rozpierzchł się. Tu leżał dwudziestokilkuletni Antoni Budziszewski (zob. niżej), podczas gdy brat jego Stanisław uprowadzał Mieleckiego na stronę pruską. Odznaczyli się w tych całodziennych zapasach między innymi: z pomiędzy strzelców: Józef Szymt, ciężko ranny w nogę, Piotr Sokolnicki, Ludwik Rekowski, Michał Nawrocki, Ogrodowicz, Kurowski, Śniegocki i kapitan Michał Zieliński; z pomiędzy konnicy: Pieniążek, Gutowski, Tadeusz, Mieczysław i Julian Jaraczewscy, Stanisław Budziszewski i Bolesław Bronikowski. Ostatni, gdy Miśkiewicz w czasie bitwy zawezwał na ochotnika, toby się podjął przewieść Callierowi, broniącemu z wielkiem powodzeniem Tartaku Olszaku, rozkaz cofnięcia się z tego stanowiska ku lasom Ślesińskim, wśród największego gradu kul stępem przebył całą nie-

bezpieczną przestrzeń i stępem znów do swoich powrócił, za co w nagrodę tak zimnej krwi i odwagi otrzymał później szlify oficerskie<sup>1)</sup>.

\* \* \*

Tu godzi się słów kilka poświęcić Mieleckiemu.

Kaźmierz Mielecki, urodzony 1837 r. w Karnie w Poznaniu, był synem Prota, kapitana wojsk napoleońskich, a następnie majora jazdy poznańskiej w r. 1831, kawalera krzyża *Virtuti militari*, i Wandy z Sokołowskich, której matka, z domu Konstancya hr. Sierakowska, była rodzoną siostrą niezapomnianej dotąd w Księstwie pułkownikowej Amny hr. Ponińskiej z Wrześni. Związki zatem rodzinne miał świetne, chował się od dziecka w dostatku, a w domu rodziców, którzy w Poznaniu prowadzili przez długie lata dom otwarty i znany z gościnności, miał sposobność poznać najznakomitszych mężów Wielkopolski. Zawsze szczery, serdeczny, do konia i do strzelby skorszy niż do księgi i do pióra, był ulubieńcem rycerskiego ojca i kochanym przez wszystkich towarzyszy ławy szkolnej. Piszącemu te słowa łączyły z Kaźmierzem od pierwszej młodości bliskie stósunki. Ostatnie nasze spotkanie było w r. 1859 w Poznaniu. Poślubiwszy w Królestwie Salomeę z Pałowski, przeniósł się w Kaliskie i tu go zaskoczyło powstanie. Był jednym z najpierwszych, którzy porwali za oręż, pełni wiary w przyszłość. Porzucił młodą i ukochaną żonę, dwoje małych córeczek, szczęście domowe i dostatni majątek, i z własnego popędu, idąc tylko za głosem serca, dał to wszystko, wraz z życiem swoim Ojczyźnie na ofiarę. Spotkawszy przypadkiem niemal rozbity i bezradny oddział powstańców, rozrzewnił się nad nieszczęśliwymi, wziął ich w swoją opiekę i objął nad nimi dowództwo. Znakomita odwaga, zimna krew w boju, troskliwa dbałość o dobro żołnierzy, serdeczność w obęjściu się z każdym, pogoda duszy i szczeropolska fantazyja, odziedziczona po ojcu, jednały mu serca podwładnych i wcześniej zwróciły nań uwagę rządu narodowego, który powierzył mu szeroki zakres działania w Mazowieckim i wzdłuż granic Księstwa. Odtąd walezył chlubnie pod Izbicą, Nowąwsią, Mieczownicą, Łądkiem, Kaźmierzem, Ślesinem; uganiał się bez chwili niemal wypoczynku z coraz liczniejszym nieprzyjacielem, raz zręcznie z jego szpon się wymykając, to znowu z innej strony nagle zachodząc mu drogę i o dotkliwe pripraviając go straty. Imię jego budziło popłoch pomiędzy Moskalami. Nareszcie dosięgła go kula nieprzyjacielska pod Olszową. Przewieziony szczęśliwie przez swych adiutantów do Mamleca na terytorium pruskie, otoczony najtroskliwszą opieką, przez kilka miesięcy zwycięzko opierał się śmierci i zdawało się, że młodociane jego siły zdołają przemódz niebezpieczeństwo. Do ostatka niemal miał zupełną przytomność, duchem był na polu bitew, przysyłał piśmienne rozkazy dowódcom oddziałów sobie podwładnych i składał raporty rządowi narodowemu. Opatrzony śś. Sakramentami, skonał na rękach żony dnia 9 lipca 1863 roku, pochowany 12 t. m. w Łabiszynie. Śmierć Kaźmierza Mieleckiego była ciężką stratą dla

<sup>1)</sup> Pułkownik *Callier* w swych „Trzech ustępach” mylnie podał, że młody Zdzisław Szczawiński przewiózł mu rozkaz, na jego zatem życzenie wiadomość tę prostuję.

powstania, które w nim straciło jedną z najsympatyczniejszych i typowych postaci. Wielkopolska złożyła wraz z nim do grobu jednego z najszlachetniejszych i najdzielniejszych swych synów, którego pamięć zawsze wciąż otaczać będzie!

\* \* \*

Żałoba coraz szerszym zagonem rozpościerała się po Księstwie, coraz bardziej zaludniały się więziami kazamaty cytadeli poznańskiej, wzmagaly się rewizye po mieszkaniach prywatnych, po lasach, a nawet po kościołach, gdzie szukano przechowanej broni, ale bądź co bądź potężniał duch i zapał, zwłaszcza w młodzieży i w Polkach, przodujących zawsze przykładem patriotyzmu w chwilach przełomów dziejowych... Ogłoszenie dyktatury, a tém samém rządu widomego, obecność przy boku Langiewicza męża tak wytrawnego jak *Bentkowski*, który nie wahał się na dniu 11 marca złożyć mandatu poselskiego i wprost z Berlina pospieszyć do obozu w Goszczy, znacznie wpłynęły na uspokojenie zatrwożonych umysłów i zjednoczenie się przeciwnych dotąd stronictw. Utworzył się nowy dla Księstwa komitet pod przewodnictwem hr. *Jana Działyńskiego*, w którego skład weszły pierwszorzędne w kraju powagi i cała akcyja przybrała charakter jednolitości, zyskując przez to nie mało na energii i sile.

Nagle gruchnęła wieść, że trzy oddziały szczęśliwie przeszły granicę i pod wodzą hr. *Young'a de Blankenheim*, *Faucheux'go* i *Edmunda Taczanowskiego* zajęły nadgraniczne w Królestwie miasteczka. Prócz zabranego w powiecie pleszewskim transportu broni, żadnej znaczniejszej nie poniesiono straty, a od połowy kwietnia codziennie przedzierały się małe garstki ochotników przez gęsto rozstawione patrole wojsk pruskich, by się łączyć z obozami powstańców.

Z tych najznaczniejszy był w Pyzdrach pod Taczanowskim, z którym się niebawem połączył oddział *Faucheux'go*.

Podczas gdy w obozie pyzdrowskim upływał czas wesoło na mustrze i przygotowaniach do walki, w innej stronie Królestwa drugi zastęp wielkopolskiej młodzi pod wodzą szlachetnego cudzoziemca *Younga* jedno z najświetniejszych w powstaniu z 1863 roku odnosił zwycięstwo pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia. A jakkolwiek straty polskie były znaczne i bardzo dotkliwe śmiercią walecznych, jak kapitan *Maryński*, *Powidzki*, *Brodowski*, *Marcinkowski*, *Offierski*, towarzysz drukarni *Kamińskiego* w Poznaniu, *Karpiński*, *Każmierz Trampczyński*, druga tegoż imienia, a trzecia tego nazwiska ofiara, *Libelt*, młodszy syn znakomitego w Polsce *Karola* (zob. niżej), i ranami 27 młodzieńców, z których że wymienię tylko *Jana Szmyta*, *Każmierza Tułodzieckiego*, *Ludwika i Stanisława Bronikowskich* (zob. niżej), zwycięstwo to przecież stanowcze, bo zakończone ucieczką Moskali na terytorium pruskie, ogromnie wpłynęło na podniesienie umysłu młodego żołnierza i nową dodało mu otuchy i wiary w siebie.

Niestety, nie miano nawet czasu nacieszyć się świetnym dla oręża polskiego tryumfem, gdy najprzód głucha wieść, a pokrótce szczegółowe doniesienia o klęsce pod *Brdowem* dnia 29 kwietnia i o śmierci bohaterkiego *Younga de Blankenheim*, jednego z najwaleczniejszych ofi-

cerów armii powstańczej i najszlachetniejszych synów pobratymczej nam duchem Francji, przeraziły wszystkich i niewypowiedzianym napeniły smutkiem. Naprózno oczekując posiłków od obozującego w pobliżu Seyfrieda, ledwie mając czas do rozrzucenia strzelców w tyraliery, zapominając o obowiązkach wodza, biegł z kosą w rękę nieustraszony Young, pełen miłości dla świętej sprawy polskiej, na czele żołnierzy w ogień kartaczowy, jako jedyny rozkaz i hasło w ostatecznej chwili wołając pamiętne słowa: „*toujours en avant!*“ — wciąż naprzód — aż kula moskiewska nie wydarła mu głosu z piersi. Po upadku wodza i jego zastępcy, Wasilewskiego Aleksandra, byłego emigranta, parte przemocą, zewsząd rażone morderczym ogniem krzyżowym z dział i broni ręcznej, zaledwie małe resztki oddziału zdołały ocalać; reszta legła obok wodza na placu, inni się rozpierchli. Nie zliczyć ofiar, które tu padły, nie zliczyć przykładów męstwa i poświęcenia, które tutaj wśród grzmotu dział i potoków krwi co chwila jasnym świeciły blaskiem....

Young de Blankenheim leżał na pobojowisku na wpół żywy jeszcze, gdy rozdziczona tłuszczą moskiewską, pastwiąca się nad ranymi, na nieszczęście go spostrzegła. Rzucono się nań z bagnietami, zadano mu 34 pchnięć, odcięto palec z drogocennym pierścieniem, którego zerwać nie zdołano. Znalezione przez towarzyszków broni zwłoki jego i przez parę dni ukryte w stodole, pochowano w Brdowie dopiero 5 maja<sup>1)</sup>.

Bohaterskiem męstwem i męczeńską śmiercią swoją zapisał się Young de Blankenheim złotemi głoskami w poczet najzasłużniejszych synów przybranej swj Ojczyzny, Polski, a przyniósł chlubę Francji.

Seyfried, zastępca rannego Mielęckiego, który z założonemi siedział rękoma, kiedy przeważna siła moskiewska mordowała pod Brdowem słabsze i zmęczone szeregi Younga, „jak zabłysnął, tak zniknął bez śladu ze sceny powstańczej“<sup>2)</sup>, okryty hańbą i pogardą towarzyszków broni (zob. niżej opis przebiegu potyczek pod Nowawąsą i Brdowem w życiorysie Mieczysława Jackowskiego).

\* \* \*

Tegoż samego dnia, kiedy oddział Younga rozbiły przeważne siły moskiewskie, zbliżyła się i pod Pyzdry znaczna kolumna nieprzyjacielska, ale ze stratą zmuszona była się cofnąć. Taczanowski przecież, przewidując ponowny atak Moskwy, opuścił z całym oddziałem Pyzdry, stoczył dnia 6 maja pomyślną utarczkę pod Kołem i nazajutrz wieczorem stanął w Ignacewie. Tu wywiązała się dnia 8 maja mordercza walka, zakończona zupełną klęską naszych.

Bliższe szczegóły tej pierwszej wyprawy Taczanowskiego znajdzie czytelnik w życiorysach jój wodza i najwybitniejszych jój uczestników, oraz w opisie przygód powstańców *Józefa Skorego* i *Jana Żuromskiego*, zamieszczonych poniżej.

<sup>1)</sup> „Pamiętka dla rodzin polskich“, Kraków. 1867.

<sup>2)</sup> „Trzy ustępy z powstania“ *Edmunda Calliera*. Poznań, 1868.

Na t $\acute{e}$ m miejscu dodaję tylko, że w przeddzień walki pod Pызdrami odbyła w Poznaniu policya rewizyą w pałacu Działyńskich, która stała się powodem uwięzienia mnóstwa obywateli i powracających z pod Ignacewa, a niewiedzących o nicz $\acute{e}$ m i ufnych w swe paszporty pruskie powstańców.

Całe Księstwo okryło się kirem żałoby.

## **VI. Kraków po upadku dyktatury aż do rozbicia wyprawy Jordana.**

Wydział spraw zagranicznych — Mieczysław Waligórski. — Wycieczka do Warszawy. — Potyczki pod Polesiem, Krzykawką, Igołomią, Szcycami i Komarowem. — Zakończenie moich wspomnień.

Około połowy kwietnia opuściłem Poznańskie i powróciłem do Wrocławia. Tu doszedł mnie list Waligórskiego z Krakowa, powołujący mnie do t $\acute{e}$ j starodawn $\acute{e}$ j Jagiellonów stolicy. Przybyłem tam dnia 17 kwietnia i zamieszkałem w hotelu Saskim obok Waligórskiego, który mi oświadczył, że będę pełnił obowiązki sekretarza w wydziale spraw zagranicznych pod jego wyłączeni $\acute{e}$ m kierownictwem. Jak $\acute{e}$  w $\acute{o}$ czas zajmował stanowisko urzędowe, tego nie wiem, tyle pewna, że w biurze nasz $\acute{e}$ m pracowała najznakomitsza młodzieź krakowska, z któr $\acute{e}$ j kilku dziś bardzo wysokie w Galicyi dzierży godności, dwóch zaś, Juliusz hr. Tarnowski i Władysław Jabłonowski, poległi śmiercią bohaterską w bitwie pod Komarowem. Zajmowaliśmy całe niemal pierwsze piętro hotelu, a główn $\acute{e}$ m nasz $\acute{e}$ m zatrudnieniem było układanie z raportów, nadchodzących z pola walki, i z sprawozdań agentów i posłów rządu narodowego, które nam ksią $\acute{z}$ ę Władysław Czartoryski z Paryża przysyłał przez kuryerów, korespondencyi i telegramów do pism polskich i rozlicznych zagranicznych. Depesze telegraficzne od i do władz narodowych otrzymywaliśmy i wysyłałiśmy w j $\acute{e}$ zyku niemieckim w formie depesz handlowych, wedł $\acute{u}$ g słowniczka układu, jeśli się nie mylę, przeważni $\acute{e}$ e Waligórskiego, który władał j $\acute{e}$ zykiem niemieckim jak ojczystym i któremu prawo i korespondencya handlowa nie były obcemi. Rząd narodowy i w $\acute{a}$ żniejsze osobistości miały po kilka mian, głównie znakomitych firm kupieckich warszawskich, krakowskich, lwowskich i poznańskich. Ka $\acute{z}$ dy gatunek zbo $\acute{z}$ a przedstawiał inny rodzaj broni; na oznaczenie wyjścia nowego oddziału, lub jego rozbicia służyły osobne wyrażenia. Najbardziej mnie zdumiewała usłużność austriackich urzędników telegrafu. Zdarzało się, że posłaniec przyszedł do biura z kilku depeszami, ka $\acute{z}$ da pod innym adresem. Wtedy oddawał mi je z kolei, za ka $\acute{z}$ dą biorąc milcząco guldena, którego kładłem na rogu stolika, ja zaś ka $\acute{z$ dą s $\acute{o}$ sownie do adresu podpisywałem inn $\acute{e}$ m nazwiskiem. Z sprawozdań naszych zagranicznych posłów najciekawsze były, o ile sobie przypominam, z Paryża i z Sztokholmu, z rozmów poufnych z cesarzem Napoleonem III i z królem szwedzkim, w którego państwie przygotowywała się właśnie wyprawa Łapińskiego na wybrze $\acute{z}$ a infantskie. Najw $\acute{a}$ żniejszą moją czynnością urzędową, cho $\acute{c}$  właściwie żadn $\acute{e}$ j nominacyi nie posiadałem, było podpisanie dymisyi dla Cwierciakiewicza, posła naszego w Londynie. Skryptu tego nikt widocznie podpisać nie chciał, bo przejęcie go przez władze austriackie groziło więzieniem podpisanemu. Waligórski zat $\acute{e}$ m udał się do mnie, przedstawiając, jak

wielkie zjednałem sobie u rządu narodowego uznanie, skoro mi tak ważny dokument poleca podpisać. Rozumie się, że mi to wiele pochlebilo i położyłem swoją imię i nazwisko pod dymisją nie tylko bez obawy, ale nawet z niemalym zadowoleniem. — Drugą i to niebezpieczniejszą jeszcze czynnością moją była misja do Warszawy, ale o niej później. — Co wieczór zamykał Waligórski wszystkie papiery nasze do wielkiej teki i — skoro zasnął, kładł je pod moją poduszkę. Po dwakroć odbyły się w hotelu i biurze naszym nad ranem rewizye, a ja, o niczem nie wiedząc, spokojnie podawałem komisarzowi policyi mój paszport pruski, którego przejrawszy, odchodził. Dopiero hr. Stanisław Plater, który często wówczas przyjeżdżał do Krakowa, odkrył mi ten fortel mego szefa. Puściliśmy wszystko w żart, ale odtąd przenoszono wieczorem tekę naszą dyplomatyczną do pewnego ustronia hotelowego, do którego bystra policya austriacka nie uważała za potrzebne przy częstych rewizjach zaglądać.

Tyle o biurze naszym, a teraz słówko o jego naczelniku.

S. p. Mieczysław Waligórski pochodził z rodziny szlacheckiej zubożałej i kształcił się najprzód w gimnazjum leszczyńskim, następnie w zakładzie szlacheckim w Lignicy. Uniwersytet ukończył w Berlinie, gdzie z najpierwszą w Księstwie młodzieżą się przyjaźnił. Obrawszy sobie zawód prawniczy, pracował najprzód w Bydgoszczy, a następnie — przy policyi berlińskiej za czasów osławionego Hinckeldey'a. Jak całe życie Waligórskiego, a nawet i śmierć jego otoczone były pewną tajemniczością, tak i udział jego w pruskiej policyi pozostał dla wielu zagadką, choć się tłumaczył, że pragnął dla przyszłego zawodu i ten wydział administracyi państwowej bliżej poznać. W roku 1860 przybył do Poznania, porzuciwszy nagle karierę rządową i był założycielem dziennika niemieckiego „Deutsche Zeitung“, mającego brońić spraw polskich, który jednakże upadł. Jeździł później po Galicyi dla zbierania podpisów na akcyje „Tellusa“ i liczne pozawiazywał także stosunki. W końcu r. 1861 udał się do Warszawy, starając się o posadę u margrabiego Wielopolskiego, którego względy także umiał sobie pozyskać; jednocześnie wstąpił do redakcyi „Gazety polskiej“ i należał, jak powiedzieliśmy wyżej, do stronnictwa „białych“. Krótco przed branką wyjechał do Lwowa, gdzie się właśnie sejm odbywał; wreszcie pojawił się w Krakowie, gdy rzecz się toczyła o ustanowienie dyktatury. Czy z nominacyi Langiewicza objął kierownictwo wydziału spraw zagranicznych i biura prasowego w Krakowie, nie mógłem się dowiedzieć. Wypędzony z Krakowa i Austrii, pospieszył do Paryża, zkąd go wysłano jako pomocnika hr. Władysława Zamoyskiego do Londynu, gdzie wkrótce sam reprezentował rząd narodowy. Widząc chyłące się ku upadkowi powstanie, zawiązał Waligórski za mojem pośrednictwem, jako ówczesnego redaktora, układy o nabytcie „Dziennika Poznańskiego“, powrócił do Księstwa, z właściwą sobie zręcznością w krótkim czasie zebrał grono akcyonaryuszów i kupił „Dziennik“, którego został firmowym właścicielem i kierownikiem. Waligórski nie władał dostatecznie piórem, aby być dziennikarzem, był nim przecież z natury i instynktu. Nikt nie umiał tak jak on, dać trafniejszych i najbardziej na czasie wskazówek, nikt swego czasu tak jak on nie potrafił uderzać w samo jądro kwestyi i rozwiązywać jęj za pomocą najręczniejszych kombinacyi. Przymem miał znakomity dar jednania sobie ludzi i wyzyskiwania

ich, w miarę ich zdolności, ku swym celom. To też od chwili objęcia „Dziennika“, starał się wszystkie nici życia publicznego w Księstwie ująć w swych ręku, a choć z rozmysłu nigdy na pierwsze nie wysuwał się miejsce, przecież niewątpliwie najgłówniejszą stał się sprężyną w organizmie narodowym wielkopolskiej dzielnicy. „Dziennikowi“ nadał rozgłos i znacznie wpływ jego rozszerzył, myśl czytelni ludowych rzucił pierwszy i rozwinął, zdobył sobie mimo licznych przeciwników krzesło poselskie i natychmiast podjął w sejmie starania około oswobodzenia rodaków naszych, zesłanych na Sybir; słowem, był w niustamnym ruchu i coraz szersze zawiązywał stosunki tak w kraju jak za granicą. W Londynie bywał gościem Palmerstona, w Wiedniu kanclerza hr. Beusta, w Paryżu St. Marc Girardin dawał dlań wieczory, Schlesinger, znakomity publicysta wiedeński, zaliczał się do jego przyjaciół. Otaczał się przytém pozorami nie tylko dobrobytu, ale nawet zamożności, której źródło pozwalał odgadywać w pomyslniej grze giełdowej w czasie pobytu swego w Londynie. Urządził u siebie t. z. niedzielne pogadanki, przy kieliszku wódki i przekąsce, na które rozesłał zaproszenia po całym Księstwie; dawał raz po raz dla szczuplejszego grona bliższych znajomych tak wykwiutne obiady, że przyjaciel i wielbiciel jego, ś. p. sędzia Kazimierz Jaróchowski, zwykł go być żartobliwie nazywać „polskim Montechristem.“ A przecież ten pozorny dostatek okazał się po jego śmierci czczym bliechtem i sprzedaż aukcyjna całej jego pozostałości nie zdołała pokryć nawet części jego rozlicznych długów, o których nikt za jego życia nie wiedział... W obejściu był chłodny, ale uprzejmy i znał wybornie formy towarzyskie. Spokój jego i pewność siebie graniczyły czasami, zwłaszcza wobec cudzoziemców, z pewną czelnością. Dla rodzin wszakże, które go w młodości wspierały, zachowywał wdzięczną pamięć i starał się przy każdej sposobności ją okazywać. Gdy w Warszawie wyczytaliśmy w „Dzienniku“ wiadomość o śmierci ś. p. Zygmunta Szczanieckiego, łzy stanęły mu w oczach. Mimo to wątpię, by sercowym był człowiekiem i jestem przekonany, że zupełnej prawdy nikt nigdy z jego ust nie usłyszał, zwłaszcza co się tyczyło jego własnej osoby. Lubił obcować w sferach arystokratycznych; widywałem u niego w Warszawie mężów najpierwszych w kraju nazwisk; we Lwowie zwykle się ukazywał w czasie sejmów w łoży księżny marszałkowej. Jeśli wiernym był w przyjaźni, umiał także odpłacać pięknem za nadobne tym, co go urazili. W roku 1860 po trzykroć podawał się na członka Koła towarzyskiego w Poznaniu i po trzykroć go nie przyjęto dla zagadkowej jego przeszłości. Skoro tylko później przyszedł do steru, zadał temuż Kołu cios śmiertelny niemal przez założenie odrębnej w Poznaniu t. z. resursy, rekrutującej się wyłącznie z obywatelstwa wiejskiego. Zakończył życie nagle i całkiem niespodzianie. Przybył z Berlina na dni kilka do Poznania, by się naradzić z przyjaciółmi politycznymi w sprawie niefortunnego występu w izbie poselskiej Libelta w kwestyi duńskiej. Po powrocie do Berlina skoro tylko zszedł z mównicy, przemówiwszy krótko na rzecz swój interpelacji w sprawie granicznych stosunków z Rosyą, tak gwałtownie zapadł w mieszkaniu swém na tyfus i czarną ospę, że od razu utracił mowę. Choroba była tak niebezpieczna, iż nikt nie ośmielił się zbliżyć do jego łoża, zwłaszcza że wszyscy posłowie, jego koledzy, porzucydzali się do domów na święta Bożego Narodzenia. Na dwa dni przed śmiercią przybył do Ber-

lina pułkownik Callier, administrator „Dziennika“, ale już go zastał konającego. Prócz zegarka i kilku talarów, nie znaleziono żadnych pieniędzy ani kosztowności przy zmarłym, jakkolwiek przed wyjazdem wziął z sobą znaczną summę z funduszów czytelników ludowych.... Umarł dnia 2 stycznia 1868 r. na obczyźnie, osamotniony, unosząc z sobą wszelkie swe tajemnice do grobu. Z powodu śnieżnych zawiei zaledwo kilku z jego przyjaciół zdołało w ostatniej chwili przybyć na jego pogrzeb, a otwarta później w „Dzienniku“ składka na pomnik dlań na cmentarzu berlińskim zaledwo 200 talarów przyniosła.... Tak ginie wielkość ludzka!... Że zaś Waligórski miał w sobie zasoby na wielkiego męża stanu i znakomitego dyplomatę, o tém nie może powątpiewać nikt, kto go poznał bliżej za życia.

\* \* \*

Kraków od dawna nie był tyle ożywionym, jak w chwili, kiedym doń przybył. Ulice a zwłaszcza rynek roily się od młodzieży, kawiarnie były nią przepelnione, w teatrze wszystkie miejsca zajęte, a huczne oklaski, jakimi witano narodowe pieśni, świadczyły o rozbudzonym duchu i wesołości, choć śmierć i gorsza od niej niewola moskiewska stały już za pasem. Wieczorem sale hotelu Saskiego zaledwie zdołały objąć gości, którzy spieszyli do Heurteux'go pożegnać się, często na zawsze z rozkoszami młodości; gwarzono przy pieniającym się szampanie, rozprawiano o przyszłych zwycięztwach, spełniano kielichy na pomyślność sprawy. Dnia 20 kwietnia dawano w pałacu pod Krzyżtoporami wspaniałą ucztę na cześć Hennessey'a, żarliwego obrońcy sprawy polskiej w parlamencie angielskim, który umyślnie zawitał na ziemię polską, by własnymi oczyma przekonać się o jej niedoli. Uczestniczyłem w tym bankiecie we fraku Waligórskiego, nie mając własnego ze sobą. Musiałem oryginalnie wyglądać, bo Waligórski był ułomny i znacznie silniejszy odemnie, frak zaś na plecach był z wewnątrz pospinany śpilkami; mimo to sir Hennessey, gdym mu był przedstawiony, racyzył kilka słów uprzejmych do mnie przemówić, których naturalnie nie zrozumiałem, nie umiejąc słowa po angielsku. Oryginalnym był wogóle cały przebieg uczyty, bo prócz Leona Skorupki, który witał gościa w rodzinnej jego mowie, wszyscy doń przemawiali po polsku, on zaś odpowiadał po angielsku. Ale zapał tak był wielki, że gdy Hennessey wracał z pod Krzyżtoporów do pałacu Pótockich pod Baranami, cały rynek, nabity tłumami, zagrzmiął nieustającemi okrzykami: niech żyje! W godzinę później rozesłaliśmy jak najszczegółowsze telegramy o tém serdeczném przyjęciu w Krakowie angielskiego męża stanu na wsze strony świata.

Ponieważ się obawiano, by przy rewizyi w pałacu Działyńskich w Poznaniu policya nie zabrała także słowniczka do depesz, przeto na gwałt układaliśmy inny, który miał być jak najprzedziej przez kuryerów rozwieziony po całym kraju. Mnie się dostała w udziale misya do Warszawy, gdzie w miejscu wskazaném miałem oddać kilkanaście słowniczków, a w zamian przywieść do Krakowa odpowiedź rządu narodowego na znaną amnestyą carską z dnia 1 (13) kwietnia, której ostatni termin za dni kilka ubiegał. Całą pierś miałem wyładowaną pod westką pisaniami drobniuchno słowniczkami, alem na chwilę nie pomyślał nawet

o niebezpieczeństwie, na jakie się narażam, tak byłem uszczęśliwiony t $\acute{e}$ m, że zobacze znów Warszawę. Podr $\acute{o}$ ż minęła szczęśliwie, choć rozdzierała postacie солдатów i żandarmów, zalegających wszystkie dworce, i zupełne milczenie podróżnych bardzo przykre i bolesne robiły wrażenie. W Warszawie komisarz paszportowy nazwiskiem, jeśli się nie mylę, Rosengart, na pierwszy rzut oka z właściwą policji wprawą poznał mnie, uśmiechnął się i dodał ironicznie: „Pan porucznik łaskaw na Warszawę“ -- ale żadnych trudności mi nie robił; żandarm zaś, który mnie począł rękoma macać po całym ciele, czy nie wiozę czegoś ukrytego na sobie, zdawało mi się, że wcale mnie nie dotykał i w końcu lekko mnie popchnął, bym szedł dalej. Czyżby i on należał był do organizacji?... Sta nałem w hotelu Europejskim i kazałem sobie otworzyć ten sam pokój, w którym mieszkałem przed kilku miesiącami, a który przypadkowo był wolny. Każdy mebel witałem z rozrzewnieniem. Nazajutrz udałem się w miejsce wskazane, a wręczywszy słowniczki odnośnemu dygnitarzowi, dodałem ze strony Waligórskiego skargę na nie dość regularne wysyłanie depe sz z Warszawy. Można sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy p. minister, otworzywszy drzwi do przyległej sali, w której około 30 pracowało urzędników, na głos począł ich łajać za lenistwo w służbie krajowej i grozić natychmiastową dymisyą. Patrzałem przerażony, czy który z tych panów nie odstłoni się, jako tajny agent policyjny, i nie zaaresztuje nas obu, a na dany znak nie wpadną sołtaci, by nas powlec do cytadeli. Ale nikt ani okiem nie mrugnął, wszyscy tylko stali widocznie zawstyżeni... Pan minister, czy też członek rządu narodowego, pożegnał mnie uprzejmie, zapraszając na drugi dzień do sw $\acute{e}$ j willi za miastem na obiad, gdzie miałem otrzymać i proklamacyą rządu i depe sze do Krakowa; w końcu przestrzegł mnie, bym nie odwiedzał zbyt wielu znajomych, ale raczej trzymał się osoby przezeń mi poleconej, która mi służyć będzie za towarzysza w przechadzkach po mieście. Posłuchałem t $\acute{e}$ j rady i oprócz u śp. mecnasa Ignacego Kardolińskiego, przyjaciela z lat szkolnych, nie byłem u nikogo, przez cały dzień zwiedzając z dodanym mi towarzyszem pałace w Łazienkach, w Belwederze i inne widzenia godne pamiątki historyczne.

Wiosna była w pełnym rozkwicie, po ulicach sprzedawano fiołki, drzewa i trawniki parku łazienkowskiego i ogrodu saskiego poczynały się zielenić, jakaś wesołość i swoboda rozlane były w powietrzu. To t $\acute{e}$ ż ruch na ulicach był niezwykły, a na twarzach przechodniów jaśniał spokój i wewnętrzne zadowolenie. Widocznie łudzono się jeszcze nadziejami.

Jakże odmienną przedstawiła mi się taż sama Warszawa, gdym do ni $\acute{e}$ j w kilka miesięcy później, a w kilka dni po zamachu na Berga i złupieniu pałaców Andrzeja Zamoyskiego, przybył już jako członek redakcyi „Dziennika Poznańskiego“, by u rządu narodowego wyprosić dla naszego pisma korespondenta z jego poręki!... Ulice puste, bramy od kamienic pozamykane, a przed niemi stróże, na Nowym Swiecie przejście chodnikami obok wspomnianych pałaców prawie niebezpieczne dla tłumów rozjuszonego żołdactwa... By się dostać do rządu, musiałem się o to starać przez osobę trzecią, a schadz $\acute{k}$ ę z członkiem ówczesnego rządu, Wacławem Przybylskim, miałem przy zachowaniu jak

największych środków ostrożności w cukierni Contego przy partyi szachów...

Całkiem inaczej, otwarcie niemal działo się w Maju.

Dnia następnego o godzinie 4 po południu stawilem się w willi w czarnym tużurku, bo frak dla żałoby krajowej był zakazany, i zastanem oprócz zgromadzonej rodziny dygnitarza także mego dawniejszego szefa z czasów styczniowych. Panie były ubrane w czerni, również i służba; obiad obfity, ale skromny, wina tylko jeden gatunek, i to czerwone. Po obiedzie cała rodzina się usunęła i pozostaliśmy przy czarnej kawie tylko w trzech. Nagle drzwi się otwarły i wszedł — **K a r o l R u p r e c h t**, jak zwykle blade, pochylony, z łagodnym uśmiechem na twarzy, a powitawszy mnie, położył milcząco zwój wilgotnej jeszcze, świeżo dopiero z pod prasy wyjętej, pamiętnej odezwy „Rządu narodowego do narodu polskiego“ z dnia 13 maja 1863 r., odrzucającej wszelkie układy z Moskwą i wzywającej do walki „bez wytchnienia, do ostatniej kropli krwi, dopóki ostatni carski żołdak z polskiej nie ustąpi ziemi, dopóki orzeł biały w dawniej nie zajaśnieje potędze!“

Uroczysta zapanowała cisza... Po niejakić chwili w łzami w oczach poczęliśmy się ścisnąć...

Gospodarz domu, żegnając się ze mną, oświadczył mi, że tak odezwy jak depesze otrzymam dopiero nazajutrz rano przed odejściem pociągu wiedeńskiego na dworeu, na który mam się stawić o g o d z i n ę w c z e ś n i ę j.

Wzruszony do głębi i rozmarzony najróżnorodniejszymi myślami powróciłem do miasta. Wieczór zdawał mi się być wiekiem, a w nocy oka zmrużyć nie mogłem.

Raniuteńko wstałem, nie mogąc dotrzymać w łóżku, zapłaciłem za hotel i kazałem przyprowadzić dorozkę. Dworzec był jeszcze próżny całkiem, kiedy doń przybyłem. W miejscu pana Rosengartena siedział przy biurze paszportowem w przedsiönku posiwały zastępca zapewne komisarza, obok niego stało dwóch żandarmów. Spojrzawszy na mnie, odezwał się komisarz: „Wszakże pan Żychliński z hotelu Europejskiego?“ — Tak jest, odpowiedziałem spokojnie, ale czułem, że błędę. „Proszę za sobą do biura“ — rzecze. Byłem przekonany, że mnie aresztuje i w duszy polecałem się Bogu... Przeszliśmy przez kilka pokoi, w trzecim znajdował się urzędnik kolejowy. „Proszę o bilet drugiej klasy do Krakowa.“ Urzędnik podał mi bilet, za który zapłaciłem. „A teraz żegnam pana i życzę mu szczęśliwej podróży,“ to mówiąc, uściskał mi p. komisarz rękę i polecił urzędnikowi, by mnie przeprowadził przez pozamykane próżne sale, aż do wagonu, w którym miałem czekać na odejście pociągu.

Radość mnie ogarnęła wielka — widocznie byłem pod opieką rządu narodowego...

Po upływie pół godziny widziałem, jak urzędnicy otwierali drzwi od sal, które natychmiast poczęły się zaludniać podróżnymi; jednocześnie wmaszerowała na peron kompania piechoty i pełno pojawiło się żandarmów. Na mnie siedzącego w głębi wagonu nikt nie zwracał uwagi. Po pierwszym dzwonieniu wsiadły do mego wagonu cztery panie w czerni, matka z trzema córkami, pięknymi jak łanie; po drugim dzwonieniu wskoczył do wagonu młodzieniaszek w czamarze i skromnie naprzeciwko mnie usiadł. Już tylko dwie minuty brakną do wyjazdu, a tu

napróżno rozglądam się po peronie, czy się nie zjawi kto z depeszami dla mnie. Ogarnęła mnie trwoga. — Wtém dzwonek po raz trzeci się odzywa, konduktor daje znak piszczałką — pociąg zwolna rusza i o dziwo! w tój samėj sekundzie nieznajomy mężczyzna przybiega nagle do wagonu, wyciąga rękę i daje mi opieczętowany pakiet... Były to oczekiwane depesze...

Niejeden z czytelników sądzić może będzie, że scena powyżej opisana nie jest prawdopodobną, ale ci, którzy w r. 1863 mieli udział w organizacyi, poświadczą, że to nie fantazya żadna, lecz fakt rzeczywisty. Organizacya w Warszawie była godną podziwu, a sieć jej ogarniała nawet sfery rządowe rosyjskie i wszystkie gałęzie administracyi. Organizacyą wszakże taką można było tylko stworzyć przy wygórowanym patriotyzmie i poświęceniu, przenikających na wskroś wszystkie warstwy narodu, mianowicie zaś Warszawian. W innych warunkach byłaby w istocie niemożliwą. Dowodu zaś tego patriotyzmu i poświęcenia doznałem w tój samėj jeszcze podróży.

Właśnie dojeżdżaliśmy do Skierniewic, kiedy nagle odezwał się świst piszczałki i pociąg się zatrzymał o kilka set kroków przed dworcem. „Odbędzie się rewizya!“ zawołali konduktorzy. Mój towarzysz na przeciwko zbladł jak chusta, mnie dreszcze przeszły; wszakże pod westką miałem pakiet z depeszami... „Panowie — odzywa się starsza pani, siedząca wraz z córkami w wagonie — jeśli macie jakie papiery kompromitujące, oddajcie je nam natychmiast. Jestem obywatelką \*\* z Płockiego, a to moje córki.“ Zaciąłem usta; zdawało mi się niegodnym mężczyzny, by dla swego ocalenia narażać miał kobiety na niebezpieczeństwo, więc milczałem. „Na Boga, panowie, miejcie do nas zaufanie, żandarmerya już się zbliża!“ „Nie mam biletu, jadę do obozu za kartą naczelnika miasta“ — odzywa się z cicha mój towarzysz. „Kładź się pan natychmiast na ziemię w środku wagonu, my pana z dwóch stron zasłonimy. W mgnieniu oka młodzienaszek leżał plackiem, a po obu stronach panie obszernemi swemi krynolinami i futrami okryły go całkiem. W tój samėj chwili otworzono drzwi wagonu i stanął w nich pułkownik od żandarmeryi, otoczony liczną świtą. Podalem mu śmiało mój paszport pruski. Wejrzał nań, uklonił mi się i nie patrząc wcale na panie, poszedł dalej. Młodzienaszek ocalony ucałował z wdzięcznością ręce swych dobrodziejek i w Skierniewicach zniknął.

Reszta podróży minęła bez przygód, ale odetchnąłem dopiero swobodniej na granicy galicyjskiej.

\* \* \*

Po powrocie do Krakowa zastałem miasto więcej jeszcze zaludnione, niż poprzednio. We wszystkich hotelach i mieszkaniach prywatnych zamieszkali ochotnicy, ze wszech stron przybywający, by się zaciągnąć do oddziałów, które pod wodzą generała Zygmunta Jordana, mianowanego przez rząd narodowy naczelnikiem sił zbrojnych województw krakowskiego i sandomirskiego, wkroczyć miały niezadługo do Królestwa. Gotowano się do wyprawy, zaopatrywano w broń, mundury i przybory wojenne, nadzieja i zapal ożywiały wszystkich, a zaufanie do wodza i oficerów mu podwładnych, których dzielność była znana, dodawały słabszym otuchy. Tu wtrąć, że generał Jordan często bywał w naszym biurze, gdzie go poznałem, chociaż pod przybranym

nazwiskiem. Dziwnym trafem był później korespondentem „Dziennika“ z Paryża za mojej redakcyi. Umarł tamże na chorobę piersiową dnia 15 czerwca 1869 r.<sup>1)</sup> — Tymczasem władze austriackie nie zasypiały w czujności, tysiące szpiegów moskiewskich, wsiskując się wszędzie między gadatliwą młodzieź, wskazywało policji to broń ukrytą, to inne konieczne do wyprawy przyrządy, a każda podobna strata uniemożliwiała wymarsz i odwlekała chwilę działania. Generał Rochebrun, który miał przeznaczoną podkomendę pod generałem Jordanem, przybywszy z Francyi, zaczął coraz większe rościć wymagania, wreszcie, poróżniwszy się z wszystkimi, wyjechał z kraju, nową tém samym stawiając przeszkodę wyprawie. Wtém rozeszła się wieść po mieście, że szczupła partya, zwana Mierosławczykami, zamierza na swoją rękę wystąpić do walki z Moskwą. Nie można było czekać dłużej, by nie pozwolić uprzedzić się na polu bitew, i postanowiono ostatecznie w cztery oddziały pod osobnymi dowódcami, lecz pod ogólnemi rozkazami generała Jordana, który przy trzecim hufcu miał się osobiście znajdować, wkroczyć do Królestwa. Oddziały miały w przestankach dni kilku występować na teatr boju, a później działać wspólnie przy znaczniejszych przedsięwzięciach. Nim jednakże pierwszy oddział Jordana pod wodzą dzielnego kapitana Józefa Romockiego (zmarłego dnia 31 maja 1876 r. w Poznaniu) otrzymał rozkaz wymarszu, inny hufiec, mający zamiar przedostania się na Mazowsze, pod dowództwem młodego, lecz tęgiego człowieka, Józefa Miniewskiego, został wykomenderowany na plac boju. Był to hufiec wyborowy, uzbrojony i umundurowany wzorowo. Prócz strzelców, którymi dowodził słynny z odwagi hr. Kaźmierz Czap ski, miał on oddziałek jazdy, garstkę żuawów i legią zagraniczną, pod wodzą doświadczonego w sztuce wojskowej pułkownika Franciszka Nullo, znakomitego żołnierza włoskiego i przyjaciela Garibaldegó. Dwa małe działka, sprowadzone z wielkim mozolem, nie mogły być użyte, gdyż nie zdołano na czas zrobić lawet i dobrać stósownego zaprzęgu, oraz wyćwiczonych artylerzystów.

Było to w niedzielę dnia 3 maja rano, gdy się żegnałem z znajomymi, dążącymi na miejsce zboru. Dzielna młodzieź na bryczkach, wózkach, dorożkami, pieszo lub konno, jak kto mógł, wymykała się z Krakowa. Dzień był prześliczny, słońce majowe świeciło na niebie, rocznica dnia tyle pamiętnego w dziejach zdawała się być dobrą wróżbą dla wyruszających do krwawej walki. Porozstawiani w odstępach przewodnicy wskazywali drogę, gromadki spieszyły w milczeniu dalej i tonęły w nadgranicznych lasach naprzeciw Krzeszowic. Tam rozdano broń, po raz ostatni ochotnicy ścisnęli dłonie towarzyszącym im aż na miejsce zboru przyjaciółom i krewnym, niejednemu ła zakręciła się w oku na widok posiwiąłego ojca, który krzyżem błogosławieństwa żegnał swego syna, lecz zapął tłumił rozrzewnienie i ruszono ku granicy. Nad ranem z pierwszym braskiem jutrzenki, omyliwszy czujność patroli austriackich, wówczas nie tak gęsto jeszcze rozstawionych, niż później, stanął hufiec polski w granicach Królestwa. Jazda w popielatych czamarach, zdobnych czarnemi sznurami, w skórzanych rajtuzach i czarnych lakierowanych czapkach, strzelcy podobnie ubrani, lecz w czerwonych

<sup>1)</sup> Zobacz „Kronikę Żałobną“ *Teodora Żychlińskiego* (Poznań 1877, str. 150).

rogatywkach z czarnym barankiem; żuawi w niebieskich katankach, czerwonych spodniach i fezach; broń co dopiero sprowadzona z fabryk i połyskująca wśród promieni wschodzącego słońca — wspaniały i malowniczy przedstawiały widok. Oddział posunął się z wolna w głąb kraju i prowadzony przez przewodników dotarł do krańca lasów olkuskich, do wioski Polesie. Rozstawiono pikiety, reszta złożyłwszy broń w koźły, sposobiała się do wypoczynku po całonocnym marszu. Lecz już około 9 godziny rano dano znać dowódcy straży przedniej, że się zbliżają kozacy. Miniewski wysłał 15 jeźdźców na rekonesans. Była to pierwsza próba ogniowa. Jeźdźcy wysunęli się klusem naprzeciw kozakom, wystrzelono z pistoletów, nasi cwałem natarli na nieprzyjaciela, który natychmiast pierzchnął, zostawiając jednego kozaka zabitego na placu. Wrócono z otuchą do obozu, który już stanął tymczasem pod bronią i pospiesznym krokiem szedł w głąb lasu, aby zajęć stanowisko, silne i dogodnie do odparcia Moskali. Było to dnia 4 maja koło godziny 10 przed południem. Miniewski objechał wraz z pułkownikiem Nullo i hrabią Czapskim rozrzucone na okół obozu straże; wszyscy z gorączkową niecierpliwością oczekiwali chwili boju. Gdy jednakże czas mijał, a Moskwa nie zdawała się zbliżać, dowódzca wysłał drugi pluton żuawów pod dowództwem kapitana Wierzbickiego na rekonesans, z rozkazem udania się ku wiosce Polesie. Wtém o 2 z południa pikiety dały znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela w trzech kolumnach. Od lewej strony główna siła, złożona z dragonów i objezdzczyków, do 300 ludzi licząca, od prawej kilka sotni kozaków, w środku piechota moskiewska szły naprzeciw oddziałowi powstańców, który stojąc na wzgórzu, zasłonięty drzewami, rozpoczął ogień tyralierski. Jednocześnie pierwszy pluton żuawów pod męznym majorem Lesińskim i strzelcy hr. Czapskiego wystąpili do boju. Ogień szedł z wielkim porządkiem; Kaźmierz Czapski i Miniewski przebiegali nad łańcuchem tyralierów, zagrzewając do męstwa, spokoju i nakazując celne strzały. By zaś nieprzyjaciel nie mógł zabrać tyłu oddziałowi, zajęła legia zagraniczna, przeważnie z Włochów i Francuzów złożona, stanowisko od strony wschodniej na wzgórzu, panującym nad całą okolicą i stała tam aż do końca potyczki, którą po czterogodzinném strzelaniu rozstrzygnął na korzyść powstańców atak na bagnety żuawów, przed którym Moskale pierzchli w nieładzie ku Olkuszowi, zostawiając kilkunastu trupów na pobojowisku, a około 60 rannych zabierając ze sobą. Straty polskie były małoszacunkowe, 4 tylko padło śmiercią walecznych, 8 rannych, między nimi Anglika, Benjamina Aldersona, odesłano na podwodach do Krzeszowic, gdzie w pałacu hr. Adama Potockiego urządzonym był lazaret. Radość z odniesionego zwycięstwa była niezmierna, ściskano się wzajemnie, wieszano, zapał był bez granic. Między walecznymi wymieniano jako najwaleczniejszych hr. Czapskiego, żuawów Bogusza i hr. Stanisława Załuskiego, (syna hr. Karola z Iwonicza i Amelii księżniczki Ogińskićj). Po krótkim wypoczynku, zważywszy, że Moskale, ściągawszy posiłki, niezawodnie będą pragnęli powetować porażkę, postanowiono unikać walki i udać się lasami w głąb kraju.

W chwili, gdy Miniewski w okolicy Polesia pomyślną staczał walkę, na drugim krańcu Krakowskiego, niedaleko Igołomii, nad samą Wisłą, inny hufiec polski w krwawém starciu ulegał przemocy i nienawistnemu

zbiegowi przeciwnych okoliczności, i z znacznemi stratami w ludziach, a ogromnemi w broni i ryszunku wojennym, z wielkim kosztem posprowadzanych z zagranicy, cofał się do Galicyi, zkąd dniem poprzednio wyruszył do Królestwa. Był to ów oddział tak zwanych Mierosławczyków, o którym poprzednio wspomiałem, a który pod wodzą Malczewskiego, gdyż generał Mierosławski dopiero po przejściu granicy miał objąć dowództwo, bez porozumienia się z władzą narodową, na własną rękę wkroczył na teatr wojny. Oddział składał się z 200 ludzi, uzbrojonych w gwintowane sztucery z najpierwszych fabryk belgijskich, wioził zaś na podwodach 500 sztuk broni, dwa działa żelazne i znaczny zapas amunicyi. Strzeley mieli na sobie czarne płaszcze z gutaperki, chroniące od deszczu i wilgoci, i umundurowani byli wybornie. Zaledwo przeszedszy granicę, napotkał przecieź oddział już forpocztę moskiewską, która widocznie przez szpiegów zawiadomiona, przyjęła go strzałami, lecz wnet odparta, poczęła się cofać. Wtém dano znać Malczewskiemu, że między granicą Królestwa a Galicyą wąską kolumną weisnęli się z tyłu za powstańcami Moskale, zagrażając im odcięciem odwrotu, gdy tymczasem od północy druga kolumna nieprzyjacielska na oddział polski uderzyła. Malczewski, widząc się wziętym przez przemoc w dwa ognie, nakazał odwrót ku granicy. Tutaj krwawa i zacięta walka trwała przeszło godzinę — z przodu morderczy ogień Moskali, z tyłu błyszczały bagnety Austryaków, oczekujących chwili przejścia powstańców, by ich rozbroić i zabrać do niewoli. Wielu męźnych znalazło tutaj śmierć chwalebną, wielu dokazało cudów waleczności, lecz los zdawał się nie sprzyjać wyprawie. Jedno z dział przy pierwszym wystrzale, w pospiechu źle nabite, pękło, zabijając jednego, raniąc dwóch innych artylerzystów; sztucery, świeżo co napuszczone oliwą, nie chciały dać ognia, do drugiego działa zabrakło nabojojów, które jeszcze były złożone na wozach, — nie było zatem innėj rady, jak opuścić plac boju i oddać się w ręce austryackie. Do trzydziestu naszych zginęło, mnóstwo wzięli Austryacy do niewoli, rannych odesłano do szpitali, zabraną broń, a między nią jedno działo, przywieziono do Krakowa. Wieści o zwycięztwie Miniewskiego i o klęsce Malczewskiego jednocześnie doszły do stolicy. Radość zmieszana była z bólem, a gdy po kołach rodzinnych cieszone się tryumfem synów i braci, którzy porazili Moskwę w pobliżu Polesia, na rynku krakowskim tłum ludzi otaczał z smutkiem wozy napelnione bronią, którą Austryacy przywieźli z pod Igołomii. Mówiono, że Mierosławski wsiadał już na koń, by się udać na miejsce boju, gdy go zawiadomiono o rozbiciu oddziału; inni opowiadali o rozpacz y generała, skarżącego się na fatalność, ciężącą nad każdym jego przedsięwzięciem.

Wkrótce znów gruchnęły po Krakowie głuche wieści o nowėj klęsce. Zrazu przebąkiwano, że Moskale otoczyli z wszech stron Miniewskiego, że oddział jego zniesiony ze szczętem, że dowódczy wszyscy poginęli. Kraków był jak w gorączce, wśród łez strapione matki błagalne wznosiły modły ku niebu, by odwróciło śmierć od drogich im synów... Wnet przecieź pierwsze rozbitki szczęśliwie przedostawszy się przez kordon austryacki, przyniosły prawdziwe z pola bitwy wiadomości. Rzecz zaś miała się następnie.

Miniewski pragnąc się wymknąć Moskalom, którzy przy pomocy bardzo licznie nagromadzonych sił w Krakowskiém z łatwością otoczyć go mogli, przyspieszonym marszem przez całą noc zdążył w głąb kraju

i dnia 5 maja stanął o godzinie 5 rano obozem pod wioską Krzykawką. Hr. Kaźmierz Czapski wybrał korzystne stanowisko i na niem postanowiono spocząć i śniadać. Żołnierze strudzeni niezmiernie bezsennością w dwóch nocach poprzednich, marszami bezustannemi i brakiem żywności, gdyż nie miano dotąd chwili czasu do ugotowania ciepłej strawy, wycieńczeni wreszcie czterogodzinnym pod Polesiem bojem, za ledwie złożyli broń w kozły, rozniecili ognie i nastawili kotły, aliści pikiety dały znać, że nieprzyjaciel się zbliża. Mimo znużenia porwano za broń, a dzielni dowódcy przykładem swym zachęcali szeregowców do wytrwałości i mężstwa. Od Sławkowa nadięgała szybko silna kolumna Moskali, która przencocowawszy w Bolesławiu z 4 na 5 maja, w ślad dążyła za powstańcami. Legia zagraniczna, strzelcy hr. Czapskiego i zuawi rozspali się w tyraliery i powitali Moskwę celnemi strzałami. Ogień trwał z obu stron przez cały poranek aż do godziny 2 po południu, a gdy piechota moskiewska zdawała się chwiać, nakazał Miniewski przypuścić atak na bagnety. Mając walecznych pułkowników Nullo i Czapskiego na czele, rzucili się powstańcy z okrzykami na nieprzyjaciela i pędząc go przed sobą, wyparli aż do pobliskiej wioski. Zwycięstwo było po stronie powstańców, a gdy Moskwy z po za domów, za które się schroniła, nie było można wypędzić bez znacznej straty, przeto zwrócono się ku obozowi. Lecz wtém padło kilka strzałów moskiewskich i kula przeszła dzielnego Franciszka Nullo, który ostatni obok hr. Czapskiego powracał z pobjowiska. Legia zagraniczna, widząc śmierć ukochanego wodza, z rozpaczą około zwłok jego się zgromadziwszy, oświadczyła, że dłużej walczyć nie będzie i że prosi o pozwolenie powrotu do Galicyi. Napróżno im przedstawiali Miniewski i hr. Czapski niewłaściwość podobnego postępku; wielu z cudzoziemców, a zwłaszcza Włosi nie dali się przekonać i obstawali przy swoim żądaniu. Moskale tymczasem, widząc zamieszanie w polskim oddziale, wypadli ze wsi i zaczęli powtórnie nacierać na powstańców. Ci, zrażeni przykładem legii zagranicznej, upadając od znużenia, a widząc się partymi przez coraz to nowsze siły moskiewskie, cofali się, odstrzeliwając, z wzrastającym nieładem. Moskwa uderzała gwałtownie na cofających się; wieść się rozbiegła między szereganami polskimi, że z drugiej strony zabiega z tyłu inna kolumna nieprzyjacielska i do reszty rozniecila zwątpienie i poploch. Zgromadzeni oficerowie oddziału oświadczyli jednomyślnie naczelnikowi, który wraz z hr. Czapskim upierał się za dalszym bojem, że walka niemożliwa, że za żołnierzy ledwie zdolnych utrzymać się na nogach od zmęczenia, odpowiadać nie mogą, że zatem jedyne ocalenie w odwrócie do Galicyi. Oddział uszczuplony stratami w boju, gdy zresztą wielu, porzuciwszy broń, samopas ratowali się ucieczką, ścigany przez Moskwę, wpadł wreszcie w lasach na bagna, w których wiele koni uwięzło, a hr. Czapski z największym wysileniem za ledwie zdołał się ocalić. Tutaj przecież wstrzymali Moskale dalszą pogoń, a powstańcy manowcami dążyli do Galicyi, dokąd większa część szczęśliwie się przedostała wraz z dowódcami. Mała garstka, przeprawiwszy się przez bagna, udała się na północ ku Żarkom, gdzie z innym połączyła się oddziałkiem. Kilkudziesięciu zabitych i rannych okryło pobjowisko. Wielu z nich Moskale dobijali i odzierali do naga. Innym dali mieszkańcy okoliczni przytułek i pomoc; do szpitali moskiewskich zawieziono między innymi walecznego hr. Stanisława Załuskiego,

którego później udało się bratu wykraść i ciężko rannego przewieźć do Galicji. Tak się zakończyła wyprawa Miniewskiego, która z największym przysposobiona mozołem i przedsięwzięta przez wyborowego żołnierza, po trzech dniach znoju i walki uleźć musiała przemocy.

Kraków nowym przejął się smutkiem, który na chwilę przerwał pomyślnie wieści o zwyciężkiej potyczce Bończy w Wodzisławiu dnia 6 maja, i o świetnym zwycięstwie generała Jeziorańskiego pod Kobylanką, o którym wieczorom tegoż samego dnia przyniósł telegraf wiadomość. Na chwilę, powtarzam, bo już nazajutrz, dnia 7 maja, świeża klęska dotknęła miasto, którym od początku powstania bezustannie wstrząsała to radość, to smutek i ból, odnośnie do wypadków toczących się na najbliższem polu walki.

W środę, dnia 6 maja, od rana wielki ruch między młodzieżą, krzatanie się i bieganie po mieście, pożegnania na ulicach, napływ drożek, bryczek i wózków ku Floryańskiej bramie, wreszcie już w południe znaczny ubytek między znajomymi zwiastowały, że nowa gotuje się wyprawa i krwawe zbliżają się wypadki.

W maleńkim pokoiku na parterze, w kamienicy poważnej wiekiem przy ulicy Sławkowskiej, zebrała się u kochanego wówczas powszechnie od towarzyszków porucznika, Wit. P o n. z Poznańskiego, gromadka ochotników, by ostatnią odbyć między sobą naradę, przy której byłem obecny. Wszyscy już byli przybrani w mundury, długie popielate wełniane koszule, czerwonym ściśnięte pasem, niebieskie szarawary w długich butach; za pasem błyszcząły rewolwery, czerwone rogatki leżały na stole obok pałaszy. Palono cygara, kłęby dymu zaległy sklepiony pokoić, z za błękitnych obłoczków dziarskie wyglądały twarze, rozjaśnione zapalem, gorejące miłością Ojczyzny. Był tam cały sztab niemal Józefa Romockiego (zob. niżej): Dowódzca szczupły i niepokaźny blondyn, z żołnierskim przecięt wyrazem twarzy, szybko przemawiał, rozdając rozkazy. Prawdziwie mężką pięknocią odznaczał się młody W. Pon., któremu Romocki powierzał komendę nad kompanią strzelców. Na uboczu stał niski, krępy blondyn bez wąsów i brody, z krótko przyszytym włosom, w czamarcie i rajtuzach. Był to T o p ó r, dowódzca jazdy; obok niego wesoło machał w powietrzu pałaszem, ćwicząc się, jak rąbać Moskali, waleczny F e l i k s P o p l i Ń s k i, który dzień później miał zginąć na polu chwały.... Przy oknie stał mężczyzna niskiego wzrostu, z czarnemi wąsami i włosom, z ciemnymi oczyma, z których jedno zdawało się być nadwężone nieco, i niecierpliwie uderzał palcami o szybę. Był to ten sam R o g a l i ń s k i, dawny oficer austriacki, który pierwszy podążywszy do lasów kampsoskich, kilkunastu okryty ranami i jako nieżywy przez Moskali porzucony, później staraniem lekarzy i pieczołowitością zacnej rodziny, która go ledwo oddychającego jeszcze z pola bitwy uniosła i pielegnowała, odzyskawszy zdrowie, zdołał się przedostać do Krakowa i znów się wybierał w pole. Wprawdzie nie widział na jedno oko, które moskiewska oślepiła kula, wprawdzie nie dosłyszał na jedno ucho, zrąbane pałaszem kozackim, lecz prawica dawną odżyła siłą, a miłość Ojczyzny gorącym płomieniem paliła się w piersiach, pokłutych bagnetami. Niecierpliwił się i żył, że go na pierwszy nie wysłano ogień i że imi uprzedzają go w świętych względem kraju obowiązkach. Rogaliński walczył później w oddziale Bończy, po którego chwalebnej śmierci objął dowództwo nad jego hufcem. Dalsze

jego losy nie są mi wiadome. Pochodził z Galicyi i jeśli się nie mylę, było mu na imię M i e c z y s ł a w.

Czas naglił, należało mi się pożegnać z tą dziarską młodzieżą, która do śmiertelnych zapasów biegła ochotczo i radośnie, jak gdyby do tańca. Serce ścisnęło mi się z żalu, gdy wśród okrzyków wesółych: „bywaj zdrow, do zobaczenia w oswobodzonej Warszawie!“ opuszczał ów pokoik sklepiony, w którym niejedną miłą i pamiętną spędziłem chwilę. Wit. Pon. towarzyszył mi, szeroką owinięty burką, pod którą niósł pałasz ukryty. Wyjechaliśmy dorozką szczęśliwie za miasto. Pokróćce przybyli inni, którym się udało równie pomyślnie wymknąć z Krakowa. W milczeniu ścisnęliśmy sobie dłonie w obec skromnego posągu Najświętszej Matki Częstochowskiej, której opiece szczerą poruczałem ich modlitwą. Oni podążyli ku krzeszowickim lasom, ja powróciłem smutny i pełen niepokoju do miasta. Dzień minął wśród ogólnej obawy o los oddziału Romockiego. Nad ranem dnia 7 maja słyszano głuchy odgłos armatnich strzałów nad granicą — z początku mówiono o zwycięstwie naszych, nieco później zaczęto przebąkiwać o klęsce — osoby przybyłe od Szczakowy koleją powiększyły trwogę, widziały bowiem po drodze powstańców prowadzonych przez austryacką piechotę od granicy i wozy z rannymi. Późno wieczorem nadbiegł wysłannik od Romockiego, aby zdać sprawę z niepomyślniej wyprawy. Smutek ogarnął wszystkich. Nieprzyjaźni generałowi Jordanowi, na złe jego rozporządzenia zwalali winę całą. Tymczasem przebieg krótkiego boju był następujący:

Oddział liczący około 300 strzelców i żuawów, oraz 20 koni jazdy pod wodzą Topora, wkroczył bez przeszkody ze strony austryackich patroli w nocy z 6 na 7 maja do Królestwa i nad ranem stanął obozem w Nowójwsi naprzeciw komory granicznej Szyce. Zapalono ogniska, powstańcy znużeni nocnym pochodem odpoczywali wśród ciepłych promieni słońca, okrażeni łańcuchem placówek. Wtém dano znać o naciąganiu Moskwy. Niezwłocznie rozkazał Romocki rozspać się piechocie w tyralieri i przywitać nieprzyjaciela ogniem karabinowym. Strzelcy, wybornymi uzbrojeni sztucerami, dotkliwie razili przeciwników, którzy nie odważali się postępować dalej. Dowódzca chcąc zatem szale zwycięstwa na stronę polską przechylić, polecił Toporowi wykonać szarżę na piechotę moskiewską. Topór na czele garstki walecznych, wspiąwszy konia, cwałem rzucił się na nieprzyjaciela, który szybko utworzywszy czworobok, grad kul cisnął między jeźdźców powstańczych. Tutaj Feliks P o p l i ń s k i na kilkanaście kroków dotarłszy do frontu nieprzyjacielskiego, celnym strzałem z pistoletu powalił oficera moskiewskiego, lecz w chwili, gdy zwracał konia, by powrócić do swoich, ugodzony kulą, stoczył się z siodła bez życia na ziemię. Wtędy Romocki, stanąwszy wraz z majorem D e n i s i e w i c z e m na czele żuawów i strzelców, z nieustraszoną odwagą prowadził ich do ataku na bagnety, jednocześnie jazda Topora uderzyła na kozaków. Niestety, wieść o ukazywaniu się drugiej kolumny od strony Olkusza, rzuciła popłoch między niewytrawnego w boju żołnierza. Widząc się z dwóch stron otoczonymi, poczęli się miewać, mimo zaklinań i osobistego przykładu dzielnych dowódców. Przecież usiłowano jeszcze zapobiedz klęsce. Porucznik Wit. Pon. na czele swój kompanii zwrócił się ku nieprzyjacielowi, nacierającemu przeważnemi siłami, lecz po krótkim, bezowocnym wysileniu musiał także

się cofnąć. Poświęcenie Romockiego, zimna krew Denisiewicza nie zdołały utrzymać w karbach chwiejącego się oddziału. Nie było zatem innego sposobu nad odwrót do Galicji. Tam czekała już kompania austriackiego wojska, która część oddziału powstańczego rozbroiła i areztowała, część rozpieczęła się w lasach i uszła niewoli. Na pobojowisku kilku tylko naszych legło, natomiast kilkudziesięciu rannych uniesiono do Galicji. Z znajomych moich prócz Poplińskiego wszyscy zdrowo powrócili do Krakowa.

Takim był pierwszy i odstraszący początek długo oczekiwanej i kilkakrotnie zapowiadanej wyprawy Jordana, której zakończenie krwawe, już po moim wyjeździe z Krakowa, odegrało się w sześć tygodni później na polach pod Gacami, Słupcem i Komarowem. Kilka dni po niepomysłnej potyczce pod Szycami wydano z Krakowa i z całego obrębu państwa austro-węgierskiego Waligórskiego, w skutek czego i ja opuściłem swoje dotychczasowe stanowisko i powróciłem do Wrocławia. Wypadków zatem, które zaszły w czerwcu, ani ostatnich przysposobień do wymarszu Jordana nie widziałem już z bliska. Wieść o wkroczeniu do Królestwa dwóch oddziałów pod naczelnem dowództwem tegoż generała w nocy z 19 na 20 czerwca doszła mnie razem z wiadomością o jego klęsce i śmierci najdzielniejszej młodzi. Pierwszy oddział pod wodzą Edwarda Dunajewskiego rozbity między Gacami a Maniowem, rozpieczęł się na wsze strony po krótkiej walce. W toniach Wisły znaleźli grób dowódca oddziału wraz z swym adjutantem, z całym Ignacym Zelechowskim, którego dobrze znałem, gdyż przez dłuższy czas przebywał w Wielkopolsce, w Jaraczewie, u swjej ciotki ś. p. Edwardowej Jaraczewskiej. Inni rzuciwszy broń, haniebnie opuścili szeregi. Po ośmiogodzinnych bohaterskich zapasach hufiec Popiela, przy którym się znajdował Jordan, nie poparty przez Dunajewskiego, wracał zdziśiatkowany do Galicji, zostawiając pod Komarowem daninę krwi najszlachetniejszej. Kulą ugodzony w oko legł Juliusz hr. Tarnowski z Dzikowa na czele garstki nieustraszonych, która z bagnietem w ręku biegła na nieprzyjaciela. Obok niego zginął Zygmunt Brockausen z Sędziejowic w Galicji i kilku innych. Pobojowisko zasłane było trupami. Ze o dwóch wspomnę tutaj, których znałem bliżej, a których pamięć pozostanie mi drogą, o Władysławie Jabłonowskim z Galicji i o Edmundzie Cieleckim z Augustowskiego. Ciało pierwszego na trzeci dzień dopiero znaleziono pokaleczone przez dziec moskiewską do niepoznania. Był to młodzieniec rzadkiej urody: na bladłej twarzy, otoczonej ciemnym włosem i zdobnej wąsami i brodą, duże błękitne oczy, pełne wyrazu i słodczy, ująć każdego umiały. Wesoly, dowcipny, uposażony wyższą zdolnością, którą starannym wykształceniem rozwinął, był on ozdobą galicyjskiej młodzieży i najświetniejsze na przyszłość rokował nadzieje. Złączony serdeczną przyjaźnią z Juliuszem Tarnowskim, z nim razem postanowił wyruszyć „do lasu“, jak nieraz z uśmiechem zwykł był mawiać. Obydwaj równie waleczni i mimo historycznych nazwisk równie skromni i kochani przez wszystkich, w jednym dniu i w tej samej bitwie śmiercią legli bohaterską jako godni synowie wielkich przodków. Edmund Cielecki, 20-letni jedynak majątnych rodziców, obywateli ziemskich w Augustowskiem, opuścił szkołę główną i Warszawę na pierwsze hasło do boju, porzucił zropaczoną matkę, przybył do Krakowa i chociaż wątłego

zdrowia, zaciągnął się do hufca Jordana. Gdym go żegnał, wyjeżdżając do Wrocławia, wraz z ś. p. Zygmunt em Sumińskim, późniejszym zesłańcem na Sybir, który przed kilku dopiero laty umarł w Warszawie, mając zniszczone zdrowie więzieniem w cytadeli i wygnaniem, odprowadził mnie na dworzec kolei i wołał, wiewając chustką: „do zobaczenia, Teodorze, do zobaczenia!“ I kiedyż go znowu zobaczę?... Śmiertelnie ranny pod Komarowem, odwieziony do szpitala w Stobnicy, po kilku godzinach najstraszniejszych cierpień zakończył młodzieńczy żywot....

\*  
\*  
\*

Jak wspomniałem wyżej, nakazano Waligórskiemu w pierwszój połowie maja opuścić Kraków. Za moim paszportem wyjechał nasamprzód do Wiednia, ja zaś wróciłem do Wrocławia. Z Wiednia pisał do mnie, że ma nadzieję otrzymania pozwolenia na pobyt w tój stolicy, że w takim razie będzie w niej reprezentantem rządu narodowego i zawezwie mnie na sekretarza poselstwa. Wkrótce przecież doniósł mi z Paryża, że ma być mianowany posłem w Londynie, że zaś ja nie posiadam języka angielskiego, przeto zabrać mnie ze sobą nie może. Z Londynu otrzymałem odeń polecenie przysyłania na jego ręce korespondencyi o powstaniu, które w poselstwie naszóm miano tłumaczyć na język angielski i udzielać ich sprzyjającym sprawie polskiej dziennikom. Jakoż później widziałem listy swoje drukowane w „Morning Post“, której numeru odnośnie dochodziły mnie pod przepaską. W końcu lipca 1863 r. odebrałem z Poznania od ś. p. Hipolita Cegielskiego zaszczytną dla mnie propozycyą wstąpienia do redakcyi „Dziennika Poznańskiego“ i od 1 sierpnia począłem już w tём piśmie pracować, a w niespełna rok później objąłem jego redakcyą.

Na tём kończę swoje osobiste wspomnienia z roku 1863.

## VII. Edmund Taczanowski.

W Edmundzie Taczanowskim widzimy jednego z tych mężów, z którymi nie zawsze można dzielić przekonania polityczne, ale w których uszanować należy niezłomność zasad, prawosć charakteru i wielką miłość Ojczyzny. Kto młodzieńcem wymarzył sobie ideał, a zstąpił z nim do grobu; kto raz wytknąwszy sobie drogę, kroczył nią niezachwianie mimo wszelkich przeciwności; kto dla idei i dla Ojczyzny porzucił domowe ognisko i szczęście rodzinne, chętnie narażał życie, a poświęcał milionowe mienie i ponętną przyszłość; kto mimo burz i gromów nigdy nie ugiął czoła i zawsze z otwartą przyłbicą postępował naprzód, nie żądny popularności i oklasków, ale zadowolniając się pochwałą i spokojem własnego sumienia, — ten zaiste, może niewielu liczyć przyjaciół, ale czi i szacunku nikt mu nie odmówi.

Takim był właśnie generał Edmund Taczanowski, którego ciernisty żywot, bogaty w przygody, cierpienia i zawody gorzkie, pragnę tutaj opowiedzieć pokrótce, stósownie do szczupłych ram, zakreślonych niniejszemu dziełku.

Ś. p. Edmund Bolesław Klemens Taczanowski, potomek starożytnój, bo od blisko pięciu wieków osiadłój w Wielkopolsce rodziny

herbu Jastrzębiec, urodził się dnia 23 listopada 1822 roku w Wieczynie pod Pleszewem z ojca Józefa, z matki Katarzyny, ostatniej latorośli rodu Hersztópskich herbu Drogosław, dziedziców dóbr Mieszkowskich w Pleszewskiem i Choryńskich w Kościańskiem. Dziadem jego po mieczu był Maksymilian Taczanowski, sędzia pokoju, prefekt kaliski, pan na Taczanowie i dobrach rozlicznych, a babką Franciszka Drwęska herbu Gozdawa, pisarzówna ziemska poznańska; dziad jego po kądzieli, Józef Hersztópski, był podkomorzym króla Stanisława Augusta, dziedzicem na Mieszkowie, Buczu, Śniatach, Osieku i wielu innych włościach, a miał za żonę Konstancją Skarbkównę Malczewską. Edmund zatem od kolebki wychowywał się w dostatkach i gdyby nie wrodzony hart duszy, łatwo mógł zniewieścić i li w używaniu upatrywać szczęście najwyższe. Ale przeszkodziły temu najskuteczniej przykłady, na jakie od małego chłopięcia patrzył. Matka jego była wzorem cnót niewieścieich, ojciec gorącym patriotą, przytém rozumnym, oszczędnym dla siebie, a hojnym dla drugich gospodarzem. Dom rodziców Edmunda przytulał rozbitków, powracających z pola bitew roku 1831, dawał gościnę najpierwszemu wieszczowi narodowemu, Mickiewiczowi. O młodociany, żywy umysł chłopczyka obijały się echa krwawych bojów za wolność Ojczyzny, brzmiały mu pieśni wielkiego mistrza i wyłabiały na jego sercu nigdy już później nie zatarte znanie. Nieraz wraz z młodszym bratem, Władysławem, godzinami chodzili na przechadzki po zielonych łąkach Choryni pod skrzydłem opiekuńczém twórcy „Pana Tadeusza“, „Dziadów“ i tylu innych arcydzieł i słyszeli z ust jego płynące potoki najwznieśszych myśli, ubrane w szatę prostoty, zastosowanej do ich dziecięcej wyobraźni. Nie dziw przeto, że z chłopczyka, taką karmionego strawą, wyrósł młodzieniec pełen ideałów, a później mąż, który wielkiem sercem obejmował nie tylko Polskę, ale całą Słowiańszczyznę, upatrując w jej odrodzeniu najsilniejszą podstawę przyszłej potęgi własnej Ojczyzny; nie dziw, że gdziekolwiek zaświtała mu jutrzienka wolności, on tam spieszył, by poświęcić krew i mienie dla obcej sprawy, pośrednio pracować dla lepszej własnego kraju przyszłości.

Ukończywszy chlubnie nauki w gimnazyum poznańskiem Ś. Maryi Magdaleny pod kierunkiem miłośnika i badacza naszej przeszłości, Józefa Łukaszewicza, poświęcił się Edmund Taczanowski zawodowi wojskowemu i wstąpił do artylerji, po przejściu zaś roku służby praktycznej i szkoły wojskowej otrzymał w roku 1843 szlify oficerskie w Berlinie. Świetna wtedy otwierała się przed nim przyszłość. Stryj jego, Alfons, już podówczas żywił zamiar utworzenia z czasem ordynacji z rozległych majątków swych, bądź to w Księstwie, bądź w Królestwie położonych. Ponieważ był bezdzietnym, przeto najbliższym i naturalnym jego spadkobiercą był Edmund, jako syn pierworodny najstarszego brata. Pomiedzy stryjem przecież a synowcem istniała przepaść różnicy przekonań politycznych, wręcz sobie przeciwnych. Alfons Taczanowski, na wskroś zasad zachowawczych, upatrywał w zbliżeniu się do dworu berlińskiego możność polepszenia naszej doli; Edmund jedyną nadzieję zmiany na lepsze widział w łączeniu się z wyznawcami wolności, którzy sicuti omnia wszystkie zapalne żywioły Europy już ogarnęli, gotując przewrót zupełny istniejących dotąd stosunków; ztąd pragnął Alfons, by synowiec oddał się duszą i ciałem pruskiej karierze wojskowej, która przy jego ortunie i wpływach rosnących z dniem każdym u dworu rokowała dla

Edmunda niewątpliwe powodzenie; młody zapaleniec natomiast, zawikłany już w tajne związki, przysposabiające ruch zbrojny ku wywalczeniu niepodległości Polski, wbrew życzeniu stryja podał się o zwolnienie ze służby czynnej i wystąpił z armii. Krok ten pospieszny raz na zawsze pozbawił Edmunda względów milionowego stryja, który później uzyskawszy monarsze zatwierdzenie ordynacyi, na rzecz młodszego synowca nią rozporządził, z pominięciem naturalnego spadkobiercy.

Taczanowski powrócił w początku 1846 r. w Poznańskie i z zapalem młodzieńczym wziął udział w tajnej organizacyi, która mu przeznaczyla dowództwo nad pospolitým ruszeniem południowych powiatów Księstwa. Rzec przedwczesnie, niedostatecznie i lekkomyślnie przygotowana, musiała upaść w samym zarodzie. Edmundowi po raz pierwszy otwarły się kraty więzienne. Aresztowany w lutym, osadzony nasamprzód w kazamatach twierdzy poznańskiej, przewieziony następnie jako więzień stanu do Berlina, dopiero dnia 2 grudnia 1847 roku odzyskał wolność.

Powstanie ludowe dnia 19 marca 1848 roku w stolicy pruskiej uwolniło, jak wiadomo, resztę jego towarzyszków więziennych. Nowa zabłyśła gwiazda nadziei. Gotowała się wyprawa wspólna wolnych Niemiec z Polakami naprzeciw Rosyi, po całym Księstwie poczęły pod okiem władz pruskich tworzyć się kadry polskich ochotników, młódź uniwersytecka i szkół wyższych, zebrana w jeden oddział, przybrała miano „Szkoły podchorążych“, nad którą z rozkazu Mierosławskiego objął Taczanowski dowództwo. Dalsze wypadki znane powszechnie. Szkołę przydzielono do oddziału Białoskórskiego w Pleszewie, który ją wykomenderował do Raszkowa. Zrywając nagle i bez poprzedniego uwiadomienia zawartą z obozami polskimi ugodę, uderzył na załogującą w Pogrzebowie garstkę naszej młodzieży, wśród której i późniejszy prałat Jan Koźmian, aczkolwiek już mąż dojrzały, także się znajdował, pruski pułkownik Bonin nad ranem dnia 27 kwietnia 1848 r. Kilkotysięczna kolumna otoczyła Szkołę, liczącą niespełna stu ludzi, mimo to Taczanowski poddać się nie chciał. Wzięto cały oddział do niewoli i odprowadzono do twierdzy kistrzyńskiej, gdzie Edmund wraz z towarzyszami, ciężko chory, aż do końca miesiąca czerwca przesiedział. Było to drugie jego więzienie.

W rok niespełna później już Edmund spieszył znowu tam, gdzie według przekonań jego nowa dla Polski otwierała się nadzieja. Węgry walczyli z gnębiącą ich Austryją, jednocześnie zawarł bój między Piemontem a Austryją. Pogrom habsburgskiego mocarstwa i podanie ręki Węgrom, w których obozie poważna już liczba Polaków była nagromadzoną, przedstawiał podówczas widoki nieobliczonych dla Polski korzyści. Taczanowski wybrał się w marcu 1849 r. do Włoch, zanim wszakże zdołał przybyć do Turynu, już armia piemontska pod naczelnym dowództwem generała Chrzanowskiego została pod Nowarą w puch rozbitą i pod naciskiem kłeski tej pokój między królem Wiktorem Emauelem i Austryją zawarty.

Zywy i gorący umysł Taczanowskiego, oraz nieugaszona żądza orężnej walki za wolność popchnęły go wtedy do kroku, który mu bardzo wielu wśród własnych rodaków zrodził przeciwników. Udał się do Rzymu, zagrożonego przez Francuzów, broniących władzy papieskiej przeciw nowo utworzonej Rzeczypospolitej rzymskiej. Mianowany przez

naczelnie dowodzącego generała Avezzana kapitanem sztabu generalnego, otrzymał polecenie obrony Villi Pamphili. Tu przy szturmie padł pod nim koń, przeszyty kulą francuską i ciężarem swoim go przywalił. Zgnieciony i poraniony dostał się do niewoli. Generał francuski Oudinot zwrócił mu wprawdzie szpadę i oddał należne waleczności jego pochwały, wszakże oświadczył, iż na rozkaz wyższy otrzymany z Paryża zniewolony jest wysłać go na wyspę Ś. Małgorzaty. Tu przebywał Edmund Taczanowski aż do zajęcia Rzymu przez Francuzów.

Była to trzecia jego niewola, która dla bardzo niezdrowego klimatu wspomnianej wyspy nie mało podkopała jego zdrowie.

Od chwili powrotu w końcu sierpnia 1849 r. w strony rodzinne, aż do początku roku 1863, nastał dla Edmunda okres czasu, poświęconego cichym pracom obywatela i rolnika, urozmaiconym kształceniem się teoretycznemu w ulubionym zawodzie wojskowym, którego nigdy nie spuszczał z oka. W tym czasie przypadł także ślub jego w r. 1860 z Anielą Baranowską, córką znanego zaszczytnie z dawniejszych lat w pracach, działaniach i bojach narodowych obywatelstwa ś. p. Stanisława Łodzi Baranowskiego i Agnieszki z Lipskich herbu Grabie, znakomitej patriotki i niepospolitego umysłu matrony. Jednocześnie niemal doszły go doniesienia o pierwszych manifestacjach warszawskich i o coraz większym rozdrażnieniu umysłów w Królestwie Kongresowym. Edmund Taczanowski ani nie należał do tworzącej się po całym kraju tajnej organizacji, ani nie pochwalał gorączkowego parcia zapaleńszych żywiołów do wybuchu strasznej katastrofy. Czując wszakże, że ostatecznym wynikiem budzącego się z coraz większą siłą i gwałtownością ruchu, będzie starcie zbrojne, pragnął, aby naród, o ile się tylko da, był na nie przygotowanym. Ztąd to powstała jego myśl zawiązywania bractw strzeleckich po gminach wiejskich z odpowiednimi ćwiczeniami wojskowymi, na wzór milicji szwajcarskich, myśl, której niezrozumienie przez swoich, przeszkody zewnętrzne i zbyt szybko następujące po sobie wypadki dojrzeć i rozwinąć się nie pozwoliły. Wybuch styczniowy zastał Taczanowskiego na łonie najpromienniejszego szczęścia domowego. Młoda i uroczej piękności żona, maleńki synek, którego ukochał nad życie, a do którego kolebki myśl jego z pola bitew bezustannie spieszyła, jak się z listów jego obozowych przekonać można, nie zdołały przecieżyć na chwilę ostudzić w nim gorącego poczucia dla obowiązków względem Ojczyzny. Mąż wytrawnego i bystrego umysłu, wojskowy doświadczony, nie mógł się łudzić, aby przedwczesne i bezbronne powstanie z r. 1863 mogło jakkolwiek odnieść korzyść nad stokroć liczniejszym i wybornie uzbrojonym wrogiem. Był też z początku stanowczo wszelkiemu rozlewowi krwi przeciwnym. Mimo to widząc, że komitet poznański koniecznie pragnie jemu naczelne dowództwo zbrojnych wypraw z Księstwa powierzyć, że całe Kaliskie domaga się jego obecności na polu walki, pokładając w jego charakterze i zdolnościach wojskowych nieograniczone zaufanie, że wreszcie powstanie zbrojne coraz większe przybiera rozmiary, rokując przez to nadzieję interwencji mocarstw zachodnich, aczkolwiek bez wiary w możliwość zwycięstwa i ciężko chory, siadł na koń i wyruszył w pole, opuszczając wszystko, co mu było najdroższym na ziemi.

Odtąd rozpoczynają się dzieje sześciomiesięcznych Taczanowskiego, w dwóch odrębnych kampaniach, zapasów z Moskwą, które jakkolwiek

nieuniknioną po dwakroć zakończone klęską, należą przecież w dziejach powstania z roku 1863 do najchlubniejszych dla oręża polskiego epizodów.

W nocy z dnia 15 na 16 kwietnia przebył Edmund Taczanowski w towarzystwie Wacława Koszutskiego granicę i udał się do Chocza, gdzie nań już oczekiwał kapitan Murzynowski, który później poległ pod Ignacewem. Nazajutrz byli już w drodze przez Rudę ku Pyzdom. W liście z dnia 17 kwietnia, datowanym z Rudy, poleca Taczanowski żonie, by natychmiast dała znać Władysławowi Niegolewskiemu, z którym go ścisła i najserdeczniejsza łączyła od ławy szkolnej przyjaźń, że już się znajduje w Królestwie. Był to zapewne znak umówiony, w kilka dni bowiem później przybył do obozu w Pyzdrach Niegolewski, a za nim Jan Działyński, wiodący z sobą mały, ale znakomicie uzbrojony oddziałek, i od téj chwili aż do klęski pod Ignacewem obydwa nieodstępni byli towarzyszami Edmunda.

Objąwszy dowództwo, ogłosił Taczanowski w Pyzdrach rząd narodowy, kazał rozbroić straż graniczną, której część po złożeniu przysięgi wcielił do swego oddziału, liczącego już na dniu 20 kwietnia około 500 ludzi. Szefem sztabu mianował Taczanowski majora Strzeleckiego, służbę adjutantów przy naczelniku pełnili wspomniony wyżej Murzynowski. Wacław Koszutski i Bolesław Malczewski, prócz tego Stefan Radoński, jako oficer do szczególnych poruczeń; kosynierami dowodził Francuz Ganier, jazdą Miśkiewicz, artylerją, złożoną z dwóch armatek wiatatowych i jednego dwufuntowego działka, Władysław Zakrzewski z Ziółkowa, strzelcami, podzielonymi na kompanie, Lewiński pierwszą, Kazimierz Unrug piątą; o reszcie nie mogłem się dowiedzieć.

„W Pyzdrach — pisze Taczanowski dnia 21 kwietnia do żony — hałas ogromny, pełno chorągwi polskich i szlachty okolicznej. Z Księstwa ciągle przybywa młodzież do obozu...“ Korespondent zaś „Dziennika Pozn.“ dodaje: „U nas ruch i czynność niezwykła. Dowódca nasz, E. T., gorąco się bierze do rzeczy. Chorągiew narodowa, szumiąca na wietrze wiosennym, raduje serca patrzących. Wszędzie małe oddziały mustrują się, ćwiczą, organizują, a z każdego oka błyszczy zapał i chęć mierzenia się z nieprzyjacielem. Z miasta zgłosiło się natychmiast 50 ochotników i do szeregów się zaciągnęło. Kiedy nasi zajęli miasto, ujrzano z drugiej strony rzeki spieszący zdala oddział zbrojny. W rozumieniu, że to Moskale, nakazał komendant spalenie mostu, do czego natychmiast się zabrano. Tymczasem za zbliżeniem się nadchodzących poznano braci, spieszących do jednej gromady. Ugaszono więc ogień, most naprawiono i serdecznie przywitano przybyłych z lasów chockich...“

Edmund Taczanowski, którego cierpienia nóg coraz więcej dla trudów obozowych i nocy bezsennych się zwiększały, mimo to wciąż był czynnym i częste z szefem sztabu, oficerami wyższymi, oraz z członkami komitetu, Niegolewskim i Działyńskim, przybyłymi jako ochotnicy na pole walki, odbywał narady wojenne. Rozkazyienne lub odezwy rządu narodowego zwykle ogłaszał obozowi dr. Władysław Niegolewski; major Strzelecki zaś głównie zajmował się organizacją ochotników (zob. niżej w „Spisie ofiar“).

Dnia 27 kwietnia rozniosła się wieść, że Moskale nadchodzą. Taczanowski wysłał bezzwłocznie gońca do Słupcy, gdzie obozował Fau-

cheux, wzywając go na pomoc. Alarm przecież okazał się mylnym. Na wszelki jednakże wypadek stanął oddział Faucheux'go w pobliskim lesie obozem. Chwila walki zbliżała się, wyczekiwana z niecierpliwością przez gorącą młodzież.

Dnia 29 kwietnia, w środę, rano dały znak widety, że kolumny nieprzyjacielskie, liczące około 1500 ludzi z czterema działami gwintowanymi, nadciągają. Taczanowski rozkazał natychmiast wymarsz całego oddziału z miasta na otwarte pole, gdzie w pierwszej linii stanęli strzelcy, tworząc łańcuch tyralierów, wzmocniony niebawem ochotnikami z oddziału Faucheux'go (zob. niżej zyciorys Witolda Turny). W tylnej straży znajdowała się jazda: w pobliżu zagajeniu zajął ukryte stanowisko Ganier z kosynierami, by na znak dany uderzyć na nieprzyjaciela. Bój się rozpoczął gestem strzałami obu linii tyralierskich, którym towarzyszyły gromy dział moskiewskich, ubezwładniając od razu słabą naszą artylerią, której dowódca, Władysław Zakrzewski, padł ranny w nogę. Po nim leżał Faucheux, również ciężko ranny; obu uwięziono do miasta. Przez pół dnia chwiał się ostateczny wypadek walki. Wtém ogień moskiewski począł słabnąć, co spostrzegłszy Taczanowski i przypuszczając, że nieprzyjacielowi zabrakło amunicji, wydał rozkaz, by kawaleria przypuściła szarżę. Rozkaz ten przyniósł Miśkiewiczowi Niegolewski. Gdy jednakże szwadron bardzo powolnie się formował, czterech poruczników, jako to: Bolesław Bronikowski, Mieczysław i Tadeusz Jaraczewscy, Stefan Zakrzewski i podoficer Budziszewski z Wołynia, przebywający dziś w Paryżu, wspięli dzielne runaki i co koń wyskoczyli ruszyli przeciw nieprzyjacielskiej piechocie, która natychmiast utworzyła czworobok. Pięciu naszych śmiałków pędzi jak wiatr, nie oglądając się wcale, czy reszta szwadronu idzie im w pomoc. Nagle odzywają się obok przebiegających krzyki strzelców: „Na Boga, wstrzymajcie się, jesteście sami, śmierć nieochylna!“ W tej samej chwili czworobok daje ognia, a z lewej flanki grad kartaczy poczyna się sypać. Nareszcie udaje się naszym ochotnikom powstrzymać rozrukane konie, ale za ledwie na kilkanaście kroków przed zdumioną piechotą moskiewską. Cudem niemal powracają wszyscy pięciu do swoich, witani głośnie miwaty, mianowicie Budziszewski, który utraciłszy konia od kuli moskiewskiej, z najzimniejszą krwią wśród najcieplejszego ognia zdjął z niego siodło i rynsztunek i pieszo, dźwigając te przybory na plecach, zwolna kroczył ku szwadronowi, wciąż jeszcze formującemu się do szarży. Ale Taczanowski, widząc, co się dzieje, nakazał strzelcom iść na bagnety, a Ganierowi wypaść nagle z zagajenia i z flanki uderzyć na mięszającego się nieprzyjaciela. Ataku tak gwałtownego już Moskwa nie zdołała wytrzymać i po 8-godzinnym boju opuściła plac bitwy, cofając się ku Myszakowu w stronę Kalisza i zabierając z sobą na podwodach zabitych i rannych, których miała około 100. W czasie walki spieszyły zewsząd powstańcom na pomoc liczne oddziały chłopów, uzbrojonych w widły, cepy i kosy. Około 6 godziny z wieczora wrócili nasi po zwycięztwie do obozu, witani z zapalem przez ludność miejską wśród bicia dzwonów i śpiewania hymnu: Boże, coś Polskę.... Nazajutrz wydał Taczanowski następujący rozkaz dzienny:

„Żołnierze! Złe ubrani, niewyćwiczeni, walczyliśmy wczoraj zwycięzko z wojskiem regularnym. Przez 8 godzin stałście pod

ogniem piechoty i dział moskiewskich, na krok nie ustępując z miejsca. Strzelcy po bohatersku bój utrzymywali, atak kosynierów pod dowództwem Ganier d'Abin walkę na naszą korzyść rozstrzygnął i zmusił Moskali do spiesznego odwrotu. Po odebraniu szczegółowych raportów ogłoszę nazwiska tych wszystkich, którzy między walecznymi najwaleczniejsi byli; dzisiaj zaś już tyle powiedzieć mogę, że sława dnia tego należy się majorowi Strzeleckiemu.

(podp.) Taczanowski,  
dowódzca oddziału siły zbrojnej narodowej.“

Tegoż samego dnia pisał Edmund do żony: „Wczoraj stoczyliśmy zaciętą walkę z Moskalami i chwala Bogu, szczęśliwą. Moskale atakowali nas o godzinie 8-miej rano i dopiero o godzinie 4-tjej bój ustał. Więcej ci nie piszę, gdyż jestem chwilowo ogromnie zatrudniony....“

Po odbytej naradzie wojennej postanowił dowódzca opuścić Pyzdry, przeciwko którym ze wszech stron Moskale w bardzo przeważnej liczbie nadszli. Zamiarem Taczanowskiego było unikać stanowczego starcia i nie narażać młodego żołnierza na bezpotrzebny krwi rozlew, ale przez zrzeczne marsze niepokoić nieprzyjaciela i w drobnych potyczkach wprawiać niedoświadczone jeszcze wojsko w rzemiosło wojenne. Zamiaru tego nie podzielali wprawdzie zapaleńcy, wydzierający się do walki w zupełnej pewności zwycięstwa; każdy jednakże zdrowo zapatrujący się na położenie rzeczy, przyznać musi Taczanowskiemu najzupełniejszą słusność.

Dnia 1 maja w piątek o godzinie 7 rano wyruszył tedy cały oddział z Pyzdr ku Choczowi, pogrzebawszy wprzód uroczyście poległych i pomieściwszy rannych w miejscach bezpiecznych. Oddział Turny postępował za nim, a po dniach kilku złął się z głównym łucem w jeden. Turno zaś otrzymał od Taczanowskiego, mianowanego naczelnikiem sił zbrojnych powiatów konińskiego i kaliskiego, dowództwo nad pułkiem strzelców. Taczanowski, przyszedłszy do Chocza, otrzymał wiadomość, że podjazd z 20-tu objeżdżyków przybył na podwórze dominialne do Oleśca, wioski tuż pod Choczem położonej. Natychmiast po odebraniu tego doniesienia wysłał pluton konnicy<sup>1)</sup> dla otoczenia podwórza w Oleścu, Turno zaś polecił wziąć z oddziału swego 10 strzelców i kilku jeźdźców i ruszyć zaraz za poprzednio wysłanym plutonem, który wpadłszy na nieprzygotowanych Moskali, zaczął ich rąbać, zanim strzelcy nadbiegli. Dwóch objeżdżyków na podwórzu poległo, a trzeci, kapitan ich, ciężki przez podoficera konnicy w głowę, gdy jeszcze się rewolwerem bronił, poległ z ręki porucznika Żółtowskiego, który należał do komendy Turny, a później jako dowódzca kompanii strzelców zginął pod Ignacem (zob. niżej spis ofiar). Za uciekającymi puściła się nasza jazda, a w pogoni tej Turno i Mańkowski kilku nieprzyjaciół położyli trupem.

W dwa dni później, manewrując wciąż pomiędzy gęstą siecią wojsk moskiewskich, dowiedział się Taczanowski, że pod Dąbroszynom stoi oddziałek z kilkudziesięciu objeżdżyków złożony. Więc znów wysłał przeciwko niemu pluton jazdy pod wodzą podporucznika Stefana

<sup>1)</sup> Nazwiska porucznika tego plutonu nie mogłem znikąd się dowiedzieć.

Z a k r z e w s k i e g o. Ten jak najszcześliwiej podszedł nieprzyjaciela, jadącego stępem żwirówką pod lasem, i tak zniecacka na niego napadł, iż czterech obiedzczków legło na pobojowisku, 10 wzięto do niewoli, a reszta się rozpierchła.

Dnia 4 maja w poniedziałek stanęły oba obozy, w odległości 50 kroków jeden od drugiego, pod Myszakowem. Pogoda po deszczach sprzyjała, wypoczynek 24-godzinny wzmocnił siły i pokrzepił ducha żołnierzy. Taczanowski pisał do żony: „Mając dzisiaj chwilkę wolnego czasu, korzystam z niej, aby do Ciebie słów kilka napisać. Od kilku dni jesteśmy w ciągłych marszach, nigdzie miejsca nie zagrzejemy. Wiadomo Ci już, że udało nam się Moskali pobić. Daj Boże, żeby drugi raz znowu szczęście nam służyło. Dzisiaj rano była msza w obozie, którą ksiądz M a x odprawił.... Dzisiaj też był hollender przez sąd wojenny na śmierć skazany, miałem wyrok podpisać, pomyślałem o Tobie i ulaskawiłem go....“

Był to ostatni list Taczanowskiego z pierwszej kampanii. Jak wszystkie, które przeglądałem, maluje wybornie szlachetne jego serce, pełne miłości Boga i rodziny. W każdym poleca on żonę, synka, brata, teściową i jęj córki opiece Najwyższego, przesyłając im najszczersze pozdrowienia i uściski. Wódz surowy, w boju nieugięty, na myśl o najdroższych sercu swemu, staje się czułym i tklwym.

Dnia 5 maja w wtorek o godzinie 6 rano wyruszyły oba obozy w dalszy pochód ku Kołu. Nazajutrz około godziny 4 po południu w środe wszedł cały hufiec po sześciomilowym marszu, przeplatany ciągłemi utarczkami z postępującymi tuż za nim Moskalami, do miasteczka Koła. Zaledwo jednakże nasi zdołali nieco odpocząć, ukazała się straż przednia moskiewska z dwoma działami pod wsią Kościelcem, o trzy wiorsty od Koła oddaloną. Żołnierz nasz wesoło i ochoczo ruszył do boju, osadził groblę za miastem i po dwóch godzinach zmusił Moskali do odwrotu. Kule działowe żadnej w mieście nie zrządziły szkody; natomiast oplakiwali nasi stratę dzielnego kapitana U n r u g a, śmiertelnie rannego na grobli (zob. niżej. życiorys Kaźmierza Unruga). Po zniszczeniu częściowem dwóch mostów na rzece Warcie i spaleniuj stajni rządowych, opuściły polskie oddziały dnia 7 maja, w czwartek, około godziny 4 rano w kierunku Ignacewa miasteczko Koło, które w kilka godzin później zajęli Moskale. Tegoż samego dnia około godziny 4 po południu stanęli nasi w Lubstowie. Po rozłożeniu się obozu, Taczanowski, mianowany, jak wspomniałem wyżej, dwa dni poprzednio dowódcą sił zbrojnych powiatów konińskiego i kaliskiego, rozwiąawszy oddział Turny, wcielił go do swojego oddziału, Turnie zaś oddał dowództwo nad strzelcami, których było 7 kompanii, razem 540 ludzi. Po obliczeniu całego obozu, do którego w nocy przybyło kilkudziesięciu rozbitków z oddziału Younga pod dowództwem kapitana G o l s k i e g o, pokazało się, że strzelców, kosymierów i konnicy było ogółem 1200 ludzi. W nocy około godziny 12 odebrał Taczanowski uwiadomienie, że generałowie Brünnner i Krasnokutski nazajutrz mają go atakować. Zwołano natychmiast radę wojenną, która się odbyła w namiocie hr. J a n a D z i a ł y Ń s k i e g o. Pozostawały dwie drogi: albo oczekiwać napadu, albo cofnąć się. Taczanowski, uwzględniając siły moskiewskie, miał zamiar cofnąć się, gdy się jednakowowoż przekonał, że przez ostatnie dwa dni pochodu przeszło 100 ludzi z powodu zmęczenia, a więcćj

jeszcze z braku wprawy w marszu, z obozu ubyło, postanowił pozostać na miejscu i przyjąć bitwę. W takim razie mógł jeszcze odnieść zwycięstwo, pochód zaś dalszy groził mu pewną klęską, ale nie od nieprzyjaciela, tylko klęską pochodzącą z zupełnego rozprzeżenia obozu. Z rana około godziny 3 oświadczył Taczanowski majorowi Strzeleckiemu, że chce oszańcować całą pozycję. Strzelecki opierał się temu stanowczo, utrzymując, że żołnierz niewprawny źle się bije za szaniami. Taczanowski silnie obstawał przy swoim zamiarze, gdy jednakowoż Strzelecki nie dał się przekonać, rozeszli się obydwaj i oszańcowanie pozostało w zawieszeniu. Około godziny 7 z rana przyszła wiadomość, że Moskale tylko już są o pół mili. Na tę wiadomość Taczanowski zerwał się i nie pytając się więcej Strzeleckiego, kazał sypać od domu do domu szańce („Ojczyzna“).

Tu nadmienić mi wypada, że kolonia Ignacewo zbudowaną jest pod kątem prostym z dwóch stron, chałupy z blochów, jedna od drugiej o jakie 25 kroków odległa, zabudowania tylne przyparte do lasu („Pamiętnik kapitana *Golskiego*“).

Do godziny 11 prawe skrzydło i środek, wyjąwszy części stykającej się z lewem skrzydłem, były oszańcowane. Gdy zaś zabierano się do umocnienia lewego skrzydła i reszty środka, ukazały się od strony Lubstowa huzary moskiewskie, a tuż za nimi zaczęła się piechota rozwijać w łańcuch tyralierski. Niestety, musiano zaprzestać roboty około lewego skrzydła, które gdyby było tak jak środek i prawe skrzydło umocnione, może byłaby szala zwycięstwa przeważała na stronę polską, pomimo znacznych sił moskiewskich, gdyż ich było przeszło 4000 i 8 armat. Tu wojskowy korespondent bendlikańskiej „Ojczyzny“ (nr. 6 z roku 1865), z której niniejszy opis bitwy pod Ignacemem głównie czerpie, posiłkując się innemi źródłami, przypisuje nieco winy Taczanowskiemu, bo jako głównodowodzący, pomimo oporu Strzeleckiego, jeżeli uważał oszańcowanie za rzecz zbawienną, powinien był zaraz do dzieła przystąpić, tak jak to w cztery godziny później uczynił... Na 300 kroków przed naszym frontem płynęła struga z bagnistemi bagnami i okalała całe nasze stanowisko od strony nieprzyjaciela. Moskale rozwinięci w tyraliery, jak to już wyżej powiedziałem, rozpoczęli ogień na nasz środek i prawe skrzydło. Podeszli aż do strugi, a widząc, że środek i prawe skrzydło są oszańcowane, przestali dalej posuwać się, tylko leżąc na brzuchach, z ziemi na naszych strzelali. Bitwa się rozpoczęła. Taczanowski, mając tak opuchłe nogi, iż jęcząc od bólu, z miejsca na miejsce na wózku przejeżdżał, mając przy swym boku oprócz adiutantów oficera ordynansowego i to do południa Bolesława Bronikowskiego, a od południa Tadeusza Jaraczewskiego, wsiał w południe na konia, by szybciej przebiegać pole walki. Podczas pierwszego napadu na środek i prawe skrzydło stał przy drugiej kompanii strzelców, która broniła głównej barykady, usypanej w środku naszej pozycji w poprzek drogi z Lubstowa do Konina prowadzącej. Tu stali także jako ochotnicy Władysław Niegolewski i Jan Działyński. Moskale utrzymując z początku, po nadejściu do rzeczki, na środek i prawe nasze skrzydło, które jedną linią tworzyły, słaby tylko ogień, zaczęli wysyłać rezerwy na nasze lewe skrzydło, tworzące niemal kąt prosty z naszym frontem, a wyskakujący ku stronie nieprzyjacielskiej. Miejsce pomiędzy naszym lewem skrzydłem a środkiem,

pokryte było gęstym lasem, tak że z głównej barykady nie można było dojrzeć, co się dzieje na lewém skrzydle. Taczanowski widząc, że Moskale od frontu słabo tylko strzelają, a otrzymawszy zawiadomienie, że nasi będący na lewém skrzydle, wskutek nadchodzących tam rezerw moskiewskich zaczynają się chwiać, polecił Strzeleckiemu pozostać na naszym froncie i prawém skrzydle, sam zaś pospieszył na lewe skrzydło, rozkazawszy kompanii strzelców, stojącej w rezerwie, aby wyruszyła na wsparcie lewego skrzydła. Połączonym usiłowaniom strzelców i kosynierów, pomimo że lewe skrzydło oszańcowane nie było, udało się odeprzeć Moskali, którzy uderzywszy w masie na nasze lewe skrzydło, przeszli przez strugę i wdarli się już do lasu. Moskale, odparci na lewém skrzydle, uderzyli na część środka, stykającą się z lewém skrzydłem, podpalili kilka chałup i wdarli się pomiędzy środek i lewe skrzydło. Przez to natarcie Moskali obrońcy naszych szańców, dostawszy się w dwa ognie, t. j. z przodu i z tyłu, zaczęli się na przebój cofać ku prawemu skrzydłu, będąc od lewego rozdzieleni przez Moskali. Wtedy to padł Witołd Turno, prowadzący strzelców do ataku na bagnety. Jan Działyński porwał za kosę i zawołał na kosynierów: „Za mną bracia!” i rzucił się naprzód, lecz gdy zaledwo 10-ciu poszło jego śladem, powstrzymali towarzysze broni ten bohaterski zapał, któryby go był o śmierć niechybną przyprawił. Jednocześnie unoszono z pola bitwy ramięgo Niegołewskiego.

Taczanowski, odebrawszy wiadomość, że domy na naszym froncie zaczęły się palić, rozkazał kompanii kosynierów, będącej na lewém skrzydle, aby czémprędzej lasem ruszyła naszemu środkowi na pomoc, sam zaś z adjutantem pospieszył naprzód, aby się dostać do prawego skrzydła. Zamiast naszych, napotkał na drodze na rotę Moskali, która na kilkadziesiąt kroków dawszy do niego ognia, z krzykiem postępowała naprzód, lecz zobaczywszy zbliżających się kosynierów, cofnęła się. Wkrótce jednakowoż, gdy ze wszystkich stron lasu zaczęły się rozlegać hura moskiewskie, kosynierzy rozpięchli się, Taczanowski zaś, uszedłszy jeszcze pogoni huzarów, wyostał się z lasu i ruszył w stronę, gdzie nasze prawe skrzydło i środek się cofnęły, lecz zamiast oddziału, znalazł tylko rozbiegających się na wsze strony powstańców i złane krwią, już nieżywe ciało swego dzielnego szefa sztabu, który przy odrocie, na wiorstę drogi od pierwotnego stanowiska naszego zginął, dosięgnięty kulą moskiewską. Zdawszy więc dowództwo nad niedobitkami hr. Janowi Działyńskiemu, sam z kilkoma towarzyszami skierował się ku Kosmowu, gdzie u ówczesnego właściciela, Józefa Gajewskiego, gościnnego doznał przyjęcia i natychmiast się zajął organizacją nowego oddziału.

Działyński poprowadził rozbitków przez Licheń, Gosławice i Biniew do lasów Kaźmierskich i tu ich rozpuścił, przechowawszy poprzednio broń, którą jednakże później Moskale odnaleźli.

Bitwa pod Ignacewem była jedną z największych i najkrwawszych, jakie stoczono w ciągu powstania z lat 1863 i 1864, a poprowadził ją Taczanowski jako doświadczony dowódzca. Pierwotnie przypisywano główną zasługę majorowi Strzeleckiemu, dalej Janowi Działyńskiemu; wiarogodne przecież późniejsze wiadomości okazały przeciwnie, że plan bitwy był ułożony przez Taczanowskiego i że oszańcowanie prawego skrzydła i środka naszego jedynie jemu zawdzięczać należy. „Uległ

Taczanowski — powiada *Giller* w „Historji Powstania“ — przemocą, wszystkie bowiem moskiewskie siły, które wzmocnione zostały świeżą wysyłką wojsk z Warszawy, w celu zgniecenia najsilniejszego w tym punkcie powstania, po odrzuceniu przez Seyfrieda propozycji skombinowanego działania, na niego się zwały. Zrobił przecież Taczanowski wszystko, co w takim razie uczynić należało“ (Tom II str. 260).

Pułkownik *Callier*, który pod pierwszém wrażeniem mylnych wieści z przekąsem i wielką niechęcią wyraził się w dziełku swojém p. t. „Trzy ustępy z powstania“ o Taczanowskim, upoważnił mnie, bym na tém miejscu sprostował jego błędne zapatrywania, a oddał hołd prawdzie i pamięci generała, co niniejszém z radością czynię.

Taczanowskiemu wstrętną była każda publiczna reklama; zanadto szanował siebie, by się bronić przed niesłusznemi zarzutami; własne sumienie wystarczało mu całkiem. Rząd wreszcie narodowy sam najwyższe okazał mu zadowolenie, mianując go w nagrodę za zasługi położone w pierwszój kampanii a szczegółowo w bitwie pod Ignacewem, w drugój połowie maja generałem. „Gdyby Taczanowski“ — pisał swego czasu znany autor wspomnienia o nim pośmiertnego w „Dzienniku Poznańskim“ — „udział w powstaniu był uważał, jak tylu innych, za rodzaj koniecznego skwitowania wołań ówczesnej opinii publicznej, byłby z wszelkiém do tego prawem mógł uważać obowiązek swój za spełniony przez to, co zrobił dotąd. Brał przecież powstanie narodowe na seryo, a w nadziei wywołania, jak się ogólnie wtenczas spodziewano, zagranicznej na rzecz Polski interwencji, powrócił wśród tysiącznych niebezpieczeństw na widownią walki...“

Wypocząwszy zaledwie dni kilka i zachowując zupełne incognito, rozpoczął Taczanowski z Kosmowa dalsze prace organizacyjne, rozsyłając i odbierając urzędowe raporty z Warszawy, Poznania i Krakowa. Przymtem uzbrajał i wćwiczał w służbę pułk ułanów przy pomocy różnych naczelników w Kaliskiem. Rzecz dziwna, iż to wszystko się działo prawie w oczach kozaków, załogujących w Cekowie, wsi o dwie wiorsty od Kosmowa odległej. Tu odwiedziła także generała młoda żona.

Dnia 14 maja, w dzień zatem po upływie ostatniego terminu carskiej amnestji (zob. wyż. rozdział VI), wydał pamiętną odezwę do mieszkańców województwa kaliskiego, wzywając ich do pospolitego ruszenia. Odezwa ta, charakteryzująca męża nienawidzącego półśrodków, brzmiała:

#### „R o d a c y !

„Od czterech miesięcy leje się krew braci naszych. Bezustannie mogiły pochłaniają najszlachetniejsze ofiary, a pomimo tego dotychczas jeszcze przebywają Moskale na ziemi naszej. W waszém ręku spoczywają losy ujarzmionój Ojczyzny. Chećcie zwyciężyć, to się przestańcie bawić w powstanie; dotąd było ono powstaniem w idei, a w czynie igraszką powstania, ale niestety, igraszką zbryzganą krwią dzieci waszych. Nie z pojedynczemi obozami, które błędząc w odosobnieniu po całym obszarze kraju, są wystawione na mordercze walki z otaczającemi je zewsząd wojskami moskiewskimi, ale z narodem całym Moskale wojnę prowadzić powinni. Niech każdy sósoownie do danych przezemnie rozkazów od ósmnastego do 35go

roku za broń pochwyć, a wtenczas nie obozy nasze wśród mas moskiewskich, ale moskiewskie wśród mas zbrojnego narodu zbezwładnić i zniknąć muszą. Gdy wstąpił na ziemię województwa waszego, mówiono mi, iż o powstaniu ogólnym z powodu obałamucenia włościan przez władze moskiewskie myśleć nie można. Po krótkim pobycie w waszym województwie przekonałem się, iż ono mniemane przywiązanie włościan do rządów moskiewskich jest wymysłem ludzi ograniczonych albo ludzi złej wiary, którzy wszelkich używają sprężyn, aby nie stracić miłego dla nich spokoju. Owszém, gdzie tylko nasz obóz przechodził, wszędzie przez włościan gościnnie przyjęty został, a we wielu miejscach nawet słyszeć głósy: „Niechaj panowie i księża staną na naszym czele, to my wszyscy pójdziemy na Moskali!“ Ty więc szlachto, któraś dawniej była rdzeniem zbrojnych zastępów narodu polskiego, nie daj się prześcignąć w poświęceniu mieszkańcom bohaterskich miast naszych, przypomnij sobie, że krew rycerska płynie w żyłach twoich, pochwyć za broń i stanąwszy na czele drużyn włościańskich, w imię wiary i Ojczyzny rozpocznij walkę z najezdniczą Moskwą. Patryotyczne duchowieństwo nasze z krzyżem w ręku duchowo krzepić was będzie. Mieszkańcy województwa kaliskiego, zważajcie na powyższe słowa moje, bez różnicy stanu i religii bierzcie się do broni i rzućcie się wszyscy na tych wrogów, którzy wasze dzieci w tyłu walkach mordowali.

„Dnia 14 Maja 1863.

„Pułkownik T a c z a n o w s k i,

„Naczelnik siły zbrojnej Województwa Kaliskiego.

Do powyższej odezwy dołączoną była następująca:

#### Instrukcja.

„Celem rozwinięcia organizacyi powstańczej województwa, naczelnik siły zbrojnej województwa kaliskiego stanowi, co następuje:

1) Komendanci wojskowi winni się zająć niezwłocznie przygotowaniem jak największej ilości broni, pod najsurowszą odpowiedzialnością przed doraźnym sądem wojennym.

2) Ciż komendanci obowiązani są utworzyć listy spisowych od lat ośmnastu do 35, których za porozumieniem się z naczelnikami wojennymi powiatów powoływać będą na punkta zborne.

3) Powoływanie spisowych odbywać się ma za pośrednictwem wójtów gmin i naczelników miast, którzy wręczają spisowym imienne wezwanie z pieczętką naczelnika powiatu. Wójtowie gmin obowiązani są osobiście dostawić spisowych na punkta zborne. Spisowi, którzyby po otrzymaniu wyżej wymienionego wezwania nie stawili się, oddani będą niezwłocznie pod doraźny sąd wojenny.

4) Wszyscy wójci gmin, jak również naczelnicy miast, niezajętych przez załogi moskiewskie, winni są uzbroić całą ludność męzką w kosy, piki lub cepy husyckie.

5) W razie odgłosu blisko toczącej się bitwy cała tak uzbrojona ludność męzka, mając na czele właścicieli ziemskich

lub ich zastępców, wójtów gmin i księży, winna spieszyć na plac boju, aby wykonać dywersję na tyły nieprzyjaciół. Wszyscy nieposłuszni temu rozkazowi ulegną doraźnemu sądowi wojennemu.

„Dnia 17 maja 1863.

„Pułkownik T a c z a n o w s k i,

„Naczelnik siły zbrojnej Województwa Kaliskiego.“

Myślą Taczanowskiego przewodnią było poruszenie mas ludowych i nadanie powstaniu charakteru ogólnie narodowego, którego dotąd nie miało. Pułk jazdy regularnej, którego właśnie tworzył, miał być związkiem późniejszej armii, której główną siłę miały stanowić wielkie kadry piechoty, dostarczanej przez pospolite ruszenie. Nieraz później generał, gdy już stanął na czele przeszło tysiąca wybornie uzbrojonej i umundurowanej kawalerii, zebrawszy sztab i oficerów około siebie w godzinach wieczornych, wykladał im swoje zamiary i wyjaśniał sarkająco na rękoma bezczynność, że nie może wyborczego i z takim możłem sformowanego oddziału narażać lekkomyślnie na rozbitcie, ale że nadejdzie chwila, w której wzmocniony piechotą, poprowadzi ich na tak zacięte boje, iż będą mogli się nasycić krwią nieprzyjacielską. Pragnął też Taczanowski, ażeby rząd narodowy przeniósł się do jego lub do innego obozu i tam się ujawnił, wszakże oba jego pomysły, tak zwolanie pospolitego ruszenia, jak ujawnienie najwyższej władzy narodowej, nie znalazły u rządu narodowego poparcia.

W dwa tygodnie po bitwie Ignacewskiej pisał już generał pod dniem 23 maja z Kosmowa do żony: „Donoszę ci, że niedługo znowu będę w licznym otoczeniu,“ a w trzy dni później, dnia 26 maja, zawiadamiał ją: „Jutro, jeżeli Pan Bóg dozwoli, wyjeżdżam do obozu, który już zaczyna się ruszać. Za tydzień może wybuchnie płomień w całym województwie. Przez ten czas, jakeśmy się rozłączyli, wszystko do tego, o ile mi siły starczyły, przygotowałem. Od mieszkańców wszędzie z największą uprzejmością jestem przyjmowany, prawdziwie jak brat wśród braci.“

W początku czerwca wyruszył generał w pole z Kosmowa ku Warcie na czele 200 ułanów, których sam zebrał i wymustrował, łącząc się po drodze z spieszącymi na jego spotkanie oddziałkami jazdy z powiatów kaliskiego, sieradzkiego, szadkowskiego i wieluńskiego. Szefem jego sztabu był pułkownik Pini (zob. wyż. rozdział V), człowiek bystry i bogaty w pomysły, wszakże dzielniejszy w języku niż w czynie. Jak mi opowiadał jeden z oficerów sztabowych generała Taczanowskiego, Pini, skoro tylko doniesiono o zbliżaniu się nieprzyjaciela, szukał otuchy w butelce i to w takich rozmiarach, że gdy przyszło do boju, generał musiał sam być i dowódcą i szefem sztabu. Adjutantami swymi mianował generał Tom a s z a S i e m i e ũ s k i e g o, Z i e l i ũ s k i e g o i S z y m o n a M a l c z e w s k i e g o.

Unikając walnych spotkań, niepokoił Taczanowski bezustannie nieprzyjaciela, przebiegając całe województwo, niszcząc magazyny wojskowe, przejmując gołców i znosząc pomniejsze posterunki moskiewskie. W Choczynie połączył się z nim oddziałek z kilkudziesięciu złożony koni, zebranych w powiecie konińskim pod dowództwem M a t u s z e w i c z a, dzielnego i wytrawnego oficera francuskiej legii zagranicznej, z którą odbył całą kampanię krymską. Dnia 27 czerwca znajdował się obóz

generała pod Kamionaczem. Pisząc ztąd do brata, aby mu przesłać życzenia w dniu imienin, opowiada Taczanowski: „Dziś w nocy przeszliśmy przez Wartę w pław. Skapaliśmy się nie źle, bo deszcz padał okropny. Pędzę teraz życie à la Rinaldo, z tym wyjątkiem, że nie rabuję. Ciężkie to życie, ale i ono ma swoją uroczą stronę.“... Dnia 2 lipca obozował generał w Karsznicach między Szadkiem a Zduńską Wolą: „Za godzinę“, donosi żonie, „w świat dalej ruszamy. Obóz nasz ogromnie się zwiększył; wszystko chce ruszać do konnicy. Szlachta nas bardzo dobrze przyjmuje. Nie uwierzysz, jaka wesołość panuje między tą młodzieżą, jakie śpiewy o ułanach, kochankach i zwycięztwie. Zwiedziłem konnicę sieradzką i wieluńską. W Mazowieckim także Mazury zaczynają na koń siadać i tych, daj Boże, niedługo powitam.“ Dnia 6 lipca pisze generał z obozu w Siedlątkowie: „Od ostatniego naszego widzenia się dużo już kraju przejechałem. Dotychczas szlachta wszędzie dobrze przyjmowała. Przedwczoraj widziałem konnicę łęczycką, wkrótce zapewne inne oddziały zobacze. W naszych oddziałach dotychczas duch bardzo dobry. Daj Boże, żeby i nadal taki sam pozostał“.... Dnia 10 lipca, w piątek, przybyła kawaleria narodowa Taczanowskiego, już w liczbie 480 koni, do Chocza, gdzie się z nią nazajutrz złączyło około 130 jeźdźców. Wszyscy byli przybrani w granatowe mundury z czerwonymi wypustkami i białe czapki. Konie były tak dzielne, a postawa ułanów tak żołnierska, iż stojący po drugiej stronie Proсны oficerowie pruscy, wydziwić im się nie mogli. Powstańcy zabawiwszy w Chocz przez piątek i sobotę, opuścili to miasteczko w sobotę wieczorem o godzinie 10 na wiadomość, że Moskale z dwóch stron, od Konina i od Kalisza przeciwko nim idą. Przez Zagórowo skierował się Taczanowski już w sile 650 koni do Turka. Na wiadomość o jego zbliżaniu się mieszkańcy, po większej części Niemcy i Żydzi, setkami wybiegli na powitanie wojska narodowego, a całe miasteczko zapłonęło wieczorem wspaniałą iluminacją. Na rynku i na placach zastawiono stoły biesiadnie i odbyła się wspólna uczta, przy której miejscowa kapela, złożona z niemieckich rzemieślników, wygrywała polskie pieśni narodowe. Zapał był ogólny. Lecz krótka noc lipcowa szybko przeszła, a hufiec kawalerii z pierwszym brzaskiem wyruszył w dalszy pochód, odprowadzony przez mieszkańców z muzyką na czele po za bramy miasta. Pożegnanie było bardzo serdeczne, postawa jazdy wspaniała. Tegoż samego dnia wszyscy Żydzi i Niemcy, zamieszkali w Turku, złożyli przysięgę wierności rządowi narodowemu.

Generał, z dwóch stron zagrożony, cofał się przez Zagórowo ku Lędowi; w ślad za nim pospieszał generał moskiewski Kostanda na czele 4 rot piechoty, szwadronu huzarów i dwóch dział. By dojść z Zagórowa do Lędu, trzeba było przeprawić się przez rzekę Wartę. Przeprawę tę zasłaniał major Matuszewicz ze swym konińskim oddziałkiem, który tu znaczne poniósł straty. Taczanowski zajął tymczasem pod Lędem za klasztorem O.O. Kapucynów i za budynkami silne stanowisko i obsadził je flankierami. W 10 minut później nadsięgnęła Moskwa, którą tak gestym przyjęto ogniem, iż sama konnica przy prawie przez Wartę utraciła 25 w zabitych i rannych. Przez pół godziny wytrzymali nasi flankierzy na stanowisku i dopiero, gdy piechota i działa moskiewskie poczęły się także przeprawiać przez rzekę, nakazał Taczanowski odwrót w stronę Radolina, znów zasłaniany przez

konińską jazdę. „W niedzielę (13 lipca)“, pisze generał do żony, „miliśmy pod Łędem krwawą rozprawę z Moskalami, którymi dowodził generał Kostanda. Z naszych zginęło kilkunastu, pomiędzy innymi młody Gątkiewicz z Rudy“<sup>1)</sup>.

W kilka dni później, dnia 16 lipca, wzmocniło znowu pod Uszkowem 50 jeźdźców hufiec generała, który całą swą kawaleryą podzielił na cztery szwadrony, mianując pułkownikiem Matuszewicza, majorami Miśkiewicza i Bojarskiego, a dowódcami szwadronów: pierwszego Okoniewskiego, drugiego Teodora Mniewskiego, trzeciego Władysława Miłkowskiego, czwartego zaś Zdzisława Bleszyńskiego.

Dnia 18 lipca około północy przybył do generała, obozującego w Wojsławicach, naczelnik siły zbrojnej województwa mazowieckiego, pułkownik Callier, by z rozkazu rządu narodowego jako swemu zwierzchnikowi się przedstawić i odebrać od niego rozkazy. W swych „Trzech ustępach“ ubolewa Callier, że widzenie to było bezowocne, nie otrzymał bowiem od Taczanowskiego żadnych instrukcyi, ale jedynie polecenie odbierania od chłopów i mieszczan przysięgi na wierność rządowi narodowemu i namawiania pierwszych do udziału w sprawie niepodległości; pułkownik zaś Pini wykładał mu teorie o fortyfikacji polowej, dowodząc, że jedynie korzystnym działaniem powstanczém jest okopywanie się wielobokiem. Dziś, po 25 latach, pułkownik Callier całkiem odmiennie wyraża się o obozie Taczanowskiego; stwierdza, że nie widział piękniejszej kawaleryi, jak ją zastał w Wojsławicach, zasługę utworzenia tak wyborowego oddziału przypisując jedynie generałowi, którego zmysł organizatorski wprowadził go w złumienie i doprowadził do przekonania, iż zdolniejszego generała inspektora jazdy trudna by było napotkać w armiach regularnych.

Dnia 21 lipca rozłożył się oddział Taczanowskiego obozem we wsi Giżyce, nad granicą W. Księstwa, naprzeciw miasteczka Grabowa. Pod wieczór rozkazał generał zwołać mieszkańców wsi i przedstawić im cel powstania, poczem wybrano ze zgromadzonych czterech rekrutów, których nazajutrz umundurowano i zaraz wcielono do szwadronu. Od włościan odebrano przysięgę w obec pułku ustawionego w paradzie. Nazajutrz wyruszył obóz z Giżyc na wiadomość, że Moskale ciągną przeciw niemu od Kalisza, Sieradza i Wielunia. Generał donosi żonie pod dniem 21 lipca: „Od szlachty okręgu warskiego dostałem w podarunku bardzo pięknego konia, którego w Księstwie umyślnie kupiono. Odmówić podarku nie mogłem, chociaż byłoby lepiej, gdyby go nie byli kupili, bo jest bardzo drogi, kosztuje 4,000 złp. W oddziale naszym dobry duch panuje, pomimo że robimy ciągle ogromne marsze. Teraz idziemy dalej w drogę“.... W drugim liście dodaje: „Przybyło do nas przed kilku dniami dwóch Szembeków z Księstwa. W tej chwili siadamy na koń, aby się w dalszą puścić drogę“.... Generał przybrał do swego boku hr. Piotra Szembeka jako oficera do szczególnych poruczeń; hr. Aleksandra mianował porucznikiem. W dniu 25 lipca donosi z Sulimowa: „Błądzimy ciągle po tym Bożym świecie. Ciekawy jestem, długo to jeszcze potrwa.“ Dnia 2 sierpnia obozuje

<sup>1)</sup> Zdaje się, że Gątkiewicz nie zginął, tylko był ciężko rannym, w spisach bowiem poległych nazwiska jego nie ma.

w Strzelczu pod Pajęcznem, w powiecie szadkowskim, zkąd, jak zwykle pamiętny o uroczystościach rodzinnych, przesyła żonie życzenia na dzień imienin i dopytuje się o wiadomości z Francji: „Daj Boże“, powiada, „aby te przekłete Francuzi do nas przybyć chcieli. Sama wiadomość o wypowiedzeniu wojny zdemoralizowałaby Moskali, a u nas ogromnie ducha podniosła.“

Taczanowski energicznem swém wzięciem się, znajomością rzemiosła wojennego, przestrzeganiem karności i dzieleniem osobistém trudów żołnierza, słowem przymiotami organizatora i wodza, coraz większe zjednywał sobie w Kaliskiem uznanie. („Dz. Pozn.“ nr. 198 z r. 1863).

Dnia 6 sierpnia wystósowały do generała „Polki Izraelitki z Kalisza“, przesyłając mu w dani sztandar narodowy, adres następujący:

„Sławne Twe wielokrotne czyny, poświęcenie Twoje dla nie-  
szczęśliwej Ojczyzny naszej, która jęczy pod żelazną tyraną dło-  
nią, i jedność, która teraz istnieje, a która, daj Boże, aby była  
długotrwałą, skłoniły nas do ofiarowania Ci tego sztandaru.  
Wszak wspólna krew płynie teraz, tak Chrześcianina jako  
i Izraelity, za wolność i niepodległość narodu polskiego. Racz  
więc przyjąć, szlachetny dowódzco, od współrodaczek Izraelitek  
mały ten dar, jako dowód wdzięczności naszej. Niechaj sztandar  
ten, jako godło pojednania, służy do zwalczania wrogów na-  
szych, a Tobie i Twemu orężowi niech Bóg z wysokości Niebios  
błogosławi i zwycięstwa przysparza.

„A Wy, Bracia nasi, którzy tak mężnie, jak na Polaków  
przystoi, walczyacie, niosąc sztandar ten, po każdym odniesionem  
zwycięstwie pomniście, że Polki Izraelitki są zawsze gotowe na  
wszelkie poświęcenia dla dobra ukochanej Ojczyzny naszej.“

Cóżby na tę piękną odezwę powiedziały nasze Żydówki poznańskie!?

Hufiec konny Taczanowskiego rósł ciągle, tak że w pierwszej po-  
łowie sierpnia liczył już przeszło tysiąc wybornie uzbrojonej i umundu-  
rowanej jazdy, która 10 sierpnia obozowała w Sulimowie, zkąd nazajutrz  
ruszyła w kierunku Rychwału. Generał podzielił swój oddział na dwa  
pułki, z których jednym dowodził M a t u s z e w i c z, drugim zaś S ł u p-  
s k i. Nie mając wcale piechoty, unikał starannie stanowczej walki,  
należając wciąż na rząd narodowy, by nakazał w całym kraju pospolite  
ruszenie i by księży do ogłaszania tegoż z kazalnicy zawezwał. Dnia  
15 sierpnia spotkała się na żwirówce między Zduńską Wolą a Łaskiem  
przednia jego straż z kozakami i po krótkim boju zmusiła ich do od-  
wrotu, ubiwszy im siedmiu ludzi. Zabrano im przy tej sposobności kilka  
koni i jańczarek. Dnia 20 sierpnia odpisuje Taczanowski żonie, pra-  
gnącej, aby wziął urlop: „O urlopie teraz myśleć nie można. Póki mi  
siły starczą, trzeba pozostać na miejscu. Nie sztuka wiosłować po morzu  
spokojnem, ale trudno wśród burzy okręt do portu doprowadzić. To  
ostatnie mojem zadaniem, trzeba więc wytrwać do końca. Duchowień-  
stwo moją odezwą nie jest zrażone. Owszém bardzo wielu księży dzia-  
łało stósownie do tej odezwy. Są tacy, którzy są zrażeni, ale są to  
sami tchórze, którzy albo się boją Moskali, albo też duchem moskie-  
wskim przesiąkli. Oddziały nasze wzrastają, duch w nich dobry i silna  
wiara, że i dla nas gwiazda szczęśliwa zabłyśnie. Przed kilku dniami,  
t. j. z soboty na niedzielę w nocy mieliśmy małą utarczkę z Moskalami

pod Łaskiem. Utarczka dla nas dość dobrze wypadła, bo z naszej strony było tylko trzech rannych, a ze strony moskiewskiej 5 rannych i 2 zabitych. Oprócz tego zabraliśmy Moskałom trochę broni.“

Nadzieje przecież Taczanowskiego nie miały się ziścić i nie było mu daném skołatany burzami okręt narodowy doprowadzić do bezpiecznej przystani. Rząd narodowy wysyłał doń wciąż swych pełnomocników, z żądaniem, by się nie oglądał za pospolitým ruszeniem, ale staczał większe boje z nieprzyjacielem. Było to wręcz przeciwne zamiarom generała, który ulubioną, własnym przemysłem i niezliczonymi zabiegami utworzoną kawalerią chciał koniecznie uchronić od pogromu i zachować na ważniejsze w przyszłości wypadki. Spodziewał się oczywiście interwencji francuskiej, a wtedy dwa jego pułki regularnej jazdy byłyby tworzyły jądro przyszłej armii polskiej. Podczas gdy w kwaterze głównej odbywały się burzliwe narady pomiędzy generałem a pełnomocnikami rządu, i wśród wojska, podobnie jak w pierwszej kampanii, poczęły się sarkania na „bezczytność“ wodza. Podobno major Miśkiewicz niechęć tę do generała podsyczał potajemnie. Aż nareszcie przyszło w Sulisławicach do formalnego buntu pierwszego szwadronu, który mając na czele podoficera Kowalskiego, wyruszył z bronią ku mieszkaniu generała. Tu okazał Taczanowski wielką odwagę i przytomność umysłu. Nakazał całemu sztabowi, chcącemu mu towarzyszyć i w razie potrzeby zasłonić swemi piersiami, pozostać w komnacie, sam zaś, trzymając szablę w pochwie i z pendentem w rękę, wyszedł na ganek dworca. Skoro szwadron się zbliżył w groźnej postawie, a Kowalski chciał przemówić, generał jednym zamachem szabli powalił go z konia i z najzimniejszą krwią zakomenderował: broń do pochew, na na lewo w tył zwrot i marsz do kwater! Żołnierze zdumieni i zawstyżeni powrócili na swe dawne leże. Zdarzenie to opowiadam według sprawozdania naocznego świadka, hr. Piotra Szembeka. Rzucano ono piękne światło na dzielność wojskową i hart duszy generała Taczanowskiego.

Po pomyślnej dla oręza polskiego utarczce pod Łaskiem, posunął się generał ku Częstochowie, połączywszy się poprzednio z oddziałem piechoty podpułkownika Kopernickiego, liczącym 260 strzelców i 142 kosynierów. Dnia 28 sierpnia napotkał około Brzeźnicy 50 kozaków i tych zabrał do niewoli. Wkrótce został w Sędziejowicach zaatakowany przez silny oddział moskiewski. Bój był zacięty i trwał przez cały dzień niemal, ze strony moskiewskiej bowiem walczyło między innymi 50 oficerów, z najpierwszych rodzin caratu, którzy na ochotnika wyszli z Warszawy, ślubując sobie, że Taczanowskiego żywcem pochwycają. Ci wszyscy niemal padli trupem. Pod Sędziejowicami odznaczył się wielce szaloną odwagą hr. Aleksander Szembek (zob. niżej. Rozdz. XVIII). Generał, który już przed kilku dniami wprzódzy żądał od rządu narodowego, na którego sposób prowadzenia sprawy się nie godził, uwolnienia ze służby, wyruszył nazajutrz, dnia 29 sierpnia o godzinie 2 rano, obawiając się ataku wojsk moskiewskich zgromadzonych w Częstochowie, w kierunku ku Koniecpolowi na Skrzydlewo.

„Przeszedłszy las o godzinie 3 rano“, pisze w swym raporcie podpułkownik Kopernicki, „spozstrzeżliśmy pod Witkowicami z pod lasu wyjeżdżających flankierów kozackich, a za nimi kolumny piesze. Generał wysłał flankierów i kazał szwadronom pierwszego pułku roz-

winać się i stanąć w szyku bojowym. Nadchodząca piechota nasza i drugi pułk ułanów, słysząc strzały, zbliżyli się i zajęli właściwe miejsce. Około 3 kwadransów było tak ciemno, że niepodobna było zrekonstruować ani pozycji, ani siły nieprzyjacielskiej; skoro tylko zaczęło się rozwidniać, szwadrony obydwóch pułków zaczęły się cofać za Nieznanice aż ku Zdrowej, pod którą na wzgórzu zatrzymały się. Flankierów zastąpili tyralierzy 1 kompanii strzeleckiej, których rozwinąłem przed Nieznanicami; Moskwa zajęła część Witkowic i krzaki naprzeciwno Nieznanic leżące silnym łańcuchem tyralierów, od dwóch kompanii wysłanym. Nasze kolumny piesze cofały się ku Nieznanicom, pod osłoną tyralierów, którzy do 5 rano powstrzymywali nacisk konnicy i piechoty nieprzyjacielskiej. O 5 rano zająłem Nieznanice, pomieściwszy dwie kompanie we wsi, tyralierów 1 kompanii cofnąłem ku wsi. Ogień tyralierski trwał blisko dwie godziny, nie czyniąc nam wielkiej szkody; część łańcucha nieprzyjacielskiego zbliżyła się na kroków 400 do lewego naszego skrzydła; wzięłem jedną kompanią kosynierów, aby ich odpędzić. Kosynierzy przeszli ulicę z okrzykiem hura! lecz się zatrzymali w końcu, nie chcąc iść dalej. Część łańcucha nieprzyjacielskiego okrzykiem i pokazaniem się kosynierów zatrwożona, cofnęła się na linię do lewego skrzydła.

„Nieza długo naprzeciwno prawego naszego skrzydła pokazały się dwie kompanie piechoty nieprzyjacielskiej z dwoma działami z Częstochowy idące i gdy wysłani od nich tyralierzy zaczęli oskrzydlać wieś, a kosynierzy, usłyszawszy strzały działowe, zaczęli się cofać, widząc, że kawalerya nasza klusem oddała się aż za Zdrowę, oprócz 1 szwadronu 2 pułku pod dowództwem pułkownika Słupskiego, który pozostawał na miejscu, kazałem i strzelcom się cofać, którzy, odstrzeliwając się, odstępowali w porządku. Lecz kosynierzy, widząc oddalającą się konnicę, poczęli pierzchać. Napróżno usiłowano ich powstrzymać. Między Nieznanicami a Zdrową było wysokie wgórze z cegielnią; tam zdołałem wstrzymać część cofających się za kosynierami strzelców, ale nie na długo.

„Tyralierzy moskiewscy postępując w ślad, zajęli Nieznanice, a później i opuszczone wgórze; strzelcy nasi po opuszczeniu wzgórza zajęli w dole leżący folwark Zdrowę. Tam długo zatrzymywali nacisk strzelców nieprzyjacielskich, którzy silnym łańcuchem zajęli wgórze i cegielnię.

„Kiedy już konnica i kosynierzy cofnęli się, oprócz idącego na ostatku 3 szwadronu 1 pułku, gdy Moskwa gotowała się do ataku, a spalona granatem stodoła w Zdrowej sprawiła zamieszanie w strzelcach, dałem i im rozkaz cofnięcia się ku Babom. Przy odwróceniu ku Babom, między tym folwarkiem i wsią Jackowem, od strony Kruszyny ku lewemu skrzydłu naszemu, ukazała się szybko nadciągająca jazda nieprzyjacielska, złożona z huzarów, dragonów i kilkudziesięciu kozaków liniowych. Jednocześnie z tej strony także zaczęto puszczać na nas race kongrewskie i strzelać z dział, a w dali widać było kilka kolumn piechoty. Trzeci szwadron naszej jazdy, prowadzony przez Matuzewicza, zmieształ się także i począł się cofać. Kosynierzy i strzelcy zaczęli się cofać w nieładzie ku Jackowu. Jazda nasza cofnęła się ku Syrnie, część się tam rozpierzchnęła, a około 300 koni z generałem Taczanowskim i pułkownikiem Słupskim dostało się do Dubic nie-

daleko Brzeźnicy, piechota zaś, uszedłszy do Jackowa, rozbiegła się w części.

„Tu dopiero, widząc rozsypkę téj części piechoty naszej, huzary i kozacy rozpoczęli rzeź, rąbano jeńców bezbronnych bez miłosierdzia. Straty nasze są: zabitych, a raczej zarąbanych 66, rannych do 100. Do niewoli wzięto 52, furgony Moskwa zabrała“ („Dzien. Pozn.“ nr. 209 z r. 1863).

Takim był tragiczny koniec drugiej wyprawy Taczanowskiego, który, zmuszony niemal przez rozkazy wyższe do przyjęcia walnej bitwy, uległ, jak z góry przewidywał, ośmiotysięcznej przewadze trzech połączonych kolumn moskiewskich. Zniechęcony, opuścił Królestwo i przez Wrocław i Drezno udał się nasamprzód do Paryża, ale nie w chęci zasłużonego, a wielce jego mocno nadwątlonemu zdrowiu potrzebnego po trudach wojennych wypoczynku, ale w zamiarze przyniesienia pomocy gasnącemu odtąd coraz bardziej ruchowi narodowemu.

Przekonawszy się w Paryżu, że wszelkie nadzieje uzyskania dla Polski walczącej pomocy ze strony rządu Napoleona III okazały się złudnemi, wyjechał w początku roku 1864 do Carogrodu, by skłonić W. Portę do wystąpienia na rzecz Polski. Przyjęty z odznaczeniem przez wielkiego wezyra Aleko baszę i słynnego później obrońcę Plewny, Omera baszę, przedłożył im swoje propozycje. Chodziło mu o utworzenie słowiańskiej armii bułgarskiej, której zawiąskiem miały być szwadrony jazdy polskiej Michała Czajkowskiego, czyli Sadyka baszy. Miał także zamiar otworzenia w Bułgarii Szkoły wojskowej polskiej, na wzór dawniejszej w Cuneo, któraby przyspasabiła oficerów zdolnych dla projektowanej armii. Korespondencya, prowadzona przez dłuższy czas przez Taczanowskiego z tureckimi zwyż wymienionymi dygnitarzami, obejmowała plany organizacyi bułgarsko-polskiej armii w najdrobniejszych opracowane szczegółach. Niestety, papiery te zaginęły. Generał, niestrudzony w swych zabiegach, jeździł do obozu Sadyka baszy po kilkakrotnie, by go dla pomysłów swoich pozyskać. Jakoż w istocie pochwalał Czajkowski jego zamiary i przyrzekał je popierać. Chcąc uczyć gościa, kazał swój konnicy przedefilować przed nim w paradzie. Również i Omer basza, którego często odwiedzał, zaprosił generała Taczanowskiego do swego boku w czasie jednego z przeglądów wojskowych. Zdawało się, że i ambasador ówczesny austriacki, baron Prokesch Osten, pokryjomu sprzyja Taczanowskiego na wielką skalę obmyślanym planom. Generał zrobił wycieczkę do Wiednia, by tam naradzić się z rozmaitymi wybitnymi mężami stanu polskimi. Powołał między innymi dr. Władysława Niegolewskiego, Wolniwicza, Waligórskiego i kilku innych. Mimo przecież tak pomyslnego układu początku, wnet spostrzegł z żalem Taczanowski, że Porta chwiać się poczyna, a ruble moskiewskie wszelkie jego starania krzyżują. Ostatecznie i tutaj zawiodły go nadzieje. Rozczarowany i zgryziony powrócił do Krakowa, a ztamąd w przededniu wojny francuskiej, dzięki amnestyi, udzielonej przestępcom politycznym po wojnie austriackiej, do rodzinnej wioski.

Odtąd usunął się całkiem od życia publicznego, oddając się z wrodzonym sobie zapałem gospodarstwu wiejskiemu i wychowaniu dzieci, do których sercem macierzyńskim niemal był przywiązany. Zawiedzione przecież nadzieje i straszne klęski, jakie nieszcześnie powstanie na Polskę

zwalilo, toczyły rakiem tę pierś, która nad wszystko kochała Ojczyznę, jęj życiem żyła, każdą jęj boleść w dwójnasób odczuwała. Zdrowie tęż generała z dnia na dzień poczęło się pogarszać. Rażony w listopadzie 1878 roku paraliżem, już nie powstał więcj z łoża boleści. Mimo najtroskliwszj opieki żony, dzieci i przyjaciół, gaśł w oczach. Czując zbliżający się kres ziemskięj swj pielgrzymki, nieraz osłabionym głosem roztaczał przed najbliższymi obrazy z przeszłości, opowiadał przygody, jakich doznał, zastanawiał się nad ludźmi, z którymi w życiu obozowem się stykał, i nad wypadkami lat ostatnich.

Pojednawszy się z Bogiem, skonał wreszcie po 9-miesięcznych ciężkich cierpieniach, dnia 14 września 1879 roku w Choryni.

Na pogrzeb generała pospieszyli ze wszech okolic Księstwa obywatele, nawet przeciwnicy polityczni, oraz liczni towarzysze broni i gromady ludu wiejskiego, któremu pieśń, zwana w obozach „marszem Taczanowskiego“, nie była obcą.

Zwłoki generała przeniesli obywatele wszystkich stanów z domu żaloby do kościoła, a nazajutrz do kościoła do grobowca na cmentarzu. Nad trumną przemawiali dr. Władysław Niegolewski, pułkownik Callier i kawaler d'Arnese w imieniu Włochów. Bractwo strzeleckie z Kościana pożegnało śmiertelne szczątki dzielnego żołnierza trzykrotną salwą z broni ręcznej.

Kończę słowami ś. p. *Kazmierza Jaróchowskiego* w „Dzienniku Poznańskim“ :

„W czasie, który sobie umiał potworzyć inne ideały wśród osłaniających prawdę pozorów i frazesów, pozostanie Taczanowski, cokolwiek bądź, pociągającą anachronicznie już dzisiaj postacią; postacią, której niezmiennym całego życia, prawdziwym ideałem była Ojczyzna, walka i szukanie walki za nią konsekwentnie i wiernie praktykowanym obowiązkiem. Czciemy i szanujemy podobne charaktery tēm wyżj, im mniej ich pośród siebie mamy, im więcj ich wśród obecnej moralnej i politycznej posuchy potrzeba.

„Cześć jego zacnej pamięci, ojczysta ziemia niechaj mu będzie lekką!“

### VIII. **Kazmierz Unrug.**

Kazmierz Unrug urodził się w r. 1832 w Dzieżycynie, dziedzicznj włóści swoich rodziców, Henryka, szambelana przy dworze berlińskim, i Anieli Tekli z Kurnatowskich małżonków Unrugów. Pochodził z jednęj z najstarszych rodzin niemieckich, bo zawdzięcającj klejnot szlachecki Karolowi Wielkiemu, której odnoga, przeniosłszy się przy końcu XVI wieku ze Szląska do Wielkopolski, nabyła tu obszerne włóści Mięzychodzkie i Kargowskie. Odnoga ta wraz z polskim indygenatem przyjęła także i narodowość polską, starając się odtąd przybranęj Ojczyźnie na każdym kroku synowską okazywać miłość i wdzięczność. To tęż Rzeczpospolita, jak to było jęj zwyczajem, garnęła Unrugów do swego macierzyńskiego łona, zaślugi ich wynagradzała bogatemi starostwami, jak gnieźniefskiem, wałeckiem i obornickiēm, i zaszczytne im powierzała urzędy ziemskie. Wzrastał więc Kazmierz od dziecka w przywiązaniu goracem do Polski, a wychowywany pod okiem troskliwej matki i surowego ojca na dzielnego i zahartowanego męża, wznagał się w siłę fizyczną i od pierwszj młodości

niepospolity zdradzał umysł. Ukończywszy chlubnie szkoły w Lesznie, gdzie zarówno był kochany od towarzyszków, jak ceniony przez nauczycieli dla swego nad wiek rozwiniętego charakteru, udał się Kaźmierz na uniwersytet do Wrocławia. Nie zrażając się żadną przeciwnością, postępował wytrwale ciernistą ścieżką żywota ku raz wytkniętej mecie, zawsze z równym spokojem i bez oglądania się na przeszkody. Nie jedna zaś ciężka boleść zraniła młodzieńcze serce jego. W roku 1848 poległ śmiercią walecznych pod Miłosławiem w bitwie z Prusakami starszy brat jego Ludwik; w roku następnym straszna zaraza wydarła mu w kilku tygodniach sędziwych rodziców i drugiego brata z całą niemal rodziną. Kaźmierz pozostał z młodszym rodzeństwem pod opieką najstarszego brata, Józefa, którego odtąd otaczał miłością i czcią prawdziwie synowską. Obrawszy sobie zawód prawniczy, wkrótce niemały nabył w nim biegłości, a obdarzony bystrym i jasnym na rzeczy poглядem, piękne na przyszłość na tém polu rokował dla kraju nadzieje. Ktokolwiek go poznał bliżej i miał sposobność przestawiania z nim w czasie jego pobytu w Wrocławiu, Wrześni i Poznaniu, gdzie po złożeniu pierwszego prawniczego egzaminu pracował przy sądach, lgnąć mimowolnie musiał do tego młodzieńca, który nigdy nie upadał na duchu, umiał zawsze zachowywać miarę i godność w obejściu z drugimi. Prawość i zacność charakteru Unruga weszła w przysłowie pomiędzy młodzieżą, która w każdym przypadku polegając na jego wytrawnym sądzie, nieraz go brała w zachodzących sporach za rozjemcę. Jakkolwiek bowiem żywy i surowy względem siebie, łagodnym był w sądzie o drugich, łącząc pobłażliwość z męzkim hartem duszy, z powagą i bezstronnością niezwykłą w tym wieku. Miłość tylko Ojczyzny tak gwałtownie gorzała w jego piersi, że gdy o sprawie publicznej wypadło mu mówić lub dla niej działać, unosił się zapałem i gorącym porwany prądem, żadnego w czynie i słowie nie znał hamulca. To też niechęć lub oziębłość dla sprawy narodowej surowego w nim znajdowała pogromcę zawsze i wszędzie.

Wypadki styczniowe zaskoczyły Kaźmierza przysposabiającego się do podróży do Berlina, gdzie trzeci i ostatni w zawodzie swoim miał zdawać egzamen na sędziego, — po wielu latach pracy otwierała się przed nim nareszcie nadzieja plonu. Mimo to nie wahał się poświęcić wszystkiego, aby pospieszyć na pomoc walczącej z Moskwą braci, skoro bowiem, powtarzał, powstanie stało się czynem dokonany, obowiązkiem każdego Polaka było chwycić za oręż i jeśli nie zwyciężyć, to zginąć za Ojczyznę. Odtąd porzucił prace prawnicze, krzątając się pilnie około przysposobień do wyprawy Garczyńskiego, z którą chciał koniecznie pomiędzy najpierwszymi stanąć na polu walki. Złożony przeciw nagle ciężką chorobą, nie mógł urzeczywistnić swego zamiaru. Oddział ochotników z Poznańskiego wyruszył do Królestwa; był w nim towarzyszyz w zawodzie i przyjaciel Unruga, Kaźmierz z Trąmpczyński (zob. niżej). Właśnie wtedy przejeżdżając przez Poznań, odwiedziłem chorego Kaźmierza, z którym mnie dawna z Leszna i Wrocławia łączyła przyjaźń. Z zaciśniętą pięścią, z łzą szlachetnego gniewu w oczach, skarżył mi się, że musi pozostać bezczynnym, gdy inni pospieszyli na plac boju. „Co za zasługa — mówił — iść później do walki, gdy już wszyscy, chcąc nie chcąc, porwani ogólnym prądem, wyjdą w pole! Dzisiaj pora podążenia w pomoc braciom, aby dać przy-

kład tym, którzy się jeszcze ociągają z stanowczym postanowieniem. W pierwszym szeregu wależyć, w pierwszym zginąć — to chluba!“ I z zalem wskazał mi na szafę, w której stał przygotowany sztucer i wiślało wojskowe ubranie. Najbardziej go bolało, że go losy w tak ważnej chwili rozłączyły z Trampeczyńskim, z którym postanowił sobie dzielić trudy obozowe, jak dotąd dzielił z nim prace sądowe. Nie przeczuwał wówczas jeszcze, że śmierć zaszczytna za Ojczyznę wspólnym dla nich będzie udziałem!... Dowiedziawszy się o zgonie przyjaciela, tém bardziej zżymał się Kaźmierz wśród cierpień fizycznych, że nie może pomścić tej dotkliwej straty. Otóż ustęp z listu jego, pisanego w czasie choroby: „Mam nadzieję, że po dwóch tygodniach zupełnie będę zdrów; obecnie jeszcze jestem tak słaby, że i bez kuli bym zginął. Nasi podobno się tam tego biją, tém boleśniej, że zamiast być z nimi, w taki sposób człowiek się marnuje.“

Wyleczony w końcu marca z niemocy swój, oddał się Unrug z zapalem służbie publicznej i w zabiegach poprzedzających drugą wyprawę z Wielkopolski nieposłownie położył zasługi. Zaszczycony zupełnym zaufaniem kierowników narodowej sprawy i osobistą przyjaźnią Edmunda Taczanowskiego, któremu naczelne dowództwo wyprawy powierzono, wciąż wysyłany z miejsca na miejsce celem organizowania mniejszych oddziałków i przeprowadzania ich przez kordon graniczny, Kaźmierz bez chwili spoczynku przejeżdżał po pasie granicznym, wymykając się już to Moskałom, już to Prusakom. Nawet po przejściu oddziałów Young'a, Fauchaux'go i Taczanowskiego i rozbiciu obozu w Pyzdrach, jeszcze w drugiej połowie kwietnia musiał częste i niebezpieczne odbywać podróże. W liście jego z 21 kwietnia czytamy następujący ustęp: „Dziś wróciłem z obozu powstańców w Pyzdrach. Żałuję tylko, że tam już nie mogłem pozostać. Ale trudno — trzeba słuchać rozkazów. Zresztą zajęcie mam najuciążliwsze, jakie sobie wystawić można. Ciągłe wywijanie się raz Prusakom, raz Moskałom. Obóz w Pyzdrach właśnie pod moją tam bytność bardzo skorzystał na przybyciu majora Strzeleckiego. Bardzo potrzebny był obozowi człowiek z głową, a ile się mogłem przekonać, takiego znalazł. Nadzwyczaj mi się podobała liczba ogólna obozu 500 ludzi; mogłoby być w parę dni drugie tyle, gdyby była broń. Mnóstwo zgłasza się ochotników. Najporządniej zastałem kawaleryą.“

Na kilka dni przed uderzeniem Moskali na Pyzdry, powrócił Unrug do obozu i objął dowództwo nad piątą kompanią strzelców. Odtąd ewidował ją bezustannie w robieniu bronią i w rzemiośle wojenném. Przebieg bitwy pod Pyzdrami opowiedziałem wyżej w życiorysie generała Taczanowskiego. Unrug na czele swój kompanii nie mało się przyczynił do zwycięstwa, wstrzymując wytrwale nawał nieprzyjaciela na najniebezpieczniejszém stanowisku. Okazał tu nie tylko odwagę niepospolitą, ale także wielką przytomność umysłu i krew zimną doświadczonego żołnierza. Nazajutrz po bitwie opuścił obóz Pyzdry, udając się w kierunku Chocza. Przez sześć dni maszerowano bezustannie w pośród nieprzyjaciela bez chwili niemal spoczynku. Niezwykłe trudy uciążliwych marszów nie zdołały przeciw znużyć Kaźmierza, który wśród innych zajęć powierzanych mu przez wodza, z troskliwością ojcowską przemysłował nad uzupełnieniem niedokładnego i wcale nie wojskowego umundurowania swych strzelców i zaopatrzeniem ich w żywność, na której

innym oddziałom nieraz zbywało. To też nie zważając na siebie, całemi dniami był zajęty swymi podwładnymi, którzy go wkrótce szczerze pokochali i zachęceniu jego przykładem, do najlepszych w obozie liczyli się żołnierzy. Długi czas chowano w Kaliskiem karteczki tej treści: „Kaźmierz Unrug, kapitan 5 kompanii głodnej, prosi obywateli o chleb dla swych ludzi.“

Ale ostatnia godzina życia dzielnego Kaźmierza szybkim zbliżała się biegiem. Dnia 6 maja około godziny 3 z południa wkroczył hufiec Taczanowskiego do miasteczka Koła, przyjęty z zapałem przez tamecznych mieszkańców, którzy się na wyścigi dobijali o zaszczyt ugoszczenia obrońców Ojczyzny. Unrug, smutnem dręczony przecuciem, zasiadł w kole najbliższych przyjaciół na rynku miasteczka przy zastawionym stole. Lecz ani szklanka wina, ani wesoły gwar towarzyszków, ani radosne okrzyki żołnierzy, raczonych obficie przez gościnnych mieszczan, nie zdołały rozpędzić chmury, która mu przytłoczyła myśli. Zapewne gonił sercem do zagrody rodzinnéj, do drogiego brata, którego po Ojczyźnie najwięcej kochał na ziemi... Serce Kaźmierza było proste, ale szlachetne i czyste jak łą. Ktokolwiek poznał go bliżej, musiał go poszanować, a właśnie ta głęboka wdzięczność dla brata, który mu po stracie rodziców zastępował ojca, była jedną z najpiękniejszych cnót, jakie go zdołały... Po półgodzinnym zaledwie spoczynku dano znać o zbliżaniu się Moskali. Kaźmierz zerwał się z miejsca i pełen szlachetnego zapału żądał od wodza, by mu pozwolił z 5-tą kompanią odeprzeć nieprzyjaciela. Kilka chwil później rozstawił już za miastem nad podłużną groblą swych strzelców, rozkazując im „mierzyć celnie bez marnowania naboju.“ Żołnierze, zagrzeni przykładem swego kapitana, który w pierwszej linii stojąc, trafieniami strzałami prażył Moskali, z wielkim spokojem walczyli. Szedł zatem ogień gęsty z po za grobli na moskiewską piechotę, rozsypaną w tyraliery i nie mogącą się dla gradu kul posunąć ku miastu. Kaźmierz, ucieszony powodzeniem, wybiegł na groblę, by z narażeniem życia więcej jeszcze ze swego sztucera nieprzyjacielowi dokuczyć. A był on strzelcem nie lada! Na chwilkę jeszcze przed śmiertelnym strzałem, który na wskroś mu przeszył wnętrzności, pytał z właściwym sobie uśmiechem wiernego sługę, wychowanka swych rodziców i nieodstępnie go towarzyszącego w obozie, Marcina Mielcareka: „Ilu ubiłeś, Marcinie? ja teraz trzech położyłem“ — gdy nagle ugodzony kulą runął na ziemię, krwią zlany i bez przytomności. Mielcarek ukląkł nad zboczonym ciałem swego dowódcy i pana, tamując krew upływającą strumieniem, kule gwizdały na około, niestety, nie było żadnego z pośród strzelców, któryby był miał odwagę wraz z wiernym sługą unieść Kaźmierza w bezpieczniejsze miejsce. Wtém wieść o ranieniu Unruga już się przedarła do miasteczka i cały obóz głębokim przerażeniem smutkiem. Jeden z przyjaciół Kaźmierza, dzielny obywatel z Kaliskiego, bez wahania wsiadłszy na wózek, wśród gradu kul podążył groblą na miejsce walki. Włożono bezprzytomnego Unruga na garść słomy rozrzuconéj na wózku, Mielcarek siadł obok niego, a ów zaczynając przyjaciel, którego nazwiska nie wolno mi tutaj wymienić, porwał za lejce i zaciąwszy konie, wyciągniętym cwałem ruszył ku miastu. Szalona była to jazda, kule szumiały po nad głowami i uderzały o koła i drabinki wozu, lecz szczęściem żadna nie dosięgła ramnego, ani jego towarzyszków. Była wtedy godzina 6 wieczorem, Moskale poczęły się

cofać i niebawem zniknęli w oddali. Kaźmierz Unrug zwyciężył pod Kołem, lecz zwycięztwo życiem swém okupił!

Zaniesiono go do klasztoru O. O. Bernardynów, złożono w refektarzu obszernym, gdzie obok niego dwóch jeszcze pomieszczono rannych. Jego łoże otaczali lekarze, Mielcarek i jedna z tych zacnych Polek, aniołów pociechy dla umierającej braci, która z troskliwością i słodczą niewymowną do ostatniej chwili nie przestała go pielęgnować. Wnet przybył go odwiedzić jeden z przyjaciół, Mieczysław Jaraczewski. Kaźmierz poznał go jeszcze, a wyciągnawszy dłoń ku niemu: „Czuję, że umrę — słabym rzekł głosem — napisz do Józefa (najstarszego brata), żeby natychmiast przyjechał.“ Później około godziny 2 w nocy przed wymarszem oddziału, który w dwa dni później zdziesiątkowany miał zakończyć swoje istnienie, posłał pułkownik Taczanowski porucznika Stefana Zakrzewskiego do Unruga, aby się przekonał o stanie jego zdrowia. Kaźmierz siedział wsparty na poduszkach na łożu, jęcząc okropnie. Poleciał wówczas pożegnać wszystkich przyjaciół i znajomych jak najserdeczniej, ubolewał, że w tak małej ginie potyczce, prosił, by mu odebrano raczej życie, aniżeli dozwolono, by go Moskałe dobili... Obawa ta okazała się przecież płonną; Moskałe zajmwszy Koło niebawem po wymarszu naszych, tym razem poszanowali ostatnie chwile walecznego młodzieńca.

Dwa dni i jedną noc męczył się wśród strasznych męczarni młody bohater, bez nadziei życia, chociaż go pocieszali otaczający. W rzadkich chwilach przytomności pokilkakrotnie powtarzał z żalem: „W dwóch bitwach dopiero walczyłem, a już muszę umierać!“ Sztucercem swoim, którym przed dwoma miesiącami w Poznaniu szczyił się przedemną, jako ostatniem, a ulubionem mieniem sam rozporządził. Bóle wewnętrzne wznagały się ciągle i szybko dogorywało życie dzielnego młodzieńca. Jęki konającego wśród gorączki śmiertelnej, pożerającej wnętrzości rozdarte kulą moskiewską, były przerażające, lecz nawet w tych chwilach ostatecznej walki dusza jego snąc marzała jeszcze o boju za Ojczyznę. Bezustannie zrywał się z łoża, wydawał rozkazy, zachęcał swych strzelców do męstwa, wołając: „Prawe skrzydło naprzód! Nie dajcie się, strzelajcie celnie!“ Dnia 8 maja, gdy o kilka mil krwawa wrzała pod Ignacem walka i ginęło tylu innych szlachetnych Wielkopolski synów, pomiędzy godziną 7 a 8 wieczorem zbliżyła się dla Kaźmierza chwila ostateczna. Nie doznał umierający tej słodkiej ulgi, by ujrzeć po raz ostatni i pożegnać drogie rodzeństwo, gdyż spieszących z stron rozmaitych zatrzymały władze i patrole moskiewskie, nie pozwalając, mimo prośb i przedstawień, na dalszą podróż. Krótco przed ostatniem tchnieniem, odzyskawszy przytomność, z wdzięcznością wejrzał na pielęgnowaną go osobę i całując jej rękę: „Czémże ja to pani wynagrodzę?“ wyrzekł zwolna, później coraz słabszym dodał głosem: „Już nie wynagrodzę!“... Zamknął osłabione powieki... i zasnął na zawsze!

Tak skonał ten szlachetny młodzieniec, ozdoba swój rodziny i Wielkopolski chluba, w 29 wieku życia pełnego mazałów i poświęcenia, namaszczone olejami śś. przez księdza Bernardyna. Mieszkańcy Koła biegli odwiedzać martwe zwłoki bohatera, nie szczędząc żadnych ofiar, by wspaniałym obrządkiem pogrzebowym uczcić jego pamięć. Refektarz, w którym pozostał aż do ostatniej na cmentarz wędrowki, ubrano

w kwiaty najpiękniejsze, ciało złożono w trumnie bogato srebrną frędzlą ozdobioną. Dnia 9 maja odbył się pogrzeb wśród natłoku osób wszystkich stanów, które na przemian ubiegały się o zaszczyt niesienia trumny z zwłokami Kaźmierza na ostatni spoczynek. Obywatele przybyli z okolicy, mieszczenie bez różnicy wyznań, włościanie, a nawet niewiasty, zmieniali się kolejno, by każdy mógł w pośmiertnej czci poległego za Ojczyznę rycerza choćby szczupły mieć udział. Przed spuszczeniem ciała do grobu rozerwano wśród głośnego płaczu na pamiątkę skrwawioną koszulę i frędzlę srebrną z trumny. Jęk zgromadzonych tłumów zmieszany z żalosem brzmieniem dwoń, towarzyszył szczątkom Kaźmierza znikającym z przed oczu w głębokiej mogile. Setki wieńców, uwitych z najpowabniejszych kwiatów, w których zmarły za życia się kochał, przysypało jego trumnę. Jednocześnie złożono na tym samym cmentarzu zwłoki poległego Francuza i wieśniaka, kosyniera. Dziś grób Unruga pokrywa skromna płyta kamienna z imieniem i nazwiskiem, datą urodzenia i śmierci jego. Na wzniesienie okazałego pomnika z odpowiednim napisem nie dała władza rosyjska rodzinie żądanego pozwolenia.

Żal po śmierci Unruga był w Kaliskim, gdzie wielu go znało i kochało od dziecka, głęboki i szczery. Otóż wyjątek z listu obywatela tamtejszego: „Śmierć czcigodnego bohatera, uwielbianego od nas Kaźmierza, zadała nam cios, którego czas tylko złagodzić zdoła. Wszyscy będący z Kaźmierzem wspominają go, jako jednego z najzdadniejszych i najwaleczniejszych oficerów armii. Bardzo nam go braknie, nikt go zastąpić nie może — są słowa tych, co z nim służyli, a o których on pamiętał, jak o dzieciach swoich; których zachęcając do boju, sam narażał się ogromnie.“ — Słowa te po 25 latach najwymowniejsze znalazły poparcie w rzetelnym i pięknym ustępie przytoczonego poniżej listu *Józefa Skorego*, który tenże poświęca pamięci „swego kapitana i ojca!“ (Zob. niżej. „Przygody z życia powstańczego.“)

Bolesć powszechna w W. Księstwie Poznańskim nad stratą Kaźmierza znalazła cichy wyraz w licznych nabożeństwach żałobnych, które za spokój jego duszy odprawiono w Poznaniu i w wielu miejscowościach na prowincyi. Pamięć jego nigdy nie zgaśnie pomiędzy nami, a imię jego pozostanie złotemi zgłoskami wyryte w dziejach pierwszej *Edmunda Taczanowskiego* wyprawy, której Kaźmierz Unrug był jedną z najwybitniejszych i najszlachetniejszych postaci.

## IX. Witold Turno.

Witold Turno pochodził z rodziny przeważnie rycerskimi odznaczającej się zasługami. Ojciec jego, *W i n c e n t y*, był walecznym oficerem z r. 1831, dziad *A d a m* napoleońskim pułkownikiem, brat dziada *K a - ż m i e r z* generałem, drugi Turno, *K a r o l*, również generalskie nosił szlify w r. 1831. Mógłbym i więcej przytoczyć jeszcze Turnów piastujących za czasów Rzeczypospolitej wojskowe godności, wszakże sądzę, że te kilka przykładów z dziejów naszych porozbiorowych wystarczy na udowodnienie, że Witold od kołyski chował się pod wpływem rycerskiej tradycyi rodzinnej, podczas gdy w sercu dziecka szczepiła gorącą miłość Ojczyzny matka, jedna z najszlachetniejszych Wielkopolanek, ś. p. *H e l e n a* z hrabiów *K w i l e c k i c h*.

Witold urodził się dnia 21 maja 1835 roku w Obieczierzu w dawnym województwie poznańskim. Dom jego rodziców słynął z gościnności i wyższego nastroju ducha, jaki w nim panował. Gościli też w nim najznamienitsi nasi mężowie i pieśniarze, jak Adam Mickiewicz, który wspominał o Obieczierzu w „Pam. Tadeuszu“, Stefan Garczyński, Kajetan Wężyk, Wincenty Pol, Syrokomla i inni. Oddychając tak wzniosłą atmosferą, rośł Witold, bożyszcze uwielbiającej go matki, przygotowywany od młodu do wojskowego zawodu. Po pierwszych naukach w domu rodzicielskim wysłany w r. 1852 do Paryża, uczęszczał przez dwa lata do szkoły politechnicznej, zanikniętej, jak wiadomo, dla cudzoziemców, do której przecież na mocy wyjątkowego rozporządzenia wyższego znalazł przystęp, jako wnuk generała i pułkownika wojsk napoleońskich. Następnie wstąpił do pruskiej szkoły wojskowej, a złożony egzamen oficerski, służył jako podporucznik 2 pułku gwardyi ułanów w Berlinie. Wtedy to poznałem go bliżej, będąc w szkole artylerji w Berlinie. Widywaliśmy się codziennie i coraz ściślej przez rok wspólnej służby wojskowej łączyły mnie z nim stosunki przyjacielskie. Widzę go w wspaniałym ułańskim stroju, kapiącym od złota, na dzielnym angielskim rumaku, defilującego w czasie t. z. wiosennej parady w r. 1859 przed zmarłym cesarzem Wilhelmem, podówczas regentem, pod Lipami w Berlinie. Aż miło było nań patrzeć, tak pięknym był oficerem... Zmuszony dla objęcia włości nań przypadłej podać się do dymisyi, śród zajęć gospodarczych nie zapomniał o ulubionej wojskowości i pomocniczych jej naukach i wydał z zapisków swego dawniejszego nauczyciela matematyki i z dzieł francuskich: „Trygonometrią prostokreślną z objaśnieniami i wykładem miar i wag systemu metrycznego.“

Serca szlachetnego, pełen dowcipu i humoru, oraz szczeropolskiej otwartości, przytęm żywy jak skra, do każdej przysługi przyjacielskiej zawsze gotów, w obejściu nadzwyczaj uprzejmy, a w formach towarzyskich wykwiśnięty, wnet zjednał sobie przyjaźń i szacunek sąsiadów i współobywateli, oraz przywiązanie swych włości i podwładnych, którym więcej był troskliwym opiekunem i hojnym dobroczyńcą, niż surowym panem.

W roku 1861, na pierwszą wieść o ruchach i manifestacyach warszawskich, udał się do stolicy kraju, gdzie przyjaciel jego, N a p o l e o n M a Ń k o w s k i już się znajdował i wybitne w organizacji zajmował stanowisko. Wtajemniczony we wszystkie zamiary komitetu centralnego, na dniu 28 grudnia 1862 r. otrzymał nominacyą na głównego pełnomocnika tegoż komitetu na W. Księstwo Poznańskie. Z czasu pobytu w Warszawie posiada rodzina jego ciekawy pamiętnik, opisujący początek i rozwój ruchów w Warszawie, wszakże nie nadający się dla względów łatwych do zrozumienia do ogłoszenia w niniejszych „Wspomnieniach.“

Jako żołnierz z zawodu i usposobienia wiedział Witold Turno, ile potrzeba starań i zabiegów na utworzenie wojskowych kadrów, wszelkie zatem starania skierował ku temu, aby wybuch powstania w Królestwie, naznaczony na czas pomiędzy 5 a 13 maja 1863 r., zastał Wielkopolan przygotowanych do niesienia pomocy braciom za kordonem.

Nieszczęsna branka, podjęta w myśli zwłknięcia ruchu, przyspieszyła jego wybuch. Witold na wiadomość o tém, widząc klęskę narodową nieunikniłą, padł na ziemię zemdlony; zdawało się, że krew od-

biegła mu od serca, odczuwającego gorąco każdą sprawę publiczną. Przyszędłszy wszakże do siebie, uznał, że teraz trzeba mu podwoić pracę i trudy, aby jak najprędzej zebrać oddział ochotników i pospieszyć walczącym z Moskwą rodakom z pomocą. Usiłowania swoje szerzył we wszystkich kierunkach, a dowiedziawszy się, że zapał ogarnął nawet średnie klasy gimnazyalne, postarał się o schadzkę z młodymi zapaleńcami i odciągnął ich od przedwczesnych zamysłów, obiecując im, że sam ich powoła do szeregów, skoro nadejdzie pora stósowna, tymczasem zaś polecając im gorliwą naukę dziejów ojczystych i wojennych wypraw napoleońskich. Opowiadając o tém zdarzeniu, dodawał: „Matki Polki powinny się modlić za mnie, bo im synów uratowałem od niechybnej śmierci.“ Niestety, nie wszystkich zdołał powstrzymać. Młodzież z gimnazjum trzemeszeńskiego, nawet najmłodszy i wątpli, wymknęli się na pole walki, uzbrojeni niedostatecznie i bez odpowiedniego wodza. Otoczeni zaraz po przejściu granicy przez Moskali, powiadomionych o zbliżaniu się tego oddziału dziatwy, w większej części znaleźli śmierć lub popadli w niewolę, mała tylko garstka cudem niemal ocalała.

Wyprawa Turny miała wyruszyć dnia 2 marca. Najprzód wyszedł oddział pod wodzą Garczyńskiego, który poniosłszy strasliwą klęskę pod Dobroszowem i Mieczownicą, zdzięsiatutowany powrócił do Księstwa. Według ułożonego planu miał Turno za tym pierwszym hufcem ochotników poprowadzić drugi. Aresztowany wszakże w Karsowie wraz z Maksymilianem Jackowskim, Zygmuntem Malczewskim i gospodarzem domu Krasickim, dnia 2 marca i uwięziony w Gnieźnie, dopiero dnia 31 t. m. wraz z towarzyszami odzyskał wolność. Przygody więzienne opisał dosadnie p. Jackowski w liście otwartym przesłanym ówczesnemu „Dziennikowi“ nr. 83 z r. 1863. Obejście się żołnierzy z więźniami nacechowane było rozpasaną dzikością, której nawet oficer dowodzący nie mógł poskromić, sam przestrzegając więźniów, by się mieli na baczności. Przynętem powietrze w maleńkiej celi więzienną było tak duszące i zgniłe, iż musiało podkopać zdrowie więźniów.

Wyszedł też Witold Turno z ciężkiej próby przygnębiony i osłabiony, z bólem w nabrzękłych nogach, który go już nie opuścił, i z tém silniejszym przekonaniem, iż powstanie tak lekkomyślnie podjęte, musi upaść rychłej czy później. Ta słabość fizyczna i to cierpienie moralne nie zdołały przecież osłabić w nim hartu duszy, ani też przygasić zapału serca. Otrzymałszy rozkaz udania się do Belgii po broń zakupioną, lub wysłania po nią człowieka zaufanego, zdał to polecenie jednemu z znajomych, sam zaś postanowił wyruszyć w pole. Z głębokim, uroczystym przejęciem, że idzie na walkę, z której się nie powraca, opuścił dom, opatrzony podwójnem błogosławieństwem, Kościoła i rodziców.

W niespełna trzy tygodnie po uwolnieniu z więzienia w Gnieźnie złączył się Turno dnia 26 kwietnia z oddziałem stojącym w Słupcy pod dowództwem Francuza, Emila Faucheux, przy którym najprzód jako rotmistrz, później w stopniu majora pełnił odtąd obowiązki szefa sztabu. W czasie bitwy pod Pyzdrami stał Witold z częścią strzelców Faucheux'go, który oddziałowi Taczanowskiego krótko przedtém przyszedł w pomoc, w pierwszej linii tyralierskiej, odznaczając się mężstwem. Wynagradzając to pierwsze odznaczenie się Turny, mianował go ko-

mitet poznański w miejsce rannego Faucheux'go dowódcą jego oddziału, nad którym dowództwo na pobojuwisku Faucheux mu powierzył w zastępstwie, a po wcieleniu tegoż oddziału do hufca głównego, oddał mu Edmund Taczanowski komendę nad pułkiem strzelców. Jednocześnie niemal otrzymał Witold nominacją od rządu narodowego na pułkownika. Zbladł, przeczytawszy ów dekret władzy najwyższej tyle dla siebie zaszczytny. Zapytującym go o przyczynę wzruszenia, opowiedział następujące zdarzenie z czasów swego dzieciństwa. Przybyła razu pewnego do Obiezierza banda cyganów. Jedna z cyganiek, widząc ósmioletniego dziarskiego chłopczyka, poczęła mu wróżyć, że będzie dziełnym wojskowym i dojdzie do wyższych stopni, ale biada mu, jeśli zostanie pułkownikiem, bo wtedy zginie. Witold nie był ani bojaźliwym, ani zabobonnym, a jednakże dziwnie bolesne ogarnęło nim przecucie bliskiej śmierci i prosił podwładnych, by go nie tytułowali pułkownikiem, ale „komendantem.“

Z tego czasu istnieje kilka listów własnoręcznych Witolda, pisanych z obozu bądź to do rodziców, bądź to do przyjaciół. Pierwsze są króciutkie, natomiast list z dnia 30 kwietnia z Pyzdr zawiera obszerniejsze szczegóły i dlatego go tutaj przytaczam w dosłownym brzmieniu: „Kochany Wasiu! Zaczynam podług porządku, ale już dziś mogę powiedzieć, że wachałem proch i to bardzo blisko. Przyjechałem do Katarzynowa i jak zapewne się dowiedziałeś, kilka dni tam siedzieć musiałem, nie mogąc się z moimi ludźmi przepawić przez granicę, ponieważ Prusacy, robiąc ciągłe rewizye, mieli mnie na oku. Nareszcie następującego użyłem sposobu. Wysłałem wszystkich ludzi do chłopów, od których się w nocy przez granicę przepawili łatwo, ponieważ odciągnąłem baczość Prusaków na siebie, oświetliwszy wszystkie okna domu i pokazując się w nich czatom obchodzącym ustawicznie Katarzynowo. W niedzielę rano 26 kwietnia usiadłszy na bryczkę, pojechałem na Strzałków do Słupcy, nie będąc wcale nagabywanym przez Prusaków. W Słupcach spotkałem się z komendantem Faucheux drugiej kolumny W. Księżstwa Poznańskiego i zaraz się do niego przyłączyłem. Mieliśmy nocować w Ratajach, ponieważ była wieść, że Moskał na nas idzie. Lecz Taczanowski przysłał po nas, bo nadeszła wiadomość, że i jego atakować będą. Wyruszyliśmy więc zaraz i to w 223 ludzi do Pyzdr, z kądem zaraz w las, gdzieśmy zabiwakowali około 8 z rana. Niedługo potem przez fałszywy alarm poruszeni, wyszliśmy na tyralierów, lecz po pracy kilkugodzinnej wróciliśmy do obozu t. j. do lasu, a na drugi dzień o 3 rano wyruszyliśmy na Pyzdry do Rataj. Lecz znowu przez Moskali zagrożony Taczanowski zażądał naszej pomocy. Wojsko było tak zmęczone, żeśmy postanowili tylko ochotników wybrać, więc wszyscy oficerowie złożyli swoje stopnie, wraz z komendantem, i stanęło nas 87, którzy podzieliwszy się na dwie kompanie, wybrali sobie dwóch dowódców, komendanta *Emila Faucheux* i mnie. Po przyjeździe (na podwodach) do Pyzdr słyszyny strzały, zaraz więc kłusem pieszo pobiegliśmy do tyralierów na przód całego wojska. Przy samym początku niestety, nasz komendant został rannym, oddał mi więc swoje dowództwo i posunąłem się z tyralierami naprzód. Staliśmy przez 5 godzin w najokropniejszym ogniu. *Feliksa Jankowskiego* i Francuza *Petit* zabili. Mój oddział ma prócz tego 5 rannych, z których dwóch bardzo ciężko. Wróciwszy po bitwie, objąłem dowództwo

2 kolumny W. Ks. Poznańskiego i jestem komendantem, ale to ciężki chleb i mnóstwo do roboty. Nie wiem, czy mnie komitet potwierdzi, ale mniejsza o to. Karliński bił się najodważniej; był zawsze na przodzie, jest moim sekretarzem. Polcio Mańkowski jest moim szefem sztabu, bił się bardzo, bardzo odważnie. (Niemniej odznaczyli się Kosiński, Norbert Szuman i wielu innych, jak pisze „Dzien. Pozn.“ z dnia 3 maja 1863 r.) Kule świsnęły okropnie. Stałem jeszcze w Pyzdrach, aby na przypadek wesprzeć oddział Taczanowskiego, lecz gdy mu już grozić nie będzie niebezpieczeństwo, to rozwinę osobny oddział w Ratajach. Módlcie się za mnie, zwłaszcza około 9 i 11 maja!

Witołd.

W liście z dnia 2 maja datowanym z Grodzca opisuje Witołd rodzicom potyczkę pod Pyzdrami w tych samych niemal słowach, w końcu zaklina ich, by jego wodza i przyjaciela Faucheux'go, odwiezionego nasamprzód do Górzadowa (do pp. Rekowskich) a następnie do domu pani Mańkowskiej w Poznaniu, koniecznie odwiedzili. Posyła im także na pamiątkę kartacz znaleziony na polu bitwy, który przecież rodziców jego nie doszedł. Turno wraz z Napoleonem Mańkowskim odwiedzili jeszcze z obozu w Pyzdrach ramnego Faucheux'go w Górzadowie, gdzie sobie wszyscy trzej wieczną zaprzysięgli przyjaźń, a pani Rekowska i jej towarzyszka, panna Józefina Fricz, przyrzekły im, że w razie, gdyby którykolwiek z nich był ranny, przybędą ich pielęgnować. Faucheux kilkakrotnie jeszcze pisał z żołą cierpienia do Witołda, w najgorętszych słowach oddając pochwały mężstwu, sercu i roztropności jego, oraz waleczności Napoleona Mańkowskiego, i dziękując mu za troskliwą opiekę, jakiej doznaje od jego zacnej matki.

Po wyjściu z Pyzdr, przy ciągłych, a nieraz bardzo uciążliwych marszach, okazał Turno nietylko wytrwałość, ale także wielką o żołnierzy troskliwość. Choć cierpiący na nogi, sam dla siebie był najsurowszym w pochodzie, z strzelcami swymi dzieląc wszelkie niewygody, jedząc z nimi z jednego kotła, spoczywając na jednym snopku słomy. To też podwładni pokochali go serdecznie i nieograniczone pokładali w nim zaufanie.

Pod Choczem wziął udział Turno w ataku jazdy naszej na podjazd objezdczyków, wypoczywający w wiosce Oleścu i przy pogoni własnoręcznie trupem trzech nieprzyjaciół położył, a Mańkowski jednego. Pod Kołem podtrzymywał ogień naszych tyralierów, biegając wśród gradu kul i zachęcając strzelców do celnych strzałów. Osobista odwaga młodego dowódcy powszechny mu w całym obozie zjednała szacunek.

Nadszedł wreszcie krwawy dzień 8 maja. Turno miał pod swą wodzą 540 strzelców, z którymi obsadził barykady i chałupy kolonii Ignacewskiej. Wnet cała linia zapłonęła ogniem. Bój wrzał zacięty, nasi bronili się dzielnie, strzelając z domów i z po za drzew. Pobojowisko zasłane było trupami nieprzyjacielskimi, podczas gdy nasi stosunkowo znacznie mniejsze ponieśli straty. Nagle rozeszła się wieść, że lewe skrzydło, nowemi siłami moskiewskiemii parte, zaczyna się chwiać; w tej samej chwili poczęły na prawém skrzydle palić się dwie chałupy, w których się zamknęli strzelcy nasi. Widząc to Turno, chcąc

przebojem otworzyć drogę naszym rezerwom, zakomenderował: na bagnety! Stanąwszy na czele strzelców, podniósł w prawém ręku pałasz, lecz zaledwie postąpił kilkanaście kroków, padł na ziemię, ugodzony w bok kulą moskiewską, w oczach przyjaciela swego, Napoleona Mańkowskiego, który cudem niemal ocalał z tego straszego pogromu, by później przez trzy lata być więzionym jako więzień stanu w Berlinie. Witold Turno padając, zwrócił się do żołnierzy, którzy go podtrzymali: „Zostawcie mnie, a idźcie naprzód na...” Krew rzucająca się gardłem, zatamowała mu mowę. Towarzysze umieśli z pobojowiska ukochanego dowódcę i złożyli na wózku chłopskim, który go spiesznie uwiózł do Lichenia, wsi należącej do klucza Gosławickiego, podówczas własności śp. hr. Władysława Kwileckiego, ciotecznego brata Turny.

Rażony śmiertelnie, rychło poznał, że ostatnia dlań chwila się zbliża. Wśród najdotkliwszych cierpień, które mężnie znosił, pytał się otaczających go: czy nasza wygrana? Nie chcąc ostatnich chwil mu zatruwać, zapewniono go, że wygrana. Dzięki Ci, Boże, wyrzekł ostatniem tchnieniem uciekającego życia, spojrzawszy w niebo, a potem dodał: „Śmierci się nie lękam, ale pragnąłbym żyć” — i westchnawszy nad tymi, co po nim boleć będą, zawołał: „Biedni rodzice, już ich nie zobaczę!”

Panna Józefina Fricz, która zdażyła na czas przybyć do Lichenia, by osłodzić mu ostatnie chwile najtroskliwszą opieką i anielską słodyczą, przyjęła też ostatnie jego tchnienie... Pogodzony z Bogiem, którego miłość nosił w sercu, dziękując pamięci Fricz za wszystkie starania, wspominając tych, którzy go nad życie kochali, skonał dnia 9 maja. Ciało jego pogrzebano w Licheniu na cmentarzu przy wiejskim kościółku. Skromny krzyż oznacza miejsce jego wiecznego spoczynku, w kościele zaś wzniosła mu rodzina pomnik w kształcie okazałej z piaskowca kolumny na czworograniatęj, ozdobnej podstawie, na której szczycie krzyż się wznosi.

W środku kolumny napis następujący na płycie marmurowej:

Ś. p.  
**Witold Turno**  
 urodził się  
 dnia 21 Maja  
 1835 roku,  
 umarł  
 dnia 9 Maja  
 1863 roku.  
 Pokój jego duszy.

Towarzysze broni Witolda Turny napisali i przesłali jego rodzinie następującą odezwę:

„Słodko umierać za Ojczyznę, ale gorzko dla żołnierza utracić dobrego kolegę, a cóż dopiero dobrego dowódcę, który dla swych podwładnych był zarazem ojcem i bratem. Stratę taką ponieśliśmy przez śmierć ś. p. Witolda Turno. Wśród ciągłych zatrudnień około organizującego się obozu, wglądał on jednakże w potrzeby każdego towarzysza. Czy o żywność, czy o odzienie, czy o amunicję udawaliśmy się często z uprzykrzeniem wprost do niego, a on przystępny dla każdego, sam postarał się, czego nam nie dostawało.

„W boju odznaczał się zbytnią prawie odwagą i dzielnością. Pod Ignacem dowodząc strzelcami połączonych dwóch oddziałów, przebiegał wśród gradu kul od jednej kompanii do drugiej, zagrzewając słowy i przykładem do wytrwałości i mężstwa. Niestety, zawczasie ugodziła go kula karabinowa, zawczasie dla boju tego, bo prowadził właśnie kompanię strzelców na lewe skrzydło dla odparcia Moskali, a kto wie, czy nie byłby ich poprowadził do zwycięstwa; zawczasie dla kraju, bo posiadając tyle miłości, byłby mógł nieraz jeszcze poprowadzić żołnierzy do zwycięstwa i chwały.

„Słodka Twa śmierć, zacy dowódzco, ale gorzka, bardzo gorzka nasza strata! Nie pozostawiłeś nam czasu okazać Ci na ziemi naszego przywiązania i zaufania, przyjm przeto w górnej krainie ten hołd publicznie oddany Twój zasłudze, jako dowód naszej miłości i naszego uwielbienia.

„W imieniu oficerów, podoficerów i towarzyszy:

Bonhomme, officier des chasseurs; Karliński Emil, podoficer strzelców; Kamiński Henryk, podoficer kawaleryi; Matuszewski Józef; Kozielski Edward; Teodor Malder, podoficer, Robert Lewandowski, podoficer; Jan Werki, towarzysz; Jan Suchocki, towarzysz; Wojciech Małecki, feldwebel strzelców; Ludwik . . . . ., towarzysz; Michał Jankowski, podoficer strzelców; Ignacy Chyłkowski, towarzysz; Jan Bąkowski, ułan; Marcełi Nawrocki; Leopold Zawadzki; Teodor Forchalski; Jan Kowalski; Piotr Zgorzalewicz; Piotr Kamiński; Zenon Przyborski; Marcel Bentkowski; Wojciech Ławniczak; Tomasz Łosiński, ułan; Wojciech i Hipolit Stroińscy, towarzysze; Ksawery Grzelakowski; Antoni Ruszkiewicz; Jan Kowalski; Ignacy Wolniewicz; Michał Siborski; Bartłomiej Wolski; Wincenty Warginoski.“

Nieszczęśliwym rodzicom przesłano jako ostatnią pamiątkę po nieodżałowanym synu mundur jego krwią zbroczonej i kulę, która mu zadała raz śmiertelny. Drogocenne te relikwie zachowywała matka Witolda aż do śmierci i kazała je obok zwłok swych złożyć w trumnie.... W kościele w Obieczerzu znajduje się wmurowana tablica z piaskowca z następującym napisem:

*Dowódca Strzelców*

*ś. p.*

**Witold Turno**

*w. d. 21 maja 1832 r.,*

*wn. d. 9 maja 1863 r.*

*z ran odniesionych*

*w bitwie*

*pod Ignacem.*

U dołu tablicy dwa miecze na krzyż złożone.

## **X. Mieczysław Jackowski.**

Komuż z naszej dzielnicy, a i wielu po za jej granicami, nie jest znaną postać czcigodnego Patrona Kółek włościańskich, Maksymi-

liana Jackowskiego z Pomarzanowic? Ten sędziwy starzec w polskim stroju: długiej czamarce i spodniach w butach palonych, z rogatywką na ubielonej wiekiem głowie, który pomimo lat siedmiesziesięciu kilku z młodzieńczym zapałem przebiega niestrudzony z jednego krańca Księstwa na drugi, tu, żeby nowe zakładać Kółko, tam, by inne zagrzać swą obecnością do pracy; ten zacny opiekun i ojciec naszych kniotków, obchodzący w roku bieżącym 25 letni jubileusz jako członek dyrekcji Centralnego Towarzystwa rolniczego, stał się u nas prawdziwym typem, jakiego inne części Polski zazdrościć nam mogą, a kótorem otaczamy najszczerzą czią i poważaniem.

Otóż takiego ojca synem był ś. p. Mieczysław Jackowski, poległy w kwiecie wieku na polach Ignacewa, a poległy z uśmiechem zadowolenia na ustach, że spełnił obowiązek względem Ojczyzny, którą kochał n a d życie uczyli go od kolebki rodzice.

Mieczysław urodził się w r. 1844 i kończył właśnie realną szkołę w Poznaniu, gdy w Królestwie wybuchło powstanie. Bezzwłocznie porzucił nauki i przybywszy w dom rodzicielski, oświadczył, że pragnie pospieszyć na pole walki i prosi rodziców o błogosławieństwo na drogę. Na ich życzenie wstrzymał przecież swój wyjazd do obozu z powodu zbyt ostrój pory roku, przez dwa miesiące ćwicząc się bezustannie w używaniu broni palnej i siecznej i hartując ciało do wojennych trudów. Dnia 2 marca aresztowano jego ojca wraz z Witołdem Turną (zob. wyż.) w Karsowie i osadzono w ostrém nadzwyczaj więzieniu w Gnieźnie. Ztąd to, nie mogąc osobiście zająć się wyprawieniem syna, przesłał mu listownie ojcowskie swe błogosławieństwo, a matka, Marya z Lichnekerów, odwiozła go do granicy. Zaiste, tylko Polka zdobyć się mogła na takie poświęcenie patriotyczne, na tyle osobistego zaparcia się, i tylko najgorętsza miłość Ojczyzny mogła wzrok matki zaćmić i bicie serca znieczulić, że nie widziała niebezpieczeństwa nierównój walki i że nie przeczuwała, iż syna, którego nad wszystko kochała, po raz ostatni do swój przyciskała piersi.... „Patrz, synu“ — mówiła — „z tamtój strony stoi wróg zacięty; jeśli cię trwoży, powracaj ze mną; ale jeśli serce masz mężne, idź, a niech cię Bóg strzeże śród bojów. Wróc zwyciężcą, albo z niedobitków ostatnim!...“ Mieczysław padł na kolana, wznosił modlitwę do Boga, ucałował błogosławiające ręce matki, zakrył dłonią oczy — i poszedł w las. Miał przydanego sobie za towarzysza rządzcę gospodarczego Brzozowskiego, który starszy wiekiem i obeznany z służbą wojskową, jako dawny podoficer pruski, miał polecenie nad nim czuwać i wspierać go swém doświadczeniem.

Wstąpili obaj do oddziału Seyfrieda, który liczył około 400 ludzi. Dnia 26 kwietnia zrobił oddział marsz forsonny i zbliżył się pod Nowąwsią do oddziału Younga de Blanckenheim, zaatakowanego właśnie przez przeważne siły moskiewskie. Wszczęła się bitwa, w której Seyfried nie brał udziału z powodu, jak mówił, zmuczenia żołnierzy. Dopiero gdy w szeregach podniosło się głośnie szemranie, zakomenderował: na ochotnika! Wystąpiło z szeregów 60 i kilku ochotników; między nimi Jackowski. Ruszyli spiesznym krokiem w pomoc chwiejącemu się prawemu skrzydłu Younga. Nieprzyjaciel, widząc nadbiegające świeże siły powstańcze, cofnął się do pobliskiego lasu, zkład z po za drzew raził naszych celnymi strzałami. Powstańcy przecież uderzyli nań z taką

natareczywością na bagnety, iż Moskwa zmuszoną była schronić się na terytorium pruskie. Upojony zwycięstwem Mieczysław napisał przez powracającego za urlopem Brzozowskiego następujący list do rodziców:

„Z obozu w lesie Boguszyckim.

„Najdrożsi Rodzice! Wczoraj dnia 26 kwietnia, w niedzielę, stoczyliśmy pod Nowąwsią, gdzie bił się dawniej Mierosławski, bój z Moskalami. Biliśmy się od 11 z rana blisko do 4 po południu. Wyparliśmy w końcu wroga za pruską granicę i to tylko dzięki złą komendzie, bo na takie siły, jakie mieliśmy, ani noga nie powinna była ująć cała. Było nas około 1500, bo cały oddział Younga i część oddziału Seyfrieda pod Solnickim, w której ja się znajdowałem. Moskali było 4 roty strzelców kurlandzkich i jedna sotnia kozaków i objezdezyków. Zajęli oni las pod Nowąwsią i wtenczas część strzelców Younga i nasz pluton strzelców uderzyli na Moskali w lesie. W pół godziny może wyparliśmy wroga na pole, który cofał się w porządku ku Nowejwsi, celnie się odstrzeliwając. Zrobiliśmy swoje i puściliśmy się za nieprzyjacielem w pole, który ani z boków, ani od kosynierów wcale nie atakowany, uchodził przez Nowąwieś ku pruskiej granicy. Ale pod Nowąwsią sformował się raz jeszcze i dość długi stawiał nam opór, w końcu jednak zmusiliśmy go do ucieczki i przepędziliśmy go przez granicę. Zwyciężyliśmy wprawdzie, lecz drogo okupiliśmy zwycięstwo. Mnie Pan Bóg zachował szczęśliwie, choć kule gęsto gwizdały mi koło uszów tak w polu, jak w lesie. Wielu mamy poległych i rannych. Poległych podobno 24, a rannych 40. Pułkownik Solnicki ciężko ranny dwoma kulami w piersi, major Zieliński w nogę; z poruczników ranni Klepaczewski, zginął Maryański i oficer dawniejszy kozacki, który przeszedł na naszą stronę. Zginął także doktor jakiś, podobno Laskowski. Z kawaleryi ranny rotmistrz, Stanisław Bronikowski, ranny także Staś Sokolnicki; widziałem, że miał ładownicę na brzuchu przestrzeloną, lecz nie wiem, czy kula do wnętrzości doszła. Zabitych Moskali pewnej liczby nie wiemy, bo wszystkich zabierali z sobą na podwoły i tylko 6 zostało na placu boju. Po bitwie pochwalił nas Seyfried za mężstwo i kosynierów, chociaż ci nie chcieli iść do ataku i podał podobno nasz pluton strzelców pod porucznikiem Wisłą do nagrody. Sami oficerowie powiadają, że tylko przez złe rozporządzenia Seyfrieda i jego trzymanie się na uboczu Moskale nam się wymknęli, bo bardzo łatwo można było zajść im z boków, ale cóż! kiedy komendy w końcu żadnej nie było, oficerowie jedni zaraz na początku popadali ranni, lub zabici, a drudzy iść naprzód nie chcieli. W ogóle nieporządek i nieukontentowanie wielkie panuje w obozie; wszyscy mówią, że jeżeli innego naczelnika sobie nie obierzemy, to niezadługo pójdziemy w rozsypkę. Marsze forsowne, utrudzające, a w dodatku niekiedy jeść nie ma co. I tak wczoraj wyruszyliśmy o 3 rano z obozu, maszerowaliśmy do samej bitwy, w której marsz, marsz na nieprzyjaciela, potem pościg godzin parę. W końcu przybyliśmy na kwatery, gdzie nie było nic do jadła, bo furgony gdzieś się zawieruszyły: słowem, kto co miał przy sobie, to zjadł, a kto nie, to przez cały dzień nie jadł. Ja bo się tak odzwyczaiłem od jedzenia, że im dłużej nie jem, tym mi się mniej jeść chce. O nogach już nie mówię, bo tych niekiedy wcale nie czuję. Wszystko zresztą jako tako, tylko najgorzej w nocy, bo zimno. Bekieszę zostawiłem w Katarzynowie,

a burkę zamieniłem na płaszcz wojskowy, bo inaczej byłoby mi za ciężko. Brzozowski miewa febrę, więc wyjeżdża na kilka dni do domu. Proszę przysłać mi przez niego, jak będzie wracał, trochę bielizny i torbę białą, bo moja zaginęła mi w czasie bitwy. Kiedy mi ciężko i czuję, że na siłach upadam, to tylko pomysłę sobie, że walczę za niepodległość Ojczyzny, a zaraz czuję się pokrzepionym na ciele i na duchu. Całuję rączki i stópki Najdroższych Rodziców“ i t. d.

Jakież piękne światło rzuca list powyższy na charakter i serce Mieczysława!

Oddziały Younga i Seyfrieda maszerowały obok siebie ku Kołu. Pod Brdowem zaatakowane przez Moskali, poniosły ciężką klęskę. O bitwie tej pisze Jackowski do rodziców przez jednego z powstańców, powracającego do domu:

„Było nas pod Brdowem około 2,000, bo trzy obozy razem, t. j. Younga, Seyfrieda i Oborskiego, czy ostatni wszakże zdążył przyjść na czas, tego nie wiem, a Moskali miało być tylko 600. Bitwa nie długo trwała i wszystko poszło w rozsypkę. Wiedzieliśmy, że będziemy atakowani i plan był tak ułożony, że jeden oddział miał iść drugiemu w pomoc, a mimo to niepojętym sposobem wszystko się rozproszyło. Young de Blanckenheim poległ, a Seyfrieda nikt w czasie bitwy nie widział. Moskale pędzili nas i strzelali za nami blisko 2 mile; kule świstały i brzęczały koło nas, jak rój pszczoł. Jakim sposobem uszedłem, sam nie wiem, widać, że taka była wola Boża, bo pewnie w większym ogniu nie będę. Uszedłszy szczęśliwie z niebezpieczeństwa, dostaliśmy się nad wieczorem z Henrykiem Jaraczewskim (z Głuchowa pod Poznaniem) do państwa W., gdzie doznaliśmy gościnnego przyjęcia. Podobno obóz ma się zbierać na nowo, lecz my do niego nie wrócimy, bo szkoda każdego człowieka pod dowództwem takiego Seyfrieda. Dziwił się wszyscy, że rząd narodowy takiej podejrzaną figurze oddział powierza. Będziemy się starali dostać się do obozu Taczanowskiego, lecz nie wiemy, kiedy to nastąpi, bo pełno Moskali w okolicy.“

Drugiego dnia odesłano w nocy młodzieńców do stryja Henryka Jaraczewskiego, mieszkającego na pograniczu Księstwa. Opowiadał później Jaraczewski, że gdy chodząc po polu z stryjem, doszli do granicy, tenże zaklinał ich, aby powrócili do domu. Jackowski przecież odparł, że jeśli wróci, to chyba ostatni!

W nocy z 7 na 8 maja o godzinie 3 nadeszła wiadomość, że obóz Taczanowskiego stanął pod Ignacem. Młodzieńcy zaczęli się zabierać i prosili, aby bezzwłocznie mogli otrzymać podwodę. Kiedy gospodyni domu zaopatrywała ich na drogę w żywność, Mieczysław, smutnym wiedziony przecuciem, podziękował, mówiąc, że jemu już nie jest potrzebna. Nad ranem przybyli do obozu i zgłosili się do pułkownika Witolda Turny, którego Jackowski znał osobiście z domu swych rodziców. „Witajcie wiarusy“ — rzekł do nich — „takich nam tu potrzeba, w samą przyszłość porę, bo óma Moskali idzie na nas i do tego z armatami, będziemy mieli co bić.“ Przydzielił ich do 1 kompanii strzelców, stojącej na lewém skrzydle. Wkrótce wyszedł kapelan obozowy ze mszą św., której Mieczysław kłęcząc wysłuchał, błagając Boga o pomyślność dla polskiego oręża. Wnet dały znać placówki, że Moskale się zbliżają; stanęli zatem nasi w szyku bojowym: strzelcy

i piechota po za wielką barykadą. Mieczysław stał na lewém skrzydle barykady. Zdała ukazała się jak czarna chmura kolumna moskiewska, której błyskawiczne migotanie zdradzało bagnety, już to coraz widniejsza na wzgórzach, już to ginąca na chwilę w nizinach. Z chmury téj głucho zagrzemiał ogień rotowy, a choć nieprzyjaciela nie było można jeszcze rozpoznać, kule jego dolatywały naszych, wyrwijając raz po raz z szeregów naszych swe ofiary. Tu i owdzie padali nasi z jękiem: „Jezus, Marya!“ Chmura zbliżała się coraz bardziej, już można było widzieć piechotę w zwartych szeregach, jazdę, a w przedziałach działa, które zasypywały naszych kartaczami. Wszczął się ogień morderczy tak z jedną, jak z drugą stroną. Krzyżujące się kule zmierzch prawie sprawiły, zdawało się, że bez narażenia życia nie podobna głowy za barykadę wychylić, bo kilka kul w nią ugodzi. Mieczysław stał jak posąg, z uśmiechem na ustach, dodając odwagi towarzysom: „Tylko się nie bójcie“ — wołał — „bo odważnych kule się nie mają.“ A kiedy tyralierzy moskiewscy doszli na parę set kroków do barykady, siedmiu z sztuceru swego położył, jak opowiadał jeden z świadków naocznych. Jednocześnie gdy prawe skrzydło nasze nagle chwiać się poczęło, w skutek czego *Witold Turno* wybiegł na czele strzelców do ataku na bagnety i padł przeszty kulą, poczęła z drugą stroną kawaleria moskiewska osaczać lewe nasze skrzydło. Jeden z jeźdźców, prawdopodobnie oficer, bo dla odległości trudno było rozpoznać, wysunął się naprzód. Mieczysław złożył się, strzelił i jeździec runął z konia. „Patrzcie, jak się Moskał trzepie“, zawołał uradowany, a ośmielony powodzeniem, wyskoczył po za barykadę, co widząc major *Strzelecki*, krzyknął: „Jackowski, za barykadę!“ Ale już było za późno.... Téj samej chwili padł bez wydania jęku. Gdy nadbiegli towarzysze, ostatnie oddał tchnienie, kula przeszła skronie i przecięła od razu nić życia. Śmierć tyle była litościwą, że pozostawiła, jak wspomniałem na wstępie, na tych niewinnych młodzieńczych ustach uśmiech zadowolenia z spełnionej powinności.... Pochowany został w środkowej mogile obok dzielnego majora *Strzeleckiego*, który wkrótce po nim poległ przy odwrócie, i towarzyszyów swych, *Nikodema Zaborowskiego* i *Piotra Sokolnickiego*.

Drugiego dnia po bitwie przybył na pobojuwisko *Leonard Radowski* (zob. niżej), poznał między poległymi ciało Mieczysława, odarte z odzieży. Pozostał tylko rękaw od jedwabnej koszuli i szkarpetki, które wraz z uciętym zwojem włosów przesłał rodzicom, bolejącym nad stratą najlepszego syna. Dla zachowania i przekazania potomności jego pamięci, wzniesli mu rodzice pomnik w kościele *Pobiedziskim*.

Postać niewieścia, wyobrażająca *mater patriae*, z rozpuszczonym włosom, w szacie niewolnicy, z krzyżem w ręku, stoi po nad tablicą marmurową, na której złotymi głoskami wryty napis:

Ś. p. *Mieczysław Jackowski*,  
wrodził się w Żorze na Podolu dnia 1 lipca 1844 r., zginął w bitwie pod *Ignacem*  
dnia 8 maja 1863 r. Pokój jego duszy.

Ś. p. *Mieczysław* był młodzieńcem zdolnym, ujmującym, łagodnego usposobienia i charakteru prawego. Był też nietylko kochanym przez towarzyszy, z których dzisiaj kilku wybitne w społeczeństwie naszym zajmują stanowiska, ale co więcej szanowany przez swych zwierzchników. Kiedy nadeszła wiadomość o jego chlubnym zgonie, dyrektor zakładu

Brennecke uczył jego pamięć wobec uczniów temi słowy: „Smutną wieść wam przynoszę: wasz kolega Jackowski poległ w bitwie; żałuję go serdecznie, bo był wzorowym uczniem i acz nieraz swemi patriotycznymi manifestacyami wprawił mnie w kłopot, muszę jednak przyznać, że był zacnym, pełnym nadziei młodzieńcem. Zachowajcie pamięć jego w swém koleżeńskiem sercu.“

Uznanie takie, wychodzące z ust meża obcej narodowości, najwznowniejszém jest dla ś. p. Mieczysława Jackowskiego świadectwem.

## XI. Budziszewscy z Grąbkowa.

Dzielny to był ród tych Grzymalitów Budziszewskich, piszących się na Grąbkowie, których trzech ostatnich po mieczu potomków pragnę opowiedzieć wojenne przygody. Ich dziad Franciszek, był pułkownikiem wojsk koronnych, ich ojciec, Jan, pułkownikiem wojsk narodowych z r. 1831. Zanim przejdę do synów, choć w krótkich słowach uważam sobie za obowiązek skreślić tu zawód wojskowy ich ojca, którego postać żywo jeszcze stoi w pamięci starszym naszym pokoleniom, ale młodszym już mało jest znana.

Ś. p. pułkownik Jan Budziszewski urodził się w Grąbkowie w W. Księstwie Poznańskiem 1784 r., z ojca Franciszka, urodzonego w r. 1755, a zmarłego w r. 1830, także pułkownika, i Katarzyny z Sokolnickich. Od lat najmłodszych zaprawiając się do zawodu wojskowego, skoro tylko tworzyć się poczęły narodowe szeregi Księstwa Warszawskiego, natychmiast do nich wstąpił i wkrótce otrzymał stopień oficerski. Już jako porucznik odbył kampanią z lat 1806 i 7 przeciwko Prusom i Moskwie, walcząc w bitwach pod Stolpe, Wałczem, Neidenburgiem, w oblężeniu Gdańska i pod Friedlandem. W r. 1809 mianowany rotmistrzem, brał czynny udział w bitwach przeciw Austryakom pod Raszynem, Górą, Sandomierzem, Wrzawą, Jarosławiem i Tuszewem, ozdobiony złotym krzyżem orderu wojskowego polskiego za waleczność. W kampanii z r. 1812 pełnił służbę adjutanta przy sztabie głównym wojsk francuskich i walczył przeciwko Moskalom pod Witebskiem, Smoleńskiem, Walentynem, Możajskiem, Tarutynem, Jarosławicami i Kownem. Pod Kownem na polu bitwy otrzymał krzyż Legii honorowej; wszakże ranny dwukrotnie, dostał się do niewoli, z której dopiero po dwóch latach uwolniony, bezzwłocznie wstąpił do nowój armii polskiej, tworzącej się pod wodzą w. księcia Konstantego. W niej zastało go powstanie listopadowe. Jako pułkownik walczył znowu ten niestrudzony rycerz w bitwach pod Grochowem, Kałuszynem, Białąłęką, Kaźmierzem i Janówcem. Z krzyżem orderu Virtuti militari za krwawe zasługi, na polu tyłu bitew położone, powrócił w strony rodzinne i w r. 1832 objął wieś dziedziczną Grąbków na własność. Poślubiwszy w roku następnym Pelagią z Rembowskiich, znalazł w niej najpiękniejszą nagrodę za żywot swój poświęcony bojom za Ojczyznę. Jakkolwiek już sędziwy wiekiem, nie wahał się ani chwili, gdy w r. 1848 wybuchła nowa walka, i objąwszy dowództwo oddziału, dopiero na dni kilka przed pamiętnym i morderecznym bojem pod Książem, złożył je w ręce Floryana Dąbrowskiego, poróżniwszy się z Mierosławskim. Otoczony szacunkiem i miłością współobywateli, dokonał rycerskiego żywota w Grąbkowie 1854 roku, pozostawiając trzech synów, Franciszka, Stanisława i Antoniego,

oraz trzy córki, z których dwie zgasły w kwiecie wieku, trzecia zaś, Józefa, zaślubiona Leonowi Karłowskiemu (zob. niżej), wniosła w dom jego rodzinny Grąbków i chwałę swego imienia.

Z synów pułkownika najmłodszy Antoni, urodzony 1840 roku, pierwszy z braci legł śmiercią zaszczytną za Ojczyznę w potyczce pod Olszakiem dnia 22 marca 1863 r.

Drugi, Stanisław, ur. 1838 r., w tej samej obok brata brał udział w potyczce, ale widząc upadającego wodza swego, Kaźmierza Mielęckiego, wraz z Zdzisławem Szczawińskim szczęśliwie zdołał go unieść z pobojowiska w granice W. Księstwa Poznańskiego. Żądny przecież dalszej walki orężnej, udał się ponownie do Królestwa, do obozu Taczanowskiego. Tu, w pierwszym zaraz starciu z nieprzyjacielem pod Pyzdrami, kula moskiewska zdruzgotała mu ramię i utkwiała w piersi. Po długiej, mozolnej i troskliwej kuracji, przyszedł wprawdzie nieco do sił, które zaraz obrócił na korzyść sprawy publicznej, dopomagając najstarszemu bratu w przygotowaniach do nowej wyprawy, przecież rany wnet się poczęły odnawiać, życie w oczach nikło, aż zgasł i ten drugi nieodrodny syn swego ojca dnia 19 sierpnia 1865 roku w Grąbkowie.

Trzeci, a najstarszy z braci, Franciszek, już od lat dziecińczych niepospolicie okazywał zdolności i szczególniejsze do wojskowego zawodu upodobanie. Wcześniej wstąpiwszy do armii pruskiej, złożył oficerski egzamen, nie widząc przecież dla siebie pola do czynnej działalności, udał się do Paryża i wstąpił do zagranicznej legii w Algierze. Pod francuskimi sztandarami walczył we Włoszech, gdzie mianowicie w bitwie pod Magentą chlubnie się odznaczył. Powróciwszy po zawarciu pokoju w Villafranca do Algieru, odbył w roku następnym nader uciążliwą wśród skwarów afrykańskich kampanię marokańską; później wysłany do Meksyku, brał udział w licznych walkach i ostatecznie w szturmie Puebli dał dowody świetnego męstwa. Trzy te kampanie przyniosły mu w nagrodę trzy medale za waleczność. Tymczasem nastąpiły w kraju wypadki 1863 roku. Na pierwszą wieść o nich, podał się Franciszek Budziszewski o uwolnienie z służby francuskiej, a uzyskawszy je, spieszył do Europy, z powrotem do wielkopolskiego rodzinnego gniazda. Mianowany rotmistrzem, wziął się natychmiast do pracy w zorganizowaniu hufca powstańczego. Było to połączone podówczas z większymi jeszcze niż w początku roku 1863 trudnościami. To też dopiero dnia 22 marca 1864 roku udało się Franciszkowi na czele oddziału kawalerii, złożonego z 99 dzielnych jeźdźców, uzbrojonych w szable i karabinki, przekroczyć granicę między Słupcą i Pyzdrami. Szwadron wzrosł niebawem do 110 ludzi, ale party z kilku stron jednocześnie przez przeważne siły moskiewskie, po stoczeniu z nimi trzech krwawych potyczek, zmuszony był do powrotu w granice Księstwa. Była to ostatnia z Poznańskiego wyprawa, której przebieg w następnych słowach opowiedział Franciszek Budziszewski w raporcie do rządu narodowego, ogłoszonym w 74 numerze „Dziennika Poznańskiego“ z r. 1864.

„Wskutek doniesienia otrzymanego, że w Ciężeniu o pół mili od granicy stoi załogą posterunek straży granicznej z 11 objezdzyków złożony, posłałem tam naprzód pierwszy pluton pod wodzą porucznika Jełowickiego, dając mu rozkaz, aby zniósł ten oddziałek.

Wyprawa ta jak najpomyślniej się udała. Moskale zaskoczeni na odwachu, gdzie powróciwszy z nocnego patrolu właśnie spoczywali, poddali się natychmiast, oddając broń swą i konie; żołnierze nasi umieli szanować bezbronnych, tak że jeden tylko objezdczyk, stawiający nieco oporu, lekko raniony został. Oprócz tego podjazd wysłany ku Słupcy spotkał kozaka, wiozącego depesze do naczelnika straży granicznej w Pyzdrach, a ponieważ nie chciał się poddać i bronił się, zabito go i odebrano mu papiery. Zabrzanych objezdzykom broni i koni użyłem do uzbrojenia i umontowania kilku ochotników zgłaszających się do oddziału; jeńców zatrzymałem przez czas niejaki po strażą, obchodząc się z nimi jak najłagodniej i zamierzając ich puścić na wolność po opuszczeniu Ciążenia, co też uczyniłem, dawszy każdemu po 3 złote na drogę.

„W pół godziny po przybyciu naszym do Ciążenia dały znać wystawione straże o nadciągających dwóch kolumnach Moskwy. Pierwsza od Pyzdr w sile 1 roty piechoty i pół sotni kozaków, druga od Słupcy (1 rota i 30 kozaków). Nie mogąc oczekiwać we wsi starcia się z piechotą, zebrałem szwadron i odmaszerowałem drogą ku miasteczku Łądek, z zamiarem udania się w kaźnierskie lasy. Już przecież pod wsią R a t y n i e m dopędził nas oddział z Pyzdr i żołnierz mój odebrał tutaj pierwszy chrzest wojenny. Sformowałem front w tył, stawiając czoło nieprzyjacielowi, lecz szarża w tym miejscu była niepodobną, znajdujące się bowiem po obydwóch stronach drogi bagna, przeszkadzały wszelkim ruchom kawalerji. Ograniczyć się więc musiałem na rozkazie, aby dwa plutony zsiadły z koni, i z karabinków raziły nieprzyjaciela, zasłaniając resztę szwadronu. Widząc jednakże, że celne strzały piechoty przerzedzają znacznie moje szeregi w tym stanowisku, zwłaszcza gdy i oddział z Słupcy przyszedł w pomoc swoim i ukośnie do mego prawego skrzydła w tyraliery się rozwinął, nakazałem odwrót. Kozacy puścili się zaraz za nami w pogoń, piechota prawie również szybko nas dopędzała, jadąc na podwodach, gwałtem od wsi do wsi rekwirowanych, i korzystając z każdej sposobności, aby nas gęstym obsypać ogniem. W ten sposób ustępowaliśmy drogą ku miasteczku Golinie. Wysłany ztamtąd żwirówką ku Koninowi rekonesans powrócił z wiadomością, że silny oddział Moskwy przecina nam drogę do Kaźmierza. Zwracam się zatem na lewo, kierując marsz mój na Dobrosławowo, gdzie sądziłem powziąć języka o innych w okolicy działających oddziałkach narodowych. Maszerując borem, uchodzi szwadron w ten sposób przez godzin 2 pogoni, poi przez chwilę konie, znużone dzięsięciomilowym pochodem w jeziorze pod Głodowem, lecz położenie nasze staje się krytyczniejszem, gdy wychodząc na pole pod folwarkiem T o k a r k i, widzimy się zagrożonymi z frontu przez dwa szwadrony luzarów z Kłeczewa i Słupcy, wzmocnione piechotą z Ślesina, z prawej zaś strony przez oddział koniński, z lewej i z tyłu parci ciągle przez pędzące już od Łądku za nami oddziały z Pyzdr i Słupcy.

„Odwadze tylko i zimnej krwi kilkunastu młodzieży, między którymi wymienię tylko najdzielniejszych, porucznika J e ł o w i c k i e g o i szeregowców Wł. i Le. braci K., An. N. i Mol.,<sup>1)</sup> którzy wraz ze mną naprzód utorowali drogę do przejścia między dwoma szwadronami

<sup>1)</sup> Nie mogłem się dowiedzieć nazwisk tych dzielnych.

Moskwy, a potem przez dwie mile zasłaniali odwagą swoją odwrot szwadronu i którym zawdzięczyć można ocalenie. Mieliśmy tutaj do czynienia z 4 $\frac{1}{2}$  rotami piechoty i 3 szwadronami kawalerji moskiewskiej, nie licząc w to kozaków i straży granicznej, która zewsząd z swych posterunków nadciągała ku nam. Straciliśmy pod Tokarkami do 10 zabitych i rannych, przyczem i podemną raniono konia.

„Wysławszy na zwiady, czy nie maszerują nam posiłki na odsiecz, któreby odciągnęły z mego karku wszystkie załogi moskiewskie z okolicznych miasteczek, szedłem dalej, a gdy zmęczenie moich ludzi 13 milowym marszem nie pozwalało prawie myśleć o nowym boju, wsunąłem się między dwa jeziora, między Przedślawiem a Ostrowitem, gdzie przynajmniej kawalerja rosyjska nie tyle szkodzić nam mogła. Lecz i z tego stanowiska wyparła nas piechota moskiewska, nadjechawszy podwodami; straciwszy znowu do 10 ludzi, postanowiłem po raz ostatni popróbować szczęścia. Rozwinąwszy się zatem na polach między Ostrowitem a wsią Kąpiel, po trzykroć z męstwem rozpaczy przypuściłem szarżę do 9 kroć liczniejszego nieprzyjaciela, otaczającego nas coraz gęstszym pasem. Widząc przecież niemożność dalszego oporu i nie chcąc narażać żołnierzy na niechybną zgubę, rozdzieliłem szwadron na kilka mniejszych garstek, polecając im cofnąć się w rozmaitych kierunkach, celem omylenia pogoni, co też szczęśliwie uskuteczniiono, sam zaś w kilkanaście koni udałem się w inną stronę. Straty nasze w tym 14 milowym pochodzie wśród ciągłego niemal boju z przemocą moskiewską, wynoszą do 15 zabitych i tyłuż rannych, których w większej części Moskale dobijali, co sam na własne widziałem oczy. Moskwa straciła do 20 zabitych i kilkunastu rannych, jakoteż konie i broń zabraną objezdczykom w Ciążeniu.

„Zakończając mój raport, dodam, że tak w czasie pochodu jakoteż i w boju żołnierz mój, z małemi wyjątkami, zachował się wzorowo, nie tracąc na chwilę ziemnej krwi i odwagi, znosząc trudy wytrwale i zapałem dla sprawy.

(L. S.)

F. Budziszewski, rotmistrz.“

Franciszek Budziszewski, powróciwszy do Księstwa, ukrywał się przez czas niejaki w domu wuja swego i ciotki, ś. p. Walerego i Emilii Rembowskiich w Poznaniu w willi, przyłączonej dziś do lazaretu wojskowego. Tu w nagrodę za przezorność i dzielność, z jaką poprowadził swój szwadron do boju, otrzymał nominacją od rządu narodowego na majora. Tu także widywałem się z nim, kolegą moim szkolnym, dość często, spędzając z nim miłe chwile na pogawędkach o przygodach jego wojennych. Był wzrostu wysokiego nad miarę, szczupły i nieco pochylony, z wkleśłą piersią, zdradzającą zarodek choroby, na którą miał umrzeć. Uwięziony przez władze pruskie, oskarżony o zdradę stanu i odwieziony do Berlina, po uwolnieniu ostateczną uchwałą sądową, powrócił ś. p. Franciszek do Grąbkowa, zamieniając oręż na lemiesz. Ale niedługo miała się nim cieszyć skołatana tyłu stratami dotkliwemi matka i rodzina. Po długich cierpieniach zgaśł z zupełną świadomością i spokojem, właściwym rycerzem, tylokrotnie zagląającym na polach bitew śmierci w oczy, dnia 28 marca 1866 r. w Grąbkowie.

Sędziwa matka, złamana na siłach, pospieszyła połączyć się z bohaterскими mężem i synami dnia 13 sierpnia 1869 roku.

Tak wygasa po mieczu odnoga na Grąbkowie wielkopolskiej rodziny Budziszewskich, piękną i chlubną pozostawiając po sobie pamięć!

## XII. Sokolnicy.

Patryotyzm i rycerskość, jak widzieliśmy wyżej przy Turnach i Budziszewskich, dziedziczą się nieraz z pokolenia na pokolenie. Do rodzin, odznaczających się w Wielkopolsce temi dwoma cnotami, zaliczyć należy bezwątpienia Sokolnickich herbu Nowina. Spieszyli oni zawsze z orężem w rękę, gdy Ojczyzna wzywała synów swych na pomoc i we wszystkich potrzebach narodowych brali udział, że wspomnę tylko kilku. I tak w wyprawie pod Wiedeń zginął z nich Michał Wawrzyniec, kasztelanie międzyrzecki; Piotr Antoni, brat poprzedniego, był pułkownikiem JKMci i regimentarzem partyi wielkopolskiej; za czasów Kościuszki odznaczył się zaszczytnie Piotr, jako rotmistrz kawalerji narodowej i Jan Nepomucen jako komisarz cywilno-wojskowy kaliski, długo więziony przez Prusaków w Głogowie; w wojnach napoleońskich jaśniał pomiędzy najznakomitszymi wodzami generał Michał Sokolnicki, waleczny żołnierz najprzód także z pod Kościuszki, a później legionista<sup>1)</sup>; w r. 1831 umarł z ran otrzymanych pod Ostrołęką pułkownik Mikołaj Sokolnicki, zwany pospolicie dla wielkiej popularności pomiędzy żołnierzami „pułkownikiem Mikołajem“, Józef był także pułkownikiem w téjże kampanii, a Tadeusz porucznikiem; w latach 1846 i 1848 widzimy Józefa, Ludwika, Franciszka i Tadeusza Sokolnickich na widowni ówczesnych wypadków; w r. 1863 wreszcie ósmiu Sokolnickich walczy przeciw Moskwie. Z tych poległo dwóch na polu bitew, czterech chlubne odniosło rany, dwóch tylko zdrowo ocalało.

Pierwszy zginął śmiercią walecznych Michał Sokolnicki, syn pułkownika Mikołaja, dziedzica dóbr Barczewa w Sieradzkim, poległego pod Ostrołęką, i Karoliny z Sokolnickich, urodzony 1819 r. Prowadząc oddziałek kosynierów w pomoc Taczanowskiemu, napadnięty został przez Moskali we wsi Licheniu pod Koninem dnia 8 maja 1863 r. w chwili, gdy w pobliskim Ignacewie wrzała już bitwa zacięta.. Po rozpaczliwej obronie poległ bohatersko wraz z wszystkimi dzielnymi towarzyszami swymi, tuż obok cmentarza.

Piotr Sokolnicki, najmłodszy z synów Tadeusza, oficera z r. 1831, więźnia stanu z r. 1846, i Kaźmiery z Sokolnickich, urodzony 1846 r. w Pigłowicach pod Środą, wyszedł na powstanie jako 17-letni młodzieniaszek wprost z ławy szkolnej gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu, walczył najpierw pod Olszakiem pod wodzą pułkownika Calliera, którego na wpół żywego z placu boju uprowadził; następnie wraz z bratem stryjecznym Franciszkiem przeszedł do oddziału Taczanowskiego i brał udział jako strzelec pierwszej kompanii w potyczkach pod Pызdrami dnia 29 kwietnia, pod Rychwałem dnia 5 maja, pod Kołem dnia 6 maja, wreszcie dnia 8 maja pod Ignacewem, gdzie ugodzony kulą w czoło, na miejscu ducha wyzionął. Pogrzebany

<sup>1)</sup> Zobacz Rocznik III wydawanęj przezemnie „Złotęj Księgi“ strona 242—246.

w jednej mogile obok Mieczysława Jackowskiego, z którym ścisła łączyła go przyjaźń.

Emilian Sokolnicki, syn Józefa, sponiewieranego w r. 1846 przez Austryaków i wtrąconego przez nich do ciężkiego więzienia, a następnie dłuższy czas więzionego przez Prusaków w Sonnenburgu i w Berlinie, i Józefy z Chłapowskich, ur. 1817 r., pierwsze początki starannego wychowania odebrał w domu rodzicielskim, później kształcił się w gimnazyum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Ożenił się w młodym wieku z Władysławą Siodońkiewiczówną, córką pułkownika wojsk polskich, żyjącego w Paryżu na wychodźstwie. Pełen gorącego patriotyzmu, nie szczędząc żadnych ofiar dla sprawy narodowej, wnet podupadł nietylko majątkowo, ale i na zdrowiu. W roku 1848 sformowawszy w Buku kompanią piechoty, przybył z nią do Książa, gdzie po morderczej bitwie wzięty do pruskiej niewoli, przesiedział długi czas w wilgotnych kazamatach cytadeli poznańskiej. Krótco przed rokiem 1860 zamieszkał z rodziną we Lwowie. Należąc w r. 1863 do organizacyi, udał się z oddziałem do Królestwa, zkad z niedobitkami powróciwszy do Galicyi, natychmiast uwięzionym został. Po odzyskaniu wolności bezzwłocznie po raz wtóry pospieszył na plac boju i w stopniu kapitana pod generałem Jeziorańskim walczył w krwawej bitwie pod Kobylanką dnia 6 maja. Ugodzony kartaczem w prawą rękę i umieszony z pobojowiska przez swego syna Józefa, długi czas przeleżał między życiem a śmiercią. Bez ręki, którą mu odjęto, stérany na siłach fizycznych, zgębiony rozbitciem się najdroższych swych nadziei, gasł powoli, aż go nareszcie na dniu 5 kwietnia 1874 r. Bóg miłosierny powołał do lepszego żywota. Pochowany w grobie familijnym w Mądrem pod Środą. Dwa lata później, dnia 16 listopada 1876 r. zasnęła w Bogu w Małych Jeziorach pod Zaniemiślem ukochana jego żona.

Stanisław Sokolnicki, najstarszy syn Tadeusza, a brat Piotra, poległego pod Ignacewem, ur. 24 marca 1844 r., służył w oddziale Younga de Blanckenheim, a ranny ciężko w brzuch w bitwie pod Nowąwsią, gdzie tylko ładownicy swój zawdzięczał, iż kula na wylot go nie przeszła (zob. wyż. życiorys „Mieczysława Jackowskiego“), odtąd zupełnego zdrowia już nie odzyskał.

Szymon Sokolnicki, ur. 3 września 1844 r. z ojca Aleksęgo i matki Malwiny z Kurowskich, a wnuk pułkownika Mikołaja, zakłutego bagnetami i rozsiekanego szablami moskiewskimi pod Ostrołęką, kończył właśnie prymę szkoły realnej w Poznaniu, gdy wybuchło powstanie. Wyruszył w pole w miesiącu kwietniu z oddziałem, zbierającym się w Brodowie pod Środą, do obozu Taczanowskiego w Pyzdrach, który cały ten oddział wysłał celem wzmocnienia hufca Younga de Blanckenheim do Wielkich Gór. W kilka dni później walczył już Szymon Sokolnicki w bitwie pod Nowąwsią, a dnia 29 kwietnia pod Brdowem, gdzie ciężko ranny kulą w prawe kolano, przez kilka miesięcy dotkliwie cierpiął.

Michał Sokolnicki, syn także Michała z Gołembowskięj, a wnuk Jana Nepomucena i Agnieszki Zakrzewskięj, córki słynnego Ignacego, prezydenta miasta Warszawy, oraz stryjeczny wnuk generała Michała Sokolnickiego, utracił rękę w jednej z potyczek w Lubelskiem, którą mu później w Paryżu zastąpiono sztuczną gutaperkową.

Z pozostałych dwóch i szczęśliwie ocalałych Sokolnickich brał udział Franciszek, brat wspomnianego wyżej ś. p. Emiliana, w wypadkach z r. 1846 i 1848 w Galicyi i w Poznańskim i kilkakrotnie był więziony. W r. 1863 walczył pod Olszakiem, a następnie odbył całą wyprawę Taczanowskiego od Pызdr do Ignacewa.

Józef wreszcie, syn ś. p. Emiliana, a synowiec Franciszka, porówno z ojcem wyszedł w pole do oddziału Jeziorańskiego i doznał tego szczęścia, że go ciężko rannego pod Kobylanką mógł ocalić od śmierci, na własnych barkach unosząc z pola bitwy w miejsce bezpieczne od dziczy moskiewskiej. Wydalony z Galicyi, po powrocie do Księstwa wzięty do pruskiego wojska, odbywał kampanie austriacką i francuską.

Otóż pokrótce opowiedziany zaszczytny udział dwóch pokoleń domu Sokolnickich w walkach z r. 1863 przeciw Moskwie.

### XIII. Trąmpezyńscy.

Mało która bezwątpienia z rodzin wielkopolskich poniosła przez nieszczęsny rok 1863 tak ciężkie i dotkliwe straty, jak starożytny dom Toporczyków Trąmpezyńskich. Trzech z tego rodu padło na polu bitew, ale ich śmierć pociągnęła za sobą drugie tyle ofiar!...

W pierwszej zaraz wyprawie, która z Poznańskiego wyruszyła do Królestwa pod wodzą Garczyńskiego, wzięli udział dwaj pełni życia, zdolności i serca młodzieńcy, Kaźmierz i Władysław, synowie znanego i powszechnie szanowanego mecenasa, Antoniego Trąmpezyńskiego, weterana z roku 1831, o którym niżej słów kilka.

Kaźmierz, urodzony w roku 1832, oficer t. z. landwery artylerji wojsk pruskich, ukończywszy szkoły, poświęcił się zawodowi prawniczemu i właśnie miał składać w Berlinie, razem z przyjacielem najszczerzym, Kaźmierzem Unrugiem, ostatni egzamen na sędziego, gdy wybuchło powstanie. Jakkolwiek nie wierzył w powodzenie przedwczesnej orężnej walki przeciw stokroć silniejszemu nieprzyjacielowi, przecież na zgromadzeniu młodzieży w Poznaniu w celu narady, co począć, wraz z Unrugiem oświadczył stanowczo, iż obowiązkiem jest nieść pomoc braciom w Królestwie, by jeśli nie zwyciężyć, to porówno z nimi krew przelać za Ojczyznę. Zdania tego żadne przekonywania starszych i doświadczeńszych obywateli przełamać w nim nie zdołały. W przeddzień wyjazdu Kaźmierza z Poznania zebrało się kółko przyjaciół jego i bliższych znajomych, by go pożegnać, był bowiem bardzo kochany i szanowany przez swych rówieśników. Wychylnono puhar na pomyślny jego powrót w strony rodzinne. Kaźmierz pochwyił za kielich, wzniosł go do góry i zawołał: „Do szczęśliwego zobaczenia, koledzy!“ W tej samej chwili kielich pękł mu w rękę, roztrzaskany w drobne kawałki upadł na ziemię, a strumień wina oblał go całego, jak w kilka dni później krew jego szlachetna miała go zbroczyć, a życie rozprysnąć się na wieki... Mimo tak przykrój wróżby, Kaźmierz tej samej nocy udał się, mając młodszego brata swego, 19-letniego Bolesława, przy swym boku, na miejsce zborne. Przejście granicy powiodło się całemu oddziałowi wybornie, wszakże w kilka dni później atakowany dnia 2 marca 1863 r. pomiędzy Dobrosołowem a Mieczownicą,

uległ przemocy i rozpierzył się na wsze strony, zaścieleając pobojowisko trupami i rannymi. Pomiędzy zabitymi był Kaźmierz, walczący jako ochotnik w pierwszym szeregu. Ugodzony kulą, wyzionął ducha na rękę spieszącego mu na pomoc brata Bolesława.

Władysław Trampezyński, młodszy brat Kaźmierza, urodzony w r. 1835, kształcił się najpierw w gimnazjum trzemeszeńskiém. Tu przez rok jeden mieszkał z nim razem u s. p. profesora Krześcińskiego. Rosły jak dąb, zawsze wesół i z uśmiechem na rumiannój i pogodnój twarzy, powszechnie był lubiony. Później poświęcił się zawodowi rolniczemu i zdał chlubny egzamen na akademii rolniczej w Eldenie; odsłużwszy zaś rok obowiązkowy w armii pruskiej przy strzelcach, pozyskał także stopień oficerski. Wtajemniczony w organizacyą narodową, na pierwszy odgłos walki zbrojnej postanowił w nię wziąć udział. Wszedł w pole pod wodzą późniejszego pułkownika Calliera, jako dowódzca kompanii strzelców i w potyczce pod Olszakiem dnia 22 marca widziany był zawsze w pierwszej linii walczących. Nagle, gdy właśnie towarzyszów do meztwa zagrzewa, pada ranny kulą w piersi... Zdołano go przewieść do Gosławic, majątności hrabiów Kwileckich, gdzie natychmiast najstarszemu doznał opieki. Po kilku dniach przybyły doń nieszczęśliwa matka wraz z siostrą jego, by go dalej pielęgnować. Ranny począł już przychodzić nieco do siebie, gdy wtém wpadają do Gosławic Moskale. Z pistoletem przyłożonym do czoła badają osłabionego Władysława, sądząc, że był dowódczą oddziału. Zaraz téż po ich odejściu dostał ranny silnój gorączki, a w trzy dni później tracą jego rodzice drugiego syna!... Na pogrzeb dzielnego młodzieńca, którego zwłoki spoczywają na cmentarzu w Gosławicach, przybyło dnia 20 kwietnia całe okoliczne obywatelstwo i tłumy ludu wiejskiego. Kapłan, przemawiający do zgromadzonych, w porywających słowach przedstawia poświęcenie Poznańczyków, przybywających z orężną pomocą zakordonowój braci, i w końcu z zapałem wzywa młodzież obecną, by za przykładem świeżo do grobu złożonego Władysława, szła do boju za własną wolność — i otóż wprost od mogiły jednego wiernego syna Ojczyzny, kilkudziesięciu nowych ochotników wyrusza do obozu...

Po śmierci drugiego syna, niepocieszeni już nigdy rodzice cofają z pola bitew trzeciego, Bolesława, do domu, aby tam wraz z najmłodszym bratem, 17-letnim Zygmuntem, wykonywał rozkazy komitetu powiatowego, służąc w ten sposób sprawie bez narażenia młodzieńczego życia. Odtąd obaj bracia przewożą broń i amunicyą, w czém im dopomaga weteran z r. 1831, Feliks Lipiński, ranny niegdyś pod Grochowem, wyleczony z ran w domu hr. Brzostowskiej w Warszawie, później żołnierz z r. 1848, a następnie leśniczy w dobrach starościny Mielżyńskiej z Iwna<sup>1)</sup>; przeprowadzają ku granicy ochotników, ułatwiają ucieczkę ściganym, słowem, czynni są dniem i nocą, nie schodząc czasami po kilkanaście godzin z koni. Sprowadza to niezliczone rewizye władz policyjnych w domu ich rodziców w Środzie, zwłaszcza po ucieczce jednego z więźniów zakordonowych z więzienia średzkiego, któremu mecenasostwo dali u siebie chwilowo w bezpiecznój kryjówce schronienie, a który później przy pomocy okolicznych pań przebrany za

<sup>1)</sup> Weteran ten mieszka obecnie w Poznaniu przy ulicy Bramkowej nr. 3.

kobietę uszedł szczęśliwie do Drezna, mając przygotowane wszędzie rozstawne konie przez Bolesława Trąpczyńskiego. Tyle jednakże trudów i niewyczasów podkopało zdrowie jego młodszego brata Zygmunta, który zapadłszy na gwałtowną chorobę piersiową wskutek przeziębienia na nocnej straży, zgasł dnia 8 sierpnia 1864 r.

Tój trzeciej straty nie zdołał już przetrzymać nieszczęśliwy ojciec i po krótkiej sercowej chorobie pospieszył za synami do lepszego życia dnia 24 września tegoż samego roku, licząc lat zaledwie 60.

Ś. p. Antoni Otto Trąpczyński był synem Wojciecha i Urszuli z Korytowskich. Ukończywszy szkoły w Poznaniu, słuchał prawa na uniwersytecie berlińskim, a złożony egzamen na referendaryusza, powrócił do domu i zajął się gospodarstwem w majątku swjej matki. W roku 1830 zaślubił Weronikę Witkowską, córkę Teodora i Jadwigi z Miaskowskich, i osiadł z nią w Iwnie, wzięwszy dobra te w dzierżawę. Ale przywiązanie do żony i maleńkiej córeczki nie zdołało w nim przemódz miłości Ojczyzny. Na hasło nocy listopadowej pożegnał te najdroższe sercu swemu na ziemi istoty i z kilku towarzyszami podążył natychmiast do Warszawy, gdzie do 13 pułku grenadyerów się zaciągnął. Nie kula moskiewska, ale cholera wytrąciła mu broń z ręki. Przeleżawszy kilka miesięcy, tak był osłabiony, iż zmuszony był powrócić do domu, by dopełniwszy obowiązków Polaka, walczyć dalej z losem i najrozmaitszemi klęskami. Widząc, że gospodarstwo wiejskie, zwłaszcza przy niepowodzeniach i rosnącej liczbie dzieciak, nie zdoła mu zapewnić bytu, udał się ponownie na uniwersytet do Berlina, by ukończyć przerwane nauki prawnicze. Żona wraz z sześciorgiem dzieci towarzyszyła mu, osładzając ciężki i mozolny żywot. Po dwóch latach doszedł nareszcie Antoni Trąpczyński do urzędu i pracował z kolei przy sądach w Poznaniu, Gostyniu, a w końcu w Środzie. Wypadki z roku 1846 i 1848 pozbawiły go urzędu i znów przez dwa lata cała ta liczna rodzina pozostała bez chleba. Wybrany dwukrotnie zaufaniem współobywateli posłem na sejmy berlińskie, przeprowadził Antoni szczęśliwie proces z rządem i powrócił na swe stanowisko w Środzie. Tu znowu dotknęły go bolesne klęski rodzinne. W krótkim przeciągu czasu utracił dwie córki, jedną już zamężną, drugą w 19-tój życia wiosnie. Nadszedł rok 1863. Dwaj starsi synowie Antoniego giną z kolei na polu bitew, trzeci gaśnie w domu rodzicielskim. Wszystkie dotąd przeciwności, straty i niedostatek znosił Antoni z hartem duszy i siłą woli, śmierć jednak synów, z takim trudem wychowanych, w grób go popchnęła...

Wdowa po nim, Weronika z Witkowskich, pełna ufności w Boga, zniosła mężnie i ten cios straszny i żyła jeszcze, czią powszechną otoczona, przez lat siedm z dwiema córkami na folwarczku Buchwaldzie. Aż nareszcie po krótkich, lecz okropnych cierpieniach powołał ją Bóg do lepszego życia dnia 9 lutego 1872 roku. Pogrzeby ś. p. Antoniego i Weroniki świadczyły najwymowniej, jakimi były ich życie, cnoty i zasługi. Wszystkie tam narodowości, wyznania i stany miały licznych przedstawicieli, a imiona mecenasostwa Trąpczyńskich dotąd w Średzkiem z miłością i czią są wspomniane.

W kilka lat po matce przemógł się do wieczności i ostatni syn jój, Bolesław, umierając nagle w Toruniu dnia 22 grudnia 1875 r. Z całego tego zacnego domu pozostały tylko dwie córki.

Jednocześnie z wspomnianymi wyżej Kaźmierzem i Władysławem pospieszyło na pole walki w r. 1863 czterech innych Trąpczyńskich. Z tych najstarszy wiekiem:

Kaźmierz Otto Trąpczyński, syn Ignacego i Anny z Machnickich, urodzony w Górze pod Poznaniem, włości, która przeszło 300 lat należała do Trąpczyńskich, chcąc uniknąć dalszej służby wojskowej pruskiej, w której doprowadził do stopnia podoficera ułanów, przeniósł się do Francji i tam pozostawał aż do roku 1863. Na wieść o wybuchu powstania przybył potajemnie do Księstwa i wyszedł ztąd do Królestwa z oddziałem Younga jako porucznik 2 kompanii strzelców pod kapitanem Maryańskim. Dziwne miał przecucie śmierci i koniecznie pragnął synowcom swoim, Henrykowi i Edmundowi, których dopiero po powrocie do kraju poznał, przed bitwą pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia 1863 roku oddać wszystkie swe papiery i pugilares z pieniędzmi, czego ci przyjąć nie chcieli. Ledwo się bój atoli rozpoczął, ugodzony kulą po nad lewém okiem, padł Kaźmierz nieżywy na ziemię i téj sanéj chwili otoczyła Moskwa jego ciało. Rozumie się, że zabrano mu wszystko, co posiadał. Zwłoki jego odnalezione pochowano w Sadlnie, w wspólnej mogile.

Synowcomie jego, a synowie Eugeniusza, weterana z r. 1831, i Laury z Szumanów, Henryk i Edmund Trąpczyńscy, należeli także do wyprawy Younga i brali czynny udział w krwawych bitwach pod Nowąwsią i Brdowem jako strzelcy w kompanii dzielnego kapitana Maryańskiego, który, jak wiadomo, poległ śmiercią walecznych pod Nowąwsią. Henryk wyszedł cało, Edmund wszakże został ciężko ranny i uwięziony do Księstwa. Obaj bracia później po raz wtóry chcieli pod wodzą Stanisława Wierzbńskiego wyruszyć w pole, wszakże aresztowani przy przejściu granicy i osadzeni w więzieniu w Gnieźnie, odstawieni byli do twierdzy poznańskiej, w której kazamatach pół roku odsiedzieli.

Władysław Otto Trąpczyński, syn Hipolita i Waleryi z Osternów, mając lat dopiero 17, opuścił wraz z dwoma przyjaciółmi, Witoldem Biernackim i Piotrem Sokolnickim, poległym błogosławieństwo z rąk ojca, udał się do oddziału Younga i wstąpił do kompanii strzelców Maryańskiego, w której już trzech innych Trąpczyńskich służyło. Po rozbiciu Younga dostał się Władysław wraz z swym pokrewnym, Henrykiem Trąpczyńskim, do oddziału Seyfrieda, gdy zaś tenże, zagrożony sądem wojennym, uciekł haniebnie zagranicę, obaj Trąpczyńscy z kilku innymi towarzyszami broni podążyli lasami i manowcami, starannie wsie i miasteczka omijając, ku oddziałowi Taczanowskiego. Nie mogąc się do tegoż przedostać, ponieważ przedziały ich od obozu polskiego kolumny moskiewskie, idące pod Ignacewo, zwrócili się ku granicy, którą pomiędzy Kruszwicą a Strzelnem szczęśliwie wprawdzie, ale upadający z wycieńczenia, nocy bezsennych i głodu, przekroczyli.

Po kilku miesiącach wypoczynku zaciągnął się ponownie Władysław Trąpczyński, mianowany dnia 15 lipca podporucznikiem, do oddziału, który pod wodzą pułkownika Ganier d'Abin miał wyruszyć na plac boju, wszakże przy granicy w pobliżu Pyzdr powstrzymany został przez patrol pruski. Ganier, który, zatknąwszy czapkę na ostrze pa-

łasza, wiódł tak odważnie kosynierów pod Taczanowskim do ataku, ujrawszy wojsko pruskie, z całym sztabem umknął, Trąmpczyński zaś, pozostawszy na wskazaném mu stanowisku przy wozach z bronią i amunicją, wraz z 72 towarzyszami został aresztowany, zbity niemilosiernie kolbami i odstawiony do więzienia w Wrześni, a ztamąd do twierdzy poznańskiej, z kąd po 9-miesięcznym śledztwie skazany na tydzień do więzienia sądowego, odzyskał nareszcie wolność. Wkrótce potem pospieszył nad granicę do Grzybowa, własności swego stryja, z kąd miał zamiar po raz trzeci udać się do Królestwa. Aresztowany ponownie, przesiedział kilkanaście dni na odwachu w Wrześni i w więzieniu w Gnieźnie, poczem powrócił do domu. Tymczasem powstanie chyliło się coraz więcej ku upadkowi i nie przedstawiało już żadnemu walki młodzieńcowi żadnych widoków powodzenia.

#### **XIV. Rodziny Szmytów i Zimmermannów.**

Było to zawsze charakterystycznym Polski znamieniem, że cudzoziemców, licznie się garnących do jej progów gościnnych, umiała macierzyńskim ciepłem przytulać i przywiązywać do siebie. Obec przybysz wnet czuł się na ziemi polskiej szczęśliwym, często zawierał tutaj związki małżeńskie, budował ognisko rodzinne i z wdzięczności dla przybranej matki wychowywał swe dzieci w gorącej dla niej miłości. Nieraz drugie już pokolenie, z takiego pochodzące gniazda, lało obficie krew dla Polski i znosiło dla niej najrozmaitsze katusze, jakby ubiegając się o pierwszeństwo w niesieniu ofiar dla wspólnej Ojczyzny z jej starszymi synami. Takich przykładów możnaby naliczyć tysiącami w dziejach Rzeczypospolitej wolnej i w historii jej porozbiorowej. Na dowód zaś, że i rok 1863 w takie wniosłe przykłady obfitował, przytoczę tutaj tylko dwie rodziny, niemieckiego pochodzenia, ale czujące się od dawna Polakami, Szmytów i Zimmermannów, z których każda po trzech synów na odgłos walki narodowej wysłała na pole bitew, a z tych wszyscy albo legli śmiercią bohaterską, albo powrócili zaszczytniemi okryci bliznami.

\* \* \*

Rodzina Szmytów pochodzi ze Szląska, gdzie jej przodkowie w okolicy Wrocławia posiadali własności ziemskie i pracowali w roli. Od dwustu lat zamieszkała jedna jej gałąź w Wielkopolsce, w Ziemi Wschowskiej. Tu, we wsi Brennie, należącej do jego rodziców, urodził się Antoni Szmyt, późniejszy dziedzic wsi Radzewa w Śremskiem, która dotąd jest w ręku tej rodziny. Ożeniwszy się z Litwinką z pod Nieświeża, Klarą Kulikowską herbu Drogomir, spłodził z nią czterech synów, z których trzech starszych w roku 1863 poszło do powstania.

Z tych dr. Lucyan Szmyt, lekarz, urodził się dnia 16 października 1836 roku w Radzewie pod Bninem. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w gimnazjum poznańskim Ś. Maryi Magdaleny, słuchał nauk lekarskich na uniwersytetach wrocławskim i berlińskim. W kilka tygodni po złożeniu egzaminu państwowego na lekarza, w pierwszych dniach wiosny roku 1863 wyruszył z towarzyszami uni-

wersyteckimi nad granicę Królestwa Polskiego do Ryńska, w Prusach Zachodnich, aby tam być pomocnym przy organizowaniu się oddziału powstańczego. Ścigany przez władze pruskie z powodu, że pod jego adresem przybyła skrzynia z Liège z bronią, odesłany został pod strażą do Radzewa i tam oddany pod dozór policyi. Tydzień tylko wytrzymał pod tymże dozorem, a potem na wieść o przegranej bitwie pod Mieczownicą pospieszył nad granicę, aby nieść pomoc lekarską rannym rodakom. Odtąd bezustannie skrzętnym był w niesieniu pomocy lekarskiej, oraz w organizacyi powstańczych hufców. Granicę Królestwa Polskiego przekroczył z nowym oddziałem pułkownika Mieleckiego, jako lekarz. Brał udział w bitwie pod Olszową dnia 22 marca. W bitwie tej, jak wiadomo, pułkownika Mieleckiego raniono śmiertelnie, a oddział poszedł w rozsypkę.

Dr. Szymt przez kilka tygodni znów był czynny po rozmaitych lazaretach, urządzonych u obywateli wiejskich staraniem panny Emilii Sezanieckiej i dr. Teofila Mateckiego. Trwało to do czasu, w którym zaczęły się tworzyć nowe oddziały Younga de Blankenheim, Seyfrieda i Solnickiego. Gorący patriotyzm Lueyana nie wytrzymał przy lancecie. Oto wyjątek z jego listu, pisanego do rodziny: „...Od czasu wstąpienia mego do obozu Solnickiego przed tygodniem, porzuciłem medycynę i obrałem zawód wojskowy. Już przed bitwą (pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia) jako kapral dowodziłem 20 ludźmi. Bitwy tej przebieg następujący: Dowódcy nasi dowiedzieli się, że znaczny oddział Moskali idzie z Włocławka przez Piotrków żydowski do Konina, aby połączonymi siłami na nas uderzyć. Postanowiono zatem znieść ten oddział Moskali. Nasi rozłożeni byli w trzech obozach: pod dowództwem Younga do 1000 ludzi, pod Oborskim około 800, pod Solnickim 600 — ja byłem pod Solnickim. Wyruszyliśmy w niedzielę o 3 z rana i szliśmy z małemi przestankami prawie ciągle ku Piotrkowu. Około godziny 11 dowiedzieliśmy się od Żydów, jadących z Piotrkowa, że Moskale już wyszli tamtąd i że się znajdują w pobliżu nas o 1/2 mili, obrawszy inną drogę, a nie trakt główny. Young ze swym oddziałem, mając ludzi najwięcej i najlepszą kawalerją, wyrusza na zrekonoskowanie miejsca zajętego przez Moskale, znajduje ich i rozpoczyna atak. Nasz (Solnickiego) oddział, najbliższy się znajdujący, zawezwany na pomoc, pospiesza szybkim marszem na plac boju, pędząc kilka wiorst. Zadyszani przybywamy na miejsce i widzimy Moskale cofających, lecz odstrzeliwających się ciągle. Nasza kompania, 80 celnych strzelców, wyrusza naprzód, rozsypuje się w tyralierkę, wypędza Moskale z boru na pole i tam wraz z kosynierami idzie do ataku na bagnety. Już byliśmy o kilkanaście kroków od Moskale, już widzę, jak kosynier Moskale rąbie kosą, gdy wtém dowódca nasz, Zieliński, ranny spada z konia — następuje popłoch — wszystko cofa się do boru, lecz i Moskale się cofają. Lasem postępujemy za nimi, oni uchodzą do Nowejwsi, cofając się przez kolonią Łęzki do boru Połajewskiego. Nasi oskrzydłają ich, chcąc wpędzić do Gopła, lecz Moskale okrążają Gopło i uchodzą w granice pruskie. Nasi już byli zdobyli furgony, lecz kozacy je odbili. Straty nasze znaczne, lecz i Moskale również tyle poległo. Do dziś (dnia 28 kwietnia) wiemy o 26 zabitych, a około 50 rannych. Pomiędzy rannymi jest Tułodziecki Kaźmierz, śmiertelnie, leży w Słonkowie (matka przy nim), Byczyński z Buina

ranny w nogę, Jaś (brat) ranny w prawą i lewą nogę leży w Racięcinie wraz z Francuzem i czterema innymi, otoczony wielkiem staraniem. Dowódzca Solnicki dziś w nocy umarł. Jedną z najdotkliwszych strat bitwy téj jest śmiertelny postrzał w piersi Celestyna Milewskiego, mego kolegi z uniwersytetu, celującego zdolnościami, prawością i poświęceniem, równie jak jego ojciec, obywatel z Konińskiego.

„W raporcie do rządu narodowego miał podobno naczelnik wspomnieć moje nazwisko.

„Mimo zawód wojskowy, w wolnych chwilach zajmuję się chorymi i rannymi i mam pod sobą dwóch felerów. Obecnie zwiedzam bezustanku rannych w Słomkowie, w Racięcinie, Ruszkowie i okolicy, lecz dziś znów wracam do obozu...“

Dr. Szmyt za odznaczenie się w bitwie pod Nowąwsią mianowany podporucznikiem przez rząd narodowy, odtąd już stanowczo zrobił rozbrat z lancetem. Mianowany adjutantem pułkownika Zielińskiego, dzielił z nim losy, już to przebywając nad granicą w celu organizowania nowych oddziałów, już to jeżdżąc z szczegółowemi poleceniami w służbie wojennej po rozmaitych oddziałach powstańczych, tu i owdzie pospieszając jeszcze rannym z pomocą lekarską. Tak uszedł czas do 24 września, w którym to dniu — jak opiewa raport pułkownika Zielińskiego do rządu narodowego — dr. Szmyt zginął w bitwie pod Strykowem, cięży szabłą w głowę przez czerkiesa, w téj właśnie chwili, kiedy runął pod nim koń w biegu, a on wypadłszy ze siodła, powstał i konia podnieść usiłował.

Jan Szmyt, sekundaner gimnazjum poznańskiego Ś. Maryi Magdaleny, urodził się w Radzewie pod Bninem w roku 1845. Na odgłos powstania narodowego nie dał się w domu powstrzymać i pospieszył na plac boju. Granicę przeszedł z oddziałem pułkownika Calliera. Brał udział w bitwie pod Olszową dnia 22 marca, potem w potyczce pod Ślesinem. Przeszedłszy później do oddziału Younga, w bitwie pod Nowąwsią ranny w obie nogi, wzięty z placu boju do Racięcina, później przeniesiony do Ruszkowa, umarł tam po trzech miesiącach ciężkich cierpień z wycieńczenia, spowodowanego ranami. Pochowany w Sadlnie obok wspólnej mogiły towarzyszy poległych w téj samej bitwie.

Trzeci z braci, Józef Szmyt, ciężko ranny dnia 22 marca pod Olszową, przewieziony do Mikorzyna, przeleżał tam cztery miesiące. Powróciwszy do Księstwa w końcu roku 1863, przesiedział trzy miesiące w więzieniu w Śremie za odmówienie świadectwa w sprawie śledczej uwięzionego w Hausvogtei w Berlinie pułkownika Edmunda Calliera. Przy życiorysie tegoż znajdzie czytelnik poniżej opowiedziane przygody wojenne dzielnego, a znanego ze swój skromności *Józefa Szmyta*, dziś współpracownika redakcyi „Wielkopolanina“ w Poznaniu.

\* \* \*

Ktokolwiek z czytelników uczęszczał w czasie pomiędzy rokiem 1836 a 1856 do szkół w Trzemesznie, temu nie obcą jest postać Augustyna Zimmernanna, nauczyciela pomocniczego przy tamtejszém gimnazjum. Pochodzenia niemieckiego, ale żarliwy katolik, poślubiwszy w roku 1834 Leokadyą Słeżką, córkę zamożnego obywatela i kupca win w Trzemesznie, pokochał całą duszą Polskę,

a odznaczając się charakterem prawym, wielką serdecznością i usposobieniem wesołym, wkrótce zjednał sobie bardzo wielu przyjaciół i ogólny szacunek, czego najwymowniejszym dowodem był jego pogrzeb, na który nie tylko pospieszili tłumnie mieszkańcy Trzemeszna, ale i obywatelstwo z całej okolicy się zjechało. Umarł w roku 1856, licząc lat 45. Utraciwszy w roku 1852 pierwszą żonę, która mu w pożyciu małżeńskim powiła dziesięciu synów i cztery córki, ożenił się po raz wtóry z panną *Pascal*, osobą bardzo zacną, która poświęciła się całkiem wychowaniu małoletnich jego dzieci; z tych przecież pozostało tylko sześciu synów i jedna córka, dziś zamężna *Koszutska*. Jakkolwiek *Augustyn Zimmermann* zatrącał w mowie z niemiecka, przecież w domu jego wyłącznie po polsku mówiono i obyczaj był w nim czysto polski. Tu chował się między innymi *Kaźmierz hr. Czapski*, uczęszczający w r. 1854 do szkół trzemeskich. Ulubioną rozrywką *Zimmermanna* była muzyka; sam śpiewał pięknie i grał na wszystkich niemal instrumentach. Najmilszém też było jego zajęciem ustawić w szeregu sześciu swoich synów i uczyć ich patryotycznych polskich pieśni, których każdy musiał mieć zbiór zapisanych do ksiąteczki. W roku 1848 wielce był czynny. Uniósł z sobą do grobu wdzięczne rodaków wspomnienie.

Z synów jego najstarszy, *Ludwik Zimmermann*, poświęcił się stanowi duchownemu i był najpierw wikaryuszem w Przemencie, a następnie proboszczem w Dąbrówce pod Zbąszyniem, gdzie w roku 1887 dnia 15 lutego na chorobę sercową życia dokonał, licząc lat 52. Złote serce, dusza na wskroś polska, kochany był przez wszystkich, co go znali bliżej, szanowany nawet przez obcych. Nie mogąc jako kapłan wziąć udziału w walce w roku 1863, czynnym był w organizacyi, przewożąc i przechowując broń, dając w domu swoim gościnne spieszającym do boju ochotnikom przyjęcie i podejmując się wykonywania różnych poleceń komitetu. Nosił czamare i rogatywkę na głowie; uśmiech serdeczny i przyjacielski ożywiał twarz jego; dłoń do ofiary zawsze miał gotową. Pokój jego ceniom!

Drugi z braci, *Ignacy Zimmermann*, ukończywszy szkoły w Trzemesznie, oddał się zawodowi gospodarskiemu i praktykował w Miłostawiu, w dobrach hr. Seweryna Mielżyńskiego. Po odsłużeniu roku w artyleryi w Poznaniu, jeden z pierwszych pospieszzył do powstania w lutym 1863 roku. W Słupcy połączył się ze zbierającymi się tamże ochotnikami, po największej części jeszcze bezbromnymi, nad którymi dowództwo objął rotmistrz *Miśkiewicz*. Oddziałek ten ruszył w kierunku *Mieczownicy*, ale napotkawszy w drodze rozbitków z pod *Krzywosądza* i *Nowejwsi*, którzy ogromny rzucili popłoch, rozpierzeł się. *Ignacy* powrócił zatem do Księstwa, z kąd wraz z przyjacielem swym z ławy szkolnej, *Kaźmierzem hr. Czapskim*, który przeszedłszy już kampanią *Langiewiczowską*, po krótkim wypoczynku powracał znów na plac boju, udał się do Krakowa i po różnych trudnościach w omyleniu czujności władz austriackich, wraz z kilku towarzyszami przedostał się do oddziału generała *Jeziorańskiego*. Wstąpiwszy jako szeregowiec do 2 kompanii strzelców kapitana *Zawadzkiego* w 1 batalionie majora *Leonarda Łepkowicza*, wesołością swoją i koleżeńską uczynnością wkrótce zjednał sobie serca towarzyszków broni. Nazywano go żartobliwie „Cymkiem“ i zwykle powierzano mu urząd dostarczyciela żywności, której był brak wielki w obozie. Dnia 5 maja,

dzień przed mordereczą bitwą pod Kobylanką, raczył swych znajomych wiktuałami, nabytymi za drogie pieniądze od handlarzy żydowskich. Pito jego zdrowie, tymczasem nazajutrz miał już nie żyć! Dnia 6 maja zawarł bój na całej linii. Ignacy walczył w pierwszym łańcuchu tyralierów, zapał rumieńcem twarz jego oblewał, oczy sypały iskry. Wtém zawołał major Łepkowicz: „Kto z was pójdzie na ochotnika na armatę?!“ Ignacy jeden z pierwszych wyskoczył z bagnetem w rękę, ale w tój samój chwili kula działowa obie urwała mu nogi.... Zemdlnego złożono na wozie, aby go przewieść do Galicyi, gdzie w pobliskim miasteczku Cieszanowie urządzony był lazaret polowy. Nie dowieziono go jednakże, bo w drodze zacnego swego ducha oddał Bogu, otrzymawszy ostatnie religijne pociechy od obozowego kapelana, księdza **Bulsiewicza**.

Trzeci z synów Augustyna, dr. **Jan Zimmermann**, lekarz w Trzemesznie, lubo od dzieciństwa kulawy i chodzący o krukwi, nieposlednie zajmował miejsce między uczestnikami powstania z roku 1863. Kilkakrotnie więziony, osadzony był w Wrześni w takim lochu, że nawet wyprostować się nie mógł. Z polecenia komitetu jeździł w ważnych sprawach publicznych do Francyi, do Włoch i do Galicyi. Znany był ogólnie pod nazwą „kulawego kosyniera.“ Dotąd wspominae jest imię jego w szerokich kołach z czcią i uznaniem. Umarł rażony paralizem w roku 1882, licząc lat 43.

Czwarty z rzędu z braci, **Kazimierz Zimmermann**, słucał prawa na uniwersytecie wrocławskim, gdy go doszła wieść o wybuchu powstania. W połowie marca 1863 r. spotkał się z młodszym bratem swym **Albinem** w oddziale pułkownika Mieleckiego, obozującym podówczas w lasach Kaźmierskich. Podobnie jak bracia usposobienia nadzwyczaj wesołego i przyjacielskiego stał się wkrótce duszą całego obozu. Wszyscy widzieli go chętnie, witali w swych namiotach z radością. Bo tóż pieśni patryotyczne, które nauce ojca zawdzięczał, wytrząsał jak z rękawa, zagrzewając niemi ducha żołnierzy, a lekceważeniem trudów i niewygód obozowych krzepił się w towarzyszach. Wesołość nie opuściła go na chwilę nawet w boju, lubo śmierć swą przepowiadał. W nocy z 21 na 22 marca zwinęto obóz i ruszono lasami w stronę miasteczka Kaźmierza, gdzie, jak donieśli szpiedzy, miał stać książę Wittgenstein z batalionem piechoty i rotą celnych strzelców. Tymczasem okazało się, że Moskwa już była w pochodzie naprzeciw polskiemu oddziałowi. Zaledwo straż przednia przeszła groblą, na 6 ludzi szeroką a na 200 kroków długą, usypaną przez rozległy staw, nad którym stał tartak, aliści napotkała na Moskali. Strzały dały się słyszeć i zrazu wzbudziły w naszych popłoch, jednakże na krótko, dzięki przytomności umysłu i odwadze obu polskich dowódców, **Mieleckiego** i **Callier'a**. W porządku i odstrzeliwając się cofnął się oddział po za groblę i obsadził tartak, który stanowił środek zajętej przez naszych pozycyi. Moskale stanęli po drugiej stronie stawu. Siły polskie składały się z 400 strzelców i 150 kosynierów. Bitwa zaczęła się ogniem tyralierskim. **Kazimierz Zimmermann** znajdował się przy boku **Callier'a** w tartaku, zkąd najgęstszy szedł ogień. Jeszcze w czasie cofania się przez groblę, padło kilku rannych naszych, których uprowadzić z sobą nie było można w pospiechu. **Kazimierz** postanowił ich ocalić. Z bohaterką odwagą, z pieśnią na ustach, mimo odwoływań kochających go towa-

rzyszów, wysuwał się śród gradu kul nieprzyjacielskich na groble, co kilka kroków przystawając, strzelał, i tak po kilka razy doszedł do tartaku. Około godziny 7 rano otrzymał Mielęcki ranę śmiertelną, a wkrótce po nim i Callier'a uniesiono z pola bitwy z przestrzeloną twarzą. Wszakże wygrana była nasza, a zawdzięczano ją głównie odwadze, niezwykłej przytomności i rozporządzeniom Callier'a. Kaźmierz Zimmermann, dowiedziawszy się, że brat jego Albin jest także rannym, pobiegł doń bez czapki, w czamarce od kul podziurawionej i te ostatnie wyrzekł do niego słowa: „Złe miałem przecucie, byłem pewnym, że zginę, a tymczasem nawet tój przyjemności nie doznałem, abym się mógł, jak Ty, raną pochlubić; ale może i mnie to nie minie — dobrześmy Moskale strzepali!...“ Tego samego dnia nasi, znużeni kilkogodziną walką pod Olszakiem, bez amunicji i bez pożywienia wyruszyli z pola bitwy w stronę miasteczka Ślesina. W tym pochodzie zaskoczyły ich nowe siły moskiewskie. Opór był niemożliwy, oddział rozsypał się i począł uciekać. Moskale gonili uciekających, zasypując kulami. Kaźmierz otrzymał ciężką ranę w nogę i upadł. Kapitan Sikorski usiłował go wciągnąć na swego konia, ale gdy się to okazało daremnem, wzięło go czterech towarzyszków na płaszcz i wraz z nim uchodzili. Lecz wkrótce znów kula nieprzyjacielska powaliła jednego z niosących rannego. Widząc Kaźmierz, że go nie ocala i sami pogina, z poświęceniem i zaparciem się błagał towarzyszków, by uciekali czém prędzej, pozostawiając go Opatrzności Boskiej. Leżącego na ziemi znaleźli kozacy i rzucili się nań z najeżonemi spisami. Kaźmierz podniósł się nieco i wypalił do nich z rewolweru, a w tój samej chwili kilkanaście grotów żelaznych utkwilo w szlachetnej piersi bohaterskiego młodzieńca.... Tego samego wieczora znaleźli mieszkańcy Ślesina zwłoki jego, okryte bliznami i krwią zlane, obdarte ze wszelkiego odzienia, leżące na polu. Nazajutrz złożono je do grobu z czcią przynależną.

Piąty brat poprzednich, Albin Zimmermann, ranny pod Olszakiem tartakiem w lewe ramię i przewieziony do Gosławic, gdzie był urządzony lazaret, wzięty został ztamtąd przez Moskale do Konina, zkąd, przyszedłszy nieco do sił, przy pomocy brata, dr. Jana, szczęśliwie uszedł do Księstwa, gdzie go wzięto za karę na trzy lata do wojska pruskiego, chociaż posiadał prawo do służby jednorocznej...

Szósty wreszcie i najmłodszy z synów Augustyna i Leokadyi z Sleszańskich Zimmermannów, Stanisław, był w roku 1863 zbyt młodym, by móżdż wraz z braćmi walczyć za Ojczyznę, wszakże w tój samej co oni wychowany tradycyi, równą jak oni pała miłością kraju, zawsze służyć mu gotów.

## **XV. Ludwik Mycielski.**

Do Ludwika Mycielskiego można zastosować słowa Sallustiusza: „fortibus actibus atque bona fama, neque divitiis, neque superbia, nobilis ignobilem pracibat.“ Nosząc bowiem starożytną i zacne nazwisko, senatorską w Rzeczypospolitej uświetnione purpurą, zrozumiał dobrze, że szlachectwo rodu przedewszystkiem wkłada obowiązek szlachetności i poświęcenia. Zginął tóż chwalebnie na polu walki za Ojczyznę, wierny

tradycyi ojców i godzien imienia, które nosił na pamiątkę stryja swego, poległego po bohatersku w roku 1831 na polach Grochowa.

Ludwik hrabia Mycielski urodził się dnia 14 września 1837 roku z ojca Teodora, rotmistrza w poznańskim pułku ułanów w roku 1831 i z Anieli z hrabiów Mielżyńskich, która go dzieckiem jeszcze odumarała. Po mieczu zatém i po kądzieli był wnukiem wojewodów. Wychowany na łonie dostatków, otoczony troskliwém staraniem rodziny, która umiała weń wpoić gorącą miłość Ojczyzny, Ludwik od pierwszej młodości odznaczał się pomiędzy rówieśnikami rzadką dobrocią, szlachetnością serca i prostotą w obejściu. Przebywszy szkoły gimnazyalne w Wrocławiu, obrał sobie zawód wojskowy, do którego niepohamowany zdradzał popęd. Każde zajęcie rycerskie było dla niego pożądaném: wyborny jeździec, znakomity myśliwy, dla którego fraszka było kulą ze sztuceru o paraset kroków w biegu ubijając zająca, najchętniej dnie całe przepędzał na harcowaniu na dzielnych runakach, lub na uganianiu się za zwierzyną. Wstąpił nasamprzód do pułku kirysyerów, a następnie jako podporucznik przeszedł do pułku ułanów, załogującego w Miliczu. Po kilku latach służby, w której się zawsze odznaczał najsumienniejszém wypełnianiem swych obowiązków, zażądał zwolnienia, aby jako obywatel zasiąść na ojczystej ziemi. Ojciec oddał mu na własność dobra Smogorzewskie, niegdys gniazdo wielkopolskiego pieśniarza, Kaspra Miaskowskiego. Ludwik, pojmując dobrze, że jednym z najświętszych obowiązków obywatela polskiego jest nie wypuszczać z ręki ziemi rodzimnej, ale pracą pomnażać mienie narodowe, z zamiłowaniem wziął się do uprawy tych pól, które tak pięknie opisał Miaskowski. Odtąd rzadko oddalał się z domu, dozorując osobiście prace w roli, a jedyną niemal rozrywką było dlań myśliwstwo. To téż w krótkim czasie umiał sobie zaskarbić miłość i szacunek współobywateli i włościan.

Smutna wiadomość o rozpoczęciu branki w Warszawie i o gromadzeniu się proskrybowanej młodzieży w lasach, w zamiarze stawienia oporu Moskałom, głęboko wzruszyła Ludwika. Szlachetne jego serce od pierwszej chwili wybuchu powstania nie miało już spokoju, bolejąc nad losem braci i nowemi klęskami, zagrażającemi Ojczyźnie. Wiedział Ludwik, że w kraju naszym, gdzie niepodobieństwem jest dla Polaka dojsć zasługą i pracą do dostojęństw wywyższających jednostki nad ogół, zwrócone są przedewszystkiém oczy tak rodaków jak obcych na tych, których Opatrzność znacznym majątkiem i głośnieć nazwiskiem obdarowawszy, nad innych wyniosła. To téż umiał ocenić obowiązki, jakie na nim, jako na przedstawicielu jednéj z najznakomitszych rodzin wielkopolskich ciążyły, i bez namysłu postanowił pospieszyć z pomocą zagrożonej braci, dając z siebie przykład prawdziwego poświęcenia, które zawsze znajduje uznanie i naśladowców. Gdy go usiłowano powstrzymać, a któryś z dyplomatów powiatowych radził, aby przynajmniej czekał, dopóki powstanie nie przedstawi jakiegokolwiek widoków powodzenia, odparł stanowczo: „Raison de plus d'y aller.“ Więc bez żalu porzucił dom i dostatki, aby podzielić trudy obozowe i bohaterską walkę z tą nieustraszoną garstką, która prawie bez broni i bez dostatecznej odzieży, ale z potężną wiarą w sercu, rzuciła się na ogromną przemoc wroga. Pełen otuchy, z weselem niemal, rozlaném na piękném męzkim obliczu, odjeżdżał do Krakowa, zabierając z sobą ulubionego wierzchowca i broń wyborną, na grubéj wypróbowaną zwierzynie. Już wówczas, kto-

kolwiek znał bliżej Ludwika, nie jedną z nim przeżył chwilę i wiedział, ile męstwa, ofiarności i miłości Ojczyzny mieściła w sobie jego pierś młodzieńcza, z żalem mógł przewidzieć, jaki los prędzej czy później doświadczy na polu krwawych zapasów.

Mycielski przybył do Krakowa w pierwszych dniach marca 1863 r. Wspaniały gród królewski, owa skarbnica wielkich narodowych pamiątek, z wyniosłym na Wawelu zamczyskiem i świątynią, mieszczącą groby monarchów i bohaterów naszych, z orszakiem wieżyc, strzelających ku błękitom niebios, z mogiłą Kościuszki, z wzgórkami Wandy i Krakusa, z floryańską basztą, co dzikich hord azyatyckich odpierała najazdy, głębokie na Ludwiku wywarła wrażenie. Śród tylu wzniosłych wspomnień, śród gorącego zapachu, który wszystkich ogarniał, śród tysiąca młodzieży, która z najrozmaitszych stron z kraju i z zagranicy tu nadbiegła, by ztąd wyruszyć do walki, tém silniej uderzyło serce polskie w Ludwika i zawrzała szlachetna duma odznaczenia się na polu bitew.

Obóz Langiewicza stał w Goszczy, szcęk oręża narodowych hufców dolatywał niemal do Krakowa, wszędzie dziarskie widziałeś postacie, brzmiała pieśń narodowa... Ach, jakież piękne były te chwile rozbudzonej nadziei, które dzisiaj jako uroczy sen miniony chowany w sercach... Któż, co chociaż raz odetchnął tém życiem wiosennych uczuć, nie zabierze tego wspomnienia, jako jedną z najdroższych pamiątek, z sobą do grobu?...

Mycielski pospieszył zaciągnąć się w powstańcze szeregi. Przyjaźnie przyjęty przez generała i jako porucznik zaliczony do tworzącej się kawalerii, z zamiłowaniem rzucił się do pracy wskazanej. Zdolny i wywieszony w szkole pruskiej kawalerzysta, niemałe Ludwik położył zasługi w organizowaniu i wymustrowaniu jazdy. Langiewicz, ogłosiwszy się dnia 10 marca dyktatorem, uznając zdolności Mycielskiego, mianował go rotmistrzem i wśród ciężkich dni następnych do najtrudniejszych używał poleceń. Ludwik, niezmordowany znojami ciągłych marszów, pełen nieustraszonej odwagi, wzorem był dla swoich podwładnych. Pod Chrobrzem i pod Grochowiskami widziano go zawsze w pierwszym szeregu. To też w ostatniej tej bitwie oprócz pełnienia bagnetem, otrzymał jeszcze postrzał w nogę. Mimo to wytrwał do końca i dopiero po przejściu granicy przez dyktatora, jeden z ostatnich przybył do Krakowa.

Złożony w hotelu Saskim i troskliwej powierzony pieczy lekarskiej, przez kilka tygodni Mycielski dotkliwie przetrwał bóle. Miłość, jaką sobie zjednał nie tylko u towarzyszy broni, ale i u obywateli starszych wiekiem, sprowadzała do jego łóża codziennie tylu przyjaciół, iż nawet lekarze ze względu na osłabienie Ludwika zalecić musieli, aby większy choremu zostawiano spokój. Na drzwiach pokoju, w którym leżał Mycielski, pamiętam, przybitą była karta upraszająca przechodzących obok o spokojność. Każdy niemal, mijając drzwi te i wyczytawszy nazwisko rannego, z czcią powiadał: „dzielny chłopak!“ I w istocie był to młodzieniec tak zuchy i dzielny, jak rzadko drugiego napotkać. Uczynny i pełen poświęcenia dla drugich, wszystkiém, co posiadał, pieniędźmi, odzieżą i bielizną dzielił się z uboższymi towarzyszami broni. Ktokolwiek potrzebował wsparcia, mógł być przekonany, że jeśli Ludwik grosz jeszcze posiada, chętnie się z nim podzieli. To też gdy na zalecenie lekarzy udawał się do Wiednia na dalszą kurację, prawie zu-

pełnie był ogołocony z bielizny i ubiorów, które rozdał w czasie pobytu w Krakowie braciom powstańcom, nieraz niestety, nadużywającym jego pańskiej hojności. Minęło kilka miesięcy, a Mycielski, jakkolwiek nie całkiem zagojoną miał ranę, tyle przecież sił odzyskał, że mógł stąpnąć na nogę. Z góry też oświadczył, że na każde wezwanie gotów się stawić do służby narodowej.

Więść o klęsce generała Jordana i śmierci przyjaciół, Tarnowskiego i Jabłonowskiego (zob. wyż. rozdział VI), wiele go wprawdzie zmar-twiła, nie zdołała przecież zrodzić w nim zwątpienia, które po rozbiciu wyprawy komarowskiej ogólnie się w Krakowie szerzyć poczęło. Upadek na duchu był niezmierny, zastój w popieraniu powstania w Kongresówce od strony krakowskiej brał górę w sposób zatrważający. Generał Jordan wrócił niebawem z Królestwa, gdzie oddziały jego nie mogły już się zebrać w poważniejszy zastęp. Sam wódz stracił wiarę w siebie i w sprawę, której służył, a do której nigdy nie okazywał zbyt wielkiego zaufania. W takiej to chwili rozstroju i zwątpienia przybył Mycielski z Wiednia do Krakowa z niezagojoną jeszcze raną poniżej kolana.

Było to w ostatnich dniach czerwca. Przygotowania dla oddziału jazdy, mającego pod wodzą Ludwika wyruszyć w pole, były już ukończone, wszystkim przecież opadały ręce na samo wspomnienie niedawnej katastrofy; Mycielski sam jeden zdawał się być na wszystko obojętnym. Młodzieniec ten, na pozór zimny i flegmatyczny jak Anglik, wśród ogólnego upadku na duchu zdumiewał innych swoim spokojem i energią. Wkrótce też, jeśli się nie mylę, dnia 28 czerwca nad wieczorem wyruszył z folwarku Olszy pod Krakowem w 70 koni do Królestwa. Wyglądał wspaniale. Czerwona krakuska z białym piórem na głowie, pąsowa koszula garibaldowska, dolman szaraczkowy czarno szamerowany, jasne łosiowe szarawary i długie buty, bardzo były mu do twarzy. Na plecach ładownica czarna, srebrnym ozdobiona orłem, przy prawej nodze, grubo obandażowanej dla rany, która się była otworzyła na nowo, wisiał krótki sztucer, w ręku potężna szablica, pod nim koń gniady wspaniałej budowy; oblicze blade, wychudłe i znękanę długim cierpieniem, oczy zapadłe, gorączkowym płonące ogniem, dziwnym go otaczały urokiem.

Z uderzeniem godziny 8 za danym hasłem oddział cały ruszył z miejsca galopem, bo już patrole austriackie z Krakowa nadciągały. Nad samą granicą inny patrol, ukryty w zbożu, dał ognia do przebiegających rażno jeźdźców. Świsnęło górą kilka kulek, jedna tylko przeszła czapkę Ludwika i urwała białe piórko na nią zatknięte. „To dla mnie pocałunek,“ rzekł z uśmiechem do jednego z towarzyszków i żwawo dalej pospieszał.

O wschodzie słońca oddział już daleko był za granicą galicyjską, około godziny 10 przed południem zatrzymał się w miasteczku Słomnikach na popas. Ludwik sam rozstawił pikiety i zsiadł z konia ostatni. Pod względem bowiem rygoru służbowego dawał zawsze z siebie podwładnym najlepszy przykład; koledzy jego z pod Langiewicza nieraz opowiadali o nim, że ranny, chory, do ostatka dotrzymywał placu, na koniu pełniąc służbę podjazdową we dnie i w nocy; przyzwyczajony do niewygód, zadawał sobie kawałkiem suchego chleba i kieliszkiem prostej wódki.

Ze Słomnik udał się Mycielski do Saneygniowa, gdzie już nie zastał Kosy, z którym się miał połączyć, a dowiedziawszy się, że od Michowa ciągną za nim dwie roty piechoty i sotnia kozaków, bez zwłoki pomaszerował dalej w głąb kraju. Noc przepędzono pod gołym niebem w lesie. Nazajutrz rano pod Nawarzycami spotkał sotnię kozaków zupełnie z nienaeka w wąwozie i żwawą szarżą uderzywszy na nich, w puch ich rozbił i za uciekającymi pogonił. Tu przecież na krańcu bliskiego lasu wpadł na ukrytą w zbożu piechotę, która gęstym ogniem rotowym zapęd jego powstrzymała. Kilku z szeregowców legło od strzałów, prócz kilkunastu ramnych, w których liczbie znów był Ludwik. Kula raniła go tym razem powyżej lewego kolana i utkwiała w siodle. Oddziałek jego, który w zapalczywej pogoni za kozakami cokolwiek się zmieszał, nie mógł już, mimo usiłowań i zachęty wodza sformować się na nowo pod gradem kul nieprzyjacielskich, a gdy jednocześnie inna rota piechoty z boku z za pagórka prażyć naszych zaczęła, Ludwik widział się zmuszonym nakazać odwrót. Tu, opowiadali mi naoczni świadkowie, iż widzieli Mycielskiego w najcięższym ogniu zsiadającego z konia, by podnieść ramnego towarzysza; w tej także chwili jedynie przytomności walecznego podporucznika Przył. ocalenie swe zawdzięczał, gdyż ten nacierających kozaków do tyła powstrzymał, iż Ludwik z rannym zdążył ujechać.

W pobliskim lesie stanąwszy dla opatrzenia ramnych, odebrał Mycielski z trzech stron ostrzeżenia o nadsięgających przeważnych siłach nieprzyjaciela, które go otoczyć usiłowały. Odtąd kilkakrotnie wykręcał się w różne strony, by się przedrzeć w głąb kraju, zewsząd jednakże parła go Moskwa ku granicy galicyjskiej. Całą noc zmuszony był cofać się przed ścigającym krok w krok nieprzyjacielem w sile 300 koni i kilku rot piechoty wiezionej na podwodach, i dopiero trzeciego dnia po wymarszu do Królestwa, około południa wparty został napowrót do Galicyi.

Tym niefortunnym końcem wyprawy zgryziony, usprawiedliwszy się przed sądem wojennym, złożonym z kolegów, dowódców powstańczych, o którego zwołanie sam się domagał, wyjechał Ludwik Mycielski do Pragi czeskiej, by w zaciśnięciu wypocząć po trudach i leczyć swe rany.

Ale jakaś wewnętrzna żądza boju, czy zgonu za Ojczyznę paliła go bezustannie i nie dawała mu chwili spokoju. Jakoż po niespełna dwutygodniowym pobycie w Pradze, choć kulejąc i o kiju, wrócił do Krakowa, by znów pospieszyć na pole walki. Napróżno starał się przyjaciel jego i sąsiad, przybyły umyślnie z Księstwa Bogusław Bojanowski nakłonić go do powrotu w strony rodzinne, tłómacząc mu, że spełniwszy już swój obowiązek i dwukrotnie krew przelawszy, śmiało może oręż zamienić na lemiesz. Ludwik w odpowiedzi wyjechał w Rzeszowskie, z kąd oddział generała Waligórskiego miał niebawem wyruszyć do Kongresówki. Ludwik po zwyczajmu miał jako rotmistrz z nim pomaszerować.

Odtąd coraz mniej szczegółów znaleźć można o Mycielskim. Z bliższych jego znajomych tylko jednego zdarzyło mi się spotkać, który mi jakieskolwiek mógł podać o nim wiadomości. Wyprawa Waligórskiego opóźniła się o parę tygodni. Opowiadający przybył w nocy z Krakowa do Rzeszowa i spostrzegł na dworcu kolei żelaznej Ludwika. Było to w październiku. „Adieu, rzekł Ludwik, już się nie zobaczymy!“

„A to dla czego?“ zagadnął przybyły. „Ja dziś maszeruję do Królestwa, nie mogę się doczekać oddziału, idę sam, w pięć koni.“ „Czy tak jak Zawisza Czarny?“ „Daję ci słowo, że zginę jak Zawisza!“ i uściskali się serdecznie. Zaiste, święcie dotrzymał Mycielski swój przysięgi!... Tu Ludwikowi zdaje się ciężko zrobiło się na sercu. „Ty tam wrócisz niedługo zapewne w Poznańskie, pożegnaj wszystkich odemnie; ja już nie wrócę... Moim udziałem kulka, czy jutro, czy za rok, nie wiem; ale wiem, że mnie nie minie; wiem, że muszę zginąć — i chcę zginąć! Adieu!“

Za kilka tygodni, w początku listopada, smutna rozbiegła się wieść po Krakowie, a ztamtąd wnet po całym przeleciała Poznańskiem — Ludwik Mycielski już nie żył.

Przez tydzień, czy dłużej, błąkał się sam z kilku tylko wiernymi towarzyszami, w Lubelskiem, nocę przepędzając w lasach, we dnie uwiązując się pomiędzy moskiewskimi patrolami i werbując ochotników. Aż naręszcie napotkał oddział pułkownika Wierzbickiego. Mężny ten wódz partyzancki, lecz cokolwiek żywy i szorstki w obejściu, miał podobno, jak wieść miesie, w pierwszej chwili ofuknąć się na Mycielskiego, że paniczów z obozu Langiewicza, z których każdy tytułuje się co najmniej rotmistrzem, nie potrzebuje, ale mu brak prostych żołnierzy. Ludwik, niezrażony tém przyjęciem, miał odpowiedzieć, że gotów pełnić każdą służbę, jaką pułkownik rozkaże. Wierzbicki postawił go jako szeregowca na prawém skrzydle i rozpoczął obroty. Mycielski z pogodną twarzą — już to zwykle mustra nowe wlewała weń życie — wstąpił do szeregu, i zręcznością i wprawą w obrotach tak sobie ujął dowódzcę, że po ukończeniu ćwiczeń zawoławszy go do siebie, uściśnął mu rękę i jako rotmistrzowi oddał mu całą jazdę, około 80 koni liczącą. Odtąd przyjaźń i szacunek Wierzbickiego dla Ludwika z każdym dniem rosły. Niestety, nie długo się cieszył dzielnym rotmistrzem, który w krótkim czasie jazdę powierzoną swemu dowództwu wyćwiczył i zorganizował. Dnia 3 listopada 1863 r., odebrawszy rozkaz zrobienia rekonesansu, zetknął się Ludwik nazajutrz w kilka koni pod wsią Bojanówką z oddziałem dragonów moskiewskich i znalazł się w takim położeniu, że z tyłu miał błota, przez które odwrót był niemożliwy, a przed sobą silny zastęp nieprzyjacielski, przez który trzeba było się przedrzeć lub poddać. Ludwik bez wahania obiera pierwsze i z dobytą szablą rzuca się naprzód. Cięty pałaszem przez brew nad okiem, nie przestaje walczyć i zagrzewać do boju swych towarzyszków. Już dwóch dragonów zsadza z koni, gdy wtém pęka mu szablica i raz nieprzyjaciela rozwała mu czaszkę. Runął wraz z koniem na ziemię, i legł, jako przewidział — po bohatersku. Moskale rąbali nieżywego i trawowali kołmi.

Po ustąpieniu dragonów podniesiono ciało Ludwika, pokaleczone do niepoznania i z czcią religijną złożono obok kilku poległych jego towarzyszków, w osobnym grobie na cichym cmentarzu wiejskim, pod opiekuńczem skrzydłem ubogiego kościółka, zdala od ojczystej zagrody i ziemi, na której wzrósł i wychował się, a której nigdy nie przestanie być chlubą.

Śmierć Ludwika ciężką żalobą okryła jego rodzinę i licznych przyjaciół. W dawném jego dziedzictwie, w Smogorzewie, wzniosł mu brat

jego młodszy, Ignacy, piękny pomnik w parku. Na wyniosłym obelisku czytamy złożony napis:

*Ś. P.*

*Ludwikowi hr. Mycielskiemu,  
ur. 14 września 1837 w Chociszewicach,  
poległemu w Lubelskiem 4 listopada 1863 r.,  
wzięczni rodacy.  
Panie, świeć nad duszą Jego!*

W kościele zaś Pempowskim znajduje się wmurowana w ścianę marmurowa tablica, staraniem i ze składek urzędników majątności Chociszewickiej tamże umieszczona, z następującym napisem:

*D. O. M.*

*Ludovicus Comes Mycielski  
pro aris focusque dimicans,  
anno aetatis suae 25  
in pugna Chelmensi  
die 4 Novembris 1863  
cecidi.  
Moesti amici de misericordia  
Dei recte sperantes  
hoc monumentum  
posuere.*

## **XVI. Edmund Callier.**

W pamiątkowej tej księdze, poświęconej głównie pamięci poległych, niech mi wolno będzie w końcu naszkicować portret jednego z najpopularniejszych wodzów powstania z r. 1863, który dotąd pomiędzy nami żyje i da Bóg, długo jeszcze żyć będzie, powszechnie kochany i szanowany, a zamieniwszy oręż na pióro, na polu nauki narodowej niepoślednio zdobywa sobie stanowisko.

Mam na myśli, jak z pewnością każdy z czytelników odgadnie, walecznego i okrytego szlachetnymi bliznami pułkownika Callier'a, żołnierza z wojny krymskiej i kampanii algierskich, dalej znakomitego partyzanta, następnie więźnia stanu, wreszcie pierwszorzędnego polskiego geografa.

Pisząc o żyjącym, nie mogę oczywiście pisać tak, jakbym pragnął, zwłaszcza gdy przyjaźń osobista łączy mnie z przedmiotem mego szkicu; muszę zatem ograniczyć się na nagich faktach, treściwie zestawionych, wplatając w me opowiadanie sprawozdanie naoczego świadka i współuczestnika pierwszej pułkownika Callier'a do Królestwa wyprawy.

Edmund Callier ujrzał światło dzienne w Szamotułach dnia 2 października 1833 roku. Ojciec jego, potomek rodziny hugenockiej, która po odwołaniu edyktu nantejskiego wyszła z Francji i osiadła w Polsce, urodził się w Ostrołęce; za Prus południowych dostał się do Poznania, gdzie po upadku Księstwa Warszawskiego poświęcił się służbie rządowej i około roku 1830 był sekretarzem powiatowym w Szamotułach. Stanowisko to zajmował następnie w Buku, a po wypadkach z roku 1848 we Wrześni. Matką Edmunda była zgasła świeżo, dnia 11 lutego 1888 r. w Poznaniu, ś. p. Salomea z Krajewskich, niewiasta wielkiego serca, cnót rzadkich i poświęcenia. Ojciec, zajęty pracą urzędową, mało się mógł zajmować wychowaniem swych dzieci, jeśli przeto

wyrosły one na Polaków duszą i ciałem, jeśli w nich miłość Ojczyzny stała się głównym życia ideałem, a honor pierwszym jego warunkiem, zawdzięczają to głównie naukom, jakie od kolebki matka w ich młodociane serca wpajała.

Edmund, najstarszy z rodzeństwa, nieraz widywał w Buku rycerską postać bohatera z pod Somosierry, pułkownika Niegolewskiego. Sędziwy wojak polubił dziarskiego chłopaczka i nieraz, przybywszy z pobliskiego Niegolewa na sąd do Buku, obdarowywał go konikiem lub szabelką. Podniecało to w Edmundzie wrodzoną żyłkę żołnierską. W roku 1843 oddany do niemieckiego gimnazjum Fryderyka Wilhelma w Poznaniu, doszedł w niém do teryci niższej, poczem go ojciec umieścił w składzie Magnuszewicza, a następnie Freudenreicha, aby się kształcił w zawodzie kupieckim. Łokieć przecież był wstrętny młodzieniaszkowi, który, korzystając z wybuchu wojny szlezwickiej, wstąpił jako ochotnik do wojska pruskiego. Gdy jednakże okazał się zbyt wątłej budowy ciała, uwolniono go z szeregow. Pracował tedy przy boku ojca w biurze urzędu ziemiańskiego w Wrześni, później samodzielnie w innych biurach administracyjnych. Pogłoski o zbliżającej się wojnie francusko-rosyjskiej w obronie Turcyi, wyrwały go z tego zajęcia. W nocy z 31 grudnia na 1 stycznia 1854 roku wyruszył do Francyi. Po różnych przygodach stanął w Strassburgu w kwietniu t. r. i zaciągnął się na 5 lat służby do legii zagranicznej w Algierze jako szeregowiec. W grudniu przy grzmocie dział wylądował z oddziałem swoim na wybrzeżach Krymu, wcielony do 2 pułku legii. Od chwili téj do końca wojny brał czynny udział we wszystkich ruchach wojennych tegoż pułku. Ranny odłamem granatu w zębra, za szturm na wieżę Małakowa otrzymał stopień kaprała i srebrny medal angielski. W lipcu 1856 r. odpłynęła legia zagraniczna, rozwiązana po wzięciu Sebastopola, do Afryki. Jednostki, z których się składała, wcielono do różnych pułków francuskich, znaczną zaś liczbę przekazano pierwszemu pułkowi zagranicznemu, złożonemu z samych Szwajcarów i utworzonemu w Dijon w czasie wojny krymskiej. Do tych należał także Callier, któremu okoliczność ta zamiast przyspieszyć, opóźniła awans o rok przynajmniej. Z Oranu tedy popłynął dalej do Philippeville, a stąd udał się do Konstantyna do Setifu. Po rozmaitych wysługach i niejednokrotném odznaczeniu się w ustawicznych niemal starciach z Kabylami, postąpił z kaprała grenadyerów na sierżanta z widokiem bliskiego awansu na podporucznika. W tym właśnie czasie upłynął termin pięcioletniej jego służby. Edmund zatęsknił za swymi i za ojczystą ziemią. Porzucił więc szeregi francuskie i w sierpniu 1859 roku zawiał do Poznania, dokąd matka jego z rodziną była się przeniosła po śmierci ojca. Przygody swe od chwili opuszczenia domu rodzicielskiego, aż do powrotu doń po pięciu latach wojennych trudów, spisał Callier w obszernym i bardzo zajmującym pamiętniku, który miałem w ręku w roku 1864, jako redaktor „Dziennika Poznańskiego“, gdy w imieniu matki Edmunda układałem się z księgarzem Merzbachem o jego wydrukowanie; wszakże układy te nie przyszyły do skutku.

W Poznaniu zajęli się młodym wojakiem dr. Ludwik Gąsiorowski, profesor Marecki Motty, przecaena pułkownikowa Niegolewska i inne wpływowe osoby, by mu wyrobić w zakładach żeńskich i najpierwszych domach poznańskich lekye prywatne w językach francuskim, angiel-

skim i włoskim, któremi biegle władał. W tym zawodzie zaskoczyły go wypadki z roku 1863. Porzucił bez wahania stanowisko swoje, pożegnał rodzinę i przyjaciół i pospieszył ku granicy, by z najpierwszym oddziałem wyruszyć w pole.

W opisie pierwszej Callier'a wyprawy wyręczam się łaskawie mi udzielonem sprawozdaniem p. *Josefa Szmyta*, który brał w niej czynny udział i był ranny pod Olszakiem. Opowiada on co następuje:

„W niedzielę w pierwszych dniach marca 1863 r. przybył Callier wieczorem na probostwo do Kurnika w chęci porozumienia się, w jaki sposób i gdzie zebrać oddział ochotników. Zaczny, patriotyczny i do wszelkich poświęceń pochopny hr. Jan Działłyński niedawno co był wrócił z Egiptu, gdzie podróżował z dwoma krewnymi swymi, księciem Czartoryskim i hr. Zamoyskim. W Kairo wyczytał z gazet francuskich pierwszą wieść o wybuchem powstania i zaraz też opuścił swych towarzyszy, a sam podążył w strony rodzinne, aby nieść pomoc walczącym przeciw Moskwie rodakom. Zaraz po powrocie do domu zawezwał swego pełnomocnika i nadleśniczego i polecił im wydobyć z dóbr 60 tysięcy talarów na poparcie powstania. Ile posłał rządowi narodowemu, nie wiadoma mi — podobno nawet więcej, jak wieści chodziły — stwierdzam tylko fakt patriotycznego jego usposobienia. Hr. Jan Działłyński ofiarował Callierowi wszelką broń, jaką miał w zbrojowni zamkowej (reszta zamówionej przezeń w Belgii broni nadchodziła z wolna i dostawała się oddziałom później się tworzącym) i przesłał ją w skrzyni na miejsce zborne ochotników zamierzonej przez Callier'a wyprawy, na Zofiówkę, folwark należący do Wielkich Jezior pod Zanicmyślem. Po naradzeniu się z Callierem i po oznaczeniu dnia na wyprawę podążyliśmy na miejsce. W skrzyni znaleźliśmy oprócz amunicji, kilkadziesiąt sztucerów gwintowanych belgijskich, dubeltówki, pistolety i przytém przesłanicznej roboty sztucery szwajcarskie, które dla wielkiej wartości archeologicznej, jako nie przydatne do pospolitego użytku, odesłaliśmy napowrót w skrzyni do Kurnika, zatrzymawszy tylko broń praktyczną. Przed wieczorem zebrało się nas około 60 ochotników i wyruszyliśmy w bory Mechlińskie, na Grobelkę pod Śremem; tam przenocowaliśmy w stodole. Następnego dnia przepędziliśmy na kępie w lesie otoczonej bagnem. Czasu tego użył dowódca nasz na wprowadzenie jakiegoś takiego ładu, formując strzelców i kosynierów. Wieczorem zaszły fornalki z Mechlina, Lucin, W. Jeziór i powiozły oddziałek nasz do Brodowa, a ztamtąd do Górażdowa. Przepiężono konie i powieziono nas dalej ku granicy, którą przebyliśmy nad ranem.

„W Górażdowie przyłączył się do naszego oddziałku kapitan Sikorski z kilku ochotnikami, a że w czasie drogi przyłączali się do nas i inni jeszcze ochotnicy, więc hufiec nasz powiększył się do 90 kilku. Połowę stanowili strzelcy, zbrojni w sztucery kurnie lub dubeltówki własne: reszta kosynierzy, byli bezbromi.

„Po przejściu granicy nastąpił mały zatarg o dowództwo nad tym oddziałem, do którego kapitan Sikorski rościł sobie prawo, lecz ogólne głosowanie pouczyło go pod tym względem; większością głosów postanowiliśmy oddać się pod dowództwo Calliera i kapitan S. ustąpił, otrzymawszy stopień zastępcy naszego dowódcy. Dzień ten cały znów zszedł na dalszem formowaniu się w szeregi i ćwiczeniu bronią. Wie-

czorem zaszyły fornalki, które nas przez całą noc wiozły przez Golinę, Kowalewo, Ciężen w lasy Kaźmierskie.

„Przy wjeździe do tych obszernych lasów poschodziliśmy z wozów nie nagabywani przez Moskali, których oddział krążył w tej okolicy i którzy kilka godzin poprzednio przesunęli się w poprzek naszej drogi.

„Cała ta trzecia noc jazdy pełną była wrażeń sercu naszemu miłych, gdyż po wszystkich wsiach, przez które jechaliśmy, przyjmowała nas ludność z radością i zapałem, wykrzykując: witajcie nam bracia kochani! i obdarzając nas pożywieniem, na jakie kogo stało.

„Pierwszy obóz założyliśmy w lesie opodal Biniszewa, pamiętnego bitwą przed kilkunastu dniami tamże stoczoną, w której Kaźmierz Mielecki dał dowody nieustraszonej odwagi: bitwa ta niestety, skończyła się klęską naszych.

Obóz codziennie rozbijano gdzieindziej i to głównie w zagajeniach obok wysokiego lasu. Jedyńm schronieniem dla nas w takim obozie był półdaszek z gałęzi sosnowych, pozawieszanych na poprzecznych długich dragach; z tylnego boku również tylko zasłonięci byliśmy takiemiż gałęziami; były to długie zaimprovizowane szopy, do których jednakże deszcz lub śnieg miał wolny dostęp. Kilka razy w takiem schronieniu pokryła nas w nocnej porze biała, śnieżna pierzyna.

„Komu zbyt zimno było, szedł do obozowego ogniska ugrzać się na chwilkę, a potem znów wcisnął się pomiędzy towarzyszy broni — takie pielgrzymki wśród nocy był bezustanne.

Zywność dostawiano nam w postaci chleba razowego i polci słoniny; kilka razy przysłano po parę kłód od kapusty, napełnionych bigosem. Aby nie jeść koniecznie suchego chleba, pozwalaliśmy sobie tego zbytku, że kawałki słoniny na ustruganych prętach przypiekaliśmy przy ogniu, tłuszcz roztopiony kapał na podłożony chleb i strawa ta wybornie smakowała.

„Mimo wszelkie takie niedogodności, mimo codzienne oczekiwanie spotkania się z Moskalami, co umysły nastrajało na ton poważny, panowała w naszym oddziale bezustanna wesołość, żarty i śpiewy, gdy śpiewać było wolno, t. j. gdy Moskali nie było w okolicy.

„Po kilku dniach przebytych na ćwiczeniach i powyżej opisanych zajęciach, nadeszła wiadomość do naszego dowódcy, że Mielecki z nowym oddziałem przebył granicę i wzywa go (Callier'a), aby się ze swoim oddziałem stawił pod jego rozkazy. Połączenie to nastąpiło w okolicy Kaźmierza.

„Mielecki oddział zlustrował i oddał Callierowi dowództwo nad piechotą, mianując go zarazem z upoważnienia rządu narodowego, majorem. Tak zdwojony oddział liczył około 400 piechoty i około 100 konnicy.

„Nad konnicą objął dowództwo Miskiewicz, były oficer wojsk rosyjskich.

„Po podziale piechoty na strzelców i kosynierów pokazało się, że kosynierowie byli bez broni, wzięto się zatem do kuźni polowych i kosom przywiezionym z Księstwa przykuwano tuleje celem oprawienia na drągi; tymczasem kosyniery narąbali żerdzi brzoźowych, strugali i przypiekali je przy ogniu.

„Krótko po połączeniu się oddziałów, przybył do obozu szewe z wozem pełnym butów. Sprzedał kilkadziesiąt par, które Callier kazał mi wypłacić z tysiąca talarów, ofiarowanych mu na pierwsze potrzeby przez hr. Jana Działyńskiego; była to już reszta sumy ofiarowanej, gdyż dostarczenie więcej broni, przyborów wojennych, żywności i t. p., mimo wielką ofiarność obywateli, nie mało kosztowało.

„Szewe ów przez wdzięczność za obfity zarobek, powróciwszy z obozu i przepatrzywszy położenie, doniósł o nas Moskalom.

„Ze zbliżeniem się wieczoru zabrzmiały nagle trąbki moskiewskie, usiłując nam strachu napędzić. Moskale, dowiedziawszy się o połączeniu się dwóch oddziałów w jeden, zdaje się większe mieli wyobrażenie o naszej sile, — podziałało może i nazwisko Mielęckiego — dość, że oprócz, iż trąbili, pozostali z dala i nas nie zaatakowali.

„Przy tak licho uzbrojonym oddziale, dowódca nasz nie mógł pozostać na miejscu. Aby w błąd wprowadzić wroga, rozkazał rozpalić ogniska obozowe na szerszej przestrzeni; powierzył nad niemi straż kilkunastu kosynierom, którzy coraz świeżych polan dokładali do ognisk, a potem, po spaleniu zapasu, cofnęli się za oddziałem, który tymczasem cichaczem na całą noc wyruszył w stronę przeciwną, nie opuszczając wszakże rozległych lasów kaźmierskich, na których krańcu stanął, wziął się do stawiania szałasów i w tym obozie przebył trzy dni bez zaniepokojenia.

„Tymczasem organizacja oddziału była dokonana, broń uzupełniona i wszystko przygotowane do spodziewanej bitwy, która musiała nastąpić, bo Moskale w okolicy tej zaczęli silnie gromadzić kolumny.

„Na drugi dzień wieczorem doniesiono dowódcy, że 2 rotę piechoty moskiewskiej i sotnia kozaków przewozić będą broń z Kenina ku Golinie i Słupcy bitym traktem.

„Na wiadomość tę major Callier odezwał się do piechoty: kto gotów na ochotnika na tę wyprawę? Wyskoczyło nas około 80 i nad tym oddziałem oddał dowództwo kapitanowi Zielińskiemu (później został pułkownikiem i dowódcą samodzielnym). Z zapalem spróbowania się po raz pierwszy z wrogiem, wyruszyliśmy do niedalekiego skraju lasu i rozłożyliśmy się w zasadzce w rowach przy żwirówce. Druga część oddziału stała w obozie w pogotowiu na jakiegokolwiek możliwej wypadki.

„Czekaliśmy tak kilka godzin, już nas dochodził z daleka turkot wozów i tentent koni kozackich, gdy wtém pikietu kozacka skutkiem pewnie nieostrożnego się zachowania jednego z naszych, dała znak Moskalom do odwrotu i wynieśli się coperdziej, powracając do Konina.

„Wyprawa się nie udała; nad ranem wróciliśmy do obozu, ale prawdopodobnie przyspieszyła walną bitwę, gdyż Moskale tym sposobem dowiedzieli się o stanowisku oddziału. Następnego dnia zeszedł zwykłym trybem. W nocy około godziny 3 wydano nagle rozkaz pogasić ogniska, złożyć kotły i przybory kuchenne na wozy i sformować się do wymarszu. O godzinie 4 wszystko było gotowe. Wyruszyliśmy w pochód: na czele pikietu komma, za nią w odstępie kilkadziesiąt kroków oddział konnicy, potem strzelcy i kosyniery, w środku tabór, za nim tak samo jak z przodu kosyniery, strzelcy, konnica i straż tylna; po bokach wzdłuż całej kolumny postępowali strzelcy konno.

„Po jednogodzinnym marszu przebyliśmy wązki przesmyk pomiędzy jeziorem pątnowskim a strugą, która doń spływała, otoczoną błotami. Na przesmyku tym czyli grobli, stał tartak (porów. wyż. z rozdziałem XIV-tym). Most przy tartaku przebyliśmy w zupełnym porządku i zagłębiliśmy się w przyległy bór; było to w niedzielę dnia 22 marca o godzinie 5 rano, a zatem zupełnie jeszcze ciemno.

„Nagle na pikietę naszą dano kilkanaście strzałów z boku. Byli to Moskale, którzy nad ranem mieli nas atakować i to oddział księcia Wittgensteina, liczący 4 tysiące piechoty, konnicy i artyleryi.

„Na odgłos strzałów powstał w całej naszej kolumnie popłoch niesłychany, porządek marszu złamano, kto mógł, „koncentrował się w tył“ i tak szczęściem zdołaliśmy się przedostać napowrót przez mostek. Moskale za nami, furgony nasze nie zdążyły tak szybko nawrócić i wpadły Moskalom w ręce.

„Kompania jedna piechoty moskiewskiej przebyła za nami mostek i usadowiła się w tartaku, dając raz po raz ognia, ale prężona gęstym ogniem strzelców naszych, w ściśniętym szyku most napowrót przebyła. Nasi, ustawieni przez Callier'a w półkolu, prażyli ich bezustannie i tak w tartaku jak na samym moście już dużo padło Moskali. Zginąć tam miał na moście moskiewski książę Gagarin, który prowadził tę kompanię.

„Nasi w pościgu za moskiewską piechotą zajęli znów tartak i usadowili się w strudze jako tyraliery. Odznaczył się tam przed wszystkimi młody Francuz, nazwiskiem Le Jars, przybyły od żuawów algierskich: ten zajął miejsce w strudze, za nim 4 strzelców nabijało bezustannie sztucery, a on palił wroga celnymi strzałami. Ten ciągły ogień z jednego miejsca i strzały trafne zwróciły Moskalom baczność i coraz gęstsze strzały szły w ten punkt z ich strony. Francuz otrzymał postrzał w nogę, którą mu później odjęto.

„Moskale spróbowali armat i dali do nas ognia kartaczami, ale te nam szkody nie przyniosły i jak stado wróbli rozpierzchiwały się po wierchołkach drzew, po za którymi stała druga linia strzelców, kosyniery w tyle, a konnica po bokach także w tyle w lesie.

„Bitwa trwała 5 godzin i zakończyła się klęską Moskali, mieli bowiem, jak później stwierdzono, 223 zabitych i wielu rannych. My liczyliśmy zabitych 5, a rannych 38. W ciągu całej bitwy ja sam wystrzelałem 62 naboje, a towarzysze moi nie mniej byli pilni. Do strat najdotkliwszych naszych zaliczyć należy śmiertelną ranę, jaką otrzymał M i e l e c k i, kiedy wyjechawszy konno na linię bojową, chciał się przekonać, czy błota po prawej stronie tartaka są istotnie do nieprzebycia, jak mu powiadano — miał bowiem ciągle w czasie bitwy to na uwadze, że Moskale zabiorą nam tył i dziwił się, że tego nie uczynili, mając tyle godzin czasu. Mielęckiemu koń ugrzązł przednimi nogami w błocie zaraz przy brzegu i kiedy go. ściągawszy cugle, wyrwał z błota i zwrócił ku oddziałowi, w tej chwili Moskale dali gęstszego ognia w tę stronę i jedna z kul raniła naczelnika naszego w krzyżę powyżej bioder. Przewieziono go do Mikorzyna, potem przez jezioro do Wąsosz, a na ostatku do Manleczu w W. Księstwie Poznańskim, gdzie w kilka miesięcy później umarł z tej rany (zob. wyżej rozdział V).

„Drugi dowódca nasz, Callier, który za zręczne kierowanie bitwą i przyczynienie się do tego świetnego zwycięstwa, mianowany został przez rząd narodowy podpułkownikiem, otrzymał trzy rany: w nogę, w ramię i w policzek i skutkiem tego stawszy się niezdolnym do dalszego dowództwa, przewieziony został do Pątnowa, a ztamtąd w Poznńskie.

„Moskale poniósłszy tak dotkliwe straty, nie śmieli dalej atakować i cofnęli się w głąb lasu. Nasz oddział, któremu zabrakło naboju, również cofnął się w porządku, wyszedł z lasu i stanął nieczadługo we wsi Mikorzynie. Jeszcze nie zdołano się posilić, gdy nagle od Ślesina pokazał się oddział Moskali, 3 rotę piechoty i szwadron huzarów pod wodzą Nelidowa, który szedł w pomoc ks. Wittgensteinowi. Huzary starali się oddział nasz powstrzymać, aż piechota nadbiegnie, lecz nasi dotarliśmy do kolonii Lubamiśl, zesadziwszy strzałami kilkunastu huzarów z koni, cofnęli się bokiem w lasy. W tym pościgu Moskali za naszym prawie już bezbronnym oddziałem, z powodu braku naboju, padło naszych 17; z tych 9 rannych na drodze i w polu zażgali Moskałom bez miłosierdzia. Nasi, dostawszy się szczęśliwie do lasu, schronili się w nim. Moskale nie śmieli ruszyć dalej i cofnęli się, opuszczając tę okolicę.

„Tymczasem do Mikorzyna zaczęto zwozić rannych, których 16 pomieszczono we dworze. Zaczynała się Milewskich, dziedziców tej wsi, nie szczędziła ofiar i trudów, aby przynieść ulgę cierpieniom niejednego. Przywołany lekarz z Kleczewa wykonywał operacye — między innymi odjął nogę kapitanowi Le Jars, o którym powyżej była mowa. Wśród tej bolesnej krzątaniny nagle nadchodzi wieść, że oddział ks. Wittgensteina, idąc po pogrzebaniu zabitych śladem naszego oddziału, stanął nad wieczorem pod Mikorzynem. Książę przysłał adjutanta do dworu, czy mu wolno będzie zanoćować we dworze? Naturalnie nie śmiano mu odmówić — ale to wszystkich zastanowiło, że prosił, mogąc użyć przemocy. Książę W. tedy ze sztabem przybył do dworu, a wojsko jego rozłożyło się obozem opodal. Książę, zastawszy tylu rannych, poprosił o jak najskromniejszą gościnyę. Okazał rannym współczucie i przyrzekł, że nie pozwoli na żadne wybryki swoich podwładnych. Przyjęty, jak można najgościnniej, przebył noc spokojnie; wtém nad ranem odbiera wiadomość, że Moskale popalili wszystkie płoty w tym majątku, zabrali słomę i siano z budynków i zarznęli kilka bydła. Zatrząsł się niepohamowanym gniewem generał na tę wieść, odszukał sędziwego dziedzica, pana Milewskiego i prosił go o podanie likwidacyi za te szkody, oświadczając, że mu przykro, iż danego na wstępie słowa nie mógł dotrzymać, przyrzekł nawet, że zarządzi śledztwo i winnych surowo ukarze. Niezwykłe to i szlachetne postąpienie zacnego i rycerskiego generała trafiło na zupełnie godnego mu przeciwnika. Znany w szerokich kołach obywatelskich czcigodny senior województwa kaliskiego, sędzia pokoju Milewski, temi pamiętnemi słowy odezwał się do księcia: „Panie generale, zrzekam się ofiarowanego mi wynagrodzenia i nie nastaję na ukaranie winnych — pod jednym warunkiem: abys mi dał piśmienne przyrzeczenie, że wszyscy ranni, będący pod moją opieką, będą wolni od wszelkich nagabywań oddziałów rosyjskich.“ — Książę W. zgodził się chętnie na ten wa-

runek, dał żądany list żelazny i odtąd żaden z tamtejszych rannych nie doznał prześladowania, jak się to działo gdzieindziej.“

Do powyższego opowiadania dodam, że Callier odwieziony prawie bez przytomności z pod Olszaku do Pątnowa, również szlachetnego tamże doznał obejścia się ze strony księcia Wittgensteina. W swych „Trzech Ustępach“ opisuje tę przygodę w sposób następujący:

„Nad wieczorem dnia tego samego (22 marca) czułem, że ktoś mnie chwytą; przebudzony otworzyłem oczy i spostrzegłem żołdactwem moskiewskiem przepehioną izdebkę, w której spoczywałem.

— Ktoś ty? zapytał mnie groźnie żołdak, najbliżej łózka stojący.

— Powstaniec, odpowiedziałem....

„Wtém rozstąpiły się nagle szeregi żołdactwa: wśród nich ukazał się oficer rosyjski i przystąpił do mnie.

— Nazwisko Pańskie Callier? rzekł do mnie płynną francuszczyzną i głosem raczej miłym, niż szorstkim.

— Tak, Panie! odpowiedziałem, nie zastanawiając się nawet nad tém, że ów oficer obcy zna nazwisko moje.

— Pan służyłeś w armii francuskiej, byłeś pod Sebastopolem, w Afryce i bez wątpienia inne jeszcze odbyłeś kampanie?

— Tak, Panie!

— Dzielnie strzelacie!... Do kata!... Mnóstwo liczymy rannych i poległych.

— Pełniłiśmy tylko swój obowiązek.

— Jesteś dzielnym żołnierzem, rzekł do mnie, podając mi dłoń swoją i zostawiając rozkaz, aby felcerzy rosyjscy rany moje jak najstaramiej opatryli.

„Po tych słowach wyszedł nieznajomy i za nim wszystko żołdactwo; rozkaz jego wypełniono sumiennie; później mówiono mi, że tym oficerem był książę Wittgenstein.“

Edmund Callier, wyleczywszy się z ran w Poznańskiem, dokąd go szczęśliwie przewieziono, udał się do Mamlecza, gdzie ranny leżał Mielęcki, ażeby odebrać od niego dalsze rozkazy. Mielęcki wręczył mu patent na pułkownika z przeznaczeniem do województwa mazowieckiego, w którém walczył od połowy maja aż do początku sierpnia, bez przerwy niemal, nasamprzód wspólnie ze Słupskim, dalej jako następcą Oborskiego, wreszcie jako naczelnik całej siły zbrojnej tegoż województwa. Na stanowisku tém nie tylko zdobył sobie szeroki i zasłużony w kraju rozgłos, ale także zjednał sobie serca swych podwładnych i szacunek ogólny wśród obywatelstwa, które osłaniał od wszelkich nadużyć i wybryków, jakich się nieraz powstańcy innych oddziałów, nie prowadzonych w dostatecznej karności wojskowej, dopuszczali. Przygody swoje wojenne opisał w dziełku p. t.: „Trzy ustępy z powstania 1863 i 1864 roku“, wydane w Poznaniu w roku 1868 nakładem Ludwika Merzbacha, do którego czytelników odsyłam. Tu nadmienię tylko, że staczał chlubne dla oręża polskiego potyczki pod Grochowani, pod Ciświcą, pod Ignacem, pod Kleczewem, pod Izbicą, pod Dobrzelinem, pod Wachowem kościelnym, pod Brzozowem, w końcu zaś krążąc bezustannie po całym Mazowszu, dotarł aż do przedmieść Warszawy. Wreszcie znudzony tém ciągłym uganianiem się, wszedłszy w zatargi z rządem narodowym i widząc mdlejące powstanie, oraz przewidując wkrótce zupełny jego upadek, zażądał dymisyi, którą dnia 5 sierpnia 1863 r. otrzymał. Pożegnawszy

z łzami w oczach w Reszkach wierną swą straż przyboczną, z 30 złożoną krakusów, z którymi alarmował Łowicz i przedmieścia Warszawy, wyjechał do Paryża, dokąd przybył dnia 15 sierpnia. Wszakże niedługo tutaj pozostawał bezczynny. Rząd narodowy, przyznawszy Callierowi słuszność w sprawach spornych, ponownie go do służby czynnej powołał. Udał się zatem przez Drezno do Poznania, gdzie otrzymał rozkaz objęcia w Prusach Zachodnich i na Pomorzu naczelnego dowództwa nad tworzącymi się tam oddziałami. Pospieszył więc do województwa chełmińskiego i porozumiewszy się z naczelnikami poszczególnych oddziałów, nakazał wymarsz do Królestwa w nocy z 21 na 22 marca. Aresztowany wszakże przez władze pruskie w Mrocznie w Lubawskim, wtrącony nasamprzód do lochu w Brodnicy wraz z kilkunastu towarzyszami, po kilkotygodniowym więzieniu przewieziony został, okuty w kajdany, do berlińskiego więzienia w Hausvogtei. Przy wyjeździe z Brodnicy, ludność polska zgromadzona przed więzieniem, powitała Calliera okrzykami: Niech żyje! Kobiety obsypały go kwiatami.

Oskarżony o zbrodnią stanu, należał Edmund Callier w głośnym procesie moabickim w roku 1864 do najwybitniejszych osobistości. Wszyscy współwięźniowie szczerze go pokochali, sędziowie zaś i prokuratorzy, ceniąc jego otwartość żołnierską, nie mogli mu odmówić swego szacunku. Dnia 28 października przysłała jego sprawa na publiczném posiedzeniu w Moabicie przed kratki sądowe. Obżałowany nie zaprzeczał swego udziału w powstaniu przeciw Moskwie, ale oświadczył stanowczo, że nigdy nie żywił zamiaru nieprzyjaznego Prusom. Podniósł dalej szlachetnie względem swój osoby postępowanie moskiewskiego generała, księcia Wittgensteina, w przeciwieństwie do surowego obejścia się z nim pruskiego landrata Jounga w Brodnicy. W końcu zarzucił kłamstwo raportowi policyjnemu, jakoby był w czasie powstania skazał na śmierć przez powieszenie młodego jakiegoś obywatela ziemskiego. — Gdy po tej obronie powracał na swe miejsce, obecne na trybunach damy, po największej części Niemki, obrzuciły go bukietami.

Skazany na rok więzienia, odsiedział tę karę w twierdzy gruzińskiej od 1 maja 1865 r. aż do 1 maja 1866 r., otoczony najtroskliwszą opieką okolicznego obywatelstwa, a mianowicie sędziwej pani Wilxyckiej z Wabcza, państwa Rybińskich z Dębińca, Narzyskich z Jabłonowa, Leona Czarlińskiego i hr. Stanisława Czarneckiego, który choć z oddalenia nie zapominał o towarzyszu z ławy więziennój.

Dnia 1 października 1866 roku powołał Calliera Mieczysław Waligórski, o którego rzadkim darze poznawania się na ludziach, ich charakterach i zdolnościach wspominałem wyżej (zob. rozdz. VI), na administratora rozkwitającego coraz bardziej „Dziennika Poznańskiego“, na którym to stanowisku dotąd pozostaje.

Odtąd oddał się Callier z zamiłowaniem, powiedziałbym nawet z zapałem pracy pióra, której owocami są następujące mniej lub więcej obszerne rozprawy: „Trzy ustępy z powstania“ (Poznań 1868), Swierszcza „Les compensations territoriales de la France“ (1868); pierwszy zeszyt „Encyklopedyi inion własnych“ (1870), „Tygodnik Wielkopolski“, wydawany wspólnie z hrabią Chotomskim w latach 1870—1873, „Karola Fay'a dziennik oficera armii nadreńskiej“ (1871), „Bogdan Jański“ (1876), „Słówko o legionach polskich“ (1877), „Uwagi krytyczne nad (warsza-

wskim) Słownikiem geograficznym“ (1882), „Spis map geograficznych w zbiorach pozn. Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ (1884) „Powiat kosciański w XVI wieku“ (1885), „Powiaty walecki i nakielski“, oraz „Szkice geograficzno-historyczne“ (1886), „Powiat kaliski“ (1887), „Powiaty poznański i obornicki“ (1888), „Wojny Bolesława Chrobrego z Henrykiem II pod względem geograficznym 1002—1018“ (1888), „Bitwy i potyczki z r. 1831“ (1888); prócz tego zamieszcza pułkownik liczne rozprawy treści geograficzno-historycznej w „Ateneum“, w „Bibliotece Warszawskiej“ i w „Dzienniku Poznańskim“, oraz stałym jest współpracownikiem „Słownika Geograficznego“ w Warszawie.

Zebrawszy z mozołem bogaty księgozbiór, najszcześliwszym czuje się Callier, gdy po całodziennj pracy biurowej zamknie się w domowj zaciszu śród swych map i ksiąg ulubionych. W długiej opończy, z fezem na głowie, otoczony tysiącem karteczek z zapiskami, krząta się jak mrówka i zaledwie późna noc znagła go do spoczynku. W rogu wysokij komnaty, którj ściany pokryte półkami książek drogocennyh, kipi wiecznie samowar, gdyż jedynym posiłkiem pułkownika przy pracy jest herbata. Tylko w razach nadzwyczajnych, gdy gość doń zawita, t. j. zdoła się doń przebić przez drzwi szczelnie pozamykane, biegnie „Colonel“ — jak go zwykle nazywają — do swego skarbczyka i wydobywa zeń cudny kordywał, którym częstuje przybyłego, w chwilach bowiem wolnych od pracy sporządza najrozmaitsze owocowe nalewki rzadkiej dobroci i smaku.

Od ksiąg i map dwie tylko rzeczy zdolne każdj chwili odwołać Calliera: sprawa honorowa, lub oddanie ostatniej czei któremu z towarzysów broni, odkomenderowanemu wyrokiem wyższym „do wielkiej armii.“ Wtedy przywdziewa pułkownik mundur świąteczny, składający się z krótkiej jupki czarnej z pętlcami nakształt czamarki i z szerokich, u dołu wąskich szarawarów ciemnych i z maciejówki na głowie. Jest to mundur, który „Colonel“ sam sobie wymyślił, a który w dniach powszednich jest koloru szaraczkowego. Zwykle uśmiechnięta twarz Calliera przybiera w razach wyżj wzmiankowanych wyraz powagi i stanowczości. Na mecie też jest nieubłaganym i surowo przestrzega, by wszystko odbyło się jak najpoprawniej, czyli zupełnie „correct“, jak się wyraża. W niezliczonych też pojedynkach brał udział, bądź to jako sekundant, bądź to jako bezstromny świadek, a i sam kilkakrotnie stawał na mecie.

Szlachetność pułkownika jest znana, niejednokrotne bowiem dawał jej dowody. Do bardzo pięknych objawów tej szlachetności zaliczyć tu muszę sposób, w jaki starał się złagodzić sąd swój o generale Taczanowskim, wydany w „Trzech ustępach“, i oddać należyń hołd jego pamięci. Nietylko bowiem pospieszył na jego pogrzeb, niósł jego zwłoki do grobu i gorącemi słowy je pożegnał, ale także, dowiedziawszy się o zamiarze moim wydania „Wspomnień z 1863 roku“, wyraźnie miie upoważnił, bym w jego imieniu zasługom generała uwłaczające w „Trzech ustępach“ zarzuty odwołał (zob. rozdział VII).

Że przecież żaden człowiek nie jest bez błędu, przeto zniewolony jestem wytknąć tutaj jednę wielką pułkownika wadę, a jest nią zbyt uczynna dobroć i ofiarność, zwłaszcza względem towarzysów broni. Niech się tylko pojawi przed nim jaki biedak, twierdząc, że był w powstaniu i że mu obecnie niedostatek dokucza, natychmiast Callier, nie sprwadżając, czy proszący w istocie zasługuje na wsparcie, dzieli się z nim

ostatnim groszem, a nawet odzieżą. Gdy mu niejednokrotnie zwracano później uwagę, że był wyzyskany znowu przez oszusta, zwykł z uśmiechem odpowiadać, że byle na dwudziestu jednego tylko ucziwego napotkał i ulżył mu w nędzy, dostateczną w własnym sumieniu ma nagrodę.

Słowem nasz pułkownik jest w Poznaniu osobistością typową, mężem „bez obawy i bez skazy“; pierś ma ze stali, ale serce — z wosku!

## XVII. Przygody

z życia powstańczego z roku 1863.

Jak to już w przedmowie podniosłem, uważam za jedną z najważniejszych zdobyczy, które społeczeństwu naszemu smutny i nieszczęsnny zkądinąd rok 1863 przyniósł, ogromne spotęgowanie ducha narodowego w tych właśnie warstwach, które dotąd wobec wielkich przełomów dziejowych w Ojczyźnie naszej w większej części albo całkiem były biernymi, albo mało okazywały dla nich zajęcia. Dość spojrzeć w spis niezwykle na nasze stosunki licznych przedpłacicieli na niniejsze dziełko, by się przekonać, że przeważną ich część stanowią mieszczaństwo, rzemieślnicy a nawet wieśniacy ze wszech okolic zaboru pruskiego, ale więcej jeszcze utwierdzają mnie w tém przeświadczeniu listy pełne najgorętszego patriotyzmu, jakie mnie w bardzo znacznej liczbie doszły, a których niestety, nie mogę wszystkich tutaj powtórzyć. Dość powiedzieć, że przy czytaniu ich nieraz łza w oczach mi się zakręciła i mimowoli wyrwał okrzyk: jeszcze nie zginęła, skoro tak dzielni wiarusi pośród nas żyją!... Niejednego wydrukować nie można ze względów łatwych do odgadnięcia, wszakże sędzę, że kilka przykładów wystarczy na scharakteryzowanie tego zapału i wzniosłych uczuć, jakie dziś średnie nasze klasy ożywiają.

Otóż co pisze między innymi jeden z inwalidów z r. 1863, *Józef Skory*, kuśnierz z Gniezna:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Drogi Panie, może Cię zdziwi, że się odważam coś takiego pisać, ale ja nie mam z kim podzielić się z swojemi pamiętnikami z roku 63 i 64. Bo szukałem śmierci, a ona mnie nie chciała, bo miała wtedy do przebierania, a ja się na tém nie poznałem, że mnie jeszcze na gorsze doświadczenia zostawia.... Kiedy posłyszałem, że Polacy się biją, dalej ja zacząłem się szykować i w samą Wielkanoc rychło wstałem i w drogę do Powidza, bo to na granicy. Przyszedłem tam na noc. Zaczęto mi odradzać, żebym czekał za liczniejszym zebraniem i sam nie chodził. Ja przecież nazajutrz rano wyruszyłem w bory i doszedłem do słupów granicznych. Pierwszy raz zobaczyłem rozszarpaną Polskę najdroższą! Strach mnie ogarnął, czy się jeszcze raz wrócę w rodzinne strony. Ale się przeżegnałem i przeskoczyłem granicę. A tu widzę, jak żandarm pruski stoi właśnie tam, gdzie ja stałem przed chwilą. Wtém idzie kobieta i powiada: wracaj pan, bo tu idą Moskale i pana zabiją. Ale ja poszedłem za tą kobietą do wsi, z kąd pochodziła; tam był pan Krasicki i stali Moskale, którym się dobrze mógłbym przypatrzeć. Kobieta posłała do gościncea po chleb i wódkę, którą się uraczywszy, poszedłem sam do gościncea zobaczyć, co się dzieje. Moskale pytają mnie, czy nie widziałem buntowszczyków; odpowiedziałem, że nie i poznawszy już trochę Moskali, pożegnałem kobietę i śmielszy ruszyłem do Słupcy,

boć nie miałem napisane na czole, że'm poddany pruski. W Słupcy był targ i to mi pomogło, zwłaszcza, że'm był niskiego wzrostu i nie zwracałem na siebie uwagi. Tu miałem brata mego ojca, ale ten bał się przyjąć mnie w dom swój, by go Moskale nie wzięli w karę; więc mu podziękowałem i dalej szukać naszych. Znalazłem ich pod Pызdrami w lasach Myszakowskich, było ich może 100. Dano mi zaraz łyżkę i kokardę, ale czekać musieliśmy w lesie, zaczęm więcćj nie przyjdzie z Księstwa i dowódzca. Pierwszą noc spędziłem pod gołóm niebem, rano zamiast kawy dostałem zupy sucharowej, ale ze wszystkiego byłem zadowolniony, choć rozmaite myśli po głowie mi się snuły. Razu jednego, gdyśmy już prawie cały tydzień chodzili borami, tak byłem zmęczony, że wszedłem na wóz i usiadłem we wielkim kotle do gotowania, mając sztucer swój nabity przy sobie. I tak dojechałem szczęśliwie na miejsce, gdzie było naszych około tysiąca i poustawiane były baraki. Dalej do jednego i kładę się na słomę. Doskonałe mi się spało i o dziwo, rano się obudziłem między sanymi panami i hrabiami. Zaraz to poznałem po ubiorze ich i delikatności, tylko to mi w głowę weszło, dla czego wszyscy tak pomurzeni na twarzach i rzeczach. Budzi się jeden, budzi się drugi, patrzą na siebie i śmieją się. Dopiero mi się przypomniało, że'm wyszedł z kotła i że odemnie się tak pomurzyli. Więc pobiegłem po wodę do mycia, a oni mi dali wódki z manierki. Jednakże bez kawy coraz mi było tęskniej i nie wiedziałem sobie rady. Biorę garnek i idę pomiędzy nasze woły obozowe. Patrzę a tu stoi krowa i ryczy okropnie. Nuż ją doić, ale że nie umiałem, więc mnie nieraz rogami potrąciła. Kochana krowa! byliby ją zabili na mięso. Napiwszy się do syta, drugi garnek zaniósłem do sztabu i wielkiej narobiłem uciechy, ale mleka więcćj nie dostałem, bo krowę zatrzymano dla starszyny. — W bitwie pod Pызdrami pobiliśmy Moskali, mnie kula ominęła, ale zgubiłem roгатkę. Wziąłem zaraz drugą po zabitym, ale nie uważałem, że była w niej krew. Po bitwie usiadłem sobie w boru pomiędzy poległymi i rannymi, odpoczywając i zasnąłem. Aż tu nagle czuję, jak mi się krew leje po twarzy i jak leżę na spodzie wozu, a na mnie wrzucają trupy, sądząc, że'm i ja zabity. Wołam: na miłość Boską, bo mnie zadusicie! ale nikt nie słyzy i chłop tém prędzej jedzie do miasta. Tu dopiero wydobyto mnie i obmyto w lazarecie... Moim dowódcą kompanii był kapitan Unrug. Pod Kołem ciężko ranny, umarł, ale żyje w mojej pamięci. Oj, nie zapomnę Cię nigdy mój kochany kapitanie, coś mnie nie chciał najprzód do swojej kompanii, a potém byłeś mi i kapitanem i drugim Ojcem; Tyś mnie żałował, że ja za młody, a nie wiedziałeś, że u mnie dubeltówka była zamiast pióra. Później nie dziwiłeś się, a ja zostałem na świecie dłużej, abym dał świadectwo o Tobie, drogi Ojcie i Kapitanie!... Najstraszliwszy dzień był 8 maja, w sam św. Stanisław, pod Ignacewem. Nazajutrz po bitwie pod Kołem przyszlizmy pod wieczór do Ignacewa tak pomęczeni, że wcale nie gotowaliśmy wieczery, ale zaraz budowaliśmy baraki, by módz się spać położyć. Tylko mocniejsi zapalili ogień, śpiewali sobie, grali na piszczałkach i na harmonikach, drudzy i ja opowiadaliśmy sobie o wczorajszej walce. Przyglądałem się Moskałom, których wzięliśmy do niewoli, a którym także pozwolono zapalić sobie ogień, i tak zwolna usnąłem. Na drugi dzień rychło rano zaczęm gotować w kotłach śniadanie, t. j. mięso wołowe, bo za

obozem dużo zawsze szło wołów, i każdy czekał niecierpliwie, by swój kawał dostać, aż tu nagle Moskale sypnęli do nas kartaczami, prosto na nasze kotły. Pan, co stał przy mnie, zawołał: kochane dzieci, gdzie nasze widety, że nas nie ostrzegły przedź. Kiepskie będziemy mieli śniadanie! Tym panem był major Strzelecki. Tymczasem Moskale posuwali się ku nam wolnym krokiem bez strzelania, tylko armaty były okropnie na naszych kosynierów, którzy robili barykady z desek i z ziemi. My strzelcy stanęliśmy w porządku frontem do nieprzyjaciela, ale także nie strzelaliśmy, bo było jeszcze za daleko, tylko nasze armaty odpowiadały moskiewskim. Gdy Moskale zbliżyli się na jakie 150 kroków, poczęliśmy dawać ognia szybko, broniąc kosynierów, aby zdołali barykady ukończyć. Przez blisko 2 godziny utrzymaliśmy nasze stanowisko, a gdy kosynierzy stanęli w szyku, rozstąpiliśmy się, bo nasze sztucery nie miały bagnetów i schroniliśmy się za barykady i do chałup, strzelając bezustannie, podczas gdy konnica i kosynierzy poszli do ataku. Raz nasi pędzili Moskale, to znowu oni pędzili naszych. Wtém nadszedł rozkaz, byśmy po poległych kosynierach wzięli kosi i reszcie pobiegli w pomoc. Uderzyliśmy ostro, ale zanim dotarliśmy do naszych, już z nas połowa wyginęła, bo Moskale prażyli nas z przodu i z boku bardzo gęstym ogniem. Mimo to zaczął nieprzyjaciel się cofać, gdy wtém słyszemy okropny krzyk, że nasze lewe skrzydło całkiem rozbite, a strzelcy w chałupach wołają: na miłość Boga dajcie nam amunicji! Z czterema innymi pobiegłem na ochotnika do furgonów naszych, stojących w boru, i nabrawszy, co kto mógł, amunicji, spieszymy do chałup. Nagle czuję, jak mi kula przesywa ikro u prawej nogi, ale zdołałem dalej pędzić, gdy mój towarzysz powiada: Józef, tyś ranny! W istocie zaczęła noga mnie boleć, ale biegnę do méj chałupy, by dopomódz braciom, i dać się opatrzyć doktorowi. Patrzę, a tu rzeź straszliwa! Chałupy się palą, ranni wyskakują oknami, zdrowi kapustą chłodzą sobie w ogniu głowy i usta, drudzy wołają na nas: ratujcie! A tu koło każdej chałupy stoi pełno Moskali, i co który z naszych wyskoczy, kłują go bagnetami, ale nie zabijają od razu, lecz wolno mordują, drudzy rannych obdzierają i kłóca się między sobą przy rabunku. Spotkałem jednego leżącego nago, miał przeszło 7 ran od bagnetu i mózg roztrzaskany kolbami, drugiego wnętrzności leżały przy nim rozszarpane i szyję miał przeciętą. Na taki widok przeląknłem się i nie wiedziałem, czy uciekać, czy ranę moją owijać. Nareszcie padłem jak nieżywy na ziemię. Żem ocalał, to cud Boski!... Kończę moje zeznanie, bobym się przytém rozplakał, bo nie jestem uczony i nie mogę wszystkiego opisać, bo nawet byś mi Pan wiary może nie dał, na jakie patrzałem okropności własnymi oczyma. Przy mnie także zostali ciężko ranni panowie Witołd Turno, Stanisław Błociszewski i Wincenty Szulczewski, 20-letni krawiec z Gniezna, którego później zostałem szwagrem; wszyscy trzej pomarli wkrótce. Panie, świeć ich duszy!“

Od drugiego inwalidy, *Jana Szymkowiaka z Grodziska*, otrzymałem następujący opis jego przygód:

„Do powstania wybrałem się w miesiącu sierpniu 1863 roku. Zebrałiśmy się w Twardowie pod Pleszewem, dziedzictwie pana Karola Żychlińskiego, 120 ułanów dobrze uzbrojonych pod dowództwem pp. Pruskiego i Chełkowskiego i dotarliśmy aż do granicy, ale

nas ulani prusecy rozpędzili. Ta wyprawa się nie udała; próbowaliśmy jeszcze kilka razy, ale nie było podobieństwem przejść wspólnie granicy dla mocnej straży pruskiej, musieliśmy zatem przechodzić pojedynczo. Po rozmaitych przeszkodach i trudach udało mi się nareszcie dnia 20 września przebyć granicę wraz z dwoma towarzyszami, Józefem Chocięszyńskim z Grodziska i Józefem Adamczewskim z Łągiewnik. Po wielu korowodach dostaliśmy się do obozu Korytkowskiego, który w tym czasie liczył 80 żołnierza. W tym obozie byłem aż do 18 listopada. Po rozmaitych utarczkach i gonitwach z Moskalami przyszło do stanowczej bitwy dnia 18 listopada pomiędzy wsią Cekowem a Kaliszem. Bój się rozpoczął o godzinie w pół do drugiej po południu i trwał do ciemnej nocy. Przebiegu bitwy nie mogę opisać, bom już o 2 godzinie zostałem ciężko ranny. Kula karabinowa przeszła mi lewą nogę i tyle tylko wiem, że nasi dzielnie się bili, bo wszyscy legli na placu walki, jeśli nie snem wiecznym, to ciężko ranni. Do mnie leżącego na pobojowisku przypało czterech Moskali jak rozjuszone wilki. Najpierw zdarli ze mnie odzienie aż do koszuli; najgorzej było z lewym butem, który był zamoczony krwią i z nogi zejść nie chciał. Jak zaczęli ciągnąć i kręcić, to tak podruzgotali kość przestrzeloną, że aż odłamy jej przez skórę powychodziły i gdyby nie żyły, byłoby mi całą nogę wraz z butem urwali. Potem zaczęli mnie bić kolbami i żgać bagnetami, aż nareszcie, sądząc, iż mi duszę z ciała wystraszyle, pozostawili mnie pomiędzy trupami na pobojowisku. Leżałem tak poraniony i tylko w koszuli na mrozie od godziny 2-giej z południa aż do 3-ciej po północy. Może kto powie, że to niepodobieństwem leżeć poranionym w koszuli na mrozie przez godzin 13-cie; a jednakowoż nie tylko tak było, ale nawet mróz właśnie ocalił mnie, bo inaczej byłaby mnie krew ubiegła. Po ukończonej walce Moskale pobrali rannych do Kalisza, a trupów pozostawili na pobojowisku. Ja najmniejszej oznaki życia nie dawałem, pozostałem zatem między zabitymi. Ludność miejscowa po odejściu Moskali wykopała mogiłę i poczęła trupów chować. Na szczęście moje kobiecina jedna, zbliżywszy się do mnie, spostrzegła, że jeszcze oddycham. Przeniesiono mnie zatem do Koźminka do dworu p. Biernackiego i posłano po lekarzy do Kalisza. Przyjechał p. dr. Rymarkiewicz w towarzystwie dwóch drugich i odjął mi nogę, którą pogrzebano na cmentarzu w Żłotnikach. U p. Biernackiego leżałem 2 miesiące, potem wzięli mnie Moskale do więzienia w Kaliszu, ale że jeszcze noga nie była zagojona, więc mnie odesłali do miejskiego lazaretu. Tu byłem znowu 2 miesiące, gdzie nasi goili się z ran za staraniem pani Mianowskiej pod strażą rosyjską. Ledwie przyszedłem do zdrowia, uwięziono mnie powtórnie i przesiedziałem 4 miesiące. Następnie odstawili mnie Moskale, choć byłem bez nogi, pod silną strażą do granicy pruskiej. Osadzono mnie natychmiast w więzieniu ostrowskim. Po 6 tygodniach wypuszczono mnie na wolność, ale nie na długo, bo mi wytoczono proces i skazano ponownie na pół roku więzienia, w którym obchodzono się z nami daleko surowiej, jak w więzieniach moskiewskich. Po odsiedzeniu kary powróciłem do Grodziska, a że byłem z zawodu ogrodnikiem, o jednej zaś nodze obowiązków tych pełnić nie mogłem, przeto, nie chcąc być nikomu ciężarem, w 22 roku życia poszedłem w naukę do krawca i później osiedliłem się w mieście swoim rodzinném.

*Jan Żuromski*, urzędnik gospodarczy, w ten sposób opowiada mi o swoim udziale w powstaniu z r. 1863:

„Na wiadomość o powstaniu wyruszyłem dnia 27 lutego 1863 r. z oddziałem majora Garczyńskiego ku granicy Królestwa. Dnia następnego przebyliśmy szczęśliwie pas graniczny i połączyliśmy się o godzinie 11 wieczorem na dziedzińcu klasztoru w Biniszewie z oddziałem pułkownika Mielęckiego, gdzie na powitanie kilkakrotnie dano wiwatowe salwy. O godzinie 1 w nocy udałem się jako ochotnik na widetę ku miasteczku Kolu. Nie wiedząc o sprzeczce pomiędzy dowódcami, która spowodowała oddalenie się majora Garczyńskiego ku granicy Księstwa, pozostałem w obozie Mielęckiego, któremu niezadługo dano znać o zagrożeniu drugiego oddziału przez nieprzyjaciela. Skutkiem tego posunęliśmy się za nim, by mu przyjść w pomoc. Między Dobrosolowem a Mieczownicą przyszło do starcia z Moskalami, atakującymi już Garczyńskiego. W potyczce tej przez nieostrożność najechali mnie polscy jeźdźcy, przez co poniósłem znaczną ranę w lewe ramię i ogromnie zostałem potłuczony. Wysłano mnie zatem po bitwie podwodą do Czerniejewa, zkąd po tygodniu powróciłem do domu do Żabiczyna. Przyśledszy do zdrowia, udałem się po raz wtóry do powstania w towarzystwie ś. p. dr. Stanisława Warnki, by się połączyć z obozem Younga de Blankenheim. Starszyzna udała się naprzód, a mnie powierzono 30 ludzi z poleceniem oczekiwania dalszych rozkazów w Górzewie. Znudzeni daremnym wyczekiwaniem, postanowiliśmy wyruszyć w pole. W Karczewie doszła nas radosna wiadomość o zwyciężkiej bitwie Younga pod Nowąwsią, wskutek czego niezwłocznie pomaszeralowaliśmy dalej. Niestety, w pochodzie tym wstrzymała nas wieść o klęsce pod Brdowem. Pokryliśmy się po stodołach przed patrolującymi kozakami, oczekując na posuwający się od Pyzdr ku nam oddział Taczanowskiego. Na doniesienie o jego zbliżaniu się, wyszliśmy mu naprzeciw i wreszcie dnia 5 maja złączyliśmy się z nim w lesie, prawdopodobnie pod Laskownicą. Tam rozdzielono powierzonych memu przewodnictwu towarzyszków według ich zdolności i sił fizycznych do różnych broni, ja zaś dostałem się do kompanii strzelców kapitana Unruga. Naza jutrz, dnia 6 maja, uderzyli na nas Moskale pod Kołem; byłem tam czynny przy rozbieraniu mostu i jako strzelec w czasie walki, w której dzielny nasz kapitan padł przy mnie, ugodzony kulą śmiertelną. Jako zwycięzcy, pogrzebawszy braci, ruszyliśmy dnia 7 maja dalej ku Ignacewu, a ja utraciwszy mego kapitana, przeszedłem z 5-tą do 2-giej kompanii strzelców celnych pod komendą M s c i s ł a w a Ż ó ł t o w s k i e g o. W Ignacewie sypaliśmy, o ile się dało, okopy, oczekując na uderzenie wroga, które nastąpiło nad ranem 8 maja, a skończyło się smutnie, bo rozbiciem naszym i ogólnym cofaniem się do Księstwa. Po niedługim znów czasie, wezwany do dalszego udziału w powstaniu, wybrałem się po raz trzeci do obozu i to znów wraz z dr. Warnką i 12 towarzyszami. Z Żabiczyna, przez Kłeczko, Gniezno i Niechanowo doszliśmy do Kołaczkowa na kwatere. Tam wręczył mi dr. Warnka nominacyą na podporucznika, poczem udaliśmy się na punkt zborny do lasu po broń i złączyliśmy się z kilkuset towarzyszami, nad którymi miał objąć dowództwo pułkownik Callier. Między godziną 1-szą a 2-gą w nocy przyniósł nam konny posłaniec wiadomość o ujęciu całego sztabu przez wojsko pruskie, oraz rozkaz zupełnego rozproszenia się. Z sześciu ludźmi

ruszyłem ku Gnieznu, ale w drodze schwytany pomiędzy Żydowem a Gurowem przez żandarmów, odstawiony zostałem przez nich do Gniezna. Towarzyszami mój niedoli byli: Kozłowski, Karbowski, uczeń prymy, Piotr Kollat, Gapski z Kłęcka, Myler z Rogoźna i Wiara. W policy gnieźnieńskiej trzymano nas trzy dni, następnie oddano nas do więzienia tamtejszego, gdzie spotkałem dr. Warnkę i dużo starszyny. Po dwóch tygodniach wywieziono nas pod strażą dragonów do Pobiedzisk; tam oddano nas luzarom, którzy nas dostawili do twierdzy poznańskiej. W tężże trzymano mnie przez 14 tygodni w rawelinie II, poczem przeniesiono mnie do t. z. wieży niebieskiej (Blauthurm) i po śledztwie, przeprowadzonym przez radcę berlińskiego kammergerichtu, wypuszczono na wolność. Za ledwie powróciłem do Zabiczyzna, uwięziono mnie po raz wtóry wskutek denuncyacji, jakoby miałem kule dla walczącej jeszcze naszej braci. Po dwóch tygodniach nastąpiło moje uwolnienie i na tém skończył się mój udział w powstaniu i przykre jego następstwa.“

### XVIII. Ofiary z lat 1863 i 1864

z Zaboru pruskiego:

polegli, pomordowani, zmarli z ran, ciężko okaleczeni,  
zesłani na Sybir i t. d.).

**Adamczewski** Józef był ciężko ranny w potyczce pomiędzy Cerkowem a Kaliszem dnia 18 listopada 1863 r. (zob. wyż. „Przygody *Jana Szymkowiaka*“).

**Alkiewicz** Jan Nepomucen, z rodziny szlacheckiej herbu Zawoja osiadłej w Poznańskim, syn Mikołaja i Małgorzaty z Poklateckich, poległ pod Nowąwsią w oddziale Younga de Blankenheim dnia 26 kwietnia 1863 r.

\* **Antoniewicz** Józef poległ pod Józefowem 1863 r. Według *Stupnickiego* miał pochodzić z Rybna w Poznańskim i był kucharzem.

**Antoniewicz** Kalikst, ur. 1830 r., syn Józefa i Maryi z Tomickich, a brat czcigodnego i powszechnie kochanego księdza dziekana Bolesława Antoniewicza z Bnina, więźnia stanu w latach 1863 i 1864, będąc rządcą dóbr w Opatówku pod Kaliszem, aresztowany w lipcu 1863 r. za udział w powstaniu, więziony w cytadeli warszawskiej, a następnie zesłany na Sybir, w drodze za wstawieniem się hrabiny z Bobryńskich Platerowej zatrzymany w gubernii włodzimirskiej i ztamtąd odstawiony do granicy pruskiej, umarł w r. 1873.

**Bakoła** Walenty z W. Marzyna w Prusach Zachodnich, służył pod Raczkowskim przy koszynerach i odznaczał się walecznością. Sterrany na siłach, powrócił do domu.

<sup>1)</sup> Pomimo licznych ogłoszeń we wszystkich niemal pismach polskich Zaboru pruskiego stosunkowo szczupła tylko garstka rodzin nadesłała mi szczegóły bliższe o ofiarach z ostatniego powstania. Chcąc zatem spis mój nieco uzupełnić, podaję także nazwiska Wielkopolan. Zachodnio Prusaków, Szlązaków i t. d. wyjęte z imionospisów, wydanych we Lwowie, *Stupnickiego* i Zygmunta *Kohomny* w Krakowie, oznaczając je gwiazdką dla odróżnienia od tych, o których własne posiadam źródła.

\* **Baliński Feliks**, rzemieślnik z Poznańskiego, służył w oddziale Mielęckiego i poległ pod Izbicą w powiecie wrocławskim dnia 10 lutego 1863 r., licząc lat około 30.

\* **Banaszkiewicz**, prawdopodobnie z Poznańskiego, gdzie nazwisko to dość jest rozpowszechnione, zginął w oddziale Wojciecha hr. Komorowskiego pod Starą Wsią w okolicy Tyszowiec, dnia 18 stycznia 1864 r.

**Baranowski Ignacy**, obywatel ziemski, zginął dnia 8 maja 1863 r. pod Ignacewem, służąc w oddziale generała Taczanowskiego jako szeregowiec. Liczył lat około czterdziestu.

**Beberski** porucznik, oficer legii zagranicznej w Algierze i kawaler legii honorowej, poległ dnia 29 kwietnia pod Brdowem.

**Bentkowski Władysław**, ur. 24 września 1817 r. w Warszawie z ojca Feliksa, znanego profesora literatury polskiej przy uniwersytecie tamtejszym, pacholeciem wstąpił w r. 1830 do gwardii honorowej generała Chłopińskiego i jako ochotnik walczył pod Grochowem i pod Warszawą, w r. 1843 przybył w Poznańskie, w r. 1845 wstąpił do artylerii pruskiej i otrzymał po dwóch latach stopień oficerski. Wziąwszy dymisję, odbył w r. 1848 kampanię węgierską w legionie polskim jako kapitan, poczem przebywał w Turcyi i Francyi, wreszcie w r. 1850 powrócił do Poznania. Wybierany wielokrotnie posłem na sejmy berlińskie, był prócz tego jednym z głównych współpracowników założonego w roku 1858 „Dziennika Poznańskiego“. W r. 1863 w marcu udał się do obozu Langiewicza, a mianowany przez dyktatora pułkownikiem i szefem sztabu, był duszą całego obozu i on to właściwie kierował bojami pod Buskiem, Zagościem i Grochowiskami (zob. wyż. rozdział IV). Przesiedział rok więzienia w Krakowie, a po powrocie do Księstwa drugi rok więzienia w twierdzy magdeburgskiej. Obywatel wielkiego charakteru, mąż wysoko krajowi zasłużony, umarł dnia 2 października 1887 r. w Poznaniu.

**Bezler Mikołaj**, ur. 1828 r. w Powidzu, żołnierz z 1848 roku i więzień cytadeli poznańskiej, brał w r. 1863 czynny udział w organizacji w Warszawie, za co dnia 15 października 1863 r. osadzony w cytadeli i zbity różgami, zesłany został do katorżni w Nerczyńsku dnia 20 stycznia 1864 r., gdzie aż do amnestyi przebywał.

**Białek Wojciech**, włościanin z Trzęsniewa, zginął pod Dębskiem dnia 4 października 1863 r.

\* **Bielicki**, z zamożnej rodziny kujawskiej, poległ w oddziale Mielęckiego pod Nowąwsią w powiecie wrocławskim dnia 20 lutego 1863 r. Według innych źródeł miał zginąć nad Gopłem.

**Binek Jan**, ur. w Uciechowie pod Sulmierzycami, zginął w r. 1863 pod Lututowem.

**Binkowski Jakób**, ur. 1821 r. w Unżynie pod Toruniem, brał udział w organizacji, dalej pod Nowickim w bitwie pod Wartą dnia 15 listopada 1863 roku wzięty do niewoli, zesłany był na 4 lata do Symbirska.

\* **Biskupski**, włościanin z Krerowa w Poznańskiem, zginął pod Olszową dnia 21 marca 1863 r.

**Błażejewski**, z Poznańskiego, poległ w roku 1863.

**Błociszewski Stanisław** z herbu Ostoja, syn Antoniego, weterana z r. 1831, dziedzica dóbr Przeclawia, i Rozalii z Skarzyńskich, słuował

prawa na uniwersytecie w Bonn, gdzie już przebył kurs dwuletni, gdy go doszła wiadomość o wybuchu powstania. Wraz z bratem, Bolesławem, i inną młodzieżą pospieszył bezzwłocznie na pole walki, trzymując się na chwilę w domu rodzicielskim jedynie po to, by otrzymać błogosławieństwo matki i ojca, do którego temi słowy się odezwał: „Ojcie, spełniłeś niegdyś sam obowiązek względem Ojczyzny, pozwól go także spełnić i synom swoim.“ Rodzice błogosławieństwa nie odmówili, ale już tylko jednego syna, Bolesława, ujrzeli z powrotem, drugi życie Ojczyźnie złożył w ofierze. Przeprawiwszy się szczęśliwie przez granicę do oddziału generała Taczanowskiego, brał udział w potyczkach pod Pызdrami i Kołem, jako strzelec w kompanii kapitana Hegnera, w której miał między innymi za towarzyszy broni Kazimierza Koszutkiego, dzisiejszego redaktora „Ziemiańska“, Karola Żychlińskiego z Twardowa, dr. Antoniego Broeckère, Bolesława Czapskiego z Cerekwicy i krewnego swego, Antoniego Błociszewskiego z Grzybowa. Odznaczał się w boju nadzwyczajną na wiek swój zimną krwią i odwagą, mianowicie gdy pod Kołem zajął pierwszy jako ochotnik bardzo niebezpieczne przeciw Moskalom stanowisko. W kilka dni później poległ śmiercią bohaterską w bitwie pod Ignacewem w powiecie konińskim dnia 8 maja 1863 r., pochowany tamże w wspólnej mogile. Liczył lat 20.

\* **Bogusławski**, włościanin z Kurowa pod Środą, poległ dnia 21 marca 1863 r. pod Olszową.

**Bogusławski** Włodzimierz, syn poważanego obywatela, Aleksandra Bogusławskiego i Antoniny z Kawieckich, podążył jako uczeń gimnazjum S. Maryi Magdaleny w Poznaniu do oddziału Younga de Blankenheim i poległ, ugodzony kulą w usta, w potyczce pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia 1863 r., opłakiwany przez swe rodzeństwo, oraz przez licznych przyjaciół i znajomych, z tą pewną nadzieją, że i to szlachetne serce, które tak prędko bić przestało, nietylko spłaciło dług Ojczyźnie, ale i Bogu miłém będzie.

**Bolewski** Ksawery herbu Łódzia, oficer artylerii z r. 1831, następnie trzydziestoletni tułacz, ojciec rodziny, przybyły na odgłos powstania w r. 1863 z Francji do Lwowa, zginął bohaterską śmiercią pod Porykiem na Wołyniu dnia 2 listopada t. r. Urzędowe sprawozdanie o śmierci Ksawerego Bolewskiego brzmi:

„W miesiącu listopadzie 1863 roku miała miejsce wyprawa na Wołyń, składająca się z oddziałów do operowania na Wołyniu przeznaczonych. Oddziały te: 4, 6 i 7-my stały pod naczelnym dowództwem podpułkownika wojsk narodowych, Wojciecha Komorowskiego.

„W jeździe oddziału 7-go służył Ksawery Bolewski w stopniu porucznika, komenderując drugim plutonem ułanów, znajdujących się pod bezpośrednią komendą majora Karola Zaremby (Szkarałata).

„Oddziały przekroczyły granicę austriacką dnia 3 listopada o godzinie 2 po południu. Jazda 7-go oddziału została odkomenderowaną na przednią straż, którą dowodził porucznik Bolewski. Zachowanie się jego podczas pochodu i sposób spełnienia danego mu polecenia, dowodziły oficera doświadczonego i żołnierza śmiałego. Nad wieczorem dowódca zatrzymał oddziały we wsi Wielkie Zdżary, gdzie przez kilka godzin obozowały, będąc zmuszonymi do spoczynku i do wzięcia pożywienia. Około godziny 2 po północy dowódca kazał zatrąbić do marszu

i oddziały ruszyły w drogę ku Poryckowi. O 6 godzinie z rana stanęły w obec Porycka. Tu dowódca dał rozkaz majorowi Zarembie zająć prawe skrzydło, t. j. przestrzeń od wsi Samowoli ku miasteczku, podczas kiedy dowódca sam z resztą sił lewe skrzydło od wsi Ładnowa ku miasteczku zajął. Otoczywszy Poryck ze wszystkich stron i zająwszy najgłówniejsze punkta, mianowicie cmentarz i chaty położone w pobliżu cmentarza, kroczono do rozstawienia forpocztów. Porucznik Bolewski otrzymał polecenie udania się z pół plutonem ułanów na wzgórze położone pod lasem, w celu śledzenia nieprzyjaciela i uwiadomienia swego komendanta, gdyby się Moskale od strony lasu zjawili.

„Wkrótce pokazało się na brzegu tegoż lasu trzech dragonów moskiewskich, podjeżdżających ku pikiecie porucznika Bolewskiego, chcąc go zwyczajem swoim w zasadzkę wprowadzić. Po spostrzeżeniu tego rekonesansu nieprzyjacielskiego porucznik Bolewski wysłał jednego z podkomendnych mu ułanów do swojego dowódcy, ażeby go o tém zawiadomić. Ułan ten, nie zrozumiawszy dobrze danego mu rozkazu, a myśląc, że raport swój dowódcy oddziału zdać ma — a nie dowódcy prawego skrzydła, majorowi Zarembie — pojechał w przeciwną stronę, t. j. ku lewemu skrzydłu, lecz nie mógł do głównego korpusu dojechać, gdyż go bagna i głębokie, wodą napełnione rowy od niego oddzielały. Tymczasem podjazd moskiewski znacznie się zbliżył, strzelając z karabinków do pikiety porucznika Bolewskiego. Ten, widząc się w sile przeważnej a chcąc języka dostać, uderzył szybko na Moskali, którzy się w tej samej chwili ku lasowi cofali. Podczas tego ścigania nieprzyjaciel raptem w sile jednego szwadronu klinem lasu wystającym pod naszą pikietę się podsunął, zając ją tył w największym pędzie. Równocześnie drugi szwadron dragonów z przodu na naszych uderzył, tak że w oka mgnieniu ze wszystkich stron dragonami otoczeni zostali, broniąc się najzacieciej, o czém major Zaremba nie wiedzieć nie mógł, gdyż, jak już wyżej wspomniano, ułan wysłany przez porucznika Bolewskiego, drogę zmylił. Nieprzyjaciel w sile 2 szwadronów podsunął się ku cmentarzowi, lecz powitany celnym ogniem żuawów, do odwrotu był zmuszonym. Wzmocniwszy się piechotą, Moskale powtórny atak do cmentarza przypuścili. Wtenczas żuawi po za cmentarz ku nieprzyjacielowi się wysunęli, rażąc go ogniem tyralierskim. Przekonani o mężtwie naszych przez pięciu bohaterów walczących z porucznikiem Bolewskim przeciwko przeszło 200 dragonom, Moskale po półgodzinnym żywym ogniu w pośpiechu ku lasowi się cofnęli. Ponieważ cały nasz korpus już przez kozaków zaniepokojonym został, strzelec nasi na swoje silne stanowisko powrócili, nie mogąc się za nieprzyjacielem w gęsty, nieznały im las zapuszczać. Tymczasem główny korpus przez ogień tyralierski o boju toczącym się na prawem skrzydle zawiadomiony został. Major Zaremba, komendant prawego skrzydła, objeżdżając plac boju około cmentarza, dowiaduje się o potyczce pocztu stojącego pod komendą porucznika Bolewskiego i wkrótce też smutny widok go spotkał. Na wyż wspomnianém wzgórzu znalazł on bowiem pięciu naszych bohaterów, odartych do naga z odzieży i porąbanych tak mocno, że tylko po silniejszej tuszy swojego dzielnego porucznika poznał, który spełniając sumiennie swój obowiązek, dawną sławę polskiego oręża wznowił!

„Obok tych bohaterów, których cnota młodzieży polskiej za przykład stanie, leżało 7 zabitych dragonów moskiewskich, rannych bowiem

Moskale z pobjowiska ze sobą zabrali. Zawiadomiony o tém dowódzca kazał ciała naszych braci zanieść na cmentarz i księdza katolickiego zawołać, ażeby zwłoki pogrzebał i pobłogosławił. Ponieważ się to jednak wieczorną porą działo, a korpus nasz na kilku punktach przez kozaków zaatakowany został, nie można było zwłokom naszych bohaterów oddać wojskowej czci, na jaką zasłużyli wojownicy, którzy tak walecznie ziemi Ojców swoich bronili!

„Działo się to 4go listopada 1863 r. o godzinie 5 po południu.

„Cześć i sława niechaj będzie ich pamięci!

(Podp.) Generał Edmund Różycki. Podpułkownik wojsk polskich,  
Major Zaremba Karol. dowódzca oddziałów wołyńskich  
dowódzca prawego skrzydła. 4go, 6go i 7go.

Marceli Krajewski, adjutant. Wojciech Komorowski.“

Do powyższego dodam, że Ksawery Bolewski urodził się 11 listopada 1811 r. w Żydowie pod Lubrańcem na Kujawach z ojca Dominika i matki Elżbiety z Klichowskich. Pierwsze nauki odbywał w Włocławku, a wyższe w liceum w Warszawie, gdzie 19-letniego młodzieńca zaskoczyło powstanie listopadowe. Wstąpiwszy do artylerji, brał udział w całej kampanji pod dowództwem pułkownika Nejmanowskiego. Pod Ostrołęką stracił trzy palce u nogi. Posunięty na oficera artylerji i ozdobiony krzyżem Virtuti militari, po upadku powstania udał się na tułactwo i ciągle prawie przebywając w Paryżu, pomimo musu pracy odbył i skończył tamże szkołę sztabu. Czynny i gorliwy członek Towarzystwa demokratycznego, w r. 1843 wszedł do Towiańszczyzny. Ożeniony z Francuzką, zmarłą w r. 1860, pozostawił dwoje dzieci, syna i córkę, oddając je pod opiekę swój siostry, Maryi Bolewskiej, która sierotom była odtąd rzeczywistym aniołem opiekuńczym.

Pamięć bohaterskiej śmierci Ksawerego Bolewskiego i jego czterech towarzyszy, z których jednego tylko, Mireckiego, nazwisko jest wiadome, uczcili rodacy uroczystém nabożeństwem żałobném we Lwowie i w Paryżu, gdzie także w kościele Wniebowzięcia zebrało się całe Towarzystwo kredytowe ziemskie francuskie, którego Bolewski był przez wiele lat urzędnikiem.

Córka Ksawerego Bolewskiego Marya wyszła za mąż za doktora Glabizę w Gniewkowie w W. Księstwie Poznańskim, syn zaś przebywa w Paryżu.

**Bonin Franciszek**, uczeń gimnazjum chojnickiego, wybrałszy się z kilkunastu towarzyszami szkolnymi do powstania, poległ, zastrzelony przy przejściu granicy przez żołnierza pruskiego. Reszta szczęśliwie przedostała się do Królestwa Polskiego.

\* **Borkowski**, sługa dworski z Poznańskiego, poległ w bitwie pod Nowąwsią 1863 r.

\* **Brodowski**, prawdopodobnie z Poznańskiego, służył w oddziale Seyfrieda i poległ pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia 1863 r.

**Brodnicki Kazimierz**, zmarły świeżo dnia 27 lutego 1888 r. w Poznaniu, b. dziedzic dóbr Dziećmiarki, brał bardzo czynny udział w organizacyi, w przewożeniu i dostarczaniu oddziałom broni. Oskarżony o zbrodnię stanu, zdołał ujść zagranicę, gdzie przez lat kilka aż do ogłoszenia amnestyi pozostawał.

\* **Brodowski Stanisław**, z Poznania, żołnierz z r. 1863, wyszedłszy po upadku powstania zagranicę, z kąd powrót do kraju był mu

wzbroniony, zachorował z tęsknoty i powróciwszy nareszcie w dom rodzicielski, umarł w 23 roku życia dnia 12 lutego 1867 r.

**Broeckère Maksymilian**, syn Ludwika i Prowidencji z Brudzewskich, ur. 2 stycznia 1832 r. w Przytocznie w powiecie międzychodzkim, ranny w nogę pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r., umarł dnia 20 t. m. i roku w skutek pęknięcia bandaży i ubiegnięcia krwi. Pochowany w miejscu śmierci, w Lubstowie pod Sempolnem. W dwa lata później przysłano rodzinie pugilares, zegarek i pierścień herbowy po zmarłym. Nieboszczyk znany był ze swęj siły atletycznej: fraszką było dlań podnieść w każdęj ręce chłopa, lub stół nakryty na ośm osób w zębach dźwignąć do góry, jak to naoczni świadkowie do dziś pamiętają. Przeprowadził oddział, gromadzący się w lesie sławoszewskim, przez granicę, dowodząc nim, póki go nie oddał pod komendę generała Taczanowskiego.

**Bronikowski Ludwik**, najmłodszy z synów Ludwika Bronikowskiego, dziedzica dóbr Kościerzyna i Chłastawy, i Henryki z Żychlińskich, ur. 1842 r. w Poznaniu, udał się z prymy gimnazjum głogowskiego do powstania i wraz z starszym bratem Stanisławem wstąpił do oddziału Younga de Blankenheim, podczas gdy drugi brat jego, Bolesław, służył najprzód pod Mielęckim, a następnie pod Taczanowskim (zob. wyż.). W bitwie pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia 1863 r. kula strzaskała mu nogę. Przewieziony do Rawicza, skonał tamże w skutek gorączki przez ranę wywołanej.

**Bronikowski Stanisław**, starszy brat poprzedniego, podporucznik huzarów pruskich, dziedzic dóbr Karny, skonał w 30 roku życia dnia 13 lutego 1865 r. po dwuletnich niemal cierpieniach, w skutek rany otrzymanej w piersi pod Nowąwsią.

**Bronisz Stanisław Feliks** z Prus Zachodnich, ur. 19 listopada 1839 r. w majątku rodzicielskim Trzebieluch w powiecie chełmińskim z ojca Onufrego i matki Elżbiety z Działowskich, poległ pod wsią Nietrzebią dnia 22 kwietnia 1863 r. w 24 roku życia, pochowany w dwa dni później w parafii Chrostkowo w powiecie lipińskim.

**Budziszewski Antoni** zginął pod Olszakiem Tartakiem dnia 22 marca 1863 r. (zob. wyż.).

**Budziszewski Stanisław** umarł dnia 19 sierpnia 1865 r. w skutek ciężkiej rany otrzymanej pod Pyzdrami (zob. wyż.).

**Budziszewski Franciszek** umarł dnia 28 marca 1866 r. w Grabkowie w skutek skołatanego trudami obozowemi zdrowia (zob. wyż.).

**Buchner Antoni**, leśniczy z lasów Giżyckich, syn leśniczego w Jedlcu, wstąpił do oddziału Taczanowskiego i pisał jeszcze z obozu do rodziców przed bitwą pod Ignacewem. W tężę bitwie ranny, miał być zawieziony do Gosławic; inni twierdzą, że był więziony w cytadeli warszawskiej. Od tęż chwili jednakże zaginął i wszelkie ogłoszenia po dziennikach i poszukiwania rodziny okazały się bezskutecznymi. Może wzmianka niniejsza przyczyni się do tego, że ktoś obeznany z losem Antoniego doniesie o nim bratu jego, Władysławowi Buchner, leśniczemu w Siernikach pod Rogoźnem.

**Byczyński**, z Bnina, ranny w nogę w bitwie pod Nowąwsią dnia 27 kwietnia 1863 r.

**Callier Edmund**, pułkownik (zob. wyż.).

**Chocieszyński Józef** z Grodziska, brat właściciela drukarni i nakładzcy „Wielkopolanina“ p. Franciszka Chocieszyńskiego, ciężko ranny dnia 18 listopada 1863 r. (zob. wyż. „Przygody *Jana Szymkowiaka*.”)

**Ciesielski Władysław**, syn Łukasza, dziedzica dóbr Bielaw pod Janówcem, wyszedł w 21 roku życia z oddziałem pułkownika Garczyńskiego do Królestwa i ranny w bitwie pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r., został dobity kolbami przez Moskali i później na placu boju pochowany.

**Cilski Kazimierz**, aptekarz, poległ w wyprawie generała Taczanowskiego pod Ignacem, według innych podań w r. 1864 pod Brdowem. Za spokój jego duszy odbyło się nabożeństwo żałobne dnia 9 maja 1864 r. w Ryczywole.

**Coiński Wojciech**, krawiec z Gniezna, w wieku 50 lat, jakkolwiek ciężko ranny w nogę pod Ignacem, kazał sobie nogę obandażować i znów rzucił się w ogień nieprzyjacielski. Moskale porabiali go w kawałki. Był to dzielny żołnierz i gorący patriota. W młodości służył przy gwardyi kirysierów w Berlinie.

\* **Cuesr Władysław**, z Poznańskiego, liczący około 20 lat, należał do oddziałku składającego się z 25 ludzi bez żadnego oficera, który w dniu 23 stycznia 1864 r. napadnięty w lesie prusieckim w powiecie piotrkowskim przez dwie rotę piechoty i 60 kozaków, postanowił bronić się do upadłego, a nie poddać się dla uswięcenia rocznicy powstania. Ranny w prawą rękę i obie nogi, wedle jednych umarł wkrótce, według drugich szczęśliwie się wyleczył.

**Cyrkłał**, syn Rocha, gospodarza w Myśliwcu pod Wąbrzeźnem, umarł w skutek ran w Łapinożu, pochowany obok towarzysza broni, Ludwika Wiśniewskiego (zob. niżej).

**Czajkowscy Marcei**, Antoni i Maryan, bracia, zginęli wszyscy trzej dnia 19 lutego 1863 r. i pochowani zostali obok siebie na pobojowisku pod wsią Dobrem w Kujawach. Byli synami Józefa, dziedzica dóbr Tucznia, kapitana wojsk polskich z r. 1831, a bratankami Wita, podpułkownika słynnego 4 pułku piechoty i Piotra, kapitana w tymże pułku braci Czajkowskich herbu Dębno.

**Czapski Józef**, dziś właściciel dóbr Kuchar w Pleszewskim, syn ś. p. Anastazego, oficera wojsk napoleońskich, i Wiktorji z Sikorskich, służył w r. 1848 przy ułanach i był w potyczkach pod Raszkowem i pod Książem, gdzie wziął udział w głośniejszym czasie swego szarży szwadronu jazdy polskiej pod wodzą późniejszego generała Langiewiczowskiego, także Józefa Czapskiego, na trzy szwadrony huzarów, ułanów i dragonów pruskich. W r. 1863 czynny był w organizacyi i niemałe położył zasługi.

**Czapski Bolesław**, dziedzic dóbr Chwałęcina i Cerekwicy, brat poprzedzającego, służył pod generałem Taczanowskim. Omdlawszy w bitwie pod Ignacem ze znużenia, byłby się dostał w ręce moskiewskie, gdyby nie poświęcenie ś. p. Tadeusza Jaračzewskiego, który widząc go leżącego na pobojowisku, zwrócił konia i wśród najgęstszej gradacji kul doskoczył doń, porwał na siodło i uwiózł z pola. Bolesław Czapski, aresztowany przy przejściu granicy i oskarżony o zbrodnię stanu, kilka lat przesiedział w więzieniu.

**Czarnecki Władysław** z Opok w Prusach Zachodnich był ranny jako koszykier pod Brdowem.

**Czarnecki Antoni**, brat poprzedzającego, służył pod Youngiem i pod Okoniewskim przy komicy. Odznaczał się walecznością i kilkakrotnie był ranny.

\* **Czerwiński Jan**, z Poznańskiego rodem, kupiec z Łowicza, poległ w Gostyńskim w wieku 41 lat, zostawiwszy żonę i dziecko kilkomiesięczne.

**Czubała Stanisław** umarł w skutek ran otrzymanych w powstaniu dnia 1 sierpnia 1863 r. w Strzelnie i tamże pochowany.

**Dabiński Wiktor**, szewc z Gostynia, zjął wraz z 30 towarzyszami wyszedł do powstania, został zażgany bagnietami moskiewskimi w bitwie pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Dąbrowski Tadeusz**, gorzelany z Poznańskiego, umarł w skutek ran, otrzymanych pod Olszakiem dnia 22 marca 1863 r., w Iwnie pod Kostrzynem dnia 25 sierpnia t. r.

\* **Dąbski** vel **Dębski Jan**, wachmistrz z wojska pruskiego, dowódca małego oddziałku w Kaliszkim, ranny pod Turkiem i uwięziony, gdy się przyznał generałowi Bellegarde, ręczącemu słowem honoru, że będzie w takim razie uwolnionym, iż był dowódcą, nazajutrz został rozstrzelany czy powieszony w Turku dnia 21 grudnia 1863 r.

**Demiński Franciszek** pod Dobrosołowem dnia 2 marca 1863 r. ciężko ranny, skonał po 6 dniach cierpień 8 t. m. i r. i został pochowany w Dobrosołowie pod Kleczewem.

**Dębowski Julian** z Prus Zachodnich był w 18 potyczkach pod Youngiem, Callierem i Okoniewskim i otrzymał 5 ran.

\* **Degórski Michał** zginął w jednej z potyczek 1863 r.

\* **Dekanowski Antoni** z Jarocina umarł w szpitalu z ran otrzymanych w r. 1863.

**Denel Bolesław** z Odolanowskiego żywo jeszcze stoi w pamięci dawniejszych kolegów szkólnych, do których i piszący się zalicza. Ukończywszy nauki w Poznańskim, otrzymał w r. 1856 posadę w Warszawie przy konsystorzu ewangelickim i charakterem nadzwyczaj słodkim i serdecznym, oraz ujmującym i łagodnym wzięciem wnet i pomiędzy warszawską młodzieżą zjednał sobie licznych przyjaciół. Jakkolwiek gorąco miłujący Ojczyznę, przeciwny był stanowczo wszelkim gwałtownym i nierozważnym zakusom, ale pragnął obudzenia i spotęgowania ducha narodowego pracą cichą, spokojną i wytrwałą. Pod tym sztandarem skupiał około siebie młodzież rozważniejszą, by z niej wytworzyć zastęp późniejszych obywateli kraju; w tym też celu częste po kraju odbywał podróże. Aresztowany na prowincyi w listopadzie 1860 roku i odstawiony do cytadeli, uwolniony z niej został po utworzeniu się delegacyi w końcu lutego 1861 i straży obywatelskiej w Warszawie. Wprowadzony uroczyście do obradujących w Resursie kupieckiej delegacyi i powitany z ogromnym zapalem przez tysiąc parset osób tamże zebranych, przekonał się wkrótce, że wypadki coraz silniej prą kraj w przepaść zbrojnego powstania. Postanowił więc zapobiedz temu i w tym zamiarze założył pismo „Strażnicę“; jednocześnie począł pracować nad zorganizowaniem komitetu centralnego. Wkrótce jednakże aresztowany powtórnie i zmuszony udać się w Augustowskie, gdzie otrzymał posadę przy drodze żelaznej warszawsko-petersburskiej, widząc, że wszelkie jego usiłowania i prace są bezowocnemi wobec potęgi wypadków, skoro tylko wybuchło powstanie, zaciągnął się jako szeregowiec do oddziału

pułkownika Andruszkiewicza i w pierwszej potyczce pomiędzy Lokajciami a wsią Seytejki (według innych źródeł pod Sapieżyszkami) zginął dnia 9 kwietnia 1863 r. — Cześć pamięci tego zacnego i dzielnego młodzieńca!

\* **Dolatkiewicz Antoni**, poddany pruski, za przewinienia polityczne stracony w mieście Łosicach dnia 16 kwietnia 1863 r.

**Doniński Józef** poległ 2 marca 1863 r. pod Mieczownicą.

**Drażkiewicz**, rzeźnik z Buku, poległ pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r., pozostawiając żonę i pięcioro dzieci.

**Droszewski Hipolit** poległ dnia 29 kwietnia 1863 r. pod Brdowem.

\* **Engel** z Poznańskiego służył pod przydomkiem „Anioł“ w oddziale Strzyżewskiego jako żandarm narodowy. Przybywszy do dóbr Jańskiego w powiecie łukowskim dla sądenia jakiejś sprawy, napadnięty niespodzianie przez kozaków, zabity został w listopadzie 1863 r.

\* **Ewald**, podobno z Poznańskiego, zapewne zaś z Prus Zachodnich, dowódca wyprawy ochotników, przy przeprowadzaniu się do Kongresówki przez rzekę Działdówkę, wzięty do niewoli i rozstrzelany w Mławie w końcu kwietnia, a według innych w końcu czerwca 1864 r.

\* **Erech Tomasz** z Prus Zachodnich zginął dnia 29 kwietnia 1863 r. pod Brdowem.

\* **Fidler Wincenty**, wieku lat 32, z Poznańskiego, nauki ukończywszy także, przeszedł do instytutu Marymonckiego pod Warszawą, w końcu zaś dzierżawił Uniejów. Wstąpiwszy do oddziału Parczewskiego w Kaliskim, dowodził w nim strzelcami. Niezmordowany w ćwiczeniu żołnierzy w mustrze i w czuwaniu nad bezpieczeństwem obozu, wielkie położył zasługi w organizacyi siły zbrojnej. Walczył pod Klonowem, a następnie pod Rudnikami, gdzie poległ dnia 20 kwietnia 1863 r., a według „Dzien. Pozn.“ pod Parzymiechami dnia 23 t. m.

\* **Fingierski Ignacy**, rodem z Poznańskiego, służył w oddziale Szokalskiego; schwytyany przez Moskali, został powieszony wraz z Zygmańskim w Włocławku dnia 19 lutego 1864 r.

**Florkowski Ludwik** umarł w czerwcu 1863 r. w Mikorzynie w Królestwie Polskim wskutek ran otrzymanych pod Ślesinem dnia 22 marca 1863 r.

\* **Frejtag Rudolf**, poddany pruski, za należenie do żandarmeryi powieszony w Siedlcach dnia 5 stycznia 1864 r.

\* **Furiatt**, z Poznańskiego, wzięty ranny do niewoli i zesłany na Sybir, zmarł w roku 1864 w Kamyszłowie.

**Gabryelski Józef**, urzędnik gospodarczy w Konarach w Radomskim, natychmiast po wybuchu powstania wstąpił do oddziałku Jankowskiego w stopniu porucznika, a następnie wraz z nim połączył się z Czachowskim. Oprócz mniejszych starć, brał udział w potyczkach pod Grabowem i Rzeźniowem, a w końcu pod Rozniszewem. Po krótkim pobycie w Księstwie powrócił znów na pole bitew do oddziału Skowrońskiego; bił się z nim pod Cyrusową Wolą dnia 5 września i pod Dalkowem dnia 10 t. m. i r. Wzięty do niewoli, zesłany został na Sybir.

**Gałczyński Michał**, obywatel ziemski, zginął w roku 1863 pod Niewierzem.

**Gdasiewicz Stanisław** z Kobyłina poległ w roku 1863 pod Lututowem.

**Glogier Jan**, ur. 1833 r. w Gostyniu, wachmistrz ułanów pruskich, brał udział w bitwie pod Mieczownicą 2 marca 1863 r., następnie był porucznikiem jazdy w oddziale Skrzyńskiego, wreszcie mianowany dowódcą oddziału kawaleryi, odznaczył się wielokrotnie w prowadzeniu partyzantki. Zginął dnia 17 sierpnia 1863 r. pod Tarczynem w Rawskim i tamże pochowany. Według „Pamiętki dla rodzin Polskich“ poległ po rozpaczliwej obronie pod Przypkami dnia 29 września t. r., gdzie w nocy przez zdradę był napadnięty.

**Gólkowski Dyonizy**, późniejszy dziedzic dóbr Siekierki w Poznaniu, ranny pod Olszakiem.

**Goński Tadeusz**, syn zasłużonego w wypadkach 1848 roku Jakóba Gońskiego i Maryanny z Miłkowskich, poległ w oddziale generała Langiewicza.

**Góra Tadeusz**, uczeń prymy w gimnazjum ostrowskim, umarł dnia 27 września 1863 r. w Sleszynie pod Pniewami wskutek ran odniesionych w powstaniu.

**Górnoszląski (Szrajer) Franciszek**, oficer w oddziale Younga, poległ pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia 1863 r. Skończył gimnazjum w Trzemesznie i uniwersytet w Gryfii i w Wrocławiu.

**Grabowski Goetzendorf Klemens**, zamieszkały podówczas w Królestwie Polskim, za przechowywanie powstańców i broni zesłany do ciężkich robót na Sybir, przez długi czas tam przebywał. Zona jego, Józefa z Otockich, pozostawszy w kraju z pięciorgiem małych dzieci, Wojciechem, Bolesławem, Maryą, Jadwigą i Zofią, zrujnowana na mieniu i zdrowiu, w rok potem umarła na galopujące suchoty. Klemens Grabowski przebywa obecnie, schorzały, w Chwalibogowie pod Strzałkowem.

\* **Gramowski Henryk**, podobno rodem z Szląska pruskiego, wieku lat 26, nadlesny w powiecie zamoyskim, żonaty służył w oddziale Bogdanowicza jako oficer, następnie sam dowodził oddziałem. On to zwyciężkie urządził wyprawę na Józefow i Szczepczeszyn, brał udział w potyczkach pod Lubartowem, Puławami i Kaźmierzem, wreszcie uderzył na Tomaszów i zdobył koszary, ale przy tej potrzebie utracił życie 4 lutego 1863 r.

**Gregorski**, gwoździarz z Gostynia, poległ dnia 8 maja 1863 r. pod Ignacem.

\* **Grzymański Tomasz**, ranny pod Kołem dnia 6 maja 1863 r., zmarł niedaleko placu bitwy.

\* **Grzyski**, włościanin, zginął pod Ślesinem dnia 22 marca 1863 r.

\* **Grzywaczewski** zginął pod Brdowem w oddziale Younga. Miał pochodzić z Poznańskiego.

**Gustowski Wincenty** poległ jako oficer kawaleryi pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r.

**Haremza Jan** stracił rękę w bitwie pod Ignacem; obecnie mieszka w Środzie.

**Herbst Aleksander**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, umarł w czerwcu 1863 roku wskutek rany otrzymanej pod Nowąwsią w oddziale Younga.

**Hojnacki Wojciech** z Pleszewa walczył pod Pyzdrami i Kołem; poległ pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Ignatowski** Ludomir brał udział w sześciu potyczkach, mianowicie pod Nowąwsią w oddziale Mieleckiego pod naczelnym dowództwem generała Mierosławskiego; pod Piotrkowem Żydowskim w Kujawach w oddziale Oborskiego jako kapitan kompanii rezerwowój; pod Osówiem, czyli Brdowem; pod Niewierzem w Łęczyckim; wreszcie pod miastem Koźninkiem, czyli pod wsią Dębskim, gdzie zginął Korytkowski, a pułkownik Kopernicki dziesięć ran odniósł. Z wszystkich tych bitw wyszedł Ignatowski wprawdzie cało, ale zniszczony na siłach.

**Izikiewicz** Antoni poległ dnia 2 marca 1863 roku pod Mieczownicą.

**Jabłkowski** Adam, syn Jana i Agnieszki z Zakrzewskich małżonków Jabłkowskich, dziedzic dóbr Sielątkowa z przyległościami w Kaliskim, mimo że majątny, a przytém pełen zdolności i nauki, odznaczający się zawsze między młodzieżą zacnością i prawością charakteru, na chwilę nie zawahał się, gdy Ojczyzna zapotrzebowała czynnych usług, natychmiast porzucił wszystko, by iść tam, gdzie obowiązek wołał, życie swe kładąc w ofierze. Śmierć jego opisuje korespondencya z Kaliskiego z dnia 18 lutego 1863 roku, zamieszczona w ówczesnym „Dzienniku Poznańskim“: „Dnia 9 lutego 300 powstańców wkroczyło do Uniejowa w województwie kaliskim; porzucano orły moskiewskie i ogłoszono rząd narodowy, zabrano kilkanaście sztuk broni donataryuszowi Toll. Po dwudniowym pobycie, wzmocniwszy się kilkudziesięciu ludźmi, udał się oddział do Szadka i Łodzi, gdzie przez Niemców, którzy wyszli naprzeciw powstańcom, najserdeczniej był przyjęty i w broń przez nich zaopatrzony. Z tego oddziału kilku oddzieliło się, idąc do Uniejowa. Otoczeni przez kozaków, zdołali wydobyć się prócz Jabłkowskiego Adama, młodzieńca rycerskiej odwagi, który obskoczony przez 5 kozaków, jednego zabił, jednego ranił, a widząc, że więcej nadchodzi, sam się zastrzelił. Ciało jego obdarłszy ze wszystkiego i zabrawszy trupowi 4000 złp., kozacy porzucili po nad drogą do Rudnik.“

**Jackowski** Mieczysław poległ dnia 8 maja 1863 r. pod Ignacewem (zob. wyż.).

**Jagła** z Krąpiewa, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, poległ w r. 1863 w potyczce pod Mieczownicą obok kolegi swego szkolnego, Romana Kentzera (zob. niżej).

**Jakubowicz** Tomasz, alias „Karabin“, ur. 1834 r., podporucznik w oddziałach Bończy i Czarneckiego, następnie organizator oddziału na Podlasiu, bił się pod Naguszczewem, gdzie ranny, pod Radzyminem, pod Częstoborowicami, pod Chruslinem, Żyrzynem i Kockiem. Mianowany dnia 13 stycznia 1864 roku kapitanem, przyjechałszy do Lwowa, został aresztowany przez Austryaków i po 2 miesięcznym więzieniu odstawiony do granicy pruskiej.

**Janiszewski** Konstanty, ur. 1843 r., otrzymał w bitwie pod Ignacewem ranę w piersi.

**Jankowski** Tomasz z Gniezna, ciężko ranny w nogę w potyczce pod Turkiem dnia 2 listopada 1863 r., po sześciu dniach umarł w Dębsku w domu państwa Rembowskiich.

**Jankowski** Feliks zginął pod Pyzdrami przy boku Witolda Turny (zob. wyżej).

**Jarnicki** Tomasz poległ jako szeregowiec z kompanii Kazimierza Unruga w potyczce pod Kołem dnia 6 maja 1863 r.

\* **Jarocki** Edmund, ukończywszy szkoły w Trzemesznie, udał się z oddziałem Garczyńskiego do Kongresówki i brał udział w bitwie pod Dobroszowem dnia 2 marca 1863 r. Odtąd znikł bez śladu, zdaje się zatem, że poległ.

**Jasiński** Stanisław umarł dnia 16 marca 1864 r. wskutek ran w szpitalu w Strzelnie.

**Jerzykowski** Stanisław, syn Franciszka Jerzykowskiego z Mikstata, poległ dnia 15 czerwca 1863 r. pod Lututowem.

**Jonas** Leon, ur. 20 czerwca 1843 roku w Ostrzeszowie, wyszedł z Grodziska w początku kwietnia 1863 roku do powstania, walczył pod Pyzdrami, Kołem i Ignacem i w innych miejscach. Poległ dnia 13 czy 15 listopada 1863 r., broniąc wraz z innymi ochotnikami u pewnego mostu pod miastem Wartą odwrotu małego oddziału powstańczego, do którego należał.

**Jurgowski** Jan, rodem z Grodziska, walczył nasamprzód w oddziale Younga de Blankenheim, a następnie pod wodzą Franciszka Budziszewskiego brał udział w ostatniej z Księstwa wyprawie. W potyczce pod Łądkiem dnia 22 marca 1864 kula karabinowa przetrzebiła mu prawą nogę, tak, iż na wpół żywy pozostał na pobojowisku, zwłaszcza że wielki upływ krwi prawie całkiem go ubezwładnił. Wtedy kozacy, obdzierający swoim zwyczajem poległych, widząc w nim ślady życia, zbili go niemilosierdzie kolbami po głowie, co ś. p. dr. Tabernacki z Wrześni, zwiędzając w dwa dni później szpital w Ciążeniu, dokąd rannego po ustąpieniu Moskali zamiesiono, w liście pisanym do rodziny stwierdził. Po sześciu dniach pobytu w Ciążeniu przewieziono go do Konina, gdzie, skoro tylko przyszedł do zdrowia, osadzono go na półroczną karę w więzieniu, poczem go odprowadzono do granicy pruskiej. Tu władze pruskie, ponieważ jako ułan rezerwy oddalił się z kraju bez urlopu, ponownie skazały go na 6 miesięcy więzienia w Grodzisku. Był także wezwany na świadka do Berlina w procesie przeciw Polakom o zbrodnię stanu. Później pracował jako mistrz szewski w swém rodzinném mieście, gdzie w 44 roku dnia 23 grudnia 1879 r. walecznego dokonał życia, pozostawiając żonę i jedną córkę.

**Kaniewski** Wincenty, szewc z Gostynia, ranny w obie ręce od kul karabinowych pomiędzy Ślesinem i Nowąwsią w oddziale Younga de Blankenheim, żyje dotąd jako weteran w Gostyniu.

**Karasiński** Ignacy, ur. w Grabowie, lat 20, poległ pod Lututowem dnia 15 czerwca 1863 r.

**Karasiński** Bolesław, brat poprzedniego, razem z nim udał się na powstanie z Biernac nad Prosną do Giżyc; w bitwie pod Ignacem stracił lewą rękę i był leczony w lazarecie w Gosławicach, gdzie też pozostał. W końcu zamierdził. Umarł 4 lutego 1884 r. w Gosławicach i tamże pochowany.

**Kardoliński** Kazimierz, najmłodszy brat ś. p. Ignacego, mecenasa w Warszawie i Władysława, o którym niżej, poległ pod Pyzdrami dnia 29 kwietnia 1863 r. Był on słuchaczem agronomii na akademii w Eldenie. Na powstanie wyruszył wraz z kilku kolegami z Jaraczewa dnia 26 kwietnia 1863 r., przeszedł granicę pod Kretkowem i wstąpił do oddziału Taczanowskiego. W potyczce pod Pyzdrami

dostał około południa strzał w prawą rękę i kiedy go zemdlonego odnosiło kilku ludzi z placu boju, kula przeszła mu głowę. Nazajutrz pochowano zwłoki jego w Pyzdrach.

**Kardoliński** Władysław urodził się w Kcyni, w W. Księstwie Poznańskim, dnia 28 marca 1826 r. z ojca Piotra i matki Antoniny z Trampczyńskich. Do gimnazjum uczęszczał w Lesznie i Trzemesznie. Ukończywszy nauki szkolne, poświęcił się z całym zapałem już od pierwszej swojej młodości ulubionej agronomii. W r. 1848 stanął w szeregach walczących i odznaczył się nieustraszoną walecznością, a odpokutowawszy swój patriotyzm w więzieniu, dokończył przerwane studia. W r. 1852 połączył się węzłem małżeńskim z Teofilą, córką Józefa i Józefy z Koszutskich, Tokarską, i zamieszkał w Łączynie, w pow. kartuzkim, w wiosce posagowej swojej żony. Tutaj nie zamknął się w ciasnym kółku swoich osobistych interesów i zabiegów, lecz czując się do pełnienia obowiązków obywatelskich, zakreślał coraz szersze pole działania i swoją uprzejmością i jasnym na bieżące sprawy poglądem zjednał sobie wkrótce wielu przyjaciół. Lecz jako ziemianin nie widząc odpowiednich swojej mozolnej pracy owoców i doznawszy niejednego smutnego zawodu, przeniósł się ś. p. Władysław na Ukrainę w nadziei, że tam z lepszym skutkiem będzie mógł pracować. Z początku zaczęło mu się szczęście uśmiechać. To też z silną wolą i ogłędnością przystąpił do wykonania swoich przedsięwzięć i zamysłów. Lecz znowu nastąpiła nagle i niespodziewana przerwa w jego działaniu. Na pierwszą wiadomość o krwawych wypadkach w Warszawie r. 1863 opuścił żonę i troje małych dzieci, stanął na czele organizacji powstania na Ukrainie i rozbudził wielki zapał dla sprawy narodowej. Lecz pojmany przez Moskali, wywieziony został w maju 1863 r. do twierdzy kijowskiej, w której kazamatach 3 lata przesiadując i cierpiąc, przemyślał nad sposobem, jakimby tak swoich towarzyszy jak siebie z twardej niewoli wyswobodzić. W porozumieniu więc z swoimi najwierniejszymi przyjaciółmi, których sobie swoją otwartością i łagodnym usposobieniem zjednał, kopali dni i noce znany tunel twierdzy, którym to otworem najbardziej skompromitowani w powstaniu życie swoje ucieczką ocalić mieli. Mimo czujności straży, mimo braku odpowiednich do tego trudnego dzieła narzędzi i wielu innych nieprzewidzianych przeszkód, dokonali tego mozolnego planu i 5 więźniów stanu, których niechybna śmierć nazajutrz czekała, w samą porę i szczęśliwie wyostało się na wolność. Następnęj nocy miał i ś. p. Władysław tym samym podkopem szczęścia próbować. Lecz los zawistny w niwecz obrócił zamiar jego. Nazajutrz bowiem po ucieczce 5 skazańców odkryto, zamurowano i liczną strażą otoczono tunel, a pozostałych więźniów przeprowadzono do innej baszty i osadzono w tak zwanych „celach sekretnych“, gdzie wilgotne i cuchnące powietrze mocno nadwyrężyły jego zdrowie.

„Początkowo skazany został na „katorgi“ w dalekim Sybirze. Tylko rozgałęzione stosunki nieboszczyka z osobami wpływowemi i poświęcenie ostatniego prawie mienia, zdołały pierwszy wyrok zamienić i złagodzić na „posielenie“ do jensejskiej gubernii, gdzie ś. p. Władysław 4 lata spędził i dopiero 1870 r. na mocy amnestyi, skutkiem nieustannych starań rodziny i reklamacyi rządu pruskiego, osłabiony cielesnie i materyalnie zrujnowany, do Księstwa Poznańskiego powrócił. Tutaj mimo usilnych zabiegów nie znalazłszy odpowiedniego sobie sta-

nowiska, udał się do większą swobodą polityczną i życzliwością dla Polaków cieszącej się Galicyi, a ufając swoim zdolnościom i w twardych warunkach życia nabytemu doświadczeniu, począł na nowo pracować na chleb, rzucając się na rozmaite przedsiębiorstwa. I tak w roku 1873 kupił od miasta Béli, na Spizu we Węgrzech kopalnię tatrzańskich kamieni młyńskich; później odkrył on także olbrzymie pokłady kwarcu i cementu, urządził fabrykę na obszernej skale tak dalece, iż zakłady jego tworzyły osadę, którą miasto Béla na zgromadzeniu swoich reprezentantów w uznaniu ś. p. Władysława zasług około podniesienia przemysłu górniczego w Tatrach, uchwaliło nazwać „Kardolin“.

„Przedsiębiorstwo to, z wielkim trudem i mozołem podjęte, aczkolwiek bardzo korzystne, nie mogło się jednak należycie rozwinąć dla braku znacznych nakładów. To też ś. p. Władysław, zniechęcony niepowodzeniem i ustawicznymi trudnościami, pozbył się za bezcen prawie z wyteżeniem sił swoich rozpoczętego dzieła i powrócił znowu do agromonii. Objął pełnomocnictwo w dobrach Kluwinieckich, własności państwa Boguckich, na Podolu Galicyjskiem. Prawością charakteru, wielką znajomością rzeczy i niestrudzoną pracą zjednał sobie nieograniczone zaufanie i wielki szacunek państwa Boguckich, którzy uznając piękne przymioty jego serca i umysłu i niejedną smutną chwilę mu osładzając, otaczali go jak najczulszą troskliwością. Żywot swój przeplatany cierpieniami za dobro kraju nieszczęśliwego, smutkiem po doznanych bolesnych stratach i zawodach, zakończył 7 kwietnia 1886 r. w Kluwiniecach, przeżywszy lat 60. W zapiskach jego z czasu pobytu na Sybirze roku 1867 znaleźliśmy wiersze pełne bardzo rzewnej tęsknoty za Polską, której wolności doczekać pragnął i tą nadzieją żył aż do ostatniej chwili.“ („Gazeta Toruńska“ nr. 114 z r. 1886).

**Karłowski Leon**, dzisiejszy właściciel dóbr Grąbkowa i jeden z najzacniejszych naszych współobywateli, był ranny w bitwie pod Brdowem w nogę. Uniósł go z pobojowiska na barkach swych Ignacy Andrzejewski z Poznania, ocalając mu tém samém życie.

**Karpiński Teodor** z Poznania poległ dnia 29 kwietnia 1863 r. pod Brdowem.

**Karwowski Kaźmierz**, z znanej rodziny szlacheckiej herbu Pniecinia, synowiec zasłużonego weterana z roku 1831, ś. p. profesora Adama Karwowskiego i żyjącego ks. proboszcza Karwowskiego w Opalenicy, syn Nepomucena z Jaraczewa, a wnuk Antoniego Eschilego, kapitana wojsk napoleońskich, zatrudniony w czasie wybuchu powstania w fabryce Cegielskiego w Poznaniu, gdzie pracę jego i zdolności bardzo ceniono, zginął śmiercią walecznych pod Ślesimem dnia 22 marca 1863 r. obok Macieja Kryśkiewicza.

**Kasiewicz Ludwik**, ur. w Kościanie 1840 r., umarł w Poznaniu dnia 11 września 1884 r. Lata spędził w mieście rodzinném, poczem udał się o własnych siłach do Poznania, gdzie uczęszczał do gimnazjum św. Maryi Magdaleny. Uposażony niepomiernemi zdolnościami i bystrym umysłem, celował zawsze w naukach, a dobrocią serca i zacnością charakteru zjednał sobie w czasie pobytu na ławie szkolnej ogólną miłość rówieśników, która potęgując się z biegiem lat, do grobu mu towarzyszyła. Gdy był już u celu pragnień młodzieńczych, zaskoczył go rok 1863. Bez namysłu podążył Ludwik tam, gdzie go obowiązek w obec kraju powoływał. Odbył całą wyprawę Taczanowskiego,

począwszy od Pyzdr, aż do nieszczęśliwej walki pod Ignacem. Trudy i niewyuczasy obozowe podkopały słaby organizm młodzieńca, na którym kilkotygodniowe więzienie w Wrześni i dziewięciomiesięczne w twierdzy głogowskiej, a następnie trzyletnia, zamiast jednorocznej, przymusowa służba w wojsku pruskim niezatarte wycisnęły znamię. Po powrocie z wojska wstąpił do świeżo tworzącego się w Poznaniu banku włościańskiego, tutaj też pozostawał do zgonu. A pracował w tym nowym zawodzie tak sumiennie, że nieraz nie dosypiał, ślęcząc nad książkami, które mu powierzono. Po latach dwunastu nateżonej pracy zapadł na ciężką piersiową i gardłową chorobę. Gdybyż przynajmniej w ostatniej jeszcze chwili było mu się udało uzyskać na czas jakiś wypoczynek, którego tak bardzo potrzebował — ale praca była pilna, więc pracował aż do mogiły. Pozostawił żonę z czworgiem drobnych dzieci. Jak był szanowanym i kochanym, tego dowodem był nader liczny orszak pogrzebowy i żał ogólny, z jakim zwłoki jego żegnano. Trumnę zdobił symboliczny wieniec, uwity z róż, cierni i laurowego liścia, z napisem: „Towarzysze broni z roku 1863/4“. (Według „Dzien. Pozn.“ nr. 226 z r. 1884).

**Karolewski Piotr** z Sulmierzyc zginął w roku 1863 pod Lututowem.

**Kazimierski Maciej** umarł dnia 20 maja 1864 roku wskutek ran otrzymanych w powstaniu w Poznaniu w lazarecie wojskowym.

**Kaźmierczak** z Sulmierzyc zginął w r. 1863 pod Lututowem.

**Kąpniewski** poległ w potyczce pod Kołem dnia 6 maja 1863 r.

**Kemf Bogusław Wilhelm**, ur. 1845 r. w Jasińcu pod Wolsztynem, służył w oddziale Ganier'a i walczył pod Pyzdrami. Po powrocie uwięziony, przesiedział 4 miesiące w cytadeli poznańskiej.

**Kentzer Roman**, z Mąkowska pod Koronowem, uczeń najprzód gimnazjum w Chojnicach, następnie w Trzemesznie, poległ pod Mieczownicą 2 marca 1863 r.

\* **Kessler Zygmunt**, prawdopodobnie z Górnego Szląska, pełnił obowiązki sekretarza przy zastępcy Mielęckiego, Seyfrydzie i poległ w bitwie pod Brdowem 29 kwietnia 1863 r., przeszyty dwoma kulami.

\* **Kierski Józef** powieszony w Sieradzu dnia 12 listopada 1863 roku.

**Kiszwalter Józef**, obywatel z Gostynia, brał udział w bitwach pod Nowąsiami i Brdowem pod Youngiem de Blankenheim. W powrocie do domu schwytyany na granicy, był więziony w Inowrocławiu.

**Klat Józef** służył jako oficer w oddziale Jasińskiego. Według „Dz. Poznańskiego“ (nr. 169) zginął w potyczce pod Dzbądzem dnia 14 lipca 1863 r., według „Imionospisu“ pod Załazem.

**Klemczyński ksiądz Stanisław** poległ w potyczce pod Rudnikami dnia 22 kwietnia 1863 roku. Był on proboszczem w Błociszewie pod Śremem, następnie w Kotłowie pod Mikstatem. Jeden z towarzyszy broni tego rycerskiego kapłana tak nam opisuje przebieg całej wyprawy i ostatnie chwile jego: „W nocy z dnia 15 na 16 kwietnia przeszliśmy w 13-tu granicę, brodząc przez rzeczkę Prosnę w pobliżu Grabowa, co zwłaszcza na wątłe zdrowie ks. Klemczyńskiego bardzo szkodliwie wpłynęło, i przybyliśmy nad ranem do obozu majora Wę-

glewskiego w lasach Skrzyneckich, zabrawszy z sobą po drodze 15 ochotników bez broni, spieszących z Kalisza także do powstania. Utworzono z nas pierwszy oddział strzelców, w którym ks. Klemczyński został mianowany podoficerem. Po dwugodzinnym wypoczynku ruszyliśmy ku Nieszкодnej, gdzieśmy przenocowali. Na drugi dzień złączyliśmy się z oddziałem majora Polewskiego w Kuźnicy Grabowskiej, tak, że siły nasze wynosiły około 800 ludzi, nad którymi główne dowództwo objął pułkownik Franciszek Parczewski. Odtąd rozpoczęły się ciągłe marsze, męczące w okropny sposób tak ludzi jak i konie. I tak 19 kwietnia wypoczęliśmy godzinę za Węglewcami, noc przepędziliśmy pod Lututowem, gdzie już jako celni strzelcy w liczbie 18 tworzyliśmy awangardę, a ksiądz Stanisław, zrzekłszy się podoficerstwa na rzecz Oświecimskiego, pełnił służbę szeregowca. Dnia 20 kwietnia o 4 rano udaliśmy się do Sokolnik, w których pobliżu zajęliśmy korzystne stanowisko w lesie. Tu pojawili się przed nami kozacy i mały oddziałek piechoty moskiewskiej, która zajmując chaty wiejskie, słała ztąd na nas grad kul, ale nieszkodliwy. Zginęło przy tej sposobności 3 Moskale a 6 było rannych, z naszej strony poległo 2 a jeden był ranny. Po półgodzinnem strzelaniu sformowaliśmy się do ataku, co widząc nieprzyjaciel, na podwodach umknął, my zaś skierowaliśmy się ku Prażce tak pomęczeni, iż zaledwie powłóczyć mogliśmy nogami. Po krótkim wypoczynku w Parciach, doszliśmy we wtorek w nocy o godzinie 11 do Rudnik; ale już połowy oddziału brakło; głód, niewyczas, ciągłe, a według zdania żołnierzy bezcelne marsze, wszystko to przyczyniło się niemało do upadku na ducha i na siłach. W Rudnikach nie można było zebrać ludzi do zaprowadzenia wart na około obozu; wtedy czcigodny ksiądz Stanisław, mimo bezustannych cierpień i słabości, jako ochotnik stał przez blisko cztery godziny na warcie. Na dany znak, że Moskwa się zbliża, nakazał pułkownik odwrót do lasu i tu pod pustkowieciem zwanem Kluski, w pobliżu Parzymiech, wśród gąszczu leśnego rozbił obóz, oczekując na przybycie drugiego oddziału Litycha, który o półtorej mili stał bezczynnie od tygodnia pod Popowem. Zaledwie zdołano się nieco posilić, rozległy się strzały moskiewskie. Nakazano nam ruszyć do ataku, ale gdyśmy już blisko byli nieprzyjaciela, z 48 strzelców jeszcze czterech, a w tej liczbie ks. Klemczyński, pozostało, reszta zaś pierzchła. Nagle pada jeden z nas, Dąbrowski, a drugi dostaje postrzał w nogę. Cofamy się zatem ku oddziałowi, gdzie obok pułkownika około 100 ludzi zastajemy. Lecz nieprzyjaciel zbliża się i wnet już tylko kilkunastu walecznych pozostaje na placu. Wtedy błagam ks. Stanisława, aby nie narażał się bezowocnie, gdy wszystko stracone: „Przyszedłem bić się z wrogiem — odpowiada — ale nie uciekać!“ Były to ostatnie jego słowa. Pada, przesyty na wylot kulą karabinową, obok niego giną Michał Gałczyński, żołnierz szalonej odwagi i Teodor Suchorski. Moskale rzucają się na furgony zagrzeźłe w błocie i na niedobitków; kłęska staje się powszechną. Zaledwo kilkadziesiąt z nas cudem niemal ocalało. Nadmienić mi wypada, że niesłusznie postąpiono sobie z ks. Stanisławem, nie mianując go kapelanem oddziału, który to urząd pełnił już w roku 1848. W potyczce pod Rudnikami odznaczyli się mężstwem z pozostałych przy życiu major Polewski, adiutant jego Maszadro z Kalisza, Władysław

Milkowski, dowódca jazdy, Stanisław Milkowski, adiutant Parczewskiego, i Łopaciński z Kalisza, kapitan kosynierów.“

**Klemczyński**, zdaje się brat poprzedniego, zginął w r. 1863 pod Cyrusową Wolą.

**Klepaczewski** Bolesław ranny ciężko w nogę pod Krzywosądzem, długi czas przeleżał w Ruszkowie w Kaliskiem.

\* **Kochanowski**, z Poznańskiego, poległ w potyczce pod Ratyniem w marcu 1864 r.

**Kokot** Władysław z Sulmierzyc zginął w roku 1863 pod Lututowem.

\* **Kołodziejewski** Hilary, lat 53, dawny ułan pruski, zaciągnął się do ułanów polskich, lecz wparty do Galicji, zmarł w Tarnowie dnia 13 lipca 1863 r.

**Konieczka** Jan, ze Smolar, poległ w potyczce pod Rudnikami dnia 22 kwietnia 1863 r. Nabożeństwo żałobne za spokój jego duszy odbyło się dnia 3 lipca t. r. w Dusznie.

**Konieczny** Wojciech, szewc z Gostynia, padł, zażgany bagnętami pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r.

**Konoski** Jan, z Opok w Prusach Zachodnich, służył w komnicy w oddziałach Raczkowskiego i Okoniewskiego. Był ranny.

**Korytkowski** Wojciech, dowódca małego oddziałku, zginął pod Koźminkiem dnia 4 października 1863 r.

**Kosiarkiewicz** Franciszek z Strzelna odbył kampanią w oddziale Taczanowskiego aż do bitwy pod Ignacewem. W powrocie do domu wieszony przez rodzinne miasto do cytadeli poznańskiej, otrzymał na prośby ojca pozwolenie odwiedzenia na chwilę schorzałej matki. Otrzymaawszy jej błogosławieństwo, uszedł drugimi drzwiami, podczas gdy straż była przy pierwszych i znów udał się do Królestwa. Wzięty do niewoli przez Moskali i zesłany na Sybir, dopiero w roku 1869 powrócił do domu, gdzie już rodziców nie znalazł, bo oboje pomarli. Po dwóch dniach wezwany do wojska pruskiego i skazany za karę na czteroletnią służbę, zginął w bitwie pod Gravelotte dnia 18 sierpnia 1871 r. we Francji.

**Kościelski** Antoni, syn Jana Nepomucena, dziedzica dóbr Śmiełowa w Szamotulskim, i Kornelii z Żerońskich, już jako uczeń gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu odznaczał się zdolnościami i patriotyzmem. Należał do założycieli Towarzystwa historycznego młodzi gimnazjalnej i był jego prezesem. Uczył się później gospodarstwa w Gosławicach, dobrach hrabiów Kwileckich, w Królestwie Polskiem. Ztąd udał się na pierwsze hasło dane do oddziału Mieleckiego, który go mianował oficerem. W potyczce pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r. zginął. Według jednych utonął, ciężko ranny, przepływając się przez jezioro; według drugich poległ na placu bitwy.

**Kosicki** Nikodem z Gniezna pracował w biurze u księcia Romana Sanguszki w Sławucie na Wołyniu i wziął udział w potyczkach pod Minkowcami i Cwitochą w pobliżu Sławuty i tutaj poległ dnia 10 maja 1863 r., licząc lat 25.

**Kosiński** Mieczysław, syn ś. p. Władysława i Emmy z Węgieńskich, dziedziców dóbr Targowej Górki, zdolny i pełen nadziei młodzieniec, popadł wskutek trudów wojennych w czasie powstania 1863 r.

w nieuleczoną chorobę cukrową, której uległ w 23 roku życia w roku 1866 w Zurychu, gdzie uczęszczał do szkoły politechnicznej. Pochowany tamże na cmentarzu katolickim przedmieścia Ausser-Siehl.

**Koszczyński Władysław**, ur. w Janopolu pod Kostrzynem w r. 1838, poszedł jako uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego na powstanie i poległ w potyczce pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r.

\* **Koszczyński** ksiądz Józef, były gwardyan O. O. Franciszkanów w Krakowie, później proboszcz w Czaczu, będąc długo więzionym w twierdzy poznańskiej za przestępstwa polityczne w r. 1863, zapadł mocno na zdrowiu i po długich cierpieniach w końcu września 1866 r. życia dokonał.

**Kostański Ludwik**, rodem z Kielczewa pod Poznaniem, kleryk seminaryum poznańskiego, umarł z ran otrzymanych pod Ignacemw dnia 8 maja 1863 r.

**Kostecki Stanisław**, z Opok w Prusach Zachodnich, służył pod Raczkowskim w pierwszej kompanii kosynierów jako podoficer; później przeszedł do jazdy, a następnie do żandarmeryi. Ranny.

**Kosutski Jan**, syn właściciela dóbr Dezyderego i Justyny z Raczynskich, urodził się w czerwcu 1841 roku w Mąkownicy pod Witkowem. Jako porucznik strzelców w oddziale Younga brał udział w bitwach pod Nowąsiałą i pod Brdowem, gdzie śmiertelnie ranny kartaczem i uwięziony do Księstwa, umarł w Konarach pod Inowrocławiem w domu przyjaciela z ławy szkolnej, Franciszka Dąbskiego, dnia 10 maja 1863 r., pochowany w Pieraniu. Ś. p. Jan odznaczał się wielką sumiennością w wypełnianiu podjętych obowiązków i niepospolitą odwagą. Jakby w przeczuciu śmierci nie chciał pójść razem z bratem swym starszym, dr. Józefem i braćmi stryjecznymi Kaźmierzem, dzisiejszym redaktorem „Ziemiańska” i Maksymilianem, gdy ci udawali się do oddziałów Garczyńskiego i generała Taczanowskiego, obawiając się, by obecnością swą nie przynieść im nieszczęścia. Nie omyliło go to smutne przeczucie i padł w obozie Younga, w którym sam jeden był przedstawicielem swój starożytnej i zasłużonej krajowi rodziny.

\* **Kozak Andrzej**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, poległ jako podoficer w zwyciężkiej bitwie pod Nowąsiałą dnia 26 kwietnia 1863 roku.

**Kozankiewicz Jan**, z Pleszewa, ranny w bitwie pod Ignacemw dnia 8 maja 1863 r., wkrótce umarł.

\* **Kozielski Bronisław**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, poległ pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r.

**Kozłowski Stanisław**, z Opok w Prusach Zachodnich, służył pod Langiewiczem, walczył w dwunastu potyczkach, ciężko ranny i wzięty do niewoli, przebył 6 lat na Sybirze. Umarł w Ameryce.

**Kozłowski Wojciech** z Powidza, syn obywatela Macieja i Magdaleny z Rakowskich, rządca dóbr w Zadzimiu i nauczyciel domowy, zginął w okolicy miasteczka Warty w r. 1863.

\* **Krajewski Karol**, z Poznańskiego, służył najprzód jako kawalerzysta pod Słupskim, następnie pod generałem Taczanowskim. W bitwie pod Widawą dnia 23 czerwca 1863 r. lekko ranny i wzięty do niewoli, został zakłuty bagnietami.

\* **Kranich** baron, oficer gwardyi pruskiej, służył pod Raczkowskim, a następnie pod Callierem, jako dowódca kompanii strzelców, złożonej z Niemców i poddanych pruskich, gdyż nie umiając słowa po polsku, wydawał rozkazy po niemiecku. Poległ w bitwie pod Kleczewem dnia 9 czerwca 1863 r., odznaczony się wielką odwagą.

**Kratz** z Poznania, Niemiec, porażony pod Ignacemem dnia 8 maja 1863 r., długi czas leczyć się musiał.

\* **Krąkowski**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, zginął 2 marca 1863 r. w potyczce pod Mieczownicą.

**Król Leon**, rymarz i siodlarz z Kurnika, rodem z Rogalina, wyszedł na powstanie, mając lat 20, i wstąpił do oddziału Younga. W bitwie pod Brdowem walczył obok Wojciecha Twardowskiego z Kurnika. Następnie służył w oddziale Oborskiego, Włodka i Szumlańskiego i brał udział w potyczce pod Babskiem. Pod Niewieżem ranny w rękę, przeleżał 6 tygodni w Jeżewie, poczem się udał do oddziału kawalerji generała Taczanowskiego i odznaczył się w bitwie zwycięskiej pod Sędziejowicami. Po rozbiciu tego oddziału wstąpił do żandarmeryi i kilkakrotnie jeszcze walczył w różnych potyczkach. Po raz ostatni dnia 5 grudnia 1863 r. pod Jeżewem. Ztąd szczęśliwie się przedostawszy z powrotem do Rogalina, wkrótce wzięty za karę do wojska pruskiego, odbył kampanie duńską, austriacką i francuską. Dzielny ten weteran mieszka obecnie w Kurniku, otoczony szacunkiem współobywateli.

**Królikiewicz Stanisław**, ur. 1839 r. w Stęszewie, bił się pod Nowąsnią i pod Brdowem, następnie pod wodzą Callier'a pod Ignacemem i Kleczewem, wreszcie w oddziale Okoniewskiego, rozbitym dnia 29 października 1863 r. Po powrocie do Księstwa więziony przez pół roku w cytadeli poznańskiej, udał się na wychodźstwo do Szwajcaryi i Francyi, gdzie przez 4 lata przebywał.

**Królikowski Leopold** z Poznańskiego, towarzysz drukarski, aresztowany na Kujawach w Królestwie za udział w powstaniu i zaprowadzony do Włodzimierza w Rosyi, skazany tamże na dwa lata do rot aresztanckich, poczem zesłany na Sybir do gubernii Jenisiejskiej, na mocy amnestyi cara Aleksandra II w r. 1869 odzyskał wolność.

\* **Krotoszyński**, żołnierz wojsk pruskich, służył w oddziale Oksińskiego. Po rozbiciu tego oddziału pod Przedborzem w dniu 26 czerwca 1863 roku, spotkany na drodze przez Moskali, zakłuty został bagnietami.

**Kryśkiewicz Maciej** z Poznania, służył pod Miełękim, walczył pod Olszową, a zginął pod Ślesinem dnia 22 marca 1863 r.

**Kryśkiewicz Stanisław**, brat poprzedniego, walczył pod Olszową, dalej w oddziale Younga pod Nowąsnią i Brdowem, wreszcie pod Ignacemem. Po powrocie więziony w Śremie przez władze pruskie.

\* **Krześniński** zginął jako szeregowiec w bitwie pod Ignacemem dnia 8 maja 1863 r.

\* **Krzyca**, z Poznańskiego, zginął pod Ślesinem 1863 r.

**Krzyśko Michał**, gospodarz z W. Krosina pod Połajewem, skłuty bagnietami w potyczce pod Turkiem dnia 2 listopada 1863 roku, wyleczył się z ran w Dąbsku pod Turkiem w domu państwa Rembowski.

**Krzywański Edward**, rodem z Niegolewa, poległ w roku 1863. Nabożeństwo żałobne, za spokój jego duszy odbyło się w Poznaniu dnia 6 czerwca 1863 r.

\* **Kubelak**, cieśla z Kurnika, umarł wskutek ran otrzymanych w Strzelnie 1863 r.

**Kubicki** zginął w potyczce pod Zdżarami dnia 23 września 1863 r.

**Kublicki Piottuch Józef** zginął w r. 1863 jako adjutant Zygmunta Sierakowskiego (Dołęgi).

**Kublicki Piottuch Stanisław**, zesłany za udział w wypadkach w roku 1863 pod Tomsk do wsi Kaływań, przez lat dziesięć był na wygnaniu.

**Kublicka Piottuchówna Stefania**, zamężna hr. Michałowa Platerowa, wraz z mężem zesłana była na Sybir.

**Kucharski Zygmunt**<sup>1)</sup>, z Niedźwiedzia pod Wąbrzeźnem, umarł 25 lipca 1863 r. w Poznaniu, wskutek ran otrzymanych pod Olszową dnia 22 marca 1863 r. Dnia 27 t. m. o godzinie 7 wieczorem odbyła się uroczysta eksportacja zwłok dziełnego młodzieńca, którego i operacja przedsięwzięta przez słynnego profesora Langenbecka z Berlina nie zdołała uratować, z ulicy Rycerskiej, gdzie najtroskliwiej był pielęgnowany w domu czcigodnej hrabiny Arnoldowej Skórczewskiej, do kościoła Ś. Marcina, a nazajutrz po żałobnym nabożeństwie przeniesiono trumnę na barkach na cmentarz Ś. Marciński przy nadzwyczaj liczny udział duchowieństwa i publiczności.

**Kulesza Tadeusz**, syn Jana, kapitana wojsk napoleońskich, i Franciszki z Łopieńskich, ur. w Gostyniu 1843 r., uczęszczał nasamprzód do gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu, następnie w 18-ym roku życia wstąpił do fabryki machin Cegielskiego, chcąc się kształcić w technice. Z pierwszym oddziałem wyszedł w pole i zginął śmiercią walecznych pod Olszową dnia 22 marca 1863 r.

\* **Kullak Wacław** z Poznania zginął 1863 r.

**Kurnatowski Władysław Ryszard Andrzej**, ur. 1836 r. w Dziechowicach pod Środą z ojca Andrzeja i matki Magdaleny z Łęskich, ukończywszy szkoły w Poznaniu, poświęcił się zawodowi rolniczemu. Do powstania poszedł, należąc już wpierw do organizacji, z Prawutyna w powiecie zwiąhelskim i zginął w potyczce pod Miropolem, gdzie objął dowództwo w miejsce zbiegłego z pola walki wodza i całego niemal oddziału, tak iż tylko w otoczeniu 17 ludzi poszedł na śmierć pewną i znalazł ją wraz z towarzyszanami na grobli. Ciała ich znaleziono obdarte i poranione do niepoznania.

**Kurowski Maciej**, z Opok w Prusach Zachodnich, brał udział w powstaniu jako kosynier pod Raczkowskim.

**Kurowski Apolinary**, skazany po roku 1846 przez sąd berliński na śmierć, uwolniony przez powstanie ludu w r. 1848, był w r. 1863 dowódczą oddziału i wykonał niefortunny atak na Miechów dnia 17 lutego 1863 r.

**Kurowski Zygmunt**, z Poznańskiego, kapitan pod wodzą Stanisława Wierzbńskiego, wskutek trudów wojennych w r. 1863 umarł na

<sup>1)</sup> „Pamiętka dla rodzin Polskich“ Zygmunta *Kolumby* wymienia jeszcze kilku Kucharskich z Prus Zachodnich, mianowicie „Walerego“, zmarłego w Poznaniu, zdaje nam się przecieć, że ów Walery jest tą samą osobą, co Zygmunt.

chorobę piersiową w r. 1868 w Witakowicach, w domu swego krewnego, Stanisława Jasińskiego.

**Kurowski** Bolesław, starszy brat poprzedniego, był rotmistrzem w powstaniu 1863 r., brał udział w wielu potyczkach; później udał się do Galicji.

**Kurzewski** Antoni, rodem z Kotłowa, prymaner gimnazjum ostrowskiego, młodzieniec wielkich zdolności, wyszedłszy na powstanie w roku 1863, zginął bez wieści.

**Laskowski** Alfons, rodem z Środy, syn Wincentego i Maryanny z Boińskich, uczeń sekundy gimnazjum trzemeszczeńskiego, zginął pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r.

**Latanowicz** Marcin, rodem z Dolska, poległ dnia 8 maja 1863 r. w bitwie pod Ignacem.

**Laudowicz** Mieczysław z Sulmierzyc poległ w r. 1863 r.

**Lewandowicz** Walenty z Jarocina zginął dnia 8 maja 1863 roku pod Ignacem.

**Lewandowski** Teofil, rodem z Poznania, towarzysz drukarski w Krakowie, zginął w powstaniu 1863 r., pozostawiając żonę i córkę w Krakowie.

**Libelt** Karol, młodszy syn znakomitego obywatela, filozofa, pisarza i poety, nieodżałowanej pamięci dr. Karola, prezesa Koła polskiego, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, członka Akademii Umiejętności w Krakowie, kapitana artylerii wojsk polskich z r. 1831 i t. d. i t. d., zmarłego dnia 9 czerwca 1875 r. w Czeszewie pod Wągrówcem, i Maryi z Szumanów, urodził się w Poznaniu dnia 19 czerwca 1843 roku. Ukończywszy szkoły w Poznaniu, udał się na uniwersytet do Wrocławia, gdzie słuchał prawa. Młodzieniec wielkich zdolności i gorącego serca, rokował najpiękniejsze nadzieje i powszechnie przez swych rówieśników był kochany. Już w r. 1862 należąc do organizacyi narodowej, wraz z starszym bratem, **Pantaleonem**, dzisiejszym dziedzicem dóbr Zajączkowa pod Wronkami, używany był przez przebywającego podówczas w Księstwie Zygmunta Sierakowskiego (powieszono go dnia 27 czerwca 1863 r. w Wilnie) do rozmaitych misji zagranicznych, jak do Zurychu, do Wiednia, do Francji, do Anglii i do Sztokholmu, podczas gdy jego brat w tym samym czasie posłany był do Jeża (Zygmunta Miłkowskiego) do Mołdawii. Na hasło powstania pospieszył ś. p. Karol, rozporządziwszy i przeznaczony przedtem na rzecz sprawy narodowej cały zapis po matce chrześniwej, wraz z bratem i licznym gronem przyjaciół do oddziału Younga. Tu w bitwie pod Brdowem, w której **Pantaleon Libelt**, jako kapitan dowodził lewem skrzydłem, biegnąc do ataku, od pierwszej niemal kuli nieprzyjacielskiej ciężko ranny, kolbami Moskali dobity został. Brata jego, kontuzjowanego kartaczem, wzięto do niewoli i odprowadzono jako jeńca najprzód do Koła, następnie do Konina, zkąd wprowadzie szczęśliwie uszedł, ale natomiast przez władze pruskie kilkakrotnie był więziony. Karola pochowano w osobnej trumnie w wspólnej mogile obok 70 towarzyszy broni dnia 1 maja 1863 r. w Brdowie. Nieszczęśliwa matka, otrzymawszy wiadomość o bohaterskiej śmierci syna, rzekła te pamiętne słowa: „Gdy go żegnała, wiedziałam, że nie jest już moim, ale Ojczyzny.“ W parę też miesięcy później, nie mogąc przeboleć tej straty, umarła w Krakowie, w domu swjej córki,

profesorowej Łepkowskiej, dnia 16 grudnia 1863. — Pamięci syna poświęcił pozostały ojciec piękny w kościele czeszewskim pomnik. Po lewej stronie bocznego wejścia wznosi się na granitowym piedestału czworograniasta kolumna z czarnego marmuru, na której stoi urna z białego marmuru. Na kolumnie wyłobione złotemi głoskami: „*Nihil-procul a Deo.*“ Nad kolumną wmurowana w ścianę kościelną biała marmurowa tablica z napisem złożonym:

*Karolowi Libeltowi, młodzieńcowi pełnych nadziei, który poświęcił życie za Wiarę i Ojczyznę w walce z Moskalami pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r.  
Requiescat in pace!*

Rycina tegoż pomnika znajduje się w warszawskich „Kłosach“ (tom 23 nr. 595 z r. 1876).

**Libera Wojciech**, piekarz z Buku, poległ w bitwie pod Brdowem 1863 r.

\* **Lindner Karol**, b. podoficer wojsk pruskich, ciężko ranny w potyczce pod Dertką na Wołyniu 1863 r., wkrótce tamże umarł.

\* **Lubicki**, z Poznańskiego, służył pod dowództwem Czachowskiego i poległ w bitwie między Blizinem a Bobrzą dnia 10 czerwca 1863 r.

**Lutomski Bolesław**, dziedzic Stawu pod Strzałkowem, ur. 1839 r. we wsi Jabłonce w Królestwie Polskiem z ojca Józefa i Rozalii z Wieniawów Broniszów, uczęszczał do szkoły realnej, potem do gimnazyum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Po złożeniu egzaminu abituryskiego i odświeżeniu wojskowości przy artylerji konnej w Berlinie, objął majątek dziedziczny Staw, lecz wkrótce dla dalszego kształcenia się wyjechał zagranicę. Tam zastał go r. 1863. Brał czynny udział w powstaniu jako adjutant generała Wysockiego w bitwach pod Radziwiłłowem, Werką i t. d. Po rozbięciu oddziału, uwięziony w Krakowie przez 5 miesięcy, następnie przez rząd austriacki wywieziony do Wiednia, udał się ztamtąd do Paryża, a potem do Monachium, gdzie dłuższy czas przebywając, oddawał się studjom uniwersyteckim, a nawet, przypuszczając konfiskatę majątku przez rząd pruski, przysposabiał się do zawodu praktycznego. Powróciwszy do kraju, oskarżony w procesie berlińskim o zdradę stanu, jako oficer pruski skazany został na śmierć. Zwycięstwa pruskie w wojnie austriackiej przyniosły mu amnestyę, z zamianą kary śmierci na 5-kwartalne więzienie forteczne w Grudziądzu. Był to jeden z najgorliwszych i najzacieplejszych obywateli Księstwa, którego śmierć przedwczesna w roku zesłanym ogólny żal wywołała.

\* **Łabęcki**, oficer z sztabu Kononowicza, wzięty do niewoli dnia 1 czerwca 1863 r. wraz z dowódcą we wsi Grabowa Wola, a według innych podań w Zawadach niedaleko Jedlińska, rozstrzelany został w dzień Bożego Ciała, dnia 4 czerwca t. r. w Warcie.

**Łakiński Józef**, syn Wiktora i Teresy z Góreckich, dziedzic dóbr Iwna w Szubińskiem, urodzony w r. 1832, w trzecim roku życia został sierotą i tylko staraniom starszej siostry zawdzięczał dalsze wychowanie. Jako uczeń gimnazyum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu wstąpił w r. 1848 do szeregów narodowych i walczył pod Miłosławiem i Sokołowem w oddziale strzelców. Później poświęcił się gospodarstwu w Gułtowach, doznając troskliwej opieki ś. p. Sewerynowej Ostrowskiej. Odsłużywszy następnie wojskowość, tak dalece wykształcił się w dobrach Czerniejewskich w rolnictwie, iż mu ofiarowano samodzielny zarząd dóbr Sulgustowskich w Radomskiem. Ztąd na pierwszy odgłos po-

wstania udał się do obozu Langiewicza w Wąchocku, przebył pod nim całą kampanią aż do upadku dyktatury, i wstąpiwszy następnie do oddziału Dobrowolskiego, poległ dnia 15 maja 1863 r. w Ciechanowie, pochowany na cmentarzu w Dobrzykowie pod Gostyninem.

\* **Lebiński** **Leopold**, syn właściciela ziemskiego z Prus Zachodnich, poległ w oddziale Sumowskiego w potyczce pod Szcycami w Olkuskim dnia 7 maja 1863 r.

**Maciejowski** **Wacław** walczył w różnych oddziałach pod Łakińskim, Oborskim, Skowrońskim i Parczewskim. Ranny ciężkim szabli pod Kterami, nie ustąpił z pola i mianowany porucznikiem, przeszedł później do oddziału Wierzbickiego (Boruty). Wzięty do niewoli 11 kwietnia 1864 r., zesłany został do gubernii Irkuckiej, gdzie przez 6 lat pozostawał.

**Majewski** **Teofil** z Wągrówca, żołnierz z r. 1848, brał udział w bitwach pod Lubstowem, pod Olszakiem i Ślesinem, pod Nowąwsią i Brdowem, po powrocie uwięziony we Wrześni, odsiedział pół roku w twierdzy poznańskiej.

**Majznerowicz** **Józef**, ur. 1836 r., ranny pod Olszakiem, wstąpił po wyleczeniu się do kawalerii Taczanowskiego i odbył potyczki pod Wartą, Złoczewem, Sędziejowicami i Kruszyną. Tu ponownie ranny, dostał się do niewoli.

**Maliski** **Hugon** **Maryan**, rodem z Krotoszyna, poszedł do powstania jako prymaner gimnazyum ostrowskiego i poległ, jak się zdaje, pod Ignacem, gdyż mimo wszelkich starań rodziny nie można żadnych bliższych wiadomości o nim znikąd pozyskać.

\* **Małecki** **Antoni**, szeregowiec z kompanii Kaźmierza Unruga, poległ pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Małecki** **Andrzej**, ur. 1841 r., ranny w bitwie pod Nowąwsią, służył później pod pułkownikiem Callierem.

**Marcinkowski** **Jan** poległ dnia 26 kwietnia 1863 r. pod Nowąwsią.

\* **Margoński**, filolog z Poznańskiego, poległ dnia 26 kwietnia 1863 r. pod Nowąwsią.

**Markiewicz** **Jan**, ur. 1841 r. w Poznaniu, walczył pod Olszową i Ślesinem pod Mielęckim. W powrocie do Księstwa uwięziony, przesiedział 2 miesiące we Wrześni.

**Maryjański** **Nikodem** poległ dnia 26 kwietnia 1863 r. pod Nowąwsią jako dzielny kapitan strzelców. Szkoły ukończył w Trzemesznie.

**Mastowski** **Piotr**, ur. w Borku 1841 r., służył pod Taczanowskim, począwszy od Pyzdr aż do Ignacewa, później pod Miśkiewiczem. Wzięty do niewoli przy przejściu granicy przez oddział Ganier'a, więziony był przez 2 miesiące w Wieluniu.

**Matczyński** **Nepomucen** z Młodocina poległ na cmentarzu pod Mieczownicą, broniąc odwrotu, jako porucznik czwartej kompanii strzelców, dnia 2 marca 1863 r.

**Matuszewski** **Józef** z Poznania, ur. 28 marca 1830 r., za udział w powstaniu z r. 1863 uwięziony przez władze pruskie, przesiedział w cytadeli poznańskiej kilka miesięcy, następnie oskarżony o zbrodnię stanu przez dwa lata trzymany był w Moabitcie w Berlinie. W skutek niewygód więziennych osłabł na wzroku i na zdrowiu. Mieszka obecnie w Poznaniu przy ulicy Małe Garbary nr. 13.

**Mazur Tomasz**, obecnie drogerzysta w Ostrowie, służył w oddziale Czachowskiego. Wzięty do niewoli w bitwie pod Jurkowicami, został po jednorocznym pobycie w rocie aresztanckiej w Kazaniu zesłany na Sybir, gdzie aż do r. 1868 przebywał.

**Mąkowski Władysław** poległ pod Rudnikami obok swego krewnego, księdza Stanisława Klemczyńskiego (zob. wyż.).

**Miełcki Kaźmierz** (zob. wyż.).

\* **Mieszkowski Leon** służył najprzód pod Miełckim, następnie pod Taczanowskim i poległ pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r.

**Milewski Celestyn**, uczeń uniwersytetu w Wrocławiu, poległ dnia 29 kwietnia 1863 r. pod Brdowem. Nabożeństwo żałobne za spój jego duszy odbyło się w Wrocławiu dnia 10 listopada 1863 r.

\* **Miotkowski**, z Poznańskiego, poległ w bitwie pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r. jako szeregowiec.

**Mirzwicki Franciszek** z Marzyna w Prusach Zachodnich, służył jako strzelec w oddziale Raczkowskiego.

**Modrzyński Józef**, ur. 1845 r. w Poznaniu, brał udział w wyprawie Garczyńskiego, poczem był przez 10 miesięcy więziony przez władze pruskie.

**Mroziński Waleryan** z Gościszyna, major wojsk powstańczych, aresztowany jednocześnie z podpułkownikiem Stanisławem Wierzbiskim (zob. niżej), oskarżony był o zbrodnię stanu i więziony w Berlinie.

**Mroziński Józef**, b. dziedzic Chwałkowa, ranny niebezpiecznie w r. 1848 pod Trzemesznem, mimo to czynny brał udział w organizacji 1863 r., czem więcej jeszcze nadwreżył wątłe zdrowie. Jako mąż, ojciec i obywatel wzorowy, ujmował każdego za serce swą serdecznością i prawdziwie polsko-szlachecką postacią. Przez czas niejaki pełnił obowiązki redaktora „Ziemianina“ i sekretarza Centralnego Towarzystwa Rolniczego; należał także do dyrekcji Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu. Na kilka lat przed śmiercią przeniósł się na wieś pod Gniczno, tęskniąc zawsze za gospodarskimi zatrudnieniami. Umarł w skutek odnowienia się rany dnia 27 kwietnia 1871 r.

\* **Murzynowski**, dowódca oddziału pod główną komendą generała Taczanowskiego, poległ pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r.

**Musielski Dionizy**, rzeźnik z Poznania, odznaczył się bohaterką odwagą w bitwie pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r. Znajdując się z kilkudziesięciu towarzyszami w jednej z chałup, z której celni strzałami prażono nieprzyjaciela, a widząc, że Moskwa zaczyna inne chałupy, w których się znajdowali powstańcy, podpalać, chwycił za karabin i krzyknąwszy: „dalej bracia za mną! na bagnety!“ pierwszy z chałupy wyskoczył, dając przykład innym. Garstka dzielnych utworowała sobie bagnety wśród nieprzyjaciela szczęśliwie drogę i ocalała, ocalenie swe przecież głównie zawdzięczała Musielskiemu. Umarł on przed kilku laty w Poznaniu, piękną po sobie pozostawiając pamięć jako żołnierz, obywatel i wierny syn Ojczyzny.

\* **Müller Stanisław**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, poległ według jednych pod Brdowem, według drugich pod Ignacewem.

**Mycielski hrabia Ludwik** (zob. wyż.).

\* **Narczyński Zygmunt**, lat 25, z Prus Zachodnich, b. żołnierz pruski, walczył najprzód pod Mieleckim, następnie pod Czachowskim i zginął w potyczce między Blizinem a Bobrzą dnia 10 czerwca 1863 r.

**Nawrocki Józef** umarł z ran odniesionych w powstaniu dnia 10 listopada 1863 r. w lazarecie wojskowym w Poznaniu.

**Nawrocki Michał** urodził się w r. 1839 w Sulmierzycach, nauki gimnazyjalne ukończył w Ostrowie, poczem wstąpił do seminarium duchownego w Poznaniu. Ztąd poszedł w r. 1863 do powstania, ale ciężko ranny zaraz na wstępie pod Olszakiem dnia 22 marca, zmuszony był plac boju opuścić. Zaledwo się wyleczył, wzięto go do wojska pruskiego i wcielono za karę do kompanii roboczej (t. zw. szarków) nasamprzód w Poznaniu na Winiarach, następnie w twierdzy Torgawie. Po 2 $\frac{1}{2}$ -rocznej ciężkiej służbie uwolniony z wojska na mocy łaski monarchicznej, dopraszał się powtórnego przyjęcia do seminarium, czego mu jednakże władza duchowna odmówiła. Zawiedzion w nadziei, osłabiony na zdrowiu i bez środków utrzymania życia, przyjął w zacnym domu hrabiów Kwileckich w Oporowie obowiązki nauczyciela domowego i na tém stanowisku umiał sobie zjednać szacunek i przyjaźń tak uczniów, powierzonych jego pieczy, jak i ich rodziców. Po latach kilku oddał się za poradą hr. Mieczysława Kwileckiego zawodowi owczarskiemu i był dyrektorem najznakomitszych w Księstwie owczarni. Wśród pracy dokonał nagle zasłużonego żywota w Parczewie u hr. Józefa Szembeka, a wraz z nim straciło nasze społeczeństwo jednego z najszlachetniejszych synów, rodzina zaś, dla której wszystkie owoce swjej pracy poświęcał, rzeczywistego opiekuna i dobroczyńcę. Liczne grono przyjaciół, znajomych, a między tymi i dwaj dawniejsi jego uczniowie, odprowadziło zwłoki ś. p. Michała na wieczny spoczynek na cmentarzu w Ostrowie.

\* **Neugebauer**, z Poznańskiego, podoficer kawalerji pruskiej, padł w czasie potyczki pomiędzy Wiewcem a Krzywonicami w Piotrkowskim dnia 6 października 1863 r., cięty szablą przez głowę za niesubordynacyę przez rotmistrza Zarembe.

**Neumann Mieczysław**, uczeń prymy gimnazjum poznańskiego, poległ pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r. jako strzelec trzeciej kompanii.

**Neustuppe Wacław** urodził się w r. 1839 w Poznańskim, nauki pobierał w Poznaniu i Lesznie, później był nauczycielem domowym. Powstanie zastało go we Włoszech, gdzie uczył się robienia bronią od włoskich bersagliarów. Natychmiast podążył do Galicji i wyszedł w pole z oddziałem generała Waligórskiego. W pierwszej potyczce tego oddziału pod Borówcem poległ ugodzony kilku kulami karabinowemi w chwili, gdy swych podwładnych zachęcał do ataku na bagnety. Był on krewnym ś. p. Kaźmierza Tułodzieckiego, poległego pod Brdowem (zob. niżej).

**Niegolewski dr. Władysław**, poseł, udawszy się jako ochotnik do obozu Taczanowskiego, brał udział w walkach, począwszy od Pyzdr aż do Ignacewa. Tu ranny na barykadzie i szczęśliwie przewieziony do majątku swego Morownicy, zaledwie rana jego nieco się zagoiła, odwieziony do Berlina i oskarżony o zbrodnię stanu, przez trzy lata był więziony. — Postać tego znakomitego męża, przedwczesnie zgasłego dnia 19 marca 1885 r. w Poznaniu, zbyt żywo jeszcze tkwi w pamięci wszystkich, abym tutaj kusił się ją odtwarzać. Odsyłając zatem czy-

tehnika do IX Rocznika wydawanéj przezemnie „Złotéj Księgi“, w którój obszerne ś. p. Władysławowi poświęciłem wspomnienie (str. 312—321), tyle tylko dodam, że dopóki jedno jedyne polskie bić będzie serce, pamięć Władysława Niegolewskiego i jego ojca, bohatera z pod Somosierry, żyć nie przestanie.

\* **Niezanowski**, włościanin z Poznańskiego, poległ w bitwie pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r.

**Niketty** Władysław, rodem z Poznania, poległ 17 sierpnia 1863 r. pod Biskupicami w Lubelskiem.

**Nowakowski** Bronisław, strzelec z Będlewa, służąc jako podoficer w oddziale Younga, otoczony ze wszech stron w bitwie pod Brdowem przez Moskwę, wystrząsał z rewolweru sam sobie życie odebrał.

\* **Nowicki**, b. huzar pruski, pełnił służbę podoficera kawaleryi w oddziale Parczewskiego. Zginął w potyczce pod Kterami w Łęczyckiem w maju 1863 r., mając lat 23, pochowany w Strzegocinie.

\* **Oberski**, kupiec z Poznańskiego, zamordowany został przez Moskali w maju 1863 r. w Konińskiem.

**Offierski** Władysław, syn zasłużonego obywatela poznańskiego, Kacpra i Maryanny z Leńkiewiczów, urodził się w r. 1845 w Poznaniu, nie miał zatém 18 lat skończonych, gdy go zaskoczyło powstanie. Pracował wówczas jako towarzysz drukarski w oficynie Kamieńskiego. Napojony od dziecka uczuciami najgorętszej miłości Boga i Ojczyzny przez zacnych rodziców, od pierwszej chwili wydierał się na pole walki i już raz zdołał ująć z domu rodzicielskiego, ale aresztowany przez władze pruskie we Wrześni, przez ojca został uwolniony i przywieziony z powrotem do Poznania. Odtąd tak długo błagał rodziców, aż mu nie udzielili błogosławieństwa swego i zezwolili, by poszedł do powstania. Dzielny młodzieniec zginął od kuli nieprzyjacielskiej w krwawéj bitwie pod Nowąwsią dnia 26 kwietnia 1863 r., pochowany w wspólnej mogile (zob. wyż. rozdz. V).

**Olszewski** Franciszek, z zawodu kuchmistrz, urodził się w Szczurach pod Raszkowem, w majątku pułkownika Skórczewskiego, dnia 12 października 1827 r., z ojca Józefa, poległego śmiercią walecznych w roku 1831. Nic dziwnego, że w żyłach syna ta sama krew płynęła. Już jako 20-letni młodzieniec należał w r. 1846 do niefortunnej wyprawy kurnickiej, za którą blisko trzy lata był więziony w Poznaniu, Berlinie i Sonnenburgu. Zaledwo uwolniony, zaciągnął się do bratnich szeregów i wziął udział w bitwie pod Miłosławiem. Tu wzięty do niewoli i skazany na trzyletnią służbę wojskową w Głogowie, doszedł do stopnia podoficerskiego, poczem ożenił się i osiadł w Czarniejewie. W r. 1863 nie wahał się ani chwili i poleciwszy opiece Boga żonę i troje drobnych dzieci, znów pospieszył na pole walki do oddziału Taczanowskiego. Brał udział w potyczkach pod Pызdrami i Kołem; wreszcie pod Ignacewem, dnia 8 maja 1863 r., gdzie znalazł śmierć bohaterską, ugodzony dwoma kulami, jedną pod okiem, drugą w serce. Pogrzebiony w wspólnej mogile w Sępólnie pod Ignacewem.

**Olszewski** Leon, ur. 1845 r. z rodziców Józefa Olszewskiego i Pauli z Trawińskich, z gimnazjum trzemeszeńskiego udał się do powstania i służył w oddziale pułkownika Callier'a w randze porucznika. Ranny w utarczce pod Dobrzelinem i wzięty do niewoli, a następnie wydany władzom pruskim, był więziony w Łobżenicy. Odzyskawszy

wolność, poświęcił się zawodowi budowniczemu i osiadł początkowo w Toruniu, później w Nakle, gdzie przez lat 15 pracując, powszechny zjednał sobie szacunek nie tylko u obywateli, ale nawet u rządu, który mu różne powierzał budowlę kolejowe. Dotknięty ciężką chorobą, przeniósł się dwa lata przed śmiercią do Poznania, gdzie mimo najusilniejszych starań lekarzy i najtroskliwszej pieczy żony dnia 27 grudnia 1883 r. życia dokonał.

**Olsztyński** Czesław, ur. 1842 r., brał udział w wyprawach Younga, później Taczanowskiego. Po powrocie więziony był przez 3 miesiące przez władze pruskie.

\* **Opalski**, z Księstwa, czy też z Kaliskiego, podoficer w oddziale Younga, poległ w bitwie pod Nowąsią dnia 26 kwietnia 1863 r.

**Orłowski** Władysław zmarł w skutek ran odniesionych dnia 27 września 1863 r. w Śleszynie pod Pniewami.

\* **Osten**, ze znanej i szanowanej w Poznańskim rodziny, służył jako podoficer pod Taczanowskim i odznaczył się w potyczce pod Pyzdrami. Później udał się w Lubelskie, gdzie schwytyany przez Moskali, bez śledztwa i sądu został powieszony.

**Owsiński** Aleksy urodził się w r. 1841 w Bolechowie pod Poznaniem, gdzie ojciec jego, Maciej Owsiński, był podówczas rządcą. Uczęszczał do szkoły realnej w Poznaniu, a doszedłszy do sekundy wyższej, poświęcił się zawodowi gospodarczemu. Po wybuchu powstania przybył do rodziców do Elzanowa w Prusach Zachodnich, gdzie za staraniem ś. p. Zygmunta Działowskiego formował się oddział pod wodzą kapitana Szermętowskiego (Henryka Łowińskiego, wychodźcy z r. 1861). Dnia 22 kwietnia 1863 r. w nocy oddział ten, składający się z kilkudziesięciu ludzi, przekroczył granicę pruską pod Tobołką i wszedł w Lipnowskie, ale tu zaraz pierwszego dnia przez przeważne siły moskiewskie atakowany pod Nietrzebiem, po krótkiej utarczce rozproszył się. Z naszych poległo 8, między tymi Śląski z Wołynia, Romanowicz (zob. niżej) i Aleksy Owsiński, który ranny ciężko w prawą nogę, gdy go brat młodszy, Walery Owsiński, chciał unosić z pola walki: „uciekaj — rzece — bo i ciebie zabiją.“ Dnia następnego zebrano trupów, ale tak potrzaskanych kołbami, że ich twarze już nie można było rozpoznać. Pogrzebani w Chorostkowie w powiecie lipnowskim. Za spokój duszy ś. p. Aleksego Owsińskiego odbyło się nabożeństwo żałobne dnia 20 czerwca 1863 r. w Wielkiej Łące pod Kowalewem.

**Pajzert** ze Śremu walczył pod Youngiem w trzeciej kompanii kosynierów, ale powrócił szczęśliwie do domu.

**Palacz** Wawrzyn, ze znanej z patriotyzmu wieśniaczej rodziny z Górczyna pod Poznaniem, poległ dnia 29 kwietnia 1863 r. pod Brdowem. Służył także w trzeciej kompanii kosynierów.

**Palewski** Franciszek, urzędnik gospodarczy w Kembłowie, włości należącej do dóbr Miłosławskich hrabiów Mielżyńskich, poległ w bitwie pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r. i tamże w wspólnej mogile pogrzebiony. Był to człowiek silnego, nieugiętego charakteru, wielkiego hartu duszy i gorącej miłości Ojczyzny.

\* **Paradowski**, syn mieszczanina, ranny pod Brdowem i wzięty do niewoli, zmarł w drodze.

**Parczewski Franciszek**, syn Ignacego, dziedzica dóbr Osieka w Odolanowskim, oficera wojsk polskich z r. 1831, i Ludwika z Pruskich, już w r. 1848 odznaczył się mężstwem i dla tego powierzono mu w r. 1863 dowództwo oddziału, walczącego w Kaliskim, Sieradzkim i Wieluńskim. Nie poległ on później, jak mylnie podaje *Kolumba* w swój „Pamiętce dla rodzin“, ale powróciwszy do Księstwa, umarł dnia 19 marca 1886 r. w Gostyniu.

**Parczewski Walenty**, młodszy brat poprzedniego, dowodził oddziałem jazdy w Łęczyckim i również jak brat odznaczał się mężstwem. Umarł w Grabianowie, w domu swego brata Józefa, dnia 16 kwietnia 1869 r.

**Pawłowski Adam**, z Opok w Prusach Zachodnich, służył pod Raczkowskim i pod Youngiem; ranny pod Brdowem i wzięty do niewoli, przez lat 14 był w kopalniach.

\* **Pawłowski**, szewc z Gołubia, poległ pod Szeremętowskim w potyczce pod Nietrzebiem dnia 22 kwietnia 1863 r., pochowany w Chorostkowie w Lipnowskim.

\* **Pawłowski Antoni**, szewc z Poznańskiego, zginął pod Mieczownicą dnia 5 grudnia 1863 r.

**Pągowski Artakserkses**, z Kucharek w Pleszewskim, b. podoficer pruski, wzięty pod Nowąwsią do niewoli, po czterech miesiącach uwolniony, zginął jako dowódca małego oddziałku pod Równą, wsią między Błaszczkami a Sieradzem, dnia 23 sierpnia 1863 r.

\* **Perl Lajzer Mendel**, z Gąbina, zamordowany przez kozaków dnia 25 lutego 1863 r.

**Petrykowski Michał** walczył pod Mielęckim, dalej pod Taczanowskim. W bitwie pod Ignacem ranny, służył po wyleczeniu w żandarmerii, a wzięty 15 listopada 1863 r. do niewoli, został skazany na lat 6 do rot aresztanekich w Symbirsku.

\* **Pezański Wiktor**, aptekarz, służył pod generałem Taczanowskim i poległ w jednej z potyczek 1863 r.

**Pętkowski Józef**, b. właściciel dóbr Nożyczyna, ranny był w nogę pod Niewieszem.

\* **Piaszczyński**, lat 30, ogrodnik z Prus Zachodnich, zginął pod Mielęckim w potyczce pod Slesinem 1863 r.

\* **Piątkowski** służył w oddziale Raczkowskiego pod główną komendą Callier'a i zginął w potyczce pod Kleczewem dnia 10 czerwca 1863 r.

**Pieprz** (pseudonim), b. podoficer pruski, służył najprzód pod Mielęckim, następnie pod Youngiem. Ranny pod Brdowem i umieszczony przez jednego z towarzyszy z placu boju, w kilka godzin skonał.

**Plewiński Antoni Ignacy** umarł dnia 21 lipca 1863 roku w Kłecku wskutek ran odniesionych na polu bitwy.

\* **Pliwkiewicz Maksymilian**, b. podoficer wojsk pruskich, w powstaniu podoficer żandarmów w oddziale Szokalskiego, poległ w potyczce pod Lutoborzem w okolicach Kowala dnia 22 grudnia 1863 r.

\* **Płachecki Antoni** umarł w lazarecie w Strzelnie z ran odniesionych w r. 1863.

\* **Płaksiński** z Prus Zachodnich, gospodarz rolny, zginął w kwietniu 1863 r. w powiecie konińskim.

**Pławiński** Bolesław, ur. 1847 r. w Małych Sokolnikach pod Szamotułami z ojca Lucyana Pławińskiego, więźnia stanu w Sonnenburgu i Berlinie w r. 1846—48, i Antoniny z Nowackich, wyruszył jako kwartaner gimnazjum trzemeszeńskiego na powstanie i zginął w potyczce pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r. Ciała jego nie zdołano odszukać. Uroczyste nabożeństwo żałobne za spokój jego duszy odbyło się 20 kwietnia 1863 r. w Zydowie pod Gnieznem.

**Podczaski** Mieczysław, oficer kawaleryi w oddziale Michała Zielińskiego, zginął dnia 23 września 1863 r. pod Zdżarami w powiecie rawskim. Pochowany wraz z dwoma towarzyszami broni: Kubickim (zob. wyż.) i Karolem Sygietyńskim (zob. niżej) w Studziannie w powiecie opoczyńskim.

\* **Poleski** poległ pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r.

**Poniński** Józef, najstarszy syn Henryka, b. dziedzica Komornik pod Poznaniem, i s. p. Emilii z Zabłockich, powszechnie w szkołach poznańskich kochany przez kolegów dla szlachetności charakteru i łagodności w obejściu, udał się, mając lat 20 do Warszawy, by tam w akademii duchownej kształcić się na kapłana. Na pierwszy odgłos walki porzucił wszakże spokojne zacisze, przybył do Księstwa po błogosławieństwo rodzicielskie i z pierwszym oddziałem wyruszył pod wodzą dr. Okoniewskiego na pole walki. Zginął pod Dobroszowem dnia 2 marca 1863 r., zasłaniając odwrót cofającego się hufca Kaźmierza Mieleckiego. Pochowany w wspólnej mogile wraz z innymi towarzyszami broni.

\* **Pospiech** Antoni z Górnego Szląska, robotnik przy kolei żelaznej, zastrzelony przez rosyjskiego oficera Denga na stacyi Rokiciny dnia 8 czerwca 1863 r.

**Powidzki** Antoni, ur. 1832 r. ojca Kaźmierza i matki Julii z Niedzielskich w Powidzu, miasteczku w Gnieźnińskim, którego mieszkańcy już w XIII wieku w wojnie z Krzyżakami zasłynęli, jak to przekonać się można z przywileju Bolesława V Wstydliwego nadanego w r. 1243 Powidzanom. Jako 15-letni młodzieniaszek, będąc uczniem gimnazjum w Trzemesznie, stanął w r. 1848 w szeregach bratnich i w potyczce pod Trzemesznem otrzymał ranę w lewe podbarcze. Wyleczywszy się, wrócił do szkół, które aż do wyższej sekundy odwiedzał, które jednakże, stawając w obronie honoru towarzyszy, opuścić musiał. Oddał się potem zawodowi gospodarczemu, z skończonym przecież rokiem 20-tym ściągniętym został, skoro spostrzeżono jego ranę, do trzyletniej służby wojskowej za karę, posiadał bowiem prawo do służby jednorocznej. Obowiązkowość jego zjednała mu przełożonych i wyszedł z gwardyi ułanów w Berlinie w stopniu podoficera. W r. 1863 na pierwszą wieść o powstaniu udał się w okolice Lędu, gdzie dość znaczna liczba zebrała się ochotników; ci jednakże, nie mając broni, na wieść o zbliżeniu się Moskwy zmuszeni byli się rozpięchnąć. Wrócił zatem do domu, a wkrótce potem wyjechał do Krakowa, w zamiarze wstąpienia do oddziału Langiewicza. Wszakże i tu już napotkał tylko rozbitki. Po raz wtóry zawitał do rodzicielskiego domu, by niebawem go opuścić na — zawsze. Z pod Miłosławia przeprowadził znaczny oddział ochotników przez granicę i oddał się pod rozkazy Younga de Blankenheim, który go mianował porucznikiem. Prowadził pierwszy pluton kompanii strzelców. Zawsze wesół, dodawał zachęty towarzy-

szom broni; nagle sposepniał, a na zapytanie, dla czego, odrzekł ponuro: „dziś spotkam się z Moskałami i ja polegę!“ Było to dnia 26 kwietnia w niedzielę nad ranem w pobliżu Nowejwsi. Przeczul niestety, jedno i drugie. Wnet ukazały się hufce nieprzyjacielskie. Jedna z pierwszych kul ugodziła go w czoło śmiertelnie. Spokój jego popiołom!

**Preiss Józef**, mularz z Poznania, mając w powstaniu z r. 1863 strzaskaną dłoń i nadwreżone lewe ramię, z trudnością tylko na utrzymanie siebie i rodziny mógł zarabiać. Dnia 21 sierpnia 1878 r. pracując przy budowlu w Rynku w Poznaniu, stracił równowagę, a nie mogąc się uchwycić zranioną ręką rusztowania, spadł na bruk i wnet ducha wyzionął. Pozostawił wdowę i pięcioro drobnych dzieci.

**Prusinowski**, brat słynnego kaznodziei i proboszcza w Grodzisku, zginął pod Dębskiem, jako podoficer w oddziale Korytkowskiego, dnia 4 października 1863 r.

**Przybyliński Jan**, ranny pod Olszakiem i wzięty do niewoli, po wyleczeniu zesłany został do gubernii tobołskiej na Sybir.

**Przybyłowicz**, z Pleszewa, brał udział w bitwach pod Pyzdrami i pod Kołem; poległ pod Ignacemwem dnia 8 maja 1863 r.

**Przymocki Antoni** z Sulmierzyc zginął w roku 1863 pod Lututowem.

**Psarski Władysław**, z Odolanowskiego, 16-letni uczeń gimnazjum ostrowskiego, walczył najprzód w oddziale Grekowicza pod Radomskim i pod Szklarami dnia 5 kwietnia 1863 roku, odznaczając się męstwem. Po rozwiązaniu się tego oddziału przyaresztowany na granicy przez patrol austriacki wraz z dwoma swymi przyjaciółmi, był przez trzy miesiące więziony w Krakowie, z kąd szczęśliwie uszedłszy, już dnia 14 sierpnia brał udział w oddziale Tetery w potyczce pod Czernichowem. Wzięty do niewoli, zdołał znowu ujść szczęśliwie, przebrany za kobietę, i podążył bez zwłoki do oddziału Czachowskiego. Ranny w potyczce pod Jurkowicami dnia 21 października 1863 r., zamordowany został przez Moskali.

\* **Pyżycki Adolf**, lat 14, uczeń gimnazjum, zdążając bezbronny z kilku przyjaciółmi do oddziału Mieleckiego, został zamordowany przez Moskali w Konińskim w r. 1863. Koledzy jego szczęśliwie uszli.

\* **Raczkowski**, b. żołnierz pruski, nie przyjąwszy awansu, ciężko ranny jako szeregowiec w oddziale Czachowskiego w potyczce pod Rajtami dnia 11 czerwca 1863 r., wkrótce Bogu ducha oddał.

**Radoński Stanisław**, najmłodszy syn Józefa i Ludwiki z Kierskich, dziedziców dóbr Rudnicza w Wągrowieckim, pochodząc z tój zacnej i słynnej z patryotyzmu rodziny, której dziewięciu synów w roku 1830 pospieszyło do szeregów narodowych, wzrastał od dziecka w najgorętszej miłości Ojczyzny i w uczuciach rycerskich. Uniesiony młodzieńczym zapałem, porzucił domowe ognisko, by pod Garibaldim walczyć za wolność Włoch i tu zdobył sobie szlify oficerskie, medal pamiątkowy i list pochwalny od swego wodza. Na wieść o wybuchu powstania natychmiast powrócił do kraju, nie mogąc się wszakże w gorączce walki doczekać dość rychłej z Księżstwa wyprawy, podążył w Krakowskie i tu przy niefortunnym ataku Kurowskiego na Miechów dnia 17 lutego 1863 r. ciężko ranny, widząc Moskali pastwiących się nad rannymi, a nie chcąc się podobnego losu doczekać, wystrzął z pistoletu sam sobie życie odebrał.

Strasznym tym ciosem przygnębieni rodzice, tém cięższą troską wypełnione mieli serca o los dwóch drugich synów, o których długo najsprzeczniejsze krążyły wieści. Najstarszy, **Teodor Radoński**, osadzony za udział w organizacji w cytadeli warszawskiej i zesłany na Sybir, przez 6 lat, które podkopały jego zdrowie, pozostawał na wygnaniu, z kąd go dopiero usilne starania matki wyostać zdołały jako poddanego pruskiego. Powrócił, ale pozostawiając w lodowatych sferach Minusińska zwłoki maleńkiej córeczki i bohaterskiej żony, **Józefy z Krzymuskich Radońskiej**, która mimo wątłego zdrowia pospieszyła dobrowolnie na Sybir, by osadzać dolę mężowi. Drugi z rzędu syn **Józefosta Radońskich, Leonard Radoński**, obecnie dziedzic Słupowa pod Kcynią, walczył mężnie w kilkunastu bitwach, począwszy od Mieczownicy i Dobrosołowa aż do upadku powstania. Z pod Dobrosołowa zaledwie z życiem uszedł... Przechacnych ojców dzielni synowie!... Z téj samej rodziny stryjowie **Stanisława**, weterani z r. 1831, **Faustyn i Anastazy**, oraz jego stryjeczny brat, **Seweryn**, syn **Tadeusza**, byli więzieni w latach 1863 i 1864 za zbrodnią stanu w Berlinie, drugi zaś brat stryjeczny, **Stefan**, syn **Alojzego**, był adjutantem generała **Taczanowskiego**.

\* **Radowicz Romuald** z Jarocina poległ w bitwie pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Rakowski Feliks** z Poznania, przez dłuższy czas dzierżawca Szelaża, ranny w r. 1863, umarł w r. 1885 wskutek otworzenia się rany.

**Rekowski Ludwik** z Górzadowa ranny pod Olszakiem (zob. wyż.).

**Rogalski Szczepan** z Sulmierzyc zginął 1863 r. pod Lututowem.

**Rogalski**, syn wyrobnika, aresztowany przy powrocie z powstania i osadzony nasamprzód w cytadeli na Winiarach w Poznaniu, przeniesiony następnie do wojskowego lazaretu, umarł tamże dnia 22 czerwca 1863 r. wskutek ran. Zwłokom jego towarzyszył bardzo liczny orszak żałobny dnia 25 t. m. i r. na cmentarz wojskowy.

**Romanowicz**, uczeń prymy w gimnazjum chełmińskim w Prusach Zachodnich, zginął pod Nietrzebiem dnia 22 kwietnia 1863 r., pogrzebany w Chorostkowie (zob. wyż. **Owsiński Aleksy**).

**Roznowicz Kaźmierz** z Marzyna w Prusach Zachodnich, poległ pod Krzywosądzem w oddziale generała **Mierosławskiego** jako strzelec dnia 19 lutego 1863 r.

**Rychlewski Teodor** umarł dnia 8 września 1863 r. w Poznaniu wskutek ciężkiej choroby w niewoli rosyjskiej, do której się dostał ranny po bitwie pod Brdowem.

**Rychliński Stanisław** umarł z ran w końcu kwietnia 1863 r. w zakładzie Sióstr **Miłosierdzia** w Poznaniu.

**Rychter Jan** z Poznania służył pod Youngiem, walczył pod Nowąwsią i pod Brdowem, gdzie ranny w prawą rękę.

\* **Ryden**, z Prus Zachodnich, w wieku 40 lat, szeregowiec w oddziale **Wawra**, poległ dnia 27 czerwca 1863 r. pod wsią **Gruszki** w **Augustowskim**, pozostawiając żonę i dwoje dzieci.

**Rzepecki Bolesław Kaźmierz**, ur. dnia 30 marca 1842 r. w **Potworowie** w powiecie **radomskim**, wyszedł z gimnazjum **trzemeszeńskiego** wraz z inną młodzieżą szkolną i rzemieślniczą na powstanie i brał udział w bitwie pod **Mieczownicą** i **Dobrosołowem** dnia 2 marca

1863 r. Tu ranny i przewieziony do Księstwa, przeleżał 6 tygodni w Grzybowie u pp. Trampezyńskich. Jakkolwiek nie całkiem wyleczony, pospieszył do tworzącego się oddziału Younga i bił się pod Nowąwsią i Brdowem, gdzie obok niego padł dzielny kapitan Maryański. Gdy rany wciąż się odnawiały, uznany za niezdolnego do boju, powrócił do Poznania.

\* **Rzepicki Waleryan**, uczeń gimnazyalny, poległ według jednych dnia 3 września 1863 r. pod Parasówką, według drugich dnia 6 września t. r. pod Batorzem.

\* **Rzeźniewski Hipolit**, uczeń zawodu kupieckiego w Poznaniu, zginął w powstaniu 1863 r. na Litwie.

**Sagański z Nieboży** zginął w bitwie pod Dębskiem dnia 4 października 1863 r., jako podoficer w oddziale Korytkowskiego.

**Sawicki Aleksander**, syn Edwarda, dziedzica dóbr Rybna w Gnieźnieńskim, i Antoniny z Brudzewskich z Otorowa, wyruszył w pole, jako uczeń gimnazjum leszczyńskiego, skazany na 3 miesiące więzienia za udział w Towarzystwie literackim młodzieży, wraz z Wincentym Urbanowskim i Henrykiem Kamińskim z Miłosławia do oddziału Garczyńskiego. Przy przejściu granicy zламаła mu się lanca, co wzbudziło w nim smutne przeczucie śmierci. Mimo to, gdy z nieszczęsnej walki pod Mieczownicą wyszedł cało, pospieszył powtórnie do oddziału Taczanowskiego, który go mianował porucznikiem. Ugodzony o godzinie 10 przed południem pod Ignacewem trzema kulami, jedną w szyję, a dwoma w prawą rękę, umarł tego samego dnia w Gosławicach i tamże z wielkim udziałem obywatelstwa i ludu wiejskiego pochowany.

\* **Sachocki Władysław**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, był w bitwie pod Mieczownicą i odtąd zginął bez wieści, zdaje się zatem, że poległ.

**Scheide Józef** służył pod Padlewskim, wzięty do niewoli, więziony był po dwakroć w Płocku, poczem udał się do Lwowa, a następnie do Poznania, gdzie pracuje w fabryce Krzyżanowskiego. Wdowiec z trojgiem małych dzieci.

**Sczaniecki Michał**, obecnie dziedzic dóbr Łaszczyna w W. Księstwie Poznańskim i Nawry w Prusach Zachodnich, poseł na sejmy berlińskie, syn ś. p. Ignacego i Filipiny z hrabiów Mielżyńskich, ciężko był ranny w rękę w bitwie pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r.

**Siekierski Antoni**, z Marzyna w Prusach Zachodnich, służył jako podoficer w oddziałach Okoniewskiego, Taczanowskiego i Younga i brał udział w kilkumastu potyczkach. Czterokrotnie ranny i wzięty do niewoli, przez lat 7 pracował w kopalniach syberyjskich.

**Siekierski Tomasz**, z Opola w Prusach Zachodnich, wzięty do niewoli w bitwie pod Brdowem, ciężko ranny, zesłany był na Sybir, z kąd po latach 7 powrócił.

**Siekierski Konstanty**, brat poprzedniego, poległ pod Pызdrami.

**Skarupski Jakób**, z Poznania, służył nasamprzód pod Mieleckim i był w potyczkach pod Olszakiem i Slesinem; następnie walczył pod wodzą Younga pod Nowąwsią i Brdowem; dalej pod Ganier'em od dnia 26 lipca 1863 r. Wyprawa ostatnia nie udała się, gdyż wojska pruskie rozproszyły oddział przy przejściu granicy i zabrały furgony z bronią i ubiorem. Pozostających 50 ochotników, między nimi Skarupski,

zdołali przebyć granicę pod wodzą oficera wojsk francuzkich Soudaix, lecz zaatakowani przez Moskali w pobliżu Pызdr, utracili w utarczce 10 ludzi, między którymi i dowódcę, który padł ugodzony trzema kulami. Skarupski ranny kulą w prawą nogę i pokłuty bagnętami, dostał się z kilku innymi towarzyszami broni do niewoli. Zawieziono ich najprzód do Pызdr, następnie do Konina do lazaretu wojskowego. Po kilku tygodniach odstawiono ich do granicy pruskiej. Skarupskiego przewieziono do cytadeli Winiary w Poznaniu, gdzie przesiedział 4 miesiące. Uwolniony wraz z kilku towarzyszami w wigilią Wszystkich Świętych, znów podążył na pole walki, ale gdy rana w nodze mu się otworzyła, zniewolony był powrócić do Poznania, gdzie dotąd mieszka przy ulicy Młyńskiej nr. 22, nie domagając wciąż na zdrowiu i nie zdolny do cięższej pracy.

**Skory Józef**, kuśmierz z Gniezna, służył w strzelcach w kompanii Kaźmierza Unruga; ciężko ranny w nogę pod Ignacem, powrócił do zagrody domowej. Kilkakrotnie więziony, później wzięty do wojska, odbył kampanię austryacką i francuską, a teraz pędzi zacny żywot w Gnieźnie. O przygodach tego zacnego weterana w czasie kampanii na inném piśmie miejscu według jego własnego opowiadania, pełnego prostoty i gorącego patriotyzmu.

**Skrzydlewski Władysław**, syn Władysława i Józefy Skrzydlewskich, dziedziców Sulęcina, a brat Stefana i Teodozego Skrzydlewskich, żołnierzy z roku 1848, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, wskutek ciężkiej rany w kolano, otrzymanej w bitwie pod Brdowem dnia 29 kwietnia i amputacji nogi umarł mimo troskliwszej opieki p. Emilii Sezanieckiej w lazarecie w Strzelnie dnia 14 lutego 1864 roku, pochowany w Solcu pod Nowém Miastem, przy bardzo licznym udziale duchowieństwa, obywateli i ludu.

**Skrzyński Józef** urodził się w roku 1833 w Czołowie w Królestwie Polskiem, majątku rodziców, Jana Nepomucena i Magdaleny z Büthnerów Zawadzkich małżonków Skrzyńskich. Utraciwszy wczesnie rodziców, wychowywał się w Poznaniu w domu wuja swego. Po wyjściu z gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny poświęcił się zawodowi gospodarczemu, kształcąc się w znamienitej szkole turewskiej pod kierunkiem generała Dezyderego Chłapowskiego. Na hasło powstania nie wahał się ani chwili i jeden z pierwszych Wielkopolan chwycił za broń. Mianowany dowódcą ruchomego oddziału konnego, okazał niezwykle talent do prowadzenia partyzantki i zjednał sobie pochwały rządu narodowego. Wciąż niepokojąc nieprzyjaciela, co chwila staczał z nim potyczki dla oręza polskiego utarczki. „Dnia 9 lipca — opowiada świadek naoczny, oficer 2 plutonu — bił się w Łęczyckiem, zbliżając się do miasteczka Główny. Po drodze uwiadomiony o zajęciu tegoż miasteczka przez Moskali, postanowił ominąć ich i przejść bokiem przez las. Było to 11 lipca. Wtém zmienacka przy końcu lasu napada nań pół sotni kozaków i z po za chojenek obrzuca go gradem kul. Następuje zamieszanie i 1 pluton oddziela się od drugiego. Skrzyński wszelako nie traci przytomności i komenderuje: w lewo! t. j. na pole. Ale tylko oficerowie i 24 szeregowców idą za nim, reszta pierzcha, mianowicie dwa ostatnie plutony, zamiast uderzyć na wroga, którego miały z frontu, rozsypują się. Skrzyński wraz z garstką wiernych robi zwrot, przypuszcza szarżę, rozbija kozaków i pędzi ich przez pole, wszakże widząc

nadjeżdżającą na podwodach z miasteczka piechotę moskiewską, wstrzymuje pogoń i wraca na miejsce pierwszego spotkania. Tu traci 2½ godziny na bezowocnym szukaniu reszty swego oddziału. Moskale tymczasem w pół sotni kozaków i sotnią piechoty zbliżają się do ataku. Skrzyński z 28 ludźmi cofa się w porządku, gdy przy przekroczeniu szerokiego rowu koń pod nim pada i łamie nogę. Spostrzegłszy to towarzysze jego, stawają frontem do nadbiegających kozaków i wystrzelałami z rewolwerów powstrzymują ich tak długo, dopóki wódz podanego mu drugiego konia nie dosiada, poczem znów zwolna się cofają. Na nieszczęście kula nieprzyjacielska rani Skrzyńskiego ciężko w rękę, który z konia spada. Po raz wtóry zatrzymuje się garstka wiernych, wymierzając celną broń przeciw następującym kozakom. I znów dosiada Skrzyński konia, jeszcze jedna salwa do kozaków, na lewo w tył zwrot i dalszy odwrót w zupełnym porządku. Ale drugi strzał przeszywa Skrzyńskiemu drugą rękę, a w kilka minut później dostaje postrzał w piersi, który go zwała z konia. Nasi po raz trzeci stają w pobliżu stacji kolei żelaznej Rogdy, lecz w tej samej chwili dopada kozak i spisał przebija na wylot leżącego Skrzyńskiego... Już tylko skinieniem ręki zęgną towarzyszków i dostaje się do niewoli na wpół nieżywy. Jeden z piechurów moskiewskich chce go dobić bagnetem, ale go odtrąca major, który zaledwie sam nie przypłaca swego szlachetnego czynu życiem. Rozjuszony bowiem żołdak rzuca się nań, wołając: „Oddaj broń, skoro nie umiesz służyć!“ Wszelako nie zamordowano Skrzyńskiego, ale dzięki staraniom wspomnianego majora rosyjskiego, opatrzone jego rany. Pomimo strasznych cierpień, gdy odzyskał przytomność, odezwał się do otaczających go oficerów rosyjskich w te słowa: „Nie mam żalu do was — wy bronicie cara, lecz patrzcie, jak słodko jest umierać za Ojczyznę!“ — To trulo ostatnie jego chwile, że tak sromotnie opuścili go dwa plutony jego jazdy. Dla ich odszukania stracił półtrzeciej godziny, które mógł użyć do odwrotu. Ale gdy towarzysze jego robili mu przedstawienia, by o własnym myślał ocaleniu: „Cóżby — rzecz — powiedziały matki i siostry nasze, iżem zgubił ich synów i braci, mój pieczy powierzonych... Raczęj dam się rozsiękać, a o losie ich zapewnionym być muszę.“ — I padł bohater ofiarą swego poświęcenia!... Zażądał spowiednika, a przyjąwszy Sakramenta ŚŚ., w pięć minut ducha wyzionął. Pogrzebany w miasteczku Brzezina w województwie raskim.

**Ślaski**, rodem z Wołynia, wychodzca, poległ w wyprawie Szeremętowskiego z Prus Zachodnich pod Nietrzebim dnia 22 kwietnia 1863 r., pochowany w Chorostkowie (zob. wyż. Aleksy Owsiniński).

\* **Słowikowski** Józef, z Wielichowa, rybak, służył w oddziale Wiśniewskiego i ranny, umarł w Walawce.

**Słowiński** Andrzej, rodem z Pleszewa, walczył pod Pyzdrami i Kołem; poległ pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Śniegowski** Tomasz, ur. 1845 r. w Inowrocławiu z rodziców niezamożnych, Józefa i Antoniny Śniegowskich, jako uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego udał się wraz z towarzyszami szkolnymi na powstanie w marcu 1863 r. i zginął w lasach Kaźmierskich.

**Śniegowski** Tomasz, ur. 1831 roku w Poznaniu, walczył pod Youngiem w bitwach pod Nowąwsią i Brdowem, gdzie wzięty do niewoli, zesłany został do gubernii orłowskiej na 4 lata.

\* **Sobociński**, kowal z Rybna w Prusach Zachodnich, w czasie re wizyi także pokłuty bagnetami przez wojsko pruskie, zmarł w drodze do więzienia 1864 r.

**Sokolnicki** Emilian umarł wskutek ciężkiej rany odniesionej w r. 1863 dnia 5 kwietnia 1864 r. (zob. wyż.).

**Sokolnicki** Michał poległ we wsi Licheniu pod Koninem dnia 8 maja 1863 r. (zob. wyż.).

**Sokolnicki** Piotr poległ pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 roku (zob. wyż.).

**Sokolnicki** Stanisław ranny pod Nowąwsią (zob. wyż.).

**Sokolnicki** Szymon ranny dwukrotnie, pod Nowąwsią i pod Brdowem (zob. wyż.).

**Sokolnicki** Michał, wnuk generała, utracił w roku 1863 rękę (zob. wyż.).

\* **Sokołowski**, czeladnik kowalski czy ślusarski z Poznańskiego, poległ w bitwie pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r.

**Solnicki** Piotr służył jako kapitan pod Seyfriedem i zginął w bitwie pod Nowąwsią 27 kwietnia 1863 r., pochowany w Słonkowie.

**Sosnowski** Józef, z Wągrowieckiego, poległ pod Mieczownicą dnia 5 grudnia 1863 r.

**Spizewski** Franciszek, z Woźnik pod Gnieznem, szewc, w 20 roku życia przeszedł wraz z kolegą swoim, ś. p. Wawrzynem Morawskim, granicę i brał udział w rozmaitych potyczkach pod wodzą Younga i generała Taczanowskiego. Po powrocie do Księstwa kilkakrotnie więziony i wzięty do wojska pruskiego, odbył kampanie austriacką i francuzką.

**Sredziński** Franciszek, ur. 1839 r., brał udział w wyprawie Taczanowskiego, począwszy od Pyzdr aż do Ignacewa. W powrocie uwięziony przez władze pruskie, odsiedział karę w więzieniu gnieźnieńskim.

\* **Srokoczyński** z Poznańskiego zginął w bitwie pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r.

**Stablewski** Kajetan, syn ś. p. Onufrego, oficera wojsk napoleońskich, dziedzica dóbr Duszna, i ś. p. Emilii z Kurowskich, rodzony brat msgra Floryana Stablewskiego, jednego z najznakomitszych mówców naszych w sejmie berlińskim, zginął pod Kterami w Łęczyckim, mając lat 28, przy szarży na huzarów moskiewskich w lipcu 1863 r., rozsiekany w kawały na pobojowisku.

**Stan** Hilary, rodem z Gołańczy, syn Maksymiliana, ranny w roku 1863 kulą w udo, przekłuty przez piersi na wylot przez obdzierającego go z odzieży kozaka, po roku ciężkich cierpień, cudem niemal przyszedł do zdrowia.

**Steber**, Niemiec z Berlina, pięć razy ranny w r. 1863, siedział później przez kilka miesięcy na Winiarach.

**Stroiński** Józef, stolarz z Buku, poległ pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r.

**Strzelecki** Michał, major i szef sztabu generała Taczanowskiego, począwszy od Pyzdr aż pod Ignacewo, gdzie poległ śmiercią walecznych, pochodził z Galicyi i był synem Kazmierza i Maryi z Korczyńskich, dzierzawców Kliszowa pod Mielcem. Ukończywszy szkoły w Tarnowie, wstąpił do wojska austriackiego i wkrótce dla swych niezwykłych zdol-

ności otrzymał stopień oficerski. W roku 1846 uwięziony wskutek fałszywej denuncyacji, po uwolnieniu udał się do Węgrzech i brał udział w tamtejszym powstaniu, poczem przeszedł do Turcyi. Na wieść o powstaniu przybył w Poznańskie i mianowany szefem sztabu generała Taczanowskiego, wielkie położył zasługi około organizacyi oddziału i umiejętnego rozporządzenia w potyczce pod Pyzdrami. „Uniał on sobie, jak mi pisze jeden z oficerów z pod Taczanowskiego, wszystkich zjednać i był duszą naszego obozu. Był to niezwykły typ człowieka; z każdego jego kroku poznać w nim było można wytrawnego żołnierza, który przy wielkiej stanowczości i energii, okazywał wielką ogładę światową. Nie młody, ubrany w czarny tużurek, bez broni wydający rozkazy, dziwne robił wrażenie; a jednakże podczas bitwy sam każdą kompanią wyprowadzał na stanowisko i każdego niemal żołnierza na linii tyralierskiej ustawiał; dawał rozkazy krótkie, a zrozumiałe.“

**Strzyżewski Wincenty**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, licząc lat 16, poszedł na powstanie i ciężko ranny w bitwie pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r., w kilka dni później umarł w Wysokiem pod Kołem i tam pochowany.

\* **Styczyński Ludwik** czy **Mieczysław**, rodem z Buku, kuciec, poległ dnia 8 maja 1863 r. pod Ignacewem.

**Suchorski Teodor**, syn Stanisława i Emilii z Niemojowskich, ur. 27 stycznia 1836 r., właściciel wsi Smaszków pod Błaszczkami, poległ jako porucznik kosynierów w potyczce pod Rudnikami, w oddziale Parczewskiego (zob. wyż. „X. Klemczyński Stanisław“).

\* **Suchorzewski**, mianowany oficerem w oddziale Skowrońskiego za odznaczenie się w potyczce pod Cyrusową Wolą dnia 4 września 1863 r., poległ w potyczce pod Ratyniem w Kaliskiem w marcu 1864 r.

\* **Świtalski Józef** powieszony w mieście Kikole w powiecie lipnowskim dnia 12 listopada 1863 roku, a według innych źródeł w Włocławku. Rodzina Świtalskich istnieje dotąd w Poznaniu.

**Sygietyński Karol**, lat 16, wstąpił nasamprzód do oddziału pułkownika Calliera i brał udział w potyczce pod Izbicą. Następnie służył w oddziale Zielińskiego i Orłowskiego i poległ przy szarzy w potyczce pod Zdżarami dnia 23 września 1863 r., pochowany w Studziannej w powiecie opoczyńskim.

**Sypniewski Wincenty** z Biechowa pod Wrześnią, ur. 1819 r., służył w r. 1848 jako ułan w obozie pleszewskim i brał udział w potyczkach pod Miłosławiem i Sokołowem. W r. 1863 wyszedł z Czełuscina, w zamiarze udania się do obozu Taczanowskiego w Pyzdrach, wszakże aresztowany pod Miłosławiem w pobliżu Cieśli dnia 15 lipca, więziony był przez 7 miesięcy w cytadeli Winiarach w Poznaniu.

**Szałkowski Aleksy**, uczeń gimnazjum trzemeszeńskiego, ranny kulą w piersi w pobliżu Rudy pod Ruszkowem w oddziale Raczkowskiego, tego samego dnia ducha wyzionął. Za spokój jego duszy odbyło się nabożeństwo żałobne w Trzemesznie dnia 20 czerwca 1863 r.

**Szary**, szewc z Gostynia, poległ pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r.

**Szczawiński Zdzisław**, ur. w Żakowie 30 października 1842 r. z ojca Hipolita i matki Apolonii z Skarzyńskich, mimo słabego zdrowia

pospieszył do oddziału Kaźmierza Mielęckiego, który go wziął do swego boku za adjutanta, jako wybornie obeznanego z służbą kawaleryjską, ojciec bowiem jego, weteran z r. 1831, wéwczasiał go od małego chłopca do jazdy i obejścia się z koniem, siodłem, pistoletem i t. d. W czasie bitwy pod Olszową, wyjechawszy z Mielęckim na brzeg lasu, by się rozpatrzyć w stanowisku nieprzyjaciela, był świadkiem, jak kula raniła jego wodza z boku w krzyże. Szczawiński, podtrzymując zwieszzonego na kark koński Mielęckiego, doprowadził go do Stanisława Budziszewskiego, który jako furyer miał podwodę. Położyli go obaj na wozie i zawieźli do wsi najbliższej. W czasie jazdy nogi Mielęckiemu tak spuchły, że Szczawiński musiał mu buty nożem porozcinać. Budziszewski wrócił na plac boju, a Szczawiński odwiózł Mielęckiego czolnem przez jezioro na granicę pruską. Mielęcki na łożu śmierci jeszcze wyrażał się z największym uznaniem o odwadze i ogłędności Zdzisława. Po upadku powstania oddał się Szczawiński z zamiłowaniem gospodarstwu w Brylewie pod Gostyniem, ale wciąż nie domagał na zdrowiu. Umarł po trzydniowej chorobie dnia 25 lutego 1874 r., pozostawiając młodą żonę i jedynaka syna.

**Szczepański** poległ w potyczce pod Pyzdrami.

**Szczepański** Stanisław, uczeń uniwersytetu w Berlinie, przechodząc z oddziałem z Miłosławia ku granicy, pod Ciesłami napotkał na patrol pruski i ugodzony kulą w serce, padł na miejscu dnia 15 lipca 1863 r.

**Szczęśny** Ignacy, służący z Rossoszycy w Odolanowskiem, za należenie do żandarmerji narodowej powieszony w Sieradzu.

**Szembek** hr. Aleksander, wnuk generała wojsk polskich hrabiego Piotra, a syn hr. Aleksandra, dziedzica dóbr Siemianic, Rakowa, Słupi i Wysocka, i Felicy z Niemojowskich, udał się wraz z młodszym bratem, hr. Piotrem, do oddziału kawaleryi generała Taczanowskiego (zob. wyż. życiorys generała) i służył w nim jako porucznik, podczas gdy brat jego był przy boku generała używanym do szczególnych poruczeń. W zwyciężkiej potyczce pod Sędziejowicami, opuszczony przez swój pluton przy szarży, sam jeden wpadł pomiędzy nieprzyjacielskie szeregi i przebił się przez nie, a jakkolwiek ciężko ranny w głowę i cały krwią zbroczony, szczęśliwie powrócił do swoich, poczem odwieziony został z obozu przez brata do Siemianie.

**Szermętowski** (Henryk Łowiński), wychodzca z r. 1861 z Warszawy, dowódzca oddziałku tworzącego się w Elzanowie w Prusach Zachodnich, poległ pod Nietrzebiem dnia 22 kwietnia 1863 r., pochowany w Chorostkowie (zob. wyż. Aleksy Owiński).

**Szmyt** Łucyan, doktor medycyny, poległ dnia 12 sierpnia 1863 r. pod Strykowem (zob. wyż.).

**Szmyt** Jan umarł z ran w Ruszkowie 1863 r. (zob. wyż.).

**Szmyt** Józef, ciężko ranny pod Olszakiem, obecnie w redakcyi „Wielkopolanina“ w Poznaniu (zob. wyż.).

**Szejder** Konstanty poległ dnia 30 maja 1863 r. pod Grójcekiemi Holendrami w Konińskiem.

**Szrajer** Władysław z Górnego Szląska poległ pod Nowąwsią 1863 r. (zob. wyż. Górnośląski v. Szrajer Franciszek, który zdaje się być z tej samój rodziny).

**Szrajer Adolf**, lat 28, z Górnego Szląska, poległ pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 roku obok kolegi swego, Karola Libelta. Ojciec jego miał się nazywać „Krzykała“ i był włościaninem, ale zostawszy pruskim podoficerem, przechrzcił się na Szrajera, co go później tak koreciło, iż się powiesił, a wdowa po nim wraz z synem udała się w Poznańskie, do krewnych. Tu ukończył Adolf chlubnie gimnazjum w Trzemesznie, a następnie przerywając dla braku środków materialnych po kilkakrotnie nauki uniwersyteckie nauczycielką w domach możniejszych, zdał egzamen na nauczyciela historii i filozofii, odsłużył wojskowość i wyszedł z niej z stopniem oficerskim. Po wybuchu powstania wyruszył natychmiast w pole i w pierwszej zaraz bitwie zginął śmiercią walecznych.

\* **Szulc Edward**, z Opok w Prusach Zachodnich, służył pod Raczkowskim i odznaczył się walecznością.

**Szulczewski Wincenty**, krawiec z Gniezna, lat 20, ciężko ranny w piersi pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r., w dwie godziny później umarł na placu boju.

**Szupe Kacper**, rodem z Konina, zginął pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r.

\* **Ształc Zygmunt** z Prus Zachodnich zginął pod Olszową dnia 22 marca 1863 r.

**Szymański Władysław** z Sulmierzyc, lat 27, podoficer pruski, poległ jako wachmistrz 2 plutonu w oddziale Parczewskiego w potyczce pod Kterami, zarąbany przez huzarów, pochowany w Strzegocinie.

\* **Szymański Karol**, przytrzymany na granicy przez żołnierzy pruskich, w drodze do więzienia miał umrzeć w skutek pobicia kolbami.

**Szymkowiak Jan** z Grodziska stracił lewą nogę w utarczece pomiędzy wsią Cekowem a Kaliszem dnia 18 listopada 1863 r. Przygody tego weterana, opisane przezeń, znajdzie czytelnik na inném miejscu.

\* **Szymoniak Maciej**, włościanin, poległ w utarczece w lasach Cisowskich pod Widelkami w grudniu 1863 r.

**Thiel Michał**, ur. w Chwałkowie pod Książem w r. 1831, kształcił się w gimnazjum trzemeszeńskim, wojskowość odsłużył przy gwardyi ułanów w Berlinie, poczem poświęcił się zawodowi gospodarczemu. W kwietniu 1863 przeszedł granicę i brał udział w potyczce pod Pyzdrami jako porucznik, a po odznaczeniu się na polu bitwy mianowany został kapitanem kosynierów. Pod Ignacem, otrzymawszy rozkaz zdobycia armat, szedł na czele swoich kosynierów z zdobytą szpadą do ataku, gdy kula ugodziła go w piersi. Utkwił szpadę w ziemi, a sam padł. Kosynierzy się rozpierchli, a Moskale przypadszy do trupa, tak go posiekali, że prawie ciała jego później rozpoznać nie było można.

\* **Topczański**, syn ogrodnika, poległ pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

\* **Traskowski Erazm**, podoficer w kompanii Kaźmierza Unruga, a następnie w oddziale Witołda Turny, poległ pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Trampczyński Kaźmierz** poległ pod Mieczownicą dnia 2 marca 1863 r. (zob. wyż.).

**Trampczyński Władysław**, brat poprzedniego, umarł z ran otrzymanych pod Mieczownicą w marcu 1863 r. (zob. wyż.).

**Trampczyński** **K a ż m i e r z**, wychodzca, poległ pod Nowawszą dnia 27 kwietnia 1863 r. (zob. wyż.).

**Trampczyński** **Z y g m u n t** umarł w skutek niewywczasów i trudów w r. 1863 na słabość piersiową dnia 8 sierpnia 1864 r. Był on bratem młodszym dwóch pierwszych (zob. wyż.).

**Trampczyński** **A n t o n i**, mecenas w Środzie, ojciec Kaźmierza, Władysława i Zygmunta, umarł ze zmartwienia po stracie trzech synów dnia 24 września 1864 r. (zob. wyż.).

**Trampczyński** **W ł a d y ś ł a w**, porucznik z r. 1863, kilkakrotnie więziony przez władze pruskie, ranny pod Brdowem (zob. wyż.).

**Trampczyński** **H e n r y k** (zob. wyż.).

**Trampczyński** **E d m u n d**, ranny pod Brdowem (zob. wyż.).

\* **Truchlińska** **J ó z e f a** z **G o r z e l e w s k i c h** z Żakowic w Plezewskim, podejrzana przez władze pruskie o przechowywanie broni i powstańców, leżała właśnie w położu, gdy wojsko przyszło odbyć rewizyę w jęj domu. Przestraszona widokiem żołnierzy, dostała konwulsyi i umarła w parę dni, 8 kwietnia 1864 r., pozostawiając męża i sześcioro dzieci.

**Tryska** **K a c p e r** z Opok w Prusach Zachodnich służył pod Raczkowskim, bił się mężnie i był rannym.

**Tulikowski** służył jako szeregowiec pod generałem Taczanowskim i poległ w bitwie pod Widawą dnia 23 czerwca 1863 r.

**Tułodziecki** **K a ż m i e r z**, syn ś. p. Antoniego, dzierżawcy dóbr Osiek Wielki w Królestwie Polskim, i Pelagii z Lipińskich, w 19 roku życia przerwawszy kursa agronomiczne w Pruszkowie i z trudnością przeszedłszy granicę, połączył się z oddziałem Younga w przededniu mającej się odbyć bitwy na polach Nowejwsi. Tam, dnia 27 kwietnia 1863 r., po bohaterskiej walce śmiertelnie ranny, zakończył życie w Słomkowie w domu państwa Busse, gdzie był urządzony tymczasowy lazaret, dnia 13 maja t. r. Ciało jego sprowadzono do Osiecza, z kąd się odbyła uroczysta eksportacya zwłok do parafialnego kościoła w Boniewie pod Czerniewicami, w pobliżu stacyi drogi żelaznej Kowal, gdzie płaski kamień z imieniem i nazwiskiem zmarłego, oraz datą jego urodzenia i śmierci, pokrywa grób bohaterskiego młodzieńca. Ś. p. Kaźmierz był wzorowym synem, najlepszym bratem i budził najpiękniejsze nadzieje przyszłości w sędziwym już ojcu. Szalona odwaga i zapał młodzieńczy położyły zbyt prędko kres jego życiu. W początku już bitwy okazał się jego sztucer całkiem bezużytecznym. Na uwagę jednego z towarzyszków, aby szedł do furgonu po inny, odpowiedział: „Nie mogę tego uczynić, bo myślanoby, że uchodzę z pola bitwy, a zły przykład nie dobrzeby działał na innych. Stać zatem będę w szeregu, choć bezczynny.“ Wtém usłyszano komendę: „Na bagnety! Kto ma ochotę wypierać Moskali z ich obronnego stanowiska?“ Pierwszym był Tułodziecki, który wyskoczył z szeregu, a za nim poszli inni. Przed zgonem, przyszedłszy do przytomności, cieszył się i dziękował Bogu, że mu pozwolił wziąć udział w tęg morderczęg walce, która chlubę przyniosła orężowi polskiemu. Towarzyszami broni ś. p. Kaźmierza byli: **M i e c z y ś ł a w** **L e i t g e b e r**, dawniejszy księgarz w Poznaniu, a dziś w Ostrowie, **d r. L u c y a n** **S z m y t**, który także poległ, **d r. R o m a n** **S z y m a ń s k i**, obecnie redaktor „Orędownika“ w Poznaniu, i brat rodzony, ś. p. **S t a n i ś ł a w** **T u ł o d z i e c k i**, zmarły dnia 31 marca

1875 r. w Poznaniu (zob. „Kronikę Żalobną“ *Teodora Żychlińskiego*, Poznań 1877, str. 470).

\* **Tupasiński**, czy **Tupaliński**, uczeń gimnazjum poznańskiego, poległ w bitwie pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Turno Witold**, pułkownik, poległ w bitwie pod Ignacem (zob. wyż.).

**Uliszewski Ignacy**, piekarz z Poznania, brał udział w powstaniu, przechodząc z oddziału do oddziału, kilkakrotnie ranny, wzięty do niewoli, popędzony w głąb Moskwy, po kilku dopiero latach powrócił do domu.

**Unrug Kazimierz**, kapitan, poległ pod Kołem (zob. wyż.).

**Urbanowski Stanisław**, syn Nepomucena i Emilii z Koszutskich, właścicieli ziemskich najprzód w W. Księstwie Poznańskim, następnie wioseczki Czesławina w Czerskiem. Należał do najpierwszych, którzy dnia 22 stycznia rozpoczęli powstanie pod Grójcem. W kilka dni później pospieszył do Słonawki, gdzie się zbierał oddział Śmiechowskiego i brał udział w bitwie pod Rawą, gdy Śmiechowski połączył się z Jeziorańskim. Wraz z nim przeszedł pod rozkazy Langiewicza i odtąd jako wachmistrz komnicy bił się pod Małogoszczą, Pieskową Skałą, Chrobrzem, Wełczem i Grochowskimi. Schroniwszy się po upadku dyktatury do Galicji, wkrótce znów wyruszył w pole pod wodzą Miniewskiego (zob. wyż.). Po klęsce pod Krzykawką powrócił do Krakowa, z kąd po raz trzeci i ostatni jako szeregowiec w strzelcach wyszedł z oddziałem Jeziorańskiego. Pierwszą potyczkę pod Kobyłanką dnia 1 maja przebył szczęśliwie; ale w skutek trudów, niewyczasów i wrażeń w boju popadł w wielką chorobę, na którą cierpiał w dzieciństwie. To go głęboko dotknęło; był odtąd coraz smutniejszym i śmierć swą przeczuwał. Jakoż dnia 6 maja poległ w drugiej bitwie pod Kobyłanką, ugodzony kulą w piersi. Pogrzebany w wspólnej mogile po nad granicą galicyjską.

\* **Wańkowski Jan**, b. podoficer pruski, ciężko ranny pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r. i wzięty do niewoli, w kilka godzin później życie zakończył.

\* **Warch**, lat 30, Niemiec z Poznańskiego, wachmistrz 1 plutonu jazdy w oddziale Parczewskiego, poległ w ataku na Kutno w maju 1863 r.

**Warnka Stanisław**, jeden z najdzielniejszych młodzieńców Wielkopolski, późniejszy profesor gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny i akademii handlowej w Lipsku, znakomity historyk, pisarz i dziennikarz, w skutek trudów wojennych w r. 1863 zapadłszy na zdrowiu, zgasł po długich cierpieniach na chorobę piersiową w Poznaniu dnia 19 lutego 1882 r. Zmarły był przez matkę siostrzeńcem Karola Libelta i dr. Teofila Mateckiego. Do powstania poszedł jako uczeń prymy. Bił się pod Youngiem w bitwach pod Nowąsnią i Brdowem, poczem po powrocie do Księstwa kilkakrotnie był więziony w Wągrówcu i w Poznaniu. Odsiedziawszy karę, udał się do Wrocławia i zdawszy świetny egzamen abiturystencki, zapisał się na uniwersytet tantejszy, celując zawsze między rówieśnikami.

**Wasilewski Aleksander**, weteran z r. 1831, wychodzca, starzec 70-letni, przybył na odgłos powstania z Francji w Poznańskie i wziął udział w wyprawie Younga de Blankenheim. Poległ pod Brdowem dnia 29 kwietnia 1863 r.

**Wągrowiecki** J ó z e f, ur. w Szczytnikach pod Czerniejewem 1839 r., porucznik przy pierwszej kompanii strzelców w oddziale Younga, brał udział w bitwach pod Nowąwsią i Brdowem, gdzie był rannym w lewą rękę.

**Wąsowski** Hieronim, ur. 1831 r., walczył pod Nowąwsią i Brdowem, gdzie został ranny.

\* **Wąsowicz** Jan zginął w Konińskim w kwietniu 1863 r.

**Wąsowicz** Antoni ze Stęszewa, syn Mateusza i Rozalii Wąsowiczów, z zawodu szewc, wyszedł w marcu 1863 r. jako 17-letni młodzieniaszek do powstania i odtąd żyjący dotąd rodzice jego żadnej o nim wieści nie otrzymali. Będzie to zapewne ta sama osobistość, co poprzedni „Jan“, podany przez „Pamiętkę dla rodzin.“

**Węciewicz** Herman z Kurnika brał udział w potyczkach pod Olszakiem Tartakiem dnia 22 marca, pod Pyzdrami dnia 29 kwietnia, pod Kołem dnia 6 maja, pod Ignacemwem dnia 8 maja, dalej w komnym oddziale generała Taczanowskiego, następnie służył z kolei pod Szumlańskim, Słupskim i Pagowskim. Z wszystkich potyczek wyszedł cało.

**Węgiński** A d a m, kapitan wojsk polskich z r. 1831, poległ dnia 8 maja 1863 r. pod Ignacemwem.

\* **Węgiński** J ó z e f, brat poprzedniego, poległ w potyczce pod Rudnikami dnia 25 lutego 1863 r.

**Węsierski** W ł a d y s ł a w, syn Kaźmierza Cieszyca Węsierskiego i Franciszki z Płacheckich z Chełmna, porucznik wojsk pruskich w 54 pułku piechoty, poległ pod Brdowem, dowodząc kompanią, dnia 29 kwietnia 1863 r.

**Węsierski** Stanisław herbu Belina, syn radcy Ziemstwa Tadeusza, dziedzica dóbr Modliszewka, i Eleonory z Brudzewskich, brał wprawdzie czynny udział w powstaniu 1863 r., ale nie poległ, jak mylnie podaje „Pamiętka dla rodzin“, ale umarł w r. 1879 w Gnieźnie, tknięty paraliżem. Było to bardzo żadne serce!

**Węsierski** Stanisław, także herbu Belina, syn Wojciecha, dziedzica Myszek, i Eleonory z Służewskich, walczył pod Dobrosłowem i Mieczownicą; po odbytej kampanii w r. 1863 przebywał w Królestwie i umarł w jesieni w r. 1880 w okolicy Częstochowy.

**Wichliński** J ó z e f, z Marszewa, zginął pod Nowąwsią dnia 21 lutego 1863 r.

**Wielanowski**, krawiec z Gostynia, ciężko ranny pod Brdowem, później umarł po powrocie do domu.

**Wierzbicki** Michał, syn ś. p. Wawrzyńca i Julii z Janowskich, brał udział w potyczkach pod Dobrosłowem i Mieczownicą, następnie udał się do oddziału Younga i tu w bitwie pod Brdowem ugodzony kulą w lewą rękę, znalazł schronienie w domu pp. Żychlińskich w Kęcerzynie pod Sempolnem, gdzie mu rękę amputowano. Po powrocie do Gniezna, skazany na pół roku więzienia, po odsiedzeniu kary poświęcił się stanowi kupieckiemu. Później przeniósł się do Ameryki, gdzie zdała od rodziny i ojczystej ziemi na obczyźnie przed kilku laty życia dokonał.

\* **Wierzbicki** Hieronim, b. porucznik pruski, dowodził oddziałem w powstaniu pod przybranym nazwiskiem **Boruty**, a dostawszy się do niewoli, rozstrzelany został w Łęczycy dnia 3 czerwca 1864 r.

**Wierzbicki** Stanisław, podpułkownik wojsk powstańczych, syn Andrzeja i Doroty z Wyskotów Zakrzewskich, a rodzinny brat zasłużo-

nego posła na sejm berliński, Władysława, udał się jeden z pierwszych 20 lutego 1863 r. do Krakowa w zamiarze wstąpienia do oddziału Langiewicza, z którym go łączyła przyjaźń z lat 1851 i 1852 w Berlinie wspólnie przepędzonych. Mianowany jako oficer pruski porucznikiem, przeszedł dnia 4 marca granicę pod Szycami z oddziałem Niewiadomskiego. Do Goszczy przybył z rana 6 marca i otrzymał tu stopień kapitana i dowództwo nad kompanią kosynierów, na czele której walczył 12 marca pod Sosnowką, dnia 17 marca pod Chrobrzem, dnia 18 marca pod Grochowiskami. Po upadku dyktatury aresztowany w Krakowie, skoro tylko został uwolniony, dnia 15 kwietnia, już w stopniu majora, wyruszył po raz wtóry w pole z oddziałem Mossakowskiego i brał udział dnia 22 t. m. w potyczce pod Golezowicami nad rzeczką Białą Przemszą, dnia 24 t. m. pod Jaworzniakiem, poczem dnia 27 t. m. powrócił do Krakowa, gdzie nie chcąc siedzieć bezczynnie, w pierwszych dniach czerwca udał się do Wielkopolski i oddał się do dyspozycji tamtejszemu komitetowi, który mu powierzył dowództwo oddziału, tworzącego się w północnych powiatach Księstwa. Dnia 8 sierpnia mianowany podpułkownikiem, w chwili, gdy zamierzał przejść granicę, uwięziony przez wojsko pruskie w Skorzęcinie i odprowadzony do Gniezna, a ztamtąd do Poznania, znalazł się wkrótce w Berlinie pomiędzy oskarżonymi o zbrodnią stanu. Jednocześnie z Wierzbińskim aresztowano kapitana *Walerjana Mrozińskiego* z Gościeszyna, przedstawionego już do stopnia majora, kapitanów *Seydewitza* i *Juliana Sypniewskiego*, którzy już poprzednio znaczne usługi oddali powstaniu.<sup>1)</sup> Stanisława Wierzbińskiego powołano następnie w r. 1870 jako porucznika landwery pod chorągwie pruskie. W czasie oblężenia Belfortu dowodził kompanią i na jej czele zginął dnia 6 grudnia, ugodzony czerepem kartaczu w głowę. Dnia 16 t. m. i roku odbyło się w Poznaniu w kościele Ś. Marcina uroczyste nabożeństwo żałobne za spokój duszy dzielnego męża, któremu Opatrzność nie pozwoliła paść za własną Ojczyznę, a który stracił życie za sprawę obcą.

**Wilczewski**, ogrodnik ze Szamotuł, przeszyty bagnietem przez piersi w potyczce pod Turkiem dnia 2 listopada 1863 r., trzeciego dnia umarł w Dębsku w domu państwa Rembowskiich.

**Wilhelmi** *Józef*, ur. 1841 r. w Turowie pod Szamotułami, wyszedł z prymy gimnazjum trzemeszeńskiego do powstania i walczył pod Mieczownicą, dalej pod Nowąwsią i Brdowem, wreszcie w oddziale Callier'a pod Lipicami, gdzie ciężko został ranny w lewą nogę.

**Wilkoński** *Stanisław*, rotmistrz jazdy, syn Wincentego, kapitana kościuszkowskiego, a później wojsk napoleońskich, brał czynny udział w powstaniu z r. 1863 od pierwszej chwili jego wybuchu w oddziałach Żuchowskiego, Strojnowskiego w lasach bolimowskich i rudzkich, gdzie otrzymał postrzał w nogę, Jeziorańskiego, Miniewskiego, powtórnie Jeziorańskiego, Śmiechowskiego i Waligórskiego, Lelewela, wreszcie Lenieckiego, pod którym ponownie ranny i wzięty do niewoli, zbity nahajkami i uwięziony w Zamościu, później przewieziony został w głąb Rosji do Włodzimierza, a ztamtąd na wygnanie do Ustżysolska w gu-

<sup>1)</sup> „Opisanie wypraw wojennych, w których udział brałem, przez Stanisława Wierzbińskiego“ w dziele *Agutona Gillera* p. t. „Polska w walce“ (Paryż, 1868 r.).

berni w ołogodzkiej, z kąd go dopiero po pięciu latach za staraniem rodziny uwolniono. Pomijając rozliczne drobniejsze utarczki, walczył w bitwach pod Kobylanką, gdzie się odznaczył nieustraszoną odwagą, dowożąc na ochotnika wśród gradu kul amunicją strzelcom, pod Radziwiłowem, pod Panasówką i pod Batorzem, gdzie w jego pobliżu padł Lelewel. Obecnie przebywa w Poznaniu, zajmując wyższą posadę w fabryce machin Cegielskiego.

**Winiewicz Jan** z Sulmierzyc poległ w r. 1863 pod Lututowem.

**Winowicz Józef**, z Gostynia, lat 24, udał się do powstania w r. 1863 i już więcej nie powrócił; zdaje się zatem, że poległ w jednej z potyczek.

**Wiśniewski Ludwik**, ur. w Wąbrzeźnie dnia 12 sierpnia 1834 r., syn Franciszka, kuśnierza, i Barbary z Zaporowiczów, która to zaena para obchodziła w roku bieżącym swe złote wesele, umarł w skutek ran otrzymanych w r. 1863 w pobliżu Łapinoża, w domu dziedziców tej włości w drugie Święto Wielkanocne 1864 r., pochowany obok towarzysza broni i młodości Cyrkła fa (zob. wyż.). Ludwik Wiśniewski był z zawodu kuśnierzem. Wyruszył w pole z Jabłonowa.

**Wiśniewski August** z Sulmierzyc zginął w r. 1863 pod Lututowem.

**Wiśniowski Leszek** poległ dnia 28 lipca 1863 r. pod Korytnicą. Nabożeństwo żałobne za spokój jego duszy odbyło się dnia 22 sierpnia 1863 r. w Kaźmierzu pod Szanotułami.

\* **Włoszkiewicz** z Kobylnik poległ w r. 1863.

**Wojciechowski Antoni**, ur. 11 sierpnia 1837 r. w Malachowie pod Dolskiem, poległ dnia 8 maja 1863 r. w bitwie pod Ignacem. Służył w 3 kompanii strzelców.

**Wolski Oskar**, syn Antoniego, porucznika wojsk polskich z r. 1831, dziedzica dóbr Strugi w powiecie kościerzyńskim, ur. dnia 8 stycznia 1842 r. w Pr. Starogardzie, uczeń gimnazjum najprzód chojnickiego, następnie wejherowskiego, z kąd w r. 1863 jako abiturient poszedł do powstania, poległ dnia 22 listopada 1863 r. w okolicy Pościen pod Chorzelami w powiecie prasnyżskim w Płockiem.

**Wolszlegier Antoni**, syn Arkadego, oficera z r. 1831, poległego pod Grochowem, synowiec Nepomucena, także oficera z r. 1831 pod Dwernickim, a wnuk Mikołaja Wolszlegiera, dziedzica dóbr Zamartego w powiecie chojnickim i Gołuszye w powiecie świeckim, poległ dnia 2 marca 1863 r. pod Dobroszowem, pochowany w wspólnej mogile.

**Woydt Kazimierz**, ur. w Słembowie pod Wągrówcem w r. 1843, brał udział w potyczkach pod Pyzdrami i pod Kołem. Ciężko ranny pod Ignacem, umarł z ran w Kramsku i tamże pochowany.

**Woźniakowski Michał**, ur. 1821 r., bił się pod Cyrusową Wolą, pod Dalkowem i pod Wartą, gdzie wzięty do niewoli, zesłany został na Sybir.

**Wroczyński Henryk**, rodem z Suwałek, którego siostra Teofila z Wroczyńskich Przymusińska jest obywatelką miasta Kurnika, zginął dnia 9 kwietnia 1863 r. pod Sapieżyszkami w powiecie maryampolskim. Ranny w nogę, zamordowany został przez kozaków, z których dwóch ubił przed śmiercią. Brat jego Adam zdołał szczęśliwie ujsć po powstaniu do Francji.

**Wróblewski Jan** z Powidza, syn znacznych obywateli, młodzieniec pełen nadziei, zginął pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Wronecki Stanisław**, z Pleszewa, walczył pod Pyzdrami i Kolem; poległ pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r.

**Wróż Franciszek**, wśród marszu zasnawszy ze znużenia w pobliżu Szadku w zaroślach, schwytyany został przez Moskali, którzy go na pozór puścili, ale gdy uszedł parę kroków, z tyłu doń dali ognia. Kula na wylot przeszła brzuch i wysła prawym bokiem. Było to dnia 25 sierpnia 1863 r. o 4 godzinie z południa. Nieszczęsna ofiara barbarzyństwa skonała w 4 godziny później pomimo najtroskliwszej opieki, zdolawszy się przecież wpród pojednać z Bogiem i powiedzieć nazwisko swe otaczającym go. Dnia 27 t. m. odbył się uroczysty pogrzeb. Towarzysze broni, obywatele okoliczni i włościanie zanieśli na barkach swoich trumnę, przybraną w wieńce i wstęgi o narodowych barwach, do kościoła o pół mili odległego we wsi Wierzchy, a ztamtąd po odprawieniu przed cudownym obrazem Matki Boskiej wigilii, trzech msz śś. i wotywy na miejsce wiecznego spoczynku. Przy spuszczeniu trumny, opatrzonej blachą z nazwiskiem ofiary, rzucili się obecni z płaczem i rozerwali pomiędzy siebie wieńce i wstęgi, jako relikwie narodowe.

**Wrześniński Jakób**, nauczyciel domowy w domu Tadeuszostwa Sokolnickich w Pigłowicach, a później w Czaczu w domu hr. Marcelego Żółtowskiego, mimo wężego zdrowia i niemłodego już wieku, pospieszył z zapalem w szeregi narodowe i zginął w bitwie pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r., spalony żywcem przez Moskali w zabarykadowanej chałupie. Spoczywa w jednej mogile z wdzięcznym wychowancem swoim, Piotrem Sokolnickim. Był to mąż cichy, skromny, wielkiego poświęcenia i gorącej miłości Ojczyzny. Kochał wszystko, co polskie, a przede wszystkim piękną mowę naszą, której skarby znał doskonale i umiał wszczepiać zamiłowanie do niej w swych uczniach. W rodzinie Sokolnickich pozostawił po sobie jak najpiękniejszą i nigdy nie wygasłą pamięć.

**Zaborowski Nikodem**, ur. w Howcu z ojca Jana i Antoniny z Przyłuskich, ukończywszy szkoły w Ostrowie, w r. 1863 poszedł do powstania i zginął pod Ignacem dnia 8 maja 1863 r., ugodzony kulą w głowę. Był to młodzieniec szlachetnego serca i bystrego umysłu; pragnął się poświęcić stanowi duchownemu, będąc siostrzeńcem Prymasa Leona Przyłuskiego.

**Zakrocki Michał**, z Prus Zachodnich, walczył w oddziałach litewskich pod Narbuttem i czterokrotnie ranny, w skutek odnowienia się ran umarł w Grudziądzu w grudniu 1881 r.

**Zakrocki Antoni**, starszy brat poprzedniego, wyszedł z Torunia w r. 1863 do powstania i odtąd zaginął bez śladu.

**Zakrzewski Władysław**, b. dziedzic Ziółkowa i Strzelca, przeszedłszy w kwietniu 1863 r. granicę wraz z Tadeuszem Jarczewskim i Stefanem Radońskim, otrzymał dowództwo w Pyzdrach nad trzema działkami. Ranny w nogę pod Pyzdrami, przewieziony do Kretkowa, w domu pp. Hipolitowstwa Skórzewskich przez 7 tygodni przeleżał. W czerwcu t. r. udał się ponownie w Kaliskie i odbył całą kampanią w oddziale jazdy generała Taczanowskiego, aż

do kłęski pod Kruszyną. Ścigany listami gończemi, schronił się za granicę, gdzie przebywał aż do r. 1865.

**Załuskowski Karol** poległ 20 maja 1863 r. pod Tyszowcami.

\* **Zbiczynski**, z Prus Zachodnich, zginął pod Olszową dnia 22 marca 1863 r.

**Zembrzusi Zygmunt**, uczeń gimnazjum chełmińskiego, poległ przy przejściu przez granicę oddziału powstańczego w okolicy Gohubia 1863 r.

\* **Ziemiałkowski**, z Poznańskiego, zginął pod Mielęckim dnia 19 lutego 1863 r.

**Ziemliński Karol**, pruski oficer strzelców, nadleśniczy i wójt w dobrach Sarnowskich, należących do Działyńskich w Królestwie Polskiem, zebrawszy oddział z kilkuset ludzi złożony, udał się do obozu Langiewicza i zginął śmiercią bohaterską w bitwie pod Wąchockiem, strzelając, jakkolwiek już ranny, bezustannie z sztucerów, podawanych mu przez towarzyszków. Wdowa po nim, córka profesora Wilama z Warszawy, odszukała zwłoki męża wśród poległych i pochowała je na cmentarzu wąchockim.

**Zimmermann X. Ludwik** (zob. wyż.).

**Zimmermann Kaźmierz**, ranny pod Olszową, zamordowany tegoż samego dnia pod Ślesinem (zob. wyż.).

**Zimmermann Ignacy** umarł z ran otrzymanych pod Kobylanką w kilka godzin po bitwie (zob. wyż.).

**Zimmermann Albin** ranny pod Olszową (zob. wyż.).

**Zimmermann dr. Jan** (zob. wyż.).

**Zwierzycki Maciej** z Krobi, syn obywatela tamtejszego Andrzeja Zwierzyckiego, był czeladnikiem szewskim w Lublinie i w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r., wyszedł na powstanie na czele 300 czeladzi, których przykładem swym zachęcił. Przy pierwszym starciu z nieprzyjacielem utracił nogę, w godzinę później umarł, pochowany przez swego chlebodawcę, mistrza szewskiego z Lublina. Był w 31 roku życia.

**Żegrzda Wojciech**, z rodziny, której gałąź osiadła w Ostrzeszowskiem, jako patron trybunału w Płocku, jeden z najwplywowszych obywateli, należąc do organizacyi przed wybuchem powstania, zebrawszy kilkudziesięciu ludzi, uderzył na ich czele w nocy z 22 na 23 stycznia na załogę rosyjską. Odparty, schronił się do jednego z domów i ztąd gęstemi strzałami raził nieprzyjaciół oblegających. Ale ranny i zmuszony po zdobyciu domu do ucieczki, widząc się zewsząd otoczonym, wystrząsał z rewolweru życie sobie odebrał. Synowiec jego:

**Żegrzda Bolesław**, syn Symplicyusza z W. Księstwa Poznańskiego, pragnąc pomścić śmierć stryja, który będąc bezdzietnym, wziął go na wychowanie, jako 19-letni młodzian pospieszył na powstanie i zginął śmiercią walecznych w potyczce pod Sędziejowicami.

**Żółtowski Mścisław**, syn Antoniego i Seweryny z Łaskowskich, dziedzic dóbr Zajączkowa w Szamotulskiem, odśluzyszy wojskowość przy artylerji w Poznaniu, pospieszył w kwietniu 1863 r. do Pyzdr i w dniu 29 t. m. dowodził w potyczce pod Pyzdrami drugą kompanją strzelców. Wysłany z patrolem pod Choczem, rozpedził oddziałek kozacki i ubił ich oficera. Pod Kołem był także czynny. Dnia 8 maja aż do godziny w pół do 11 stał na czele swój kompanii w boju, po-

czem odprowadzał rannego dr. Władysława Niegolewskiego do granicy. Gdy powracającego na pole walki namawiano, by także uchodził do Księstwa, gdyż bitwa przegrana i już bój dogorywa, nie zgodził się na to, twierdząc, że powinnością jego pozostać przy swych żołnierzach. Zamknąwszy się z kilku towarzyszami w chałupie, ztąd dłuższy czas stawiał opór nieprzyjacielowi, który w końcu chałupę podpalił. Żółtowski wraz z towarzyszami spłonął żywcem.

**Żurek** Paweł, z Poznania, lat 50, przy przejściu granicy zastrzelony przez Prusaków dnia 15 lipca 1863 r.

**Zuromski** Jan brał udział w potyczkach pod Mieczownicą dnia 2 marca, pod Kołem 6 maja i pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r. Przytrzymany, gdy na powtórny wybierał się wyprawę, był przez kilkanaście tygodni więziony w Gnieźnie i w Poznaniu (zob. wyż.).

**Zychliński** Ludwik, syn Franciszka i Ludwika z Budziszewskich, pułkownik wojsk powstańczych i dowódzca oddziału „Dzieci warszawskich“ w r. 1863, ciężko ranny, wzięty do niewoli i zesłany na Sybir, lat kilka spędził na wygnaniu.

### XIX. Więźniowie i oskarżeni

z lat 1863 i 1864 w procesie berlińskim przeciw

*hr. Janowi Działyńskiemu i spółnikom.*

*Antoniewicz* X. Bolesław.

*Arnt* Jan.

*Au* Juliusz.

*Banaszak* Józef.

*Berger* Józef.

*Bleszyński* Bonawentura.

*Błociszewski* Stanisław.

*Błociszewski* Władysław.

*Bniński* hr. Konstanty.

*Borowski* Marcei.

*Braunek* Tadeusz.

*Brodnicki* Kaźmierz.

*Brodowski* Karol.

*Bronikowski* Bolesław.

*Callier* Edmund.

*Chetkowski* Ildefons.

*Chetmicki* Kaźmierz.

*Chłapowski* Karol z Czerwonój wsi.

*Chodacki* Witold.

*Chotomski* hr. Juliusz.

*Cichowski* X. dr. Wincenty.

*Cunow* Albert.

*Czapski* Bolesław.

*Czarnecki* hr. Stanisław.

*Czartoryski* książę Roman.

*Dehnel* Władysław.

*Duszyński* Hipolit.

*Działowski* Zygmunt.

*Działyński* hr. Jan.

*Goński* X. Mikołaj.

*Gościcki* Jan Nepomucen.

*Gostawski* Henryk.

*Grabowski* Goetzendorf Ignacy.

*Guttry* Aleksander.

*Heinrich* z Lubostronia.

*Hofman* Adolf.

*Hubert* X. Józef.

*Hulewicz* Waleryan.

*Itowiecki* Józef.

*Jackowski* Maksymilian.

*Jackowski* Teodor.

*Jackowski* Antoni.

*Jaraczewski* Zygmunt.

*Jaraczewski* Tadeusz.

*Jaróchowski* X. Cypryan.

*Jaroczyński* Maryan.

*Jarzębowski* Adam.

*Jasiński* Józef Maksymilian.

*Johannsohn* Fryd. Wilhelm.

*Kalkstein* Edward.

*Kaniewski* Stanisław.

*Karśnicki* Władysław.

*Kętrzyński* Jan Wojeiech.

*Kierski* Józef.

*Kierski* Tadeusz.  
*Koczorowski* Adolf.  
*Koronowicz* Jan Nepomucen.  
*Kościelski* Bolesław.  
*Kosiński* Władysław.  
*Koszutski* Wacław.  
*Krasicki* Józef.  
*Królikowski* Leon z Warszawy.  
*Kurnatowski* Włodzimierz.  
*Kwilecki* hr. Mieczysław.  
*Lutomski* Bolesław.  
*Łącki* Władysław.  
*Łączyński* Adolf.  
*Łubiński* Józef.  
*Łubieński* Bogusław.  
*Łukaszewicz* Ksawery.  
*Maciejewski* Stanisław.  
*Majewski* Jan.  
*Malczewski* Zygmunt.  
*Mańkowski* Napoleon.  
*Maroński* X. Antoni.  
*Martwell* dr. Leon.  
*Matecki* Feliks.  
*Matuszewski* Józef.  
*Miełcki* Józef.  
*Mierostawski* Franciszek.  
*Mitkowski* Kazmierz.  
*Mittelstaedt* Julian.  
*Molinek* Ferdynand.  
*Moszczeński* Bolesław.  
*Mrowiński* Waleryan.  
*Mroziński* Kazmierz.  
*Niegolewski* dr. Władysław.  
*Niklewski* dr. med. Józef Stanisław.  
*Oberfelt* Dyonizy.  
*Ohnstein* Ludwik.  
*Oppen* Władysław.  
*Paruszewski* Michał.  
*Pilaski* Roman.  
*Pluciński* Józef.  
*Potczyński* Walenty.  
*Prączyński* Józef.  
*Radecki* X. Szymon.  
*Radoński* Anastazy.  
*Radoński* Seweryn.  
*Radziwiński* Maksymilian.  
*Radziwiłł* książę Mikołaj z Litwy.  
*Reichstein* Julian.

*Rekowski* Napoleon.  
*Rekowski* Artaxerxes.  
*Roehr* Jan.  
*Rostkowski* Witołd.  
*Różycki* Leopold.  
*Rustejko* Józef.  
*Rymarkiewicz* X. Stanisław.  
*Szaniecki* Stanisław.  
*Szaniecki* Ludwik.  
*Seydewitz* Fedor.  
*Seyfried* Józef Aloizy.  
*Sikorski* Bolesław.  
*Skoraczewski* Filip.  
*Skórzewski* Andrzej.  
*Skrzydlewski* Józef.  
*Skrzydlewski* Mateusz.  
*Śmiśniewicz* Władysław.  
*Śmitkowski* Leon.  
*Sulerzyski* Natalis.  
*Sulerzyski* Waleryan.  
*Swinarski* Ernest.  
*Sypniewski* Julian.  
*Szamarzewski* X. Augustyn.  
*Szczawiński* Hipolit.  
*Szołdrski* hr. Wiktor.  
*Szule* dr. Kazmierz.  
*Szuman* dr. Henryk.  
*Szuman* Norbert.  
*Taczanowski* Edmund.  
*Thokarski* Józef Piotr.  
*Tur* Cezary.  
*Turno* Hipolit.  
*Ulatowski* Serafin.  
*Waller* Witalis.  
*Węclewski* Kazmierz.  
*Wierzbiński* Stanisław.  
*Wilkoński* Kazmierz.  
*Wolniewicz* Włodzimierz.  
*Zabłocki* Erazm.  
*Zakrzewski* Władysław.  
*Zakrzewski* Stefan.  
*Zawadzki* Władysław.  
*Żórawski* Józef.

*Bentkowski* Władysław, skazany  
 w r. 1865 po powrocie z Gali-  
 cyi na rok więzienia.

Z tych na dniu 23 grudnia 1864 roku skazano zaocznie  
 na śmierć: *Działyńskiego*, *Guttrego*, *Zygmunta Jaraczewskiego*, *Skora-*

czewskiego, Wolniewicza, Edmunda Taczanowskiego i Władysława Zakrzewskiego, którzy w r. 1866 zostali amnestyonowani.

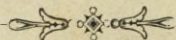
Na rok więzienia skazano: Callier'a, hr. Chotomskiego, księcia Romana Czartoryskiego, Hulewicza, Kalksteina, Kętrzyńskiego, Koszutskiego Wacława, Kurnatowskiego, Napoleona Mańkowskiego, dr. Martwella, Mittelstaedta, Bolesława Moszczeńskiego, Stanisława Szczanieckiego, Śmitkowskiego, Natalisa Sulerzyskiego, dr. Szulca i Zabtockiego Erazma.

Na 15 miesięcy więzienia w fortecy skazano: księży Jaróchowskiego i Rymarkiewicza.

Na półtora roku więzienia w fortecy skazano: Teodora Jackowskiego i Rustejkę.

Na dwa lata więzienia skazano: Władysława Kosińskiego i Władysława Niegolewskiego.

Takim był dla Księstwa epilog wypadków z lat 1863 i 1864.



Biblioteka Główna  
Akademii Obrony Narodowej

32327/2



12-032327-000-0